JULIA RACZKO

gdzie jest Julia?

o podróży dookoła świata, z której nigdy nie wróciłam

Pascal

JULIA RACZKO

gdzie jest Julia?

o podróży dookoła świata,
z której nigdy nie wróciłam

Pascal

Copyright © by Julia Raczko

Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo Pascal. Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej książki nie może być powielana lub przekazywana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy, za wyjątkiem recenzentów, którzy mogą przytoczyć krótkie fragmenty tekstu. Redakcja dokonała wszelkich starań, by skontaktować się z osobami, których wizerunek został przedstawiony na zdjęciach.

Tytuł: *Gdzie jest Julia?*
Autor: *Julia Raczko*
Inicjowanie projektu: *Magda Mazur*
Redakcja: *Małgorzata Taczanowska*
Korekta: *Katarzyna Zioła-Zemczak*
Projekt graficzny okładki: *Aga Kozmic*
Skład i projekt makiety: *Ilona i Dominik Trzebińscy Du Châteaux*

Zdjęcie na okładce: *Aga Kozmic*
Pozostałe zdjęcia:
Julia Raczko: s. 321–336
Shutterstock: s. 7, 12, 33, 46, 53, 62, 77, 83, 91, 94, 96, 104, 112, 120, 140, 160, 176, 184, 190, 198, 205, 214, 222, 237, 257, 266, 278, (Ecelop); 136, 153, 309 (A Aleksii)
Dominik Trzebiński Du Châteaux: s. 125
Creatable: s. 9, 27, 28, 32, 42, 52, 61, 66, 76, 82, 90, 93, 95, 103,108, 119, 124, 135, 139, 146, 152, 156, 171, 183, 185, 197, 198, 204, 213, 217, 236, 256, 262, 277, 287, 288, 290, 293 (Palau)

Redaktor prowadząca: *Angelika Ogrocka*
Redaktor naczelna: *Agnieszka Hetnał*

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.
ul. Zapora 25
43-382 Bielsko-Biała
www.pascal.pl

Bielsko-Biała 2015
ISBN 978-83-7642-829-1

eBook maîtrisé par Atelier Du Châteaux

Bo są ludzie, których trzeba spotkać, i miejsca, które można zobaczyć...

Początek

Zerkałam na nich przez uchylone okno. Siedzieli we dwóch, zagadani jak najlepsi kumple. Nie wiem, o czym rozmawiali, bo szczebioczące papugi i szum palmowych liści na delikatnym wietrze skutecznie zagłuszały dialog. Zresztą, nie słowa były tu ważne, nawet nie chciałam snuć domysłów, o czym toczy się dyskusja. Wolałam patrzeć – na dwóch facetów mojego życia.

To był 2 maja 2015 roku, dzień ważny dla mnie przynajmniej z trzech powodów…

Rano obudziłam się o rok starsza. To moje trzydzieste urodziny. Chyba symboliczne dla każdego, kto przekracza ten magiczny metrykalny punkt. Przeżywałam, gdyż wcześniej zdawało mi się, że trzydziestolatkowie są już „tacy starzy." Teraz sama stałam się trzydziestolatką. Choć już od dłuższego czasu obserwowałam dokładnie swoją twarz przy mocniejszym świetle – nie dostrzegłam żadnych zmarszczek. Nie miałam też: męża, dzieci, stabilnej pracy i uporządkowanego życia – tego wszystkiego, co stereotypowo kojarzyło mi się dotychczas z „tym" wiekiem.

Kilka lat temu odrzuciłam spokojne życie w imię przygody. Zostawiłam wszystko, co miałam i bardzo lubiłam, żeby zrobić coś, co wcześniej specjalnie mnie nie interesowało – podróżować. Sama nie wiem dlaczego, skąd przyszedł ten impuls. Może szukałam dziury w całym, a może intuicja podpowiadała mi, żeby poddać się próbie i zrealizować jednak ten szalony pomysł, który pojawił się znikąd? Do dziś zastanawiam się, co wygnało mnie w świat. Nie chciałam sobie niczego udowadniać, a tym bardziej nikomu innemu, nie miałam też przed czym uciekać ani nie

chciałam niczego szukać… Być może byłam zmęczona tą rutyną, w którą, chcąc nie chcąc, wpada każdy z nas i ciągnęło mnie, żeby złapać haust innego powietrza? Powietrza niezanieczyszczonego nudą codzienności?

– Wpadłam na pomysł, żeby wyjechać na kilka miesięcy…

– Jedź – odpowiedziała szybko Małgosia, przyjaciółka z pracy, która objechała już chyba pół świata. – Jedź – powtórzyła bez sekundy zastanowienia, nie dając mi nawet dokończyć zdania. – Podróże zmieniają nas na lepsze. Jedź – poznasz i pokochasz ludzi. Jedź, jeżeli czujesz taką potrzebę. Wrócisz do tego… – Siedziałyśmy w przerwie między zdjęciami, popijając kawę, a wszyscy wokół nas gdzieś pędzili. Zaraz zaczynał się program na żywo, też musiałyśmy wpaść w ten wir.

Niedługo potem odkryłam, że istnieje coś takiego jak bilet dookoła świata. Dalej wszystko potoczyło się jak śnieżna kula – oszczędzanie, przygotowania, pożegnania. Wyjechałam rok później, jako totalny podróżniczy żółtodziób.

Wyjechałam w podróż dookoła świata. I nigdy z niej nie wróciłam.

2 maja 2015 roku mijały dokładnie dwa lata, odkąd przeprowadziłam się do Australii. To tutaj był teraz mój dom i moja codzienność, chociaż nie taki był plan. Nie zamierzałam zniknąć na stałe. Po sześciu miesiącach miałam wrócić do mojego warszawskiego życia, które przecież tylko zawiesiłam…

Jednak stało się inaczej. Zbieg okoliczności, przypadków oraz suma podjętych przeze mnie decyzji zaprowadziły mnie do Brisbane – australijskiego miasta, którego nawet nie było na trasie mojej podróży. Tutaj poznałam człowieka, z którym piję poranną kawę, spaceruję nad oceanem i rozbijam namiot na środku pustyni pod niebem pełnym gwiazd… Szczęśliwy traf postawił na mojej drodze chłopaka, który podaje mi rękę, gdy potykam się o mały kamyk i łapie mnie, gdy spadam ze schodów (przynajmniej się stara). Los podarował mi osobę, dla której nauczyłam się robić pierogi. Po trzydziestu latach!

To on jest jednym z tych mężczyzn, którzy siedzieli na tarasie. Drugi, to mój tata.

2 maja 2015 roku jest taki ważny też z tego powodu, że on tu był. Po-

fatygował się na drugi koniec świata (biedaczek, tak bardzo nie lubi latać), żeby zobaczyć mój nowy dom i tę moją codzienność. Czekałam na jego wizytę niecierpliwie, ale też trochę się bałam, gdyż przyjazd ojca to tyle, co postawienie kropki nad i dla mojego nowego życia. To zaakceptowanie przez rodzinę mojej decyzji.

Zerkałam na nich długo przez to okno, wzruszona i szczęśliwa. Oni też byli zadowoleni.

Podczas podróży dookoła świata prowadziłam blog, który pozwolił mi zatrzymać wspomnienia. Wspomnienia, którymi chcę się z Wami podzielić.

TAJLANDIA

Nieważne jest to, gdzie jesteś dziś. Ważne jest to, w którym kierunku idziesz.

Oliver Wendell Holmes

Bangkok

Nabuzowane wilgocią powietrze waliło w szybę, a potężne krople deszczu w blaszany dach. Bezczynnie gapiłam się w sufit, cierpliwie czekając, aż ten mały fragment tynku w kolorze wyblakłego różu spadnie mi na nos. Nie chciał. Od dwóch godzin leżałam nieruchomo, ściśnięta pasem, w którym schowane były wszystkie wartościowe rzeczy, i przerażona każdym skrzypnięciem podłogi na korytarzu pytałam siebie w myślach: „Po co mi to było?". Czekałam. Aż przestanie padać i aż ten przeklęty tynk w końcu się oderwie. Wiedziałam, że prędzej czy później to nastąpi. Musiało, bo w tym obskurnym pokoju wszystko w końcu musiało odpaść.

Chodnikami Bangkoku płynęła rzeka. Ciemne chmury wisiały nad miastem, zmieniając porę dnia w późne popołudnie.

– *Thai massage?* – słyszę, gdy tylko przekraczam próg drzwi hostelu.

Nie zdążyłam jeszcze odpowiedzieć, kiedy drobna dziewczyna zadała to pytanie po raz kolejny, nadając jak katarynka. Natychmiast zaczęły jej grzecznie wtórować sąsiadki.

– *Tuk tuk, miss* – do chóru dołączyły męskie głosy miejscowych kierowców.

– *Where are you from?* – spytał młody chłopak, przyspieszając za mną kroku.

Przyspieszyłam i ja. Ze wzrokiem wlepionym w ziemię, szłam w rytm trąbiących aut.

– *Taxi? Taxi?* – szepnął facet z różowej taksówki, gdy stałam przy przejściu, ale zanim zareagowałam, wciągnął mnie tłum. Tłum szybkich jak mrówki pieszych.

Na wąskim chodniku sprzedawcy odkrywali schowane pod folią stragany pełne wszystkiego. Ktoś się spieszył, a ktoś nie spieszył się wcale. Zgarbiona staruszka zgarniała miotłą wodę sprzed swojego kramu. Jej wnuczek (tak mi się wydaje, że to był wnuczek) podskakiwał do nieba, na pewno w jakimś celu. Nie wiem, w jakim. Kierowcy setek skuterów zrzucali peleryny podczas jazdy. Sprzedawcy parasoli znikali za rogiem. Zagrzmiało na do widzenia. Szłam dalej, wciąż ściśnięta pasem z dokumentami, kurczowo trzymając plecak i rozglądając się nerwowo.

Na progu Khao Sanu, najbardziej znanej backpackerskiej ulicy świata, przywitał mnie smród wczorajszego piwa i dzisiejszego kaca. Z co drugiego baru dochodziła głośna muzyka wymieszana z okrzykami turystów. Turystów z całego świata, którzy czuli się tu świetnie. A wśród nich ja – nieopierzony pisklak wśród kolorowych papug, który zastanawiał się, o co tyle szumu. O kolorowe szyldy, wśród których wyróżniał się McDonald? O podkoszulki z napisem „I love Bangkok"? O lokalne piwo ze słoniem na etykiecie?

„Cześć, Janek. Jestem. Doleciałam dzisiaj rano, zatrzymałam się zaraz na równoległej do Khao Sanu. Spotkamy się?" – napisałam do kolegi, który mieszka w Bangkoku od ośmiu lat.

Szybko dojrzałam go w tłumie. Trudno zresztą byłoby nie zauważyć dwumetrowego blondyna wśród innych przechodniów, sięgających mu pod pachę. Przywitaliśmy się jak bliscy przyjaciele, mimo że ostatnio widzieliśmy się chyba na ognisku u sąsiadki, gdy byliśmy nastolatkami. Pamiętam, że grał na gitarze i miał włosy za ramiona. Od tamtej pory nie mieliśmy kontaktu. O tym, że przeprowadził się do Tajlandii, powiedziała mi kilka tygodni temu szwagierka mojej przyjaciółki, którą widziałam może piąty raz w życiu. Przypadek?

Usiedliśmy przy zimnym piwie (tym ze słoniem na etykiecie i w jednym z tych głośnych barów) w towarzystwie jego uroczej dziewczyny, Kai, jej kumpeli oraz dwóch polskich kolegów emigrantów.

Bangkok w godzinach szczytu

Fragment z dziennika

Bangkok, Tajlandia. 2. dzień podróży dookoła świata

Czego dowiedziałam się o tej ulicy, czyli sławnej Khao San Road? Że Janek i jego znajomi lubią tu przychodzić, bo jest wakacyjny klimat. Ludzie są wyluzowani i chodzą w klapkach. Jest tanio, ale nie ma tu prawdziwego tajskiego jedzenia. No, chyba że się pójdzie do jakiejś drogiej knajpy. Tam serwują najlepsze! Wkurzają ich turyści, którzy nie wiadomo czemu chcą się wtopić w tłum i chodzą w pumpiastych spodniach, a do tego na bosaka. Powiedzieli, że lubią Bangkok, bo tu ludzie są uśmiechnięci i spędzają kreatywnie czas. Ich zdaniem w Bangkoku żyje się lepiej. Łatwiej zarabiać większą kasę; nie trzeba dużo oddawać państwu. A korupcja wcale ich nie wkurza. Uważają, że Bangkok nie będzie pewnie nigdy kolejną Irlandią, ale na pewno może być miejscem, w którym życie rozpoczyna się na nowo. Rozmawialiśmy też o królu. Powiedzieli, że muszę go poznać.

Na spotkanie z królem wyruszyliśmy w szóstkę pięcioosobowym samochodem Kai, pokonując zakorkowane także nocą ulice. Król to facet, który przyjechał tu z Polski jakieś dziesięć lat temu i od kilku miesięcy

prowadzi knajpę w jednej z dzielnic, gdzie turyści docierają rzadko. Knajpę dla miejscowych. Byłam atrakcją. I Janek też. Chyba przez blond włosy.

Na przykrytym ceratą stole, oprócz tajskiej whisky, wylądowały tajskie pyszności – kluchy podobne do *pad thai,* smażona wieprzowina w stylu świeżonki i sałatka z zielonego mango, czyli *som tum mamuang*. Zaskakująca w smaku mieszanka, idealny balans słodkości i ostrości, a na dodatek chrupiący, soczysty owoc. Wciągające. A na deser śmierdząca starą skarpetą ośmiorniczka, przygotowywana na rowerowym bagażniku lokalnego sprzedawcy. Zachwycona, próbowałam. Oni, stęsknieni, wspominali smak ogórków kiszonych.

Fragment z dziennika

Bangkok, Tajlandia. 2. dzień podróży dookoła świata

Oprócz jedzenia i picia były też rozmowy. O życiu. O tajskiej kulturze i mentalności. Dowiedziałam się na przykład, że Tajlandczycy nie potrafią czytać map, więc pytanie ich o drogę w oparciu o mapę mija się z celem. W większości znają też angielski na podstawowym poziomie, więc trzeba mówić do nich bardzo prostymi zwrotami i za dużo nie tłumaczyć, bo to może mieć tylko odwrotny skutek. Nie można też dotykać ich głowy, jeśli znajomość nie jest wystarczająco zażyła. Tajlandczycy są też podobno bardzo czyści, dbają o to, żeby wszystko było wypucowane.

Chwilę po naszej rozmowie o czystości, coś ociera mi się o stopę. Nerwowo podskakując, zauważam jedynie końcówkę różowego ogona w rynsztoku.

– To szczur. Dużo ich tu – szybko reaguje Kai i klepie mnie po ramieniu.

Czystość i szczury w duecie to unikalne zestawienie, ale… nie pozostaje mi nic innego, jak zaakceptować ich obecność. Towarzyszą nam dość licznie do trzeciej rano. Potem ambitne rozmowy przestają mieć sens, a szczury jakiekolwiek znaczenie. Kai odstawia mnie pod drzwi hostelu.

Fragment tynku w kolorze wyblakłego różu nie spadł. Gapię się na

niego w ciemnościach, starając się ignorować muzykę dudniącą z pobliskiego Khao Sanu. Zatyczki do uszu przydają się już pierwszej nocy, albo inaczej – przydałyby się, bo z płytkiego drzemania w ciszy wybudzają mnie krwiopijcy. Otrząsam się z obrzydzeniem i zapalam światło. Nie widzę ich, ale widzę małe plamki krwi na różowym (oczywiście, że różowym) prześcieradle. Cierpliwie wyczekują, aż wrócę do stanu nieważkości. Gaszę światło i gdy tylko zaczynam odpływać, wracają. Wstrętne pluskwy! Tynk w kolorze wyblakłego różu spada mi wreszcie na nos. Zbiegam w piżamie po kręconych schodach i proszę o zmianę pokoju, wręczając recepcjonistce prześcieradło w kropki. Niewzruszona dziewczyna, gapiąc się w swojego smartfona i wciąż grając jedną ręką, drugą wręcza mi nowy klucz. Szczerze liczę na to, że w nowym pokoju pluskiew nie będzie, ale nigdy nie dowiaduję się, czy są, bo nadmiar wrażeń bierze górę. Usypiam. Wolę nie sprawdzać, jak wygląda prześcieradło.

– *Thai massage*? – słyszę, gdy tylko przekraczam próg hostelowych drzwi. Nawet nie próbuję odpowiadać, bo wiem, że za sekundę usłyszę pytanie po raz drugi, a potem usłyszę kolejne – te o tuk tuka, taksówkę, czy o to, skąd jestem. Uciekam przed tym natłokiem w małą uliczkę i wreszcie zapada cisza. Tylko wychudzony kot leżący na murku mruczy niewinnie.

Gubię się. Bez planu, pomysłu, bez przewodnika. Zwiedzam Bangkok trasą, której nigdy nie byłabym w stanie odtworzyć. Zachęcona zapachami, próbuję na ulicznych straganach wszystkiego: mięsnych kulek na patyku, słodko-kwaśnych niby-naleśników, zupek serwowanych w woreczkach. Opanowuję sztukę przechodzenia przez ruchliwą ulicę w mieście, gdzie pieszy znaczy tyle co nic. Siadam na krawężniku przy tej mniej ruchliwej i się gapię. A potem wreszcie docieram nad rzekę, to był mój azymut. Chciałam posiedzieć, ale się nie da, bo na jej brzegu się po prostu żyje. W brudzie, przyozdobionym plazmowymi telewizorami, ktoś gotuje obiad, dzieci bawią się plastikową butelką, a szczur siedzi cichutko w kącie. Obrywa miotłą znienacka. Mały kącik na placu znajduję sobie i ja. Patrzę na niemrawe statki, nadal pełna wątpliwości, z totalnym brakiem

wiary w siebie. Z drugiej strony, rozkoszuję się wizją swojego podróżniczego świata.

Fragment z dziennika

Bangkok, Tajlandia. 3. dzień podróży dookoła świata

Wczoraj myślałam: chcę uciekać. Dziś zastanawiam się, co zrobić, żeby tu zostać. Bangkok wciąga, jest jak narkotyk. Nie możesz przestać. Czy go pokochałam? Nie. I nie chcę go kochać. To nie będzie seksturystyka. Tu jest wszystkiego za dużo. Za dużo hałasu, za dużo ludzi, za dużo zapachów. Kiedy kładziesz się spać, oddychasz z ulgą. Uff... Ale po czterech godzinach się budzisz i chcesz więcej. Bangkok zaskakuje cię na każdym kroku. Taki właśnie jest. Totalnie nieprzewidywalny.

– *Thai massage? Foot massssssage?* – słyszę, zanim przekroczę próg hostelowych drzwi. Spróbuję. Czemu nie?

Stos papryczek chili sprzedawanych na ulicznym straganie

– Czy wiesz, gdzie mogę naprawić komputer? – pytam recepcjonisty, starając się nie zdradzić, jak bardzo jestem wkurzona, że się zepsuł

(komputer, nie recepcjonista).

– *Pantip Plaza. Bus two. There* – odpowiedział bez zawahania, wskazując w bliżej nieokreślonym kierunku. – *There, there. Pantip Plaza* – powtórzył, wciskając mi w rękę karteczkę z zapisaną robaczkami nazwą „tego" miejsca.

Poszłam, nie mając zielonego pojęcia, gdzie jest to jego „there". Z pomocą zjawiła się tajlandzka babcia, która perfekcyjną angielszczyzną wyprawiła mnie na przystanek, poklepując po plecach na do widzenia.

– *Enjoy Thailand! You will love it* – dodała na koniec.

Na przystanku z pomocą zjawiła się druga, która za rękę zaprowadziła mnie do starego, rozklekotanego i jak się okazało darmowego autobusu, który ledwie wyhamował.

Płochliwie stąpałam po drewnianej podłodze między dwoma rzędami krzeseł i, jak na zawołanie, wzrok wszystkich pasażerów zawisł na mojej białej twarzy. Byłam tylko ja i oni. Podejrzana dziewczyna z włosami ściętymi na jeża. Wypatrzyłam puste miejsce i szybko usiadłam na sparciałym fotelu, ściśnięta pasem z dokumentami, przytulając plecak. Czułam się, jakbym weszła przez przypadek do męskiej toalety. Uśmiechnęłam się nerwowo, starając się przekazać, że ja tylko na chwilę i zaraz znikam. Nadal się gapili. „Okej, Julka, wyluzuj. Jak zobaczą, że jesteś zrelaksowana, przestaną się patrzeć" – mówiłam sobie w myślach, rozkładając się wygodnie. Wtem ktoś poklepał mnie w ramię i mimiką dał do zrozumienia, że takie swobodne zachowanie raczej nie jest na miejscu. Spięłam się jeszcze bardziej, prostując drut w kręgosłupie i usiadłam w nienagannej pozycji. Ale po chwili zaczęłam dostrzegać, że na tych wszystkich twarzach zwróconych w moim kierunku pojawia się mały, nieśmiały uśmiech. Odpowiadałam tym samym, uśmiechem w ich kierunku, a oni, speszeni jeszcze bardziej niż ja, odwracali głowy w drugą stronę. W sumie sama już nie wiem, kto czuł się bardziej niekomfortowo.

Fragment z dziennika

Bangkok, Tajlandia. 3. dzień podróży dookoła świata

Starsza pani z autobusu powiedziała, że to tu. Wysiadłam, zadzierając głowę do

nieba. Pantip Plaza. Wielkie centrum miasta odebrało mi mowę – jestem w szoku, zbieram szczękę z podłogi, rozglądam się, nie wierzę. Wow! Wieżowce. Wielkie wieżowce. I centrum handlowe koło centrum handlowego. I tak aż po horyzont. Wchodzę do wskazanego Pantip Plaza i... znowu zbieram szczękę z podłogi. Elektroniczne centrum handlowe, pięć pięter, komputery, aparaty, kamery, telefony, gadżety, wszystko!

– Zepsuty. Dysk zepsuty. Zepsuty. Pięć dni. Będzie nowy – po szybkiej diagnozie stwierdził sprzedawca.

– Ale ja nie mam pięciu dni! – krzyknęłam. – Nie możesz nic zrobić? Nie da się szybciej?

Zadzwonił. Odłożył słuchawkę.

– Sprzedać. Idź tam. Sprzedać. – Wskazał palcem na stoisko w rogu. – Sprzedać, sprzedać – powtórzył.

Sprzedać? Mam sprzedać zepsuty komputer? I co? Kupić nowy? Sprzedać w Tajlandii zepsuty komputer? Ja? Blondynka? Wiedziałam, że nie pozostało mi nic innego, niż spróbować. Komputer był mi potrzebny, żeby w podróży prowadzić blog, ale mój budżet nie wytrzymałby zakupu nowego. Musiałam sprzedać rzęcha, żeby ten budżet podreperować.

– Dzień dobry. Mój komputer średnio działa. Chciałabym go sprzedać – powiedziałam pewnym głosem, kładąc laptopa na ladzie.

Pan diagnozuje.

– Dysk zepsuty. 8000 bahtów – składa propozycję.

– Ale wtedy nie starczy mi na nowy – kalkuluję szybko, ile mogę dorzucić. – Dziesięć tysięcy? Proszę. Jestem w podróży dookoła świata. Muszę kupić drugi – rozgaduję się i widzę, że pan rozumie co drugie słowo, więc nawijam dalej, wiedząc, że jego zagubienie może być moim sprzymierzeńcem.

– Okej, okej – przerywa mi w końcu. – Dam dziesięć tysięcy.

Transakcja zakończona sukcesem. Z kieszeniami wypchanymi gotówką idę na drugie piętro kupić nowy. Od dziś na klawiaturze – tajskie znaczki.

Ale obok tego królestwa elektroniki jest królestwo ubrań. Jest też kró-

lestwo butów i torebek, a także kosmetyków. Jest królestwo podróbek i królestwo markowych salonów. Zakupoholicy, trzymajcie się z daleka, bo tyle sklepów naraz to świat jeszcze nie widział.

Wokół tego zakupowego raju są wieczne korki. Jakżeby inaczej. Powietrze nie należy do najświeższych, ale gryzące w gardło spaliny neutralizuje na szczęście, przynajmniej odrobinę, zapach roznoszącego się wszędzie ulicznego żarcia. Bo pod tymi nowoczesnymi wieżowcami toczy się zwykłe, trochę egzotyczne życie. Trafiam na jakiś wegetariański festiwal. Rozstawione wokół gary wypchane są po pokrywkę jedzeniem, któremu nie można się oprzeć. Próbuję. Zaczynam od smażonego makaronu z chrupiącą marchewką i tofu. Na drugie wybieram zupę, a potem szybko na popitkę, bo chili idzie mi w pięty, wodę kokosową prosto z kokosa. Zagryzam świeżym mango i bananem na gorąco, a na wynos pakuję do plecaka trzy rodzaje sajgonek.

Siadam pod ścianą, szukając skrawka cienia, o który niełatwo. Jest gorąco i duszno. Bardzo. Wilgotność powietrza na pewno przekracza 95 procent, więc o głębokim oddechu można zapomnieć. Setki miejscowych przemykają ulicą, skrywając się pod kolorowymi parasolami. Teraz mają one chronić przez słońcem, bo deszcz przyjdzie pewnie dopiero wieczorem. Wtapiam się w tłum, kradnąc im ten kawałek bezcennego cienia i idę z prądem. Nie mam wyboru. Wszyscy gnają, ale jakoś tak inaczej, niż spieszymy się my, w Warszawie. Pędzą, ale w tym pędzie znajdują sekundę, żeby pogawędzić z napotkanym znajomym, przykucnąć na szybki posiłek czy po prostu się do ciebie uśmiechnąć.

Uśmiecha się też facet na przystanku, którego widziałam dwie godziny wcześniej żebrzącego tuż za rogiem. Kaleka. Nie miał nóg, przynajmniej wtedy. Teraz mu odrosły, więc ten jego uśmiech to pewnie w podziękowaniu za cud.

Z rana pakuję swoje manatki i opuszczam Orhid House, czyli mój opanowany przez krwiopijców różowy hostel w okolicach Khao Sanu. Mam dość kąsających mnie nocami obrzydliwych pluskiew i wiecznej wrzawy dochodzącej z sąsiedztwa. Z moim dziesięciokilogramowym do-

bytkiem idę piechotą do Chinatown. Nie wiem, czemu wpadłam na ten idiotyczny pomysł. Bo nie dość, że to daleko, a upał wcale nie zelżał, to przecież wiadomo, że w definicję każdego Chinatown wpisane jest słowo „wrzawa". Cholera, jak tu głośno! W tym przedziwnym labiryncie nie mogę znaleźć żadnego hotelu, w sumie, to nie mogę znaleźć niczego. Mam cykora. Nie wiem, gdzie mam iść, jak znaleźć metodę, żeby się stąd wydostać. Panikuję. Szukam, pytając nieprzyjaznych Chińczyków o drogę. Nie znajduję odpowiedzi, ale znajduję przystanek i dobry autobus. Z podkulonym ogonem wracam na obrzeża Khao Sanu i biorę pokój w totalnie nijakim hotelu Rambuttri Village Inn & Plaza. Bez robaków i obdartego różowego tynku na ścianach. Śpię jak kamień.

„Idziemy na imprezę. Idziesz z nami?" – napisał Janek. Musiałam odmówić. Niestety, moje najbardziej eleganckie buty to japonki, a strój to koszula w kratę, co wyklucza mnie z przejścia przez selekcję. Nauczka, żeby w podróż zapakować coś bardziej wyjściowego. „Spoko. To pójdziemy na piwo. Przyjedź o 19.00 do dzielnicy Sukhumvit" – odpisał twierdząco, nie dając mi wyboru.

Piąty dzień w Bangkoku spędzam, spacerując bez planu, czyli wszystko w normie. I pewnie mogłabym tak długimi tygodniami, bo w Mieście Aniołów (Bangkok to po tajsku Krung Thep, czyli Miasto Aniołów) nie można się nudzić i przestać odkrywać. Omijam wszystkie największe atrakcje, intuicja podpowiada mi, żeby iść w drugą stronę. Ufam jej, w końcu wygnała mnie z korporacji w podróż dookoła świata. Nie może być głupia. I nie jest. Zaglądam do świątyń, którymi nie zachwycają się żadni inni przechodnie (nie wiem, czy tak jest zawsze, czy tylko dziś…). Rozsiadam się w parku, tym naprzeciwko Wielkiego Pałacu Królewskiego, i przez godzinę przyglądam się parze ćwiczącej prawdopodobnie swój pierwszy taniec. Mija mnie co najmniej setka biegaczy, pod drzewem ktoś trenuje boks, a na liliowym liściu, w opozycji do tych aktywnych, opala się tłusta żaba. A potem nawet chcę iść do tego pałacu, w końcu jestem tak blisko, ale zatrzymuje mnie przechodzień i stara się usilnie przekonać, że pałacowe zwiedzanie na dziś już jest zakończone.

Gdzieś mi świta, że to tajlandzkie oszustwo w stylu „Pałac jest dziś zamknięty, ale… zabiorę cię w inne miejsce za niewielką opłatą". Po drodze oczywiście zahaczymy o sklep znajomego, a rachunek za tuk tuka przekroczy zdrowy rozsądek. Odwracam się bez słowa, już mi się tam nie chce iść.

Nie ma więc królewskiego pałacu, nie ma wielkiego Buddy i innych hitów starówki, ale za to jest ryż z jajkiem na progu czyjegoś domu, w najbardziej autentycznym towarzystwie. Jest gra w piłkę z małymi dziewczynkami na środku drogi czy nielegalne walki kogutów w bramie. I ta wieczna nauka przechodzenia na drugą stronę ulicy. Tu nie działa – w lewo, w prawo, nic nie jedzie. To nie żarty, arterie w Bangkoku są kilkupasmowe, a o przejściach można zapomnieć. Dla kierowców nie istniejesz. Żaden pieszy dla nich nie istnieje. Na początku wyczekujesz tego najmniej ryzykownego momentu przez 30 minut i biegniesz na złamanie karku. Z czasem dochodzisz do wprawy i po prostu idziesz, bo już wiesz, że czekanie niewiele zmieni.

– Przepraszam, gdzie jest Khao San Road? – pyta chłopak, który razem ze mną nerwowo wyczekuje chwili spokoju na drodze.

– Właśnie tam – wskazuję na drugą stronę.

Przebiegamy razem. On idzie w prawo i żegna mnie machnięciem ręki.

Wieczorem wsiadam do pociągu zawieszonego nad drogą i jadę na spotkanie do niemieckiej knajpy w dzielnicy Sukhumvit. Janek czeka na mnie w towarzystwie Kai, jej dwóch koleżanek, męża Amerykanina jednej z nich i pijanego kumpla z Anglii. Polska, Tajlandia, Ameryka, Anglia i niemiecka knajpa w Bangkoku. Na stole pełne kufle i wursty. To jest jedno z „ich" miejsc w mieście, wciąż turystyczne, trochę droższe niż Khao San i mniej egzotyczne. Normalne.

Fragment z dziennika

Bangkok, Tajlandia. 5. dzień podróży dookoła świata

Z rozmów o życiu szybko schodzimy na rozmowy o… życiu. Janek proponuje, żebyśmy poszli na striptiz. Czas na doznania ekstremalne. Przynajmniej dla mila-

nowskiej dziewczyny, bo dla reszty to norma. Nigdy nie widziałam tańców na rurze i w sumie to nie wiem, czy chcę je oglądać, ale podążam jak posłuszna owieczka za resztą grupy. Idziemy kawałek, na ulicę obok, gdzie śmiga pełno roznegliżowanych kobiet i mężczyzn-kobiet, czyli ladyboyów. Jeden, ubrany w sukienkę, ma kapelusz ze świeżym bananem i chyba z 65 lat. Wygląda strasznie. Łatwo rozpoznać ladyboya? Kobiety podobno wyczuwają ich na odległość. A więc panowie, jeśli wybieracie się tu w poszukiwaniu seksu lub żon, weźcie koleżankę. Może uchroni was przed przykrą niespodzianką.

– Czy to prawda, że w Tajlandii jest tyle seksturystyki? – pytam Kai, bo słyszałam o tym już wiele teorii.

– Oczywiście – odpowiada bez zastanowienia. – W Bangkoku jest dużo, ale najwięcej jest w Pataya, tam skąd pochodzę. Nie uwierzyłabyś!

Patrzę na moje tajlandzkie koleżanki i zastanawiam się, czemu? Bez trudu rozkochałyby w sobie niejednego przystojniaka (czego zresztą najlepszym przykładem jest Kai). Przecież to piękne kobiety. Drobne, szczupłe, mają lśniące włosy, piękną skórę i karnację. Są bystre i wesołe. Nie powiem, jak się przy nich czułam. Czy określenie wielka, tłusta, blada, łysa krowa jest odpowiednie? Wierzcie mi, przy tych dziewczynach można popaść w kompleksy!

Od razu za progiem moim oczom ukazuje się 15 gołych pup, 30 gołych cycków i 15 gołych wiadomo czego. Rozglądam się nerwowo i staram się nie patrzeć, zamykam oczy i jak dziecko udaję, że mnie nie ma. Znikam za dotknięciem magicznej różdżki! Widząc moje zakłopotanie, Kai łapie mnie za rękę, usadza przy stoliku zaraz przy scenie i zamawia dla mnie duże piwo. Więc patrzę z bliska na te 15 gołych pup, 30 gołych cycków i 15 gołych wiadomo czego. Na początku wszystko wygląda jak lekko lesbijski performance. Po dwudziestu minutach następuje zmiana i na scenę wkracza trzydzieści nowych, gołych pośladków.

– Czy one tu tylko tańczą? – pytam Kai, nie odrywając wzroku od tego dość kiepskiego przedstawienia.

– To zwykłe kurwy – odpowiada, potwierdzając tylko moje przypuszczenia.

Część z nich jest bardzo młoda, widać, że dopiero nabierają kobiecych kształtów. Część za to już lekko podstarzała, z rozciągniętymi po ciąży brzuchami i obwisłymi, brzydkimi cyckami. Stoją na scenie jak kołki. Niektóre nieudolnie kiwają się w rytm muzyki. Inne nie robią nawet tego.

– Wiesz, czemu tu jest czerwone światło? – pyta Janek. – W czerwonym ciało wygląda lepiej. A im to potrzebne – odpowiada od razu.

Wreszcie, po prawie 30 latach życia, poznaję tajemnicę czerwonych świateł w burdelach i wszystko w życiu zmienia sens.

W klubie obok jest już trochę lepiej, jakoś tak bardziej „kulturalnie". Oczywiście światło wokół sceny jest czerwone, a ja nadal nie czuję się komfortowo. Gołe cycki i pupy są za to może bardziej zadbane.

– Przychodzimy tu często z chłopakami. Wiesz, lepiej żebyśmy przyszły z nimi, niż mieliby przyjść sami – tłumaczy mi jedna z koleżanek Kai.

Wyjścia na sławny „ping-pong" odmawiam. W babskim gronie lądujemy z powrotem na Khao Sanie i zamiast zapiekanki spod Pałacu Kultury, o trzeciej rano jemy tajskie kluchy. Ja w wersji nieostrej. A i tak wypala mi kubki smakowe. Moje towarzyszki wybuchają śmiechem.

Kolorowy ołtarz na wyspie Koh Kret

W sobotnie przedpołudnie buszuję na Chatuchak Weekend Market, największym chyba targowisku w mieście. Przy wejściu biorę mapę, żeby się nie zgubić. Wśród robótek ręcznych, ceramiki, lamp, mebli, picia i jedzenia, obrazów i rzeźb, książek i antyków, psów, kotów i węży szukam dżinsowych spodenek, których zapomniałam z domu. Kolejny brak w bagażu. Przymierzalnia typu kolorowa spódnica w rozmiarze XXXXXXXL, a w spódnicy ja. Okazuje się, że największe spodenki, jakie mają to te, które są na mnie dobre. Czy mówiłam już, że w Tajlandii można poczuć się jak słoń?

W nowych spodenkach, o które musiałam się potargować, jadę na kolejne spotkanie z serii „niezwykłe". Lucy, która w zeszłym roku przeprowadziła się do Bangkoku, była koleżanką mojej znajomej z pracy. „Poznasz mnie po czerwonej podkoszulce. Tajlandczycy nie noszą czerwonego, bo kojarzy im się z politycznymi zamieszkami" – wyjaśnia w esemesie.

W tłumie mrówek stoi dziewczyna w czerwonej koszulce ze smokiem.

Poznaję ją bez problemu. W ekspresowym tempie przechodzimy na poziom znajomości, który zazwyczaj osiąga się po kilku tygodniach. My ich nie mamy. Taka jest chyba specyfika tych podróżniczych relacji – szybko do celu i okaże się, czy coś z tego będzie. W nowozelandzkiej knajpie Snapper obchodzimy urodziny jej kolegi Anglika, w towarzystwie jeszcze kilku innych osób.

Fragment z dziennika

Bangkok, Tajlandia. 6. dzień podróży dookoła świata

„Sto lat" zostało odśpiewane chóralnie, także po polsku. Ryba z frytkami, piwo, plotki o życiu, powodach przyjazdu, pytania, czy Bangkok jest fajny. Potem drink z objazdowego busika na ulicy. W ciągu dnia jest tu centrum biznesowe, ludziki zasuwają w garniturkach z neseserkami w ręku. Wieczorem na ulicy wyrastają, jak spod ziemi, bary i knajpy. A jak zaczyna lać, bo wciąż jest jeszcze pora deszczowa, pojawiają się tzw. parasolowe bazary, czyli sprzedawcy pragnący uchronić przechodniów przed przemoknięciem do suchej nitki. No i oczywiście chcący na tym zarobić. Pomocni, zaradni Tajlandczycy. Taki właśnie jest Bangkok, zmienny i nieprzewidywalny jak pogoda. To miasto nie ma w sobie logiki, za to jest przepełnione uczuciami. Tu biedni i bogaci żyją po sąsiedzku, tu jest wyścig szczurów, a z drugiej strony totalny luz. Jak to powiedział Janek, miasto rozwija się organicznie, zabudowa powstaje w „ludzkiej skali". Jest bałagan, ale to bałagan zaprojektowany przez życie, przez ludzi z tej ulicy korzystających, a nie przez panów od makiety. Niby wielkie wieżowce, ale na dole uliczne knajpy, kioski – wszystko dla ludzi. Bangkok jest dla ludzi.

Kate, koleżanka Kai, zeskakuje ze skutera-taksówki i zabiera mnie do tuk tuka. Jedziemy kilka ulic dalej, spotkać się z Kai i we trzy ruszamy na wyspę Koh Kret. Szeroką autostradą docieramy do celu w jakieś pół godziny. Kiedyś mieszkali tu mnisi, dziś to miejsce turystyczne, ale głównie dla tubylców, którzy przyjeżdżają w weekendy na targ i rejs po rzece. My robimy dokładnie to samo. Uśmiech nie schodzi mi z twarzy i gęba się nie zamyka. Z zachwytu oczywiście. Jest pysznie. Jest tak prawdziwie, że aż boli. A do tego to tajskie żarcie!

Kate i Kai w drodze na Koh Kret

Fragment z dziennika

Koh Kret, Tajlandia. 7. dzień podróży dookoła świata

Na przystawkę smażone na głębokim oleju warzywa, a właściwie to kwiaty i zioła. Pycha! Bazylia i kwiaty orchidei, chyba. Potem miejscowa knajpa. Zamówienie trzeba spisać samemu na kartce, jak się jest stąd oczywiście i zna się te ichnie robaczki. Zamawiamy zupę tajską z mlekiem kokosowym. Okazuje się za słodka, ale moje przewodniczki w sekundę zmieniają jej smak: trochę sosu rybnego, odrobina soku ze świeżej limonki i sukces osiągnięty. Perfekcja smaku. Do tego warzywa w słodkim sosie w stylu *teriyaki*. Potem ryba. Pyszna, miękka, pachnąca. I przysmak tutejszych – surowe krewetki z dużą ilością chili.

– Spróbujesz? – pyta Kate.

– Daj spokój – przerywa jej Kai. – To dla niej za ostre – dodaje szybko.

Łyżką ściągam nadmiar chili, żebym nie wypiła całej brudnej wody z rzeki. Moczę szarą krewetę w słodkim sosie i... wariuję. Toż to nie mogłoby smakować lepiej. Od dziś świeże krewetki tylko na surowo. Moje ulubione tajskie danie.

Z knajpy płyniemy łódką po rzece Chao Phraya, mijając po drodze wielkiego Buddę w budowie, zwiedzamy stary dom, a potem smakujemy słodyczy ze stoisk ustawionych pod przedpotopowymi murami. *Sticky rice* z cukrem i mlekiem kokosowym, upchany w bambusowej rurce, czyli *khao lam*. Zielone galaretki o smaku kokosowym, ciasteczka przypominające marcepan z drobinkami złota, wyglądające jak torty w wersji mini i ryżowe zawiniątka, nadziane równo na patyku, niczym szaszłyk. Na koniec najlepszy tajski deser wszech czasów – *mango sticky rice*. Tym słodkościom nie można się oprzeć, to po prostu kulinarna ekstaza. Dużo musimy się wyspacerować, żeby zrzucić nadmiar kalorii. Więc chodzimy, gramy w kapsle i gadamy, gadamy, gadamy.

Khao lam, czyli ryż z mlekiem kokosowym w bambusie

Fragment z dziennika

Koh Kret, Tajlandia. 7. dzień podróży dookoła świata

Przed świątynią wita nas plastikowy robot-szkielet zbierający pieniądze dla tych, którzy ich nie mają. Obok sika mały chłopiec. Chciało mu się, to sika. Zdejmujemy buty i wchodzimy. Kai uprzedza mnie, że nie wolno stanąć w progu, tylko trzeba

go przestąpić. Trzy pokłony z dotykaniem głową podłogi i składaniem rąk, kwiaty, świeczka, kadzidełka. Potrząsanie pudełkiem z patyczkami. Na patyczkach są numerki, bierzesz więc kartkę z numerem patyczka, który wypadł z pudełka. To wróżba. Oczywiście wszystko po tajsku. Kate nie do końca chce przetłumaczyć moją, trochę się plącze. Po chwili przyznaje, że nie jest całkiem dobra.

Wyjeżdżam ósmego dnia.

Ton Sai i Ao Nang

Czekałam na, jak zwykle chyba tutaj, spóźniony samolot. Głodna i zmęczona. Minął tydzień. Po tym pierwszym tygodniu przyszedł pierwszy kryzys. Szybko. Tęsknota deptała mi po piętach. Wciąż nie czułam się też dobrze poza tą „strefą komfortu", o której tyle się mówi. A to podobno poza nią jest człowiekowi najlepiej. *Bullshit.*

Fragment z dziennika

Bangkok, Tajlandia. 8. dzień podróży dookoła świata

Myślałam, że to będą wakacje, że wyjadę i od razu się wyluzuję, odetnę od wszystkiego, a tu nic. Wręcz odwrotnie. Ciągły stres. I to chyba nie tylko związany z pobytem w Bangkoku, bo w końcu to duże miasto i może stresować. Czy starczy mi pieniędzy, gdzie mam dalej jechać, gdzie spać, czy tam jest bezpiecznie? Każdego dnia zadaję sobie różne pytania. Pytania, na które ciągle nie znajduję odpowiedzi. A głównie pytam się siebie, po co właściwie wyjechałam? Chyba potrzeba mi odpoczynku. Plaża, piasek, szum fal…

– Czyli lecisz do Krabi? – wyrwała mnie z marazmu drobna blondynka. – I gdzie dalej? – dopytała.

– Nie mam pojęcia. Nie mam planu – odpowiedziałam, dając jej chyba do zrozumienia, że wcale się z tego braku planu nie cieszę.

– Jedź ze mną na Ton Sai! – krzyknęła na cały terminal. – A tak w ogóle, to jestem Evin.

Zgadzam się, nie mając pojęcia, co to takiego Ton Sai. Po prostu chcę, żeby wszyscy przestali się na nas gapić.

– Jeżdżę tam co roku, od trzech lat, na trzy miesiące, wspinać się.

Masz buty do wspinaczki? – dopytuje po sekundzie ciszy.

– Yyyyy. Nie. Nigdy w życiu się nie wspinałam – już chciałam dodać, że wcale nie chcę się wspinać, ale nie zdążyłam.

– A jaki masz rozmiar buta?

– 36 albo 37...

– To świetnie, bo ja też! I mam dwie pary butów. – Wnet sięgnęła ręką do mojego otwartego plecaka. – O, widzę, że mamy takie same okulary. To dobry znak – wyszczerzyła swoje idealnie białe zęby.

Z lotniska w Krabi złapałyśmy autobus. Evin gadała całą drogę. O Szwecji, o swojej pracy i szkole. O przyjaciołach, których zaraz spotka. O tym, za co kocha życie. O Ton Sai i chatkach w dżungli, gdzie będziemy spały.

– A będą robaki? – spytałam naiwnie.

– Sporo komarów! No i ostatniego roku przed moim domkiem widziałam kobrę i... – urywa, zauważając, że bladnę. – No nie! Nic więcej ci nie powiem, bo nie popłyniesz ze mną! Będzie fajnie. Zobaczysz.

W Ao Nang wsiadłyśmy do taksówki – długiej drewnianej łodzi z kokardą na szyi.

– Julia, nie patrz na morze – szepnęła, gdy gapiłam się w horyzont. – Patrz tu, na wyspę. Morze będziesz widzieć każdego dnia, a to piękne wybrzeże widzisz tylko teraz.

Szybko odwróciłam głowę, bo jej spostrzeżenie, nie pierwszy zresztą raz, wydało mi się wyjątkowo trafne.

– Ty też. – Puknęła w ramię chłopaka wychylonego za burtę. – Cześć, jestem Evin. Nie patrz na morze. Patrz na wyspę. Morze będziesz widział każdego dnia.

Zaradna małolata bierze pod skrzydła Kaila, żądnego przygody, bladego jak ściana osiemnastolatka z Alaski i mnie, żądną spokoju prawie trzydziestolatkę z Polski. Każde z nas dostaje przydziałowy domek z bambusa. Na progu pachnie... tuńczykiem. Tuńczykiem w puszce zostawionym dla kota. A w środku ciemno.

– Hej, masz światło?! – krzyknął nagle z lasu Kail, przerywając ciszę.

– Zapomniałam wam powiedzieć! Prąd jest tu tylko od osiemnastej do

szóstej rano. I zasłaniajcie okna i drzwi, bo zeżrą was komary – odezwała się jak z zaświatów nasza opiekunka. – No i plecaki też zamykajcie, chyba że chcecie mieć karaluchy w skarpetkach – dodała, wystawiając głowę przez okno.

A jakby tego było mało, to przy plaży okrąża nas stado wściekłych małp, rozdzierających worki ze śmieciami. Mają furię w oczach i od razu widać, że nie można im ufać.

Evin rzuca się na szyję każdej spotkanej osobie. Zna tu chyba wszystkich. Zna panią od kurczaków, pana od piwa i drinków, zna właścicieli i przyjezdnych. Ale mimo że stara się jak może, żebyśmy my też czuli się w tym gronie swojo, odsuwam się. Szybko się orientuję, że nie pasuję do wyluzowanego towarzystwa, które między jedną a drugą wspinaczką popala skręty. Zachowując grę pozorów, spędzam z nowo poznanymi wieczór w barze po strzechą, odpowiadając na ich pytania o Holocaust (temat pasuje jak „pięść do oka", ale to właśnie temat, który kojarzy im się z Polską) i myśląc, jakby się stąd zgrabnie wydostać. W końcu zmyślam coś o bólu głowy. Przez ciemny las, z latarką na głowie i łzami w oczach, idę do pustego domku.

Ale ten wcale nie jest pusty.

Czekają na mnie. We dwóch. Siedzą wygodnie na łóżku, jak gdyby nigdy nic. Dwóch wyluzowanych kumpli. Wiedzą, że wrócę, nie wiedzą kiedy, więc czekają. Bardzo cierpliwie. Bez chwili zastanowienia łapię gaz pieprzowy, który wzięłam na czarną godzinę i pryskam, ile wlezie, zamykając oczy. To trwa wieczność. Chwilę potem ryczę na tarasie. Gaz pieprzowy okazuje się kiepską bronią na karaluchy, za to świetną na mnie samą. Dwóch nieproszonych gości przenosi się na podłogę. Dopadam ich w rogu i rozgniatam klapkiem. „Sukces" – krzyczę do siebie w myślach, rozkładając się na łóżku.

Wyspa Koh Lipe

– Dzień dobry. Wstałaś już? – melduję się o świcie pod chatką Evin.

– Tak, tak, mam dla ciebie… – zawiesza głos, widząc, że dzierżę plecak – buty. Rozumiem, że przyszłaś się pożegnać?

Żegnamy się smutne, w przekonaniu, że to nie to, czego teraz mi potrzeba.

Długą łodzią, tą z kokardą, wracam do Ao Nang i idę na lunch z poznaną w drodze dziewczyną z Ekwadoru, która jest nauczycielką w Korei. Tego nauczyłam się od Evin – zagadywać do nieznajomych. Menedżer restauracji załatwia mi nocleg na tyłach knajpy i kieruje do agencji, w której mogę zorganizować sobie transport na Koh Lipe. To wyspa położona na południowym zachodzie, polecona przez moją koleżankę z Bangkoku, Kate. Wyjeżdżam jutro o szóstej rano. I dobrze, bo w Ao Nang, poza sezonem, niewiele się dzieje.

Fragment z dziennika

Ao Nang, Tajlandia. 9. dzień podróży dookoła świata

Postanawiam rozejrzeć się po okolicy. Okazuje się, że Ao Nang to tak naprawdę niewielka plaża wzdłuż głównej drogi, przy której toczy się turystyczne życie. Na końcu plaży biega kilka małp i to jedyne, co wskazuje na egzotykę tego miejsca. No dobra, jeszcze palmy i te łódki z kokardą. Wszędzie indziej powtórka z Bangkoku tylko w gorszym wydaniu, bo bez jakiegokolwiek klimatu. *Taaajjj masaaaż. Szoping Miss. Tuk tuk? Taxi? Promouszyn! Diskaunt. Gut fud! Tuk tuk? Taaajjj masaaaż?! Gut prajzys! Weri gut priajzys!* Sklepik przy sklepiku pełen kapeluszy, chust, pocztówek, dmuchanych kółek i wodoodpornych toreb. Wszystko oczywiście – bezcenne. Jak chcesz coś kupić, to szybko mierzą cię wzrokiem i na kalkulatorze wybijają cyferki, które mogą odpowiadać zasobności twojego portfela. Jeśli nie odpowiadają, możesz się targować. Jeśli nie potrafisz, wystarczy, że odejdziesz. Od razu dostaniesz lepszą cenę.

Promienie słońca przedzierają się natarczywie przez kiepskie zasłony. Rozciągam się leniwie. Po przygodach z pluskwami i karaluchami, harmidrze wielkiego miasta, wreszcie się wysypiam. Pierwszy raz od tygodnia porządnie się wyspałam. Po chwili jednak truchleję, zerkam na zegarek i w sekundę staję na równe nogi.

– *Shit, shit, shit!* – Zbieram manatki i wybiegam z pokoju, zostawiając klucz w drzwiach.

Zaspałam. I to na całego. Jest dziesiąta, a mój autobus dawno odjechał. Błagam więc panią z agencji o pomoc. Nie chcę tu zostać! Dopłacam pięćdziesiąt procent ceny (podobno pani idzie mi na rękę, bo zazwyczaj trzeba wykupić nową wycieczkę) i czekam, do jutra. Odnoszę bagaż do pokoju, którego nikt jeszcze nie zdążył zamknąć i przedłużam rezerwację o jeden dzień. Dzień, który spędzam na wątpliwie ładniej plaży, bo nic innego niż opalanie nie mam do wyboru. Ucinam sobie pogawędkę z menedżerem, tym, który załatwił mi pokój, indyjskim emigrantem, dla którego Tajlandia to spełnienie marzeń. Usilnie stara się mnie przekonać, żebym została dłużej. Pokaże mi wtedy prawdziwe Ao Nang.

Koh Lipe

O świcie wsiadam do małego, rozklekotanego vana i odjeżdżam bez żalu. Wsiada też chłopak, którego skądś znam. Nie mam odwagi zagadać, wciąż się tego uczę. Więc po prostu bezczelnie się na niego gapię. W Pak Bara zamieniamy busika na stary prom, taki ze stołówkowymi krzesłami. Oczywiście spóźniony, jakby inaczej, ale w tym spóźnianiu jest coś fajnego. Uczę się, że wcale nie warto się spieszyć, bo niby po co? Uwalam się na podłodze, zaraz przy kiosku, i czekam. Cierpliwie, mając czas na rozmyślanie i obserwację. On siada koło mnie. Ten chłopak, którego skądś znam.

– Chyba się już gdzieś spotkaliśmy? – cedzę wreszcie nieśmiało przez zęby, drapiąc się po głowie, co mam w zwyczaju robić, kiedy się stresuję.

– Właśnie, chyba tak. Jestem Dallas – przedstawia się, zupełnie wyluzowany.

Dallas z Kalifornii. Dwudziestolatek na miesięcznych wakacjach w Tajlandii. To ten, który w Bangkoku spytał mnie, gdzie jest Khao San Road. Wychodzi na to, że turystyczne szlaki w okolicy są już mocno wydeptane.

Na promie spotykam też dwóch polskich studencików z Singapuru, z nieco zadartymi nosami. To drudzy Polacy spotkani w podróży. Do pierwszych zagadałam w Bangkoku, ale szybko dali mi do zrozumienia, że bratanie się z rodaczką to kiepski, ich zdaniem, pomysł. Chłopaki z promu przeciwko rodaczce nic nie mieli, ale gadali przede wszystkim o swoich sukcesach. Po dwóch godzinach rejsu z przyjemnością stawiam stopy na cudownej plaży na Koh Lipe, gdzie zamiast gadania towarzyszy

mi szum fal.

Łódki z kolorowymi krawatami na wyspie Koh Lipe

Fragment z dziennika

Koh Lipe, Tajlandia. 11. dzień podróży dookoła świata

Łódka wyrzuca nas na Sunrise Beach, a ja chcę dotrzeć na Sunset Beach, która jest najbardziej odludna. Podobno. Podczas przypływu nie da się przejść plażą wokół wyspy, ale dowiaduję się tego dopiero wtedy, kiedy docieram do miejsca, od którego nie można już iść dalej. Środek dnia. Upał. Nie mam nawet butelki wody. Zawracam więc, ale nie mogę znaleźć drogi powrotnej. Zrezygnowana, postanawiam zatrzymać się w pierwszym lepszym ośrodku. A co mi tam! Na środku wyspy, na piaszczystej drodze, obok wysypiska, gdzie nikt nie ma prawa być, spotykam parę z plecakami, parę turystów równie zmęczonych jak ja. Jechaliśmy razem autobusem z Ao Nang, pamiętam jak się chichrali z tyłu. Oni też nie wiedzą, gdzie iść. Ale mówią, że na Pataya Beach można znaleźć bungalowy za 300 bahtów w Seaside Resort. To bardzo tanio, jak na Koh Lipe. Pytam, czy mogę iść z nimi. Radośnie odpowiadają, że tak. Dostaję zastrzyk dobrej energii.

Drobna, pozytywna dziewczyna z burzą loków to Lorea, Hiszpanka. Obok niej kawał chłopa – Vlad z Czech. Mieszkają w Irlandii i to tam się poznali.

– Na ile wyjechaliście i czemu? – pytam śmiało, bo rozmowa się klei.

– Na cztery miesiące. Chcieliśmy się trochę oderwać od szarej rzeczywistości. Dosłownie szarej rzeczywistości Dublina. Byliśmy wcześniej w Afryce. A ty?

– Czemu wyjechałam? Sama się nad tym zastanawiam – urwałam.

Po prawie dwóch tygodniach w podróży, wreszcie czuję się jak na wakacjach. Piasek idealny, miękki jak mąka. Woda w kolorze Blue Curaçao i ryb tyle, co w akwarium. A do tego słońce i pustki. Sezon zaczyna się za kilka dni, więc wyspę mamy prawie tylko dla siebie. Ale z tego też powodu na jedynej handlowej uliczce połowa knajp jest pozamykana, a połowa budynków jest jeszcze w proszku. Nieruszone worki z cementem czekają, aż ktoś się nimi zaopiekuje. Ale chyba nikomu do tego nie spieszno, sezon poczeka, samo się dokończy, a turyści i tak wybaczą. Bezcenny czas wolny – nie?

– Makaron z kurczakiem i warzywami dla mnie – bez trudu podejmuję decyzję, bo w menu nic nie przyciąga mojej uwagi.

– Razy trzy – dodaje Vlad.

Na nasze nieszczęście jakość serwowanego jedzenia pozostawia wiele do życzenia.

Zapijamy bakterie w barze na plaży. Nazwa, Time 2 chill bar, mówi sama za siebie. Bez pytania dosiada się do nas Bob Marley, tajlandzki Bob Marley, z dredami do pasa. To Muk, właściciel baru. Dosiada się i skręca nam papierosa w suszonym liściu. Nikt z nas nie pali, każdy się zaciąga.

– Ja tu mieszkam już dwanaście lat – mówi świetną angielszczyzną Muk. – Prowadzę bar, a teraz też mam domki. Koh Lipe się zmienia, ja też muszę.

– Ale jak się zmienia? – dociekam.

– Jest inaczej. Dziesięć lat temu turyści zaglądali tu rzadko, a ci, którzy przyjeżdżali, byli inni niż wy teraz – tłumaczy. – Oni przyjeżdżali tu

poznać naszą kulturę, chcieli nas zrozumieć. Pomagali mi w barze, spędzali ze mną całe dnie tylko po to, żeby dowiedzieć się więcej. Przyjeżdżali tu dla ludzi. A dziś…

Jego twarz nieco posmutniała, a my czekaliśmy, aż skończy zdanie. W ciszy.

– Sami wiecie, jak jest dziś. Niby wszyscy są takimi wielkimi podróżnikami, wkładają plecak i jadą odkrywać, ale rzeczywistość jest zupełnie inna. Oni jadą się wyszaleć, imprezują, w podróży chcą zarabiać, żeby móc jechać dalej. Albo chcą oglądać to, co dotychczas widzieli w książkach, bo wreszcie ich stać. Nikt mi tu dziś nie przychodzi pomóc za darmo i po to, żeby mnie poznać. Każdy pyta o pieniądze. Jest inaczej – kończy.

Zawieszam się, wsłuchana w echo jego słów. Ze mnie jest podróżnik amator, żaden. To moja pierwsza podróż z plecakiem, mało o tym jeszcze wiem, bo co mogę wiedzieć po dwóch tygodniach? Niewiele. Ale obserwuję. Zawsze lubiłam patrzeć i później interpretować tę rzeczywistość. Już po tych kilkunastu dniach czuję i widzę, że Muk może mieć rację. Widzę, że dla wielu podróże to tylko wbijanie jak największej liczby pieczątek w paszport i odhaczanie miejsc z listy „naj" w imprezowym klimacie. Ja nie mam planu na zobaczenie tych wszystkich cudów świata, nie mam planów na codzienne celebrowanie do świtu. Ale mam plan na poznanie ludzi, bo wierzę, że są ludzie, których trzeba spotkać i miejsca, które można zobaczyć. Bo ta moja podróż jest podróżą do ludzi właśnie. I to chyba jedyne, co na razie o niej wiem.

– Muk, a możemy jutro przyjść do ciebie, do domu? – pytam, nie uprzedzając moich znajomych.

– Do mnie? – Otwiera szeroko oczy. – Oczywiście! Ugotujemy coś razem.

Wznosimy toast za nasze jutrzejsze spotkanie, chowając się w rogu przed deszczem. Tam na górze wylało się chyba komuś wiadro z wodą. Pora deszczowa nie chce się skończyć.

– Jutro znowu będzie słońce – uspokaja nas Muk. – Tu słońce jest każdego dnia.

Nie kłamał. Z delikatnie błękitnego nieba zniknęły wszystkie chmury, więc słońce ma je całe dla siebie. Rozkłada się wygodnie i patrzy na ziemię. W jego promieniach morska woda, załamująca się w falach, wygląda jak ta w przeźroczystej szklance. Widzę każde ziarenko piasku na dnie, widzę opaleniznę wreszcie pojawiającą się na moich stopach. Jest szósta rano. W raju jestem sama. Po plaży przechadzają się tylko trzy bezdomne psy. I ja – też w sumie taka bezdomna.

A kawałek dalej to samo morze wywala na brzeg skarby. Plastikowe butelki, słomki, sznurówki, foliowe torebki, rozmiękłe kartony i zdechłego ptaka. Czar raju pryska.

– Tak pewnie jest na wszystkich wyspach – zauważa Vlad. – Tam, gdzie nie ma turystów, są śmieci. Te pewnie pozbierają, ale na bezludnych plażach to musi być wysypisko. Przecież w oceanie pływa chyba wszystko.

Smutne. I pewnie bardzo prawdziwe.

Domek Muka zakamuflowany jest na szczycie wyspy. Prowadzą do niego znaki wskazujące drogę ewakuacji przed tsunami, ustawione tu po 2004 roku. Wyspa nie oberwała wtedy mocno. Grzywacze, które tu dotarły, miały zaledwie trzy metry, ale system ostrzegania przed tego typu kataklizmami rozwinął się w całej Tajlandii. Od samego patrzenia na znaki dostaję gęsiej skórki.

Fragment z dziennika

Koh Lipe, Tajlandia. 12. dzień podróży dookoła świata

Okazuje się, że Muk ma swój piękny, drewniany domek w środku dżungli i trzy kolejne, cudownie urządzone, do wynajęcia. Sam wszystko zaprojektował i to z wielkim wyczuciem. Jestem pod ogromnym wrażeniem. Tu mogłabym zostać na dłużej. Jest cisza, nie ma ludzi, a do plaży wciąż niedaleko. Warunki do relaksu idealne, więc może następnym razem… Zgodnie z tym, co obiecał Muk, gotujemy wspólnie obiad, każdy ma przydzielone zadanie. Kurczak curry z ziemniakami, pomidorami i cynamonem. Zapachy roznoszą się po lesie. Są też walory edukacyjne – dowiadujemy się, jak łatwo odstraszyć komary, których tu nie brakuje. Wystarczy podpalić taką tekturową paletkę na jajka (czy jakkolwiek to się nazy-

wa) i dym skutecznie je odstraszy.

Dla nas to świetna przygoda, a dla niego chyba załatanie dziury wyżartej przez samotność. Przyjechał tu trochę wbrew woli rodziny, która została na stałym lądzie. Odwiedza ich sporadycznie, oni jego prawie w ogóle. Ale dziś to tu ma swój dom i, mimo odległości, to tu chce zostać na zawsze. Z tęsknotą musi nauczyć się żyć.

A nietrudno tęsknić w takiej atmosferze.

Przy pięknym zachodzie słońca, na plaży Sunset, obiega nas psia gromada. Słucham szumu morza, na niebie szukam pojawiających się gwiazd, nigdzie się nie spieszę i odnajduję odrobinę tego, na co gdzieś tam podświadomie liczyłam. Wreszcie czuję, że nikt wokół nie ocenia mnie, że nikt wokół niczego ode mnie nie oczekuje, że każdy, z kim rozmawiam, jest sobą, a nie odtwórcą kiepskiej roli w teatrze życia. Bez udawania, bez tego cywilizacyjnego makijażu.

– *Hey mate! That's awesome, dude. We could just have a barbie here and it would be perfect* – starszy, mówiący nieznanym mi dotąd angielskim dialektem gość, przerywa moją błogą egzystencję. Wygląda jak Jack Nicholson na okładce *Lotu nad kukułczym gniazdem*.

– *Sorry?* – pytam, zastanawiając się, czy ten uśmiech świra oznacza, że to świr, czy po prostu on ma taki wyraz twarzy. I jaka Barbie?!

– *Russel!* – Łapie moją dłoń i potrząsa solidnie, a potem ściska mnie całą jak cytrynkę. „Świr", myślę znowu. – *How are you, mate? All good?*

Australijczyk, z Tasmanii. A „Barbie" to barbecue, o czym dowiaduję się za chwilę. Russel okazuje się naszym sąsiadem, więc nocą przez wyspę, na plażę po drugiej stronie, wracamy we czwórkę. Za każdym razem, gdy „nowy" coś powie, proszę, żeby powtórzył, bo nie rozumiem słowa z jego przezabawnego bełkotu.

Z samego rana jedna z tych uroczych łódek z krawatem, którą płynęłam już wcześniej, zamienia się w naszą taksówkę. Grupą udajemy się popływać z maską i rurką, pooglądać podwodny świat, bo ten przy Koh Lipe podobno jest szalenie piękny. Poza tym to jedna z niewielu rzeczy,

które na Koh Lipe można robić, żeby nie zginąć z nadmiaru lenistwa.

– Hej, źle się czujesz? – nie wiem, po co pytam, bo po bladej twarzy Lorei widać, że nie miewa się wyśmienicie.

Nie odpowiada, gapi się na horyzont za łódką, bo to jedyne, co się wokół nas nie rusza. Drewniane, długie łodzie mają to do siebie, że czuć na nich każde potknięcie o falę. Współczuję, ale cieszę się w myślach, że mnie to nie dopadło, bo zazwyczaj z chorobą morską nie potrafię dojść do kompromisu. Gdy tylko zwalniamy, prawie że wpycham moją zzieleniałą koleżankę do wody. Pomaga.

– Zakładaj kapok – krzyczy Vlad i rzuca w jej kierunku pomarańczową kamizelkę. – Ty też – wręcza mi mój kapok.

– Daj spokój, umiem pływać – delikatnie każę mu się wypchać i odwracam w drugą stronę.

– Nie wątpię – zaczyna się śmiać pod nosem. – W kapoku będzie ci łatwiej utrzymać się na wodzie, leniwie. Będziesz sobie w spokoju oglądać, a nie machać nogami. Przynajmniej ja będę, a ty rób, jak chcesz. – Zakłada maskę i wskakuje do wody.

Decyduję się jednak na ten kapok. W ten sposób zamieniamy się w trzy odblaskowe, pomarańczowe bojki widoczne z kosmosu.

Zaaferowana sprawą kamizelki dopiero teraz rozglądam się wokół siebie. Toż to sceneria jak z Jamesa Bonda! Lazur. Ale taki, że nie ma sobie równych. Lazur otoczony niesfornie porozrzucanymi głazami, a wśród tych głazów – piasek. Biały piasek. A pod wodą… Gdy po raz pierwszy zanurzam głowę, po plecach przebiega mi niezidentyfikowany strach. Kiedy zanurzam po raz drugi, ogarnia mnie uczucie klaustrofobii (podobne do tego, które dopada mnie, gdy ktoś w zabawie przykryje mi głowę poduszką). Za trzecim razem uspokajam się, chociaż echo mojego własnego oddechu (przypominające oddech Stuhra z filmu *Seksmisja*, gdy po raz pierwszy wychodzi na świeże powietrze) nieco mnie przeraża. Snorklowanie to dla mnie trochę nowa sytuacja, a w opanowaniu tej nowości nie pomaga nadmiar wrażeń i zachwytów, bo pode mną przemyka właśnie pewnie ze sto ryb we wszystkich kolorach tęczy. Jest i Nemo. Uratowani!

Albo i nie, bo są też spalone pośladki. Nasze własne. Pływanie w kamizelce ma zapewne swoje plusy, ale ma też jeden podstawy minus – wypycha ci pupę ponad poziom wody. Wieczorem leżymy więc na brzuchach, Lorea i ja, bo o siedzeniu chwilowo możemy zapomnieć. Na plaży popijamy colę z rumem, produkując przy okazji piękne wspomnienia. Szukamy podobieństw między Czechami a Polakami, dyskutujemy też o tych, którzy zdominowali Irlandię. Planujemy kolejne dni i postanawiamy spędzić je razem.

Produkcję wspomnień kontynuujemy następnego dnia, obchodząc wyspę dookoła, bo okazuje się, że przy odpływie jest to możliwe.

– Napiłabym się wody – zagaduje Lorea.

Szybko wyciągam z torby butelkę.

– Nie, dzięki. – Uśmiecha się. – Chciałabym się napić ze szklanej szklanki, z lodem. Od dwóch miesięcy piję wodę z plastiku.

Czy to jedna z tych rzeczy, których w życiu się nie docenia? To, że wodę w upalny dzień można pić ze „szklanej szklanki" i wrzucić do niej trochę lodu? Przyziemne, ale od tej chwili zima woda z lodem w „szklanej szklance" będzie smakować mi lepiej.

Fragment z dziennika

Koh Lipe, Tajlandia. 14. dzień podróży dookoła świata

Trochę nas nosi, bo na Koh Lipe po kilku dniach można się zacząć nudzić, więc łapiemy lokalną wodną taksówkę i płyniemy na pobliską wyspę Koh Adang. Nasz marynarz-kapitan zabiera ze sobą dziecko. Dziecko ma może rok. Może. I nie jest zadowolone z tego pomysłu. Na morzu wieje. Oczywiście, że fale nie dają za wygraną, a jakby tego było mało – łódka jest dziurawa. Marynarz-kapitan nie nadąża z wybieraniem wody za pomocą przeciętego na pół plastikowego baniaka po benzynie. Dziecko płacze, drze się wniebogłosy, zaczepione o łydkę taty jak koala. Łódka napełnia się wodą. Marynarz-kapitan puszcza ster, żeby ją wybrać. Łódka płynie w bliżej nieokreślonym kierunku. Dziecko wspina się na ręce do taty-marynarza-kapitana. Nieudolnie. I tak w kółko. Na szczęście do Koh Adang jest blisko, ale te 15 minut to była dla mnie wieczność.

Na wyspie, oprócz nas, jest trzech mieszkańców i jeden rybak, a całość przedstawia się jak wymarła osada z horroru. W budynkach hula wiatr i spacerują mrówki giganty. Sprężyny wyskakują ze starych materacy, a wszystko widać przez podejrzanie uchylone drzwi. W dżungli natomiast – niczym niezagłuszona natura i ścieżka na sam szczyt. Widać z niego naszą Koh Lipe – kawałek lądu w kształcie bumerangu, porzucony na pustkowiu przez Boga.

Nasz kapitan-marynarz wraca po nas po trzech godzinach. Nie płacimy mu od razu, więc wraca. Scenariusz przeprawy jest ten sam, ale w jej trakcie, bardzo kiepską angielszczyzną, wydusza:

– Dziś przed pełnią dzień. Plaża, dyskoteka u nas, rok szkolny pokończony. Idźcie – zachęca.

Nie kłamie. Na plaży przy wiosce stoi drewniana scena, a na niej rytmicznie kręcą pupami miejscowe kobiety. Faceci pogwizdują, kręcąc swoimi i przygłuszając muzykę. Dzieci i psy pluskają się w wodzie, w świetle zachodzącego słońca. A wokół sceny stoliki i stragany, czyli miejscowa uczta. Świeże muszle, morskie ślimaki, grillowane skrzydełka kurczaka na patyku i dziesięć form zawiniątek w liściach palmowych. Oczywiście przekraczam swoje limity, zagryzając wszystko sałatką *som tam* z niedojrzałej papai, która jest nawet lepsza niż ta z zielonego mango.

Szkoda mi będzie stąd wyjeżdżać. Na szczęście, wyjeżdżamy we trójkę.

Wskazówki

Tajlandia. Idealny kraj dla tych, którzy chcą zacząć przygodę z podróżowaniem. Nie bez powodu była pierwszym przystankiem na mojej trasie. Jest bezpieczna, łatwa komunikacyjnie (zarówno pod względem transportu, jak i językowym) i piękna. Mnóstwo tu cudownych plaż, gór do odkrycia i pysznego jedzenia.

5 dań, których musisz spróbować w Tajlandii

1. Roti z bananem

Tajski roti wywodzi się z kuchni arabskiej i przypomina naleśnik. To jeden z najlepszych ulicznych deserów w Tajlandii. Najpopularniejsza jest wersja z bananem i polewą z mleka skondensowanego, ale można też zaszaleć z innymi owocami albo spróbować wersji na słono. Roti zachwyca nie tylko smakiem, ale też techniką przyrządzania.

2. Som tam

Som tam to sałatka z zielonej, niedojrzałej papai. Bardzo ostra i uzależniająca – gdy zacznie się ją jeść, nie można przestać, mimo że wypala kubki smakowe. Wyczuwa się w niej odrobinę kwasu z limonki, słodyczy z cukru palmowego, nutkę sosu rybnego i oczywiście piekielne chili.

3. Tom kha

Zupa na mleku kokosowym. Dziś chyba moja ulubiona zupa w ogóle (pobiła nawet ogórkową). W środku pływają grzyby, czasem też kurczak albo krewetki. Nie brakuje w niej chili, trawy cytrynowej, kolendry, liści tajskiej limonki i odrobiny charakterystycznej w smaku, imbirowo-pieprzowej przyprawy galangal.

4. Khao soi

Khao soi to gęsta zupa z kluskami, mięsem i z odrobiną curry. Wywodzi się z Bir-

my i jest serwowana na północy Tajlandii – obowiązkowo trzeba jej spróbować podczas wizyty w Chang Mai.

5. Mango sticky rice

Drugi pod względem popularności tajski deser. Podobnie jak roti, świetnie sprawdzi się też w roli śniadania. Kleisty, słodki ryż i soczyste mango – wszystko polane skondensowanym mlekiem.

Blogi

www.skokwbokblog.com – Na blogu Maćka, który do Tajlandii wyemigrował kilka lat temu, znajdziecie zarówno informacje praktyczne, jak i inspiracje.

www.legalnomads.com – Jodi podróżuje od 2008 roku. Jej strona to kulinarna wyprawa po świecie.

Filmy i książki

Niebiańska plaża – młody Leonardo DiCaprio, odrobina dzikiego Bangkoku i cudowne zakątki, a do tego… mroczna tajemnica raju. Dziś wyspa Koh Phi Phi, na której toczy się akcja filmu, nie wygląda już tak samo i jest raczej przepełniona tłumem turystów, ale te bajeczne krajobrazy wciąż w Tajlandii można odszukać.

Kac Vegas w Bangkoku – wierzę, że Bangkok jest miastem, gdzie mogą wydarzyć się niezwykłe historie, szczególnie po zmroku. To szalone miejsce, które może was pochłonąć tak, jak pochłonęło bohaterów filmu.

MALEZJA

Możliwości są jak wschody słońca. Gdy będziesz zwlekał zbyt długo, możesz je stracić.

William Arthur Ward

Wyspa Penang, Georgetown

Na Koh Lipe żegnają nas ze smutkiem w poczciwych, nic nieoczekujących oczach dwa wychudzone psiaki, które przez ostatni tydzień chodziły za nami po wyspie. Z pewnością pomachałyby nam na pożegnanie, gdyby tylko potrafiły. Nie potrafią, więc po prostu patrzą. Odpływamy w kierunku Malezji. Ta trzyetapowa podróż trwa wieczność, czyli jakieś siedemnaście godzin. Najpierw prom, opóźnienie, potem rozklekotany autobus i opóźnienie, a na koniec mały vanik. Wsiadamy do niego w Hat Yai, miasteczku służącym za punkt przeładunkowy między Tajlandią a Malezją. Przeładowują tutaj turystów.

– Idziemy dzisiaj na kolację, na to indyjskie, co zawsze? – niespodziewanie pyta po polsku dziewczyna siedząca z tyłu.

– No jasne. W ogóle to się cieszę, że wracamy do George… – przytakuje jej chłopak obok.

Konwersację zagłusza drący się wniebogłosy francuski dzieciak z przodu, którego mam ochotę zakneblować. Rodzice, zajęci swoimi sprawami, nie reagują.

– Szszszyyyyy… – Vlad się gotuje i nachyla do małego potwora, patrząc mu prosto w ciemne oczy.

Zapada cisza. Na dwie minuty. Zapowiada się, że przez najbliższe pięć godzin przyjdzie nam żyć w tej kiepskiej akustyce.

– Cześć, jestem Julia – odwracam się w końcu i przedstawiam, zaintrygowana polskimi rozmowami.

Żeby usłyszeć odpowiedź, muszę się przesiąść, bo młody wciąż ćwiczy struny głosowe.

– Cześć, Arek. – Wyciąga do mnie rękę przystojniak z rozwianą czu-

pryną i niechlujnym zarostem, o wyglądzie nastolatka.

– Ania – mówi delikatnym głosem i uśmiecha się dziewczyna obok.

Ania i Arek. Młode małżeństwo z Warszawy, które sprzedało swoje mieszkanie na Kabatach, żeby trochę pożyć. Zostawili pracę i wyjechali, bez planu na to, kiedy wrócą, bez planu na jutro, bo przecież jutra może nie być.

– Jedziemy do Malezji odnowić naszą tajlandzką wizę – tłumaczy Ania. – Pracowaliśmy przy budowie hotelu na wyspie Koh Lanta, teraz szykujemy się na kolejne wyzwanie.

– Korzystamy z Helpxu, czyli pracy za nocleg i wyżywienie. Zaczęliśmy w Norwegii trochę przez przypadek, teraz ta Tajlandia, a potem pewnie Japonia, może Tajwan i Australia, bo tam jest to bardzo popularne. Fajne rozwiązanie na podróże – zwiedzasz, a przy okazji uczysz się czegoś nowego i poznajesz życie miejscowych – wyjaśnia obszernie Arek. – A ty?

Droga na wyspę Penang w Malezji, wyspę, na którą wjeżdża się trzynastokilometrowym mostem, upływa nam na sympatycznej rozmowie, a znajomość od razu przechodzi na drugi poziom. Po raz kolejny nie ma czasu na powolne celebrowanie, musimy poznać się szybko, bo czas nas goni. Oczywiście okazuje się, że mamy mnóstwo wspólnych znajomych, bo Arek to pasjonat rowerów, a mój rodzinny Milanówek był swojego czasu rowerową mekką. Dodatkowo – praca Ani i Arka związana jest z mediami, tak jak moja – więc tam też odszukaliśmy kilka połączeń. Przypadek?

Do Georgetown docieramy po zmroku i nasze drogi się rozchodzą. Ania z Arkiem idą na swoją kwaterę, a my na poszukiwanie hotelu. Za sugestią Vlada, który należy do tych bardziej oszczędnych, zaglądamy do chińskiej noclegowni Ping Seng, w paskudnym, socrealistycznym w estetyce budynku, który odstaje od kolonialnej zabudowy. Przez chmury tytoniowego dymu przeciska się starszy facet bez koszulki, z wypaloną fajką w zębach i staje przy ladzie.

– *Hello hello my friends and welcome!* – mówi, a chwilę potem zaczyna mamrotać coś po chińsku. Nie wiemy, czy do siebie, czy może ktoś jesz-

cze jest skryty za tą dymną zasłoną? Wyciąga klucz i wręcza Vladowi.

– *Go and have a look, up there.* – Wskazuje palcem na rozpadające się schody.

Cztery ściany ledwo trzymają się kupy, a dach trochę opada. I oczywiście wszędzie mój ulubiony różowy kolor, a do tego sypiący się tynk. W pokoju dwa szpitalne łóżka, w tym jedno dwuosobowe i różowe prześcieradła (jakby inaczej). Prysznic w kącie, ale łazienka na korytarzu. O dziwo, w tym rozgardiaszu jest czysto i przy okazji bardzo intrygująco.

– Mogę zostać. – Zerkam na nieco sceptyczną minę Lorei.

Wiem, że muszę podreperować swój budżet po zakupie komputera, więc wygody zostawię sobie na kiedy indziej. Udaje nam się jeszcze stargować cenę, więc za pokój płacimy jakieś trzydzieści złotych za noc. Zatrzymujemy się w Georgetown na krótko, postanawiamy więc pozostać w tym przybytku przynajmniej do jutra.

Fragment z dziennika

Wyspa Penang, Malezja. 16. dzień podróży dookoła świata

Zatrzymaliśmy się w Chinatown, jednym z kilku chyba Chinatown w Georgetown, mimo że kawałek dalej jest Little India. Chiny przeważają i to podobno w całej Penang. Wszędzie kolory, mocno nasycone barwy i zapachy, mieszające się języki, a w głośnikach przebój tego sezonu, grany wszędzie, na każdym rogu – *Gangnam Style*. Trafiamy na nocne targowisko, gdzie oprócz jedzenia, można posłuchać też muzyki na żywo w wykonaniu lokalnych wokalistek, których los nie obdarzył dobrym głosem. Zostajemy.

Georgetown okazuje się królestwem ulicznego żarcia. Wzdłuż krawężników, po obu stronach drogi, stoją wózki, stragany, lady i obwoźne kuchnie. Każde z tych miejsc przygotowuje jedno tylko danie, swoją specjalność. W wilgotnym powietrzu zapach ostrego curry miesza się z zapachem delikatnego kokosu i przypalonego makaronu, a wszystkiemu towarzyszy dźwięk uderzającego w dechę tasaka. Trudno sobie odmówić obżarstwa, ale tym razem bez popijania piwem, gdyż alkohol w Malezji (państwie w większości muzułmańskim) jest wyjątkowo drogi. Pozostaje nam więc objadanie się smakowitościami.

Spacerując po mieście, patrząc na kolonialne, klimatyczne kamienice popadające miejscami w ruinę, czuję się, jakbym była na Kubie, bo tak ją sobie właśnie wyobrażam. Jednak nowe auta, pędzące autobusy i skutery, wieczny harmider przerywany echem klaksonów oraz zapach curry – wszystko to przypomina mi, że jestem w Azji. W Azji, która przypadła mi do gustu.

Georgetown to miasto, którym zarządzali Anglicy, ale dziś ich wpływy widać chyba jedynie w nazwie i ewentualnie w fasadach niektórych budynków. To miejsce, gdzie na ulicy Chińczycy przepychają się z Hindusami, gdzie trudno uchwycić balans między różnymi azjatyckimi wpływami. Miejsce, gdzie wychodząc zza zakrętu, poczujesz się, jakbyś przekraczał granicę chińsko-indyjską, a nie był w Malezji.

Tu wtedy byłam, na wyspie Penang

Wśród wielu knajp pełnych backpackersów z całego świata, wybieram tę, w której są sami Chińczycy. Nie dlatego, że nie lubię się integrować czy mam coś przeciwko wspomnianemu curry, po prostu z tego baru

ładnie pachnie. Przygarbiona kelnerka nie mówi słowa po angielsku, więc wskazuję palcem na obrazek w ręcznie wypisanym jadłospisie i w ten sposób jem na śniadanie to, co normalnie zjadłabym na obiad, czyli zupę z kurczakiem i chińskie pierożki. Jest to oczywiście coś zupełnie innego, niż zamawiałam.

Spotykamy się pod naszym „burdelem" (tak wczoraj ochrzciliśmy ten paskudny hotel) i łapiemy autobus „101" na północno-zachodni cypel wyspy, gdzie jest podobno największa na świecie ferma motyli. Po raz pierwszy przydaje się koszulka z długim rękawem, którą za radą siostry noszę zawsze na dnie plecaka. Zamarzam! W nowiutkim autobusie klimatyzacja rozkręcona jest na maksa, a lodowate powietrze dmucha w kark, bez względu na to, gdzie siedzę (sprawdziłam, zmieniając miejsce kilka razy). Obstawiam, że szron na szybach to tutaj norma. W sekundę dostaję kataru. Gdy na przystanku otwierają się drzwi, gorąco bucha w nas jak z chlebowego pieca.

Nikt nie wie, gdzie są motyle, ale każdy z pytanych wysyła nas na osławioną plażę małp i wycieczkę do Parku Narodowego Penang.

Przez gęsty, deszczowy las, kilkukilometrową trasą, wydeptaną już dziś przez dziesiątki przyjezdnych, przedzieramy się w duchocie na Monkey Beach, gdzie małpy podobno zawsze biegają po plaży. Słyszałam już o nich najgorsze historie: że kradną, atakują, wrzeszczą, gryzą. Kiedy więc nagle małpi gang wychyla się zza palmy tuż obok nas, truchleję i ściskam kurczowo plecak, sprawdzając jednocześnie, czy nie mam nic w kieszeniach. Otaczają nas jak na komendę. Zza drzewa, z drugiej strony, wychodzi kolejna ekipa i niby się nie rusza, niby ani drgnie, ale jeden cwaniak w sekundę wyrywa Lorei butelkę z wodą, a później zwiewa. Gang z lewej zostawia nas w spokoju i zabiera się za rozbrajanie śmietnika, a ich szef popija w cieniu pepsi z puszki. Gdy w ich zachowaniu zaczynam dostrzegać podobieństwo do ludzi, truchleję po raz drugi.

– Chcecie wrócić łódką?! – krzyczy za nami facet z burzą loków, widząc, że zbieramy się z plaży.

Para Niemców, Tania i Derik, małżeństwo w podróży dookoła świata, namawia nas, żebyśmy popłynęli razem. Zamiast dwugodzinnego powro-

tu tą samą trasą, dotrzemy na miejsce w dziesięć minut. Przyjmujemy propozycję.

W powrotnej drodze do Georgetown, robimy sobie przerwę przy dwóch ustawionych na przeciw siebie buddyjskich świątyniach (tak naprawdę robimy to tylko po to, żeby się ogrzać, bo w autobusie oczywiście minus dwa). Po jednej stronie tajska świątynia Chaiyamangalaram, po drugiej – birmańska Dhammikarama. Obie ociekające złotem, schowane pod rzeźbionymi daszkami, zaludnione przez większe i jeszcze większe posążki buddy. Jeden leży, drugi stoi, a setki innych zerkają na ciebie z każdej strony i obserwują – jak to stado małp. Tyle że w spokoju, bo spokój to chyba najlepsze słowo, żeby opisać panującą tu atmosferę.

Fragment z dziennika

Wyspa Penang, Malezja. 17. dzień podróży dookoła świata

Ucinam sobie pogawędkę z mnichem, któremu z Polską kojarzy się… kto? Nie Lech Wałęsa, nie Jan Paweł II, nie Chopin, tylko… Jerzy Dudek! Mój mnich jest fanem piłki nożnej, i to wielkim. Rzuca nazwiskami: Lewandowski, Boniek, Boruc, udowadniając, że zna wszystkich polskich piłkarzy i przekonując mnie, że są świetni. Na Penang przyjechał z Birmy, do której chciałby niebawem wrócić. Na koniec obiecuje zwrócić się do Buddy o czuwanie nad moją podróżą. A mnie przez całą tę rozmowę kusi, żeby go dotknąć. Nie dlatego, że mam jakieś nienazwane ciągoty, by dotykać ludzi. Kusi mnie, bo wiem, że kobietom nie wolno tego robić mnichom. To tak, jak z białym niedźwiedziem. Gdy ktoś ci powie: „Nie myśl o białym niedźwiedziu", to o czym będziesz myśleć przez kolejne dziesięć minut?

Wieczorem dzieje się coś, czego nikt z nas się nie spodziewał albo coś, czego po prostu nie zauważyliśmy, zachwycając się tym, co fajne – czar Georgetown zaczyna pryskać. Na ulice wypełzają wredne szczury, a ze studzienek wydobywa się nieznośny smród. Z minuty na minutę coraz gorszy. Przechodnie zaczynają się przepychać, sprzedawcy krzyczą i nachalnie naskakują na turystów, jakby ich okres próbny właśnie się skończył.

Zdobny posąg w jednej ze świątyń w Penang

Fala rozczarowań przychodzi także następnego dnia. Najpierw daje nam w kość autobus z temperaturą poniżej minimum (nie da się do tego ani przygotować, ani przyzwyczaić). Potem, gdy wreszcie docieramy do poszukiwanej od wczoraj fermy motyli, okazuje się, że za płatnym wejściem kryje się… plastikowy park. Po wyjściu łapie nas burza i ucieka autobus. Idziemy piechotą po ruchliwej drodze całą wieczność, aż w końcu robimy sobie mały przystanek w parku z przyprawami, Tropical Spice Garden, który też jest marną atrakcją. Na domiar złego, polecana przez wszystkich zupa *laksa*, na którą przystajemy w jednym z barów, okazuje się pomyjami nie do przełknięcia. Z przyjemnością, w tym malezyjskim królestwie jedzenia, udajemy się na kolację do McDonalda.

– Jedźmy stąd – proponuje tego samego popołudnia Lorea.

Wzgórza Cameron

Wyjeżdżamy o świcie w góry, prywatnym busikiem, którego cena różni się dosłownie o grosze od tego państwowego. Drogę, którą normalnie pokonuje się w siedem godzin, my robimy w cztery, bo nasz kierowca to wariat. Prowadząc, liczy pieniądze, rozmawia przez telefon, śpiewa, otwiera okno i pozdrawia znajomych, wyprzedza na trzeciego, wciskając gaz do dechy, prawie przebijając przy tym podłogę. Zatrzymuje się w Tanah Rata na ręcznym i żegna nas, wyszczerzając co drugi ząb, bo taki prezentuje stan uzębienia.

Betonowa wioska, jaką okazuje się Tanah Rata, nie wita nas – niestety – ładną pogodą. Nad dachami wisi szarobura zawiesina i mży w ten wkurzający sposób, jakby pogoda nie mogła podjąć decyzji, czy się rozpłakać, czy nie? Szarobure okazują się też budynki, które powstały tu trochę bez planu – niektóre są nieskończone i sterczą z nich zardzewiałe pręty, a inne się rozpadają. Tylko reklamy na wszystkich domach, bez względu na wiek, są takie same. Wiszą w bałaganie, niby kolorowe i pozytywne, ale jest ich takie multum, taki natłok, że nie da się patrzeć – całkiem jak w Polsce. Te ładne chatki, przypinające domy z Tyrolu, są, gdzieś są, ale – niestety – nie w zasięgu naszego budżetu.

Sprzeczamy się trochę, szukając noclegu i przez to zajmuje nam to chyba dwie godziny. Dwie godziny poszukiwań, żeby przekimać się w zagrzybionej, potwornie ciasnej norze. Śpimy z plecakami w nogach, bo na podłodze nie ma na nie miejsca.

– Jeśli chcemy wyjechać stąd za dwa dni, musimy sprawdzić autobus – zauważa, spoglądając na zegarek, Vlad.

A wyjechać nie tyle chcemy, co musimy, bo i oni, i ja mamy kolejny lot z Kuala Lumpur.

Niestety, na dworcu autobusowym nie znajdujemy rozwiązania naszych problemów, bo roi się tu tylko od prywaciarzy podszywających się pod państwowe przewozy, liczących sobie za przejazd zdecydowanie za dużo. Rozglądamy się też za wycieczkami na plantacje herbaty, które ukryte są gdzieś tam na wzgórzach Cameron, bo w końcu dla nich tu przyjechaliśmy. Jednak panująca na dworcu atmosfera szybko nas odrzuca, bo te sępy, rzucające się na ciebie z wizją rozszarpania twojego portfela, są szybsze niż mrówki wdrapujące się na kawałek chleba i bardziej natarczywe niż australijskie muchy.

Wśród kilkunastu turystów, włóczących się od okienka do okienka, odnajdujemy znajome twarze.

– Szukacie autobusu do Kuala czy na plantację? – pytam, równie jak oni zaskoczona spotkaniem.

– Tak, do Kuala, za dwa dni chcemy wyjechać, ale to jakaś masakra. Nie znoszę naciągaczy – mówi Tania, którą poznaliśmy na Monkey Beach.

Siadamy w pobliskiej malajskiej knajpce i – popijając mocno słodzoną herbatę (wszystkie napoje w Malezji są odgórnie dosładzane) – wspólnie wertujemy internet w poszukiwaniu optymalnego rozwiązania. Wygląda na to, że naszym celem powinna być plantacja BOH, założona na początku XX wieku przez Brytyjczyków. Udaje nam się doczytać, że prawie całą trasę z Tanah Rata na plantację można pokonać piechotą…

I to jest plan na jutro.

Uprawy herbaty BOH na wzgórzach Cameron

Fragment z dziennika

Wzgórza Cameron, Malezja. 20. dzień podróży dookoła świata

Słońce delikatnie zagląda przez zaparowane okna naszego pokoju. Wstajemy. Najwyższy czas odnaleźć to eldorado. Z dna plecaka wyciągam buty, przydadzą się pierwszy raz. Biorę latarkę, scyzoryk, trochę lekarstw, wodę, ciastka, kurtkę przeciwdeszczową i telefon komórkowy. Nigdy nie wiesz, co przydarzy ci się w środku lasu, więc lepiej być dobrze zorganizowanym. Zwartą grupą ruszamy w poszukiwaniu ładnych krajobrazów.

– Jesteś pewien, że to tu? – dopytuje Vlada Lorea. – To chyba powinno być jakoś oznaczone, nie uważasz?

– Tak, jestem pewny. Chodźcie albo zostańcie – kwituje nasz domorosły przewodnik.

Przy, pożal się Boże, Wodospadach Robbinsona odnajdujemy ścieżkę numer 9 i wchodzimy w dżunglę. Wchłania nas gęsty las i błoto po kostki. Jest duszno, mży. Egzotyczny klimat podkreślają dźwięki – szmery pękających gałęzi, nieustanny szczebiot ptaków, koncert cykad, odgłosy sy-

czących w buszu węży, niespodziewany szum liści tuż za plecami i hałas spadających ze zbocza kamieni.

– Nie wiem jak wy, ale ja się czuję, jakbym była w *The Blair Witch Project* – stwierdzam, przedzierając się przez las w rytm swojego oddechu i dalej gapię się pod nogi. – Ejjj! Uważaj! – krzyczę i pociągam Loreę za ramię w momencie, kiedy mały wąż przepełza między jej nogami. – Uważaj, wąż – dodaję po chwili ciszy.

Vlad wysforował się do przodu, przeczesując teren, a my idziemy teraz nieco ostrożniej. Dzikość tego miejsca nie pozwala nam zapomnieć, że to nie my tutaj rządzimy, tylko natura, a opowieści o widzianych w tych lasach tygrysach i wszechobecnych skorpionach nie ułatwiają zapanowania nad wyobraźnią. Ścieżka, fragmentami zupełnie niewydeptana, pnie się pod górę i wije nad urwiskiem, w które nawet nie chcę zaglądać. Idziemy ponad dwie godziny.

– Wreszcie!!! – słyszymy dochodzący z niedaleka okrzyk Vlada.

– Myślałam, że ta droga nigdy się nie skończy. – Kucam zmęczona, gdy przez pola wychodzimy na trasę.

Wypijam duszkiem pół butelki wody. Derik i Tania siadają pod drzewem, a Lorea uwiesza się na szyi Vlada.

– Wreszcie! – mocno wyczerpana powtarza jego słowa.

Fragment z dziennika

Wzgórza Cameron, Malezja. 20. dzień podróży dookoła świata

Wydaje nam się, że do plantacji herbaty jest już blisko. Szybko orientujemy się jednak, w jak wielkim jesteśmy błędzie, bo przed nami mniej więcej sześć kilometrów asfaltową drogą – w samo południe, pod górę. Najbardziej na świecie pragnę, żeby ktoś mnie podwiózł, ale jak na złość wszystkie samochody jadą w drugą stronę. Jeden land rover za drugim. Do tego zaczyna padać, to nic nadzwyczajnego, bo tu pada chyba codziennie. Zrezygnowani chowamy się pod daszkiem na czyjejś werandzie, czekając, aż przestanie – trwa to dobre dwadzieścia minut. Potem ruszamy pod górę, przekonani, że te sześć kilometrów trzeba będzie przejść pieszo. Po co mi to było – zastawiam się w myślach. Trzeba było wziąć klimatyzowany minibusik, siedzieć sobie wygodnie, ale my tak ambitnie, samodzielnie, inaczej niż wszyscy…

Gdy zupełnie tracimy już nadzieję, dociera do nas rumor silnika auta, które stara się podjechać pod górkę. Stajemy wszyscy jak na zawołanie i wyciągamy ręce w geście proszącym o podwózkę. Kierowca nawet nie spogląda w naszym kierunku. Podobnie kolejny, przejeżdżający kwadrans później. Nad piątką zagubionych lituje się dopiero młody chłopak w słomianym kapeluszu, który starym land roverem (te rejony to kraina tej marki) zmierza w tym samym kierunku co my.

– Wskakujcie – krzyczy, wskazując ruchem ręki na pakę.

Mamy swojego pierwszego dziś stopa, a mojego pierwszego stopa w życiu. Cieszę się jak dziecko, tym bardziej że nigdy nie przeszłoby mi przez myśl, że autostop może – mnie, dziewczynie lubiącej wygody i bezpieczeństwo – tak bardzo się spodobać. Otwartość na nowe doświadczenia wygrywa i chyba zaczynam rozumieć, o co chodzi z tym wychodzeniem poza strefę komfortu.

A chwilę potem cieszę się jeszcze bardziej, bo gdy nasz pikap zwalnia na zakręcie, przenosimy się w inny świat.

Stary *Land Rover* w Tanah Rata

Fragment z dziennika

Wzgórza Cameron, Malezja. 20. dzień podróży dookoła świata

Naszym oczom ukazują się TE piękne widoki, jest zielono po horyzont. Pagórki wyłożone są równiuteńko przyciętymi prostokątnymi krzakami, o barwie tak zielonej niczym ta z folderu. Zapiera dech, odbiera mowę, do oczu napływają łzy szczęścia i człowiek suszy zęby w uśmiechu. Tego nie widzi się na co dzień, a jak się dodatkowo włoży tyle wysiłku, żeby się tu dostać, to docenia się to, cholera, jeszcze bardziej. Bo czy cieszyłabym się równie mocno, gdybym dojechała tu w trzydzieści minut tym klimatyzowanym busem?

Spacerujemy niziutko podstrzyżonymi labiryntami, w których nie sposób się zgubić, chociaż bardzo by się chciało. Zwiedzamy fabrykę, poznając przy okazji herbaciany proces – od krzaka do filiżanki. Obserwujemy kapeluszników, którzy zwożą z pola przyczepy zielonych liści i pakują je w poprzedzierane ze starości wory. Popijamy herbatę na tarasie, odwlekając moment powrotu, choć doskonale wiemy, że przed nami daleka i niepewna droga.

– Jedziecie do Tanah Rata? – pyta młoda dziewczyna przy wyjeździe z parkingu. – Wskakujcie, podrzucę was do głównej drogi.

Ze skrzyżowania, dosłownie pięć minut później, zabiera nas miejscowa rodzinka i podwozi pod kolejną plantację herbaty. Cameron Valley Tea House jest równie zielona, co poprzedniczka, ale nie robi już na nas takiego wrażenia, bo jest po prostu mniejsza. Klimatu nie dodaje jej też położenie przy ruchliwej trasie.

– Dzień dobry! Podwieźć was? – krzyczy z siedzenia pasażera nowiutkiego auta starszy Chińczyk, gdy zatrzymujemy się przy jednopasmówce. Młoda dziewczyna za kierownicą tylko się uśmiecha.

– No jasne. Wracamy do Tanah Rata – odpowiadam, nie czekając na reakcję znajomych.

Peter i Samantha. On ma około sześćdziesiątki, ubrany w jedwabną koszulę; ona ma jakieś dwadzieścia pięć lat i wcale nie postarza się ubiorem. Malezyjczycy z chińskimi korzeniami. Czy to mistrz i jego muza, czy zwykły romans? Nie jestem na tyle wścibska, żeby zapytać, więc po

prostu słucham, bo Peter mówi dużo i interesująco, więc jest czego słuchać. Mówi o wszystkim, ale głównie o sobie, co drugie zdanie wtrącając „these days" – w dzisiejszych czasach. *These days* to, *these days* tamto. Pasuje do wszystkiego. Pomiędzy „these days" opowiada o tym, jak się żyje w okolicy i czego to on w życiu nie robił.

– Wam się pewnie wydaje, że w dzisiejszych czasach wzgórza Cameron to przede wszystkim plantacje herbaty, tak? – pyta.

Przytakujemy zgodnie.

– To jesteście w błędzie, bo w dzisiejszych czasach w okolicy uprawia się przede wszystkim kwiaty i warzywa – kontynuuje Peter. – Chcecie zobaczyć, jak to wygląda w dzisiejszych czasach?

Przytakujemy po raz drugi.

– To jutro wam pokażę. Pojedziemy do gospodarstwa. A tymczasem chodźmy na herbatę, bo w dzisiejszych czasach trzeba pić jej jak najwięcej, dla zdrowia – mówi, gdy dojeżdżamy do Tanah Rata.

Nazajutrz, tuż przed siódmą, nasi przypadkowi przewodnicy odbierają nas spod dworca i na początek zabierają do gospodarstwa kwiatowego. Gdy wchodzę do szklarni, przenoszę się na chwilę w czasy mojego dzieciństwa. „Julińko, podlej te w ostatnim rządku, tylko nie za dużo, pamiętaj" – tłumaczyła mi ze spokojem babcia, kiedy biegałam z blaszaną konewką po szklarniowych alejkach. Każdego roku, przed dniem Wszystkich Świętych, nasze milanowskie podwórko wypełnione było po brzegi chryzantemami. Pachniało tak samo jak tu.

Z powrotu do przeszłości wyrwa mnie Peter, wypowiadając swoje „these days". Tłumaczy, że pomaga lokalnym rolnikom rozwinąć uprawy hydroponiczne. Więcej mamy zobaczyć za chwilę.

Fragment z dziennika

Wzgórza Cameron, Malezja. 21. dzień podróży dookoła świata

Docieramy na rodzinną farmę warzywno-owocową. Samantha zrywa z krzaka kukurydzę, obrywa z niej liście, łamie na połówki i rozdaje do spróbowania każdemu z nas. Potem daje nam posmakować surowego groszku, kiełków oraz owocu (albo warzywa), który wygląda jak ziemniak, a smakuje trochę jak słodki ogórek,

ale bez pestek. Jest bardzo soczysty i zarazem niezbyt słodki. To yacon. A na grządce rośnie ananas – mój pierwszy ananas widziany w fazie rosnącej, a nie sklepowej.

W gospodarstwie jest biednie. Dom to zwykła, blaszana chatka, a za kanapy w pokoju służą sparciałe siedzenia wyjęte z samochodów. Siedzimy na nich, przeglądając lokalne gazety i popijając gorzką herbatę. Łazienka i kuchnia mieszczą się w tym samym rogu, bo tam po prostu jest ujście wody. Za lampę „robi" zwykła żarówka, a za dywan kawałek starego ręcznika. Na szczęście, właściciele tej prowizorki wyglądają na zadowolonych ze swojego skromnego domostwa.

– Tu za kilka lat będzie wielki zbiornik wody – mówi Peter w drodze powrotnej do Tanah Rata i wskazuje na zieloną dolinę. – W dzisiejszych czasach to jest potrzebne – dodaje. – Zawieźć was do Kuala Lumpur? – pyta nagle, nie wyjaśniając nic więcej.

Rzucamy sobie porozumiewawcze spojrzenia, bez pewności – czy żartuje, czy on tak na serio. Widząc nasze zakłopotanie, wtrąca się milcząca zazwyczaj Samantha.

– Musimy tam jechać pojutrze. Zabierzemy was – wyjaśnia.

Po raz drugi patrzymy na siebie porozumiewawczo, ale nasze milczenie przerywa Tania:

– Nie, dziękujemy, my musimy wyjechać już jutro – tłumaczy szybko.

– A my chętnie, prawda? – zgadza się Lorea, patrząc w naszym kierunku.

– Świetnie! – wykrzykuje radośnie Peter. – W dzisiejszych czasach trzeba sobie pomagać. Pokażę wam po drodze Ipoh i kilka innych miejsc. Odbiorę was z dworca o szóstej rano we wtorek.

Nie wiadomo, kto cieszy się bardziej.

Fragment z dziennika

Wzgórza Cameron, Malezja. 23. dzień podróży dookoła świata

Dzień przebija się, odganiając deszcz przez skłębione chmury. Pełna entuzjazmu zrywam się z łóżka, tylko po to, żeby chwilę później położyć się z powrotem. Bo

coś zabrało mi energię, ukradło całą, podcięło nogi. Nie mam siły wstać i z przerażeniem patrzę na Loreę. Z minuty na minutę robi mi się coraz bardziej gorąco i słabo, na czole pojawiają się krople potu. Spuchnięte powieki opadają na przekrwione oczy. Ból w plecach, ból w nogach, ból w głowie i przeokrutny ból gardła nie wróżą nic dobrego. Do tego gorączka 39 stopni, gorączka, której nigdy nie miewam. Ledwo powłócząc nogami, niosę plecak, dochodzę do samochodu i usypiam w sekundę. I wiecie, co mi się śni? Moje własne łóżko. Bo jak człowiek jest chory, to najbardziej na świecie marzy o tym, żeby być w domu…

Wzgórza Cameron – Ipoh – Kuala Lumpur

Z podróży do Ipoh zapamiętałam niewiele, głównie rozmazujące się za oknem palmy. Trudno o nich nie wspominać, bo w Malezji są jedne z największych plantacji palm na świecie. To tu produkuje się hektolitry oleju palmowego. Ale ja nie marzę o tych palmach i tropikalnych klimatach. Marzę tylko o tym, żeby nie mieć już gorączki i znowu się dobrze poczuć. Nie marzę o oglądaniu wodospadu, przy którym się zatrzymujemy. Nie marzę o zrywaniu „włochatych" owoców prosto z drzewa. Nie marzę o jedzeniu przepysznych muszelek w chińskiej knajpie, w której jesteśmy jedynymi turystami. Marzę o dobrym samopoczuciu. Jednak nasi nowi znajomi mają inne marzenia – chcą pokazać nam jak najwięcej. Leczą mnie więc chińskimi metodami i realizują swój napięty grafik.

– Ipoh to moje miasto – opowiada Peter. – To tu jest najlepsze jedzenie w Malezji, a nie w jakimś tam Penang. W dzisiejszych czasach o takie niełatwo. Wszędzie z jedzeniem oszukują, jak tylko mogą! Wszystko stare, źle przyprawione, nie takie jak być powinno. Wiem, co mówię, byłem szefem kuchni. W dzisiejszych czasach… – urywa.

O zaletach malezyjskiej kuchni mamy się jednak przekonać dopiero wieczorem, bo teraz mistrz i jego muza zabierają nas, trochę przymusowo, do niecodziennych świątyń, usytuowanych nieopodal miasta, świątyń schowanych w zboczach gór. Wokół Ipoh jest ich kilka. Na początku wstępujemy do Perak Tong Temple. Przy wejściu wita nas wielki Budda, a potem jest jeszcze kilkanaście kolejnych posągów zakamuflowanych w jaskini. Następnie zajeżdżamy do Sam Poh Tong, a potem do Kek

Long Tong – po drugiej stronie góry otoczonej pagodami. Obrazy z nich powracają jak przez mgłę, zapamiętałam tylko zimne powietrze bijące od gołych skał, dudniące echem ściany i tę unikalną równowagę w każdej z nich.

Gdy wreszcie, po zmroku, docieramy do Ipoh, padam z nóg. Nie potrafię jednak odmówić naszym opiekunom wyjścia na miasto i nocne targowisko. Snuję się za grupą jak duch. Spacerujemy małymi uliczkami wśród schińszczonych budynków będących pamiątkami po kolonizatorach. W Ipoh nie ma drapaczy chmur i atmosfery wielkiego miasta, jest za to jakaś prawda, nikt tu nie udaje przed turystami życia, którego nie ma. Może dlatego, że turystów wcale tu wielu nie widać.

Zastanawiam się, sama nie wiem, czy w myślach, czy na głos, kiedy mi przejdzie. I czy jednak nie byłoby rozsądniej udać się do lekarza. Nagle na stole przede mną, prócz kraba w sosie słodko-kwaśnym i ostrych ślimaków, lądują zapasy z chińskiej apteki: maści, tabletki i dziwne syropy oraz butelki chińskiej wody na popitkę.

– Jutro wyzdrowiejesz – obiecuje Peter, podtykając mi wszystko pod nos. – W dzisiejszych czasach pomaga tylko chińska medycyna.

Petronas Twin Towers – bliźniacze wieże w Kuala Lumpur

Nie przechodzi mi, jak ręką odjął, ale następnego dnia czuję się krztynę silniejsza, co wyraźnie raduje nie tylko mnie.

– Julia, wyglądasz o niebo lepiej. Byłam pewna, że wylądujemy w szpitalu. Masz jeszcze gorączkę? – Troskliwie sprawdza Lorea. – Pij te ich cuda, bo działają! Wiesz, w dzisiejszych czasach… – Wszyscy wybuchamy śmiechem.

Po śniadaniu w knajpie zwanej „Małym Hongkongiem", gdzie wybierasz sobie z pełnych tac wszystko, na co masz ochotę, ruszamy w kierunku Kuala Lumpur. Jakby dla podtrzymania tradycji – pada. Padało w Bangkoku, w Georgetown, w Tanah Rata, pada i tu. A do tego taki zaduch, jakbyś trzymał głowę pod pokrywką z kiepską zupą.

Przemoknięty Vlad znajduje nam jakiś bury pokój, co staje się już tradycją, i po szybkiej (chińskiej oczywiście) kolacji żegnamy się z najbardziej uczynnymi ludźmi, jakich udało mi się do tej pory spotkać. Leje jak z cebra, a my siedzimy w Chinatown, obserwując krople deszczu wpadające do akwarium z małym krokodylem, którego można zamówić sobie jako danie główne. Planujemy, jak spędzić w Kuala dwadzieścia cztery godziny, nasze ostatnie wspólne dwadzieścia cztery godziny.

Z Loreą, Hiszpanką poznaną w Tajlandii, na plantacji herbaty BOH

Z samego rana kupujemy całodzienny bilet i ruszamy metrem w miasto. Stajemy na samym początku pierwszego przedziału (a właściwie lokomotywy), obserwując zmniejszający się na horyzoncie tunel. Metro w Kuala Lumpur jest automatyczne, będąc na samym przodzie, możesz zobaczyć to, co zazwyczaj widzi tylko motorniczy. Obraz po bokach lekko się rozmazuje, a ty widzisz jedynie to małe światełko na końcu. Tak właśnie wyobrażałabym sobie podróż w czasie.

Kuala Lumpur, zwane KL, to jedno z najszybciej rozwijających się azjatyckich miast i centrum biznesowe Malezji, to busz szklanych wieżowców i galopującej masy ludzkiej! Jest pełne, wypchane po brzegi, korki są tu na ulicach i miejskich trotuarach. Pionierskość wymieszana z chaosem nie urzeka, przynajmniej mnie. W kościach czuję jednak, że zwiedzając Kuala, gdzieś popełniamy błąd. Może odkrywanie tego miasta należałoby lepiej zaplanować?

Dziś to Vlad wyznacza trasę wycieczki – od bliźniaczych wież, przez wielki meczet i wielki park, aż do Chinatown.

Fragment z dziennika

Kuala Lumpur, Malezja. 25. dzień podróży dookoła świata

Głodni biegniemy do chińskiej dzielnicy na kaczkę po pekińsku z ryżem, a potem ruszamy na zakupy w krainę podróbek. Wszystkiego jest tu za dużo... Tłumy ludzi, miliony stoisk, zegarki, torebki, ubrania, polskie podkoszulki dla piłkarskich fanów. Petaling Street, to chyba największa atrakcja turystyczna Kuala Lumpur. Najznakomitsi projektanci mogliby odnaleźć tu swoje nieznane dzieci lub popaść w depresję. Przeciskając się przez tłum i ignorując zaczepki sprzedawców, zastanawiam się, czemu zlikwidowaliśmy Stadion Dziesięciolecia. Przecież mogliśmy z niego zrobić największą atrakcję w naszej części Europy! Już widzę te nagłówki w przewodnikach Lonely Planet: „Old football stadium is an Asian paradise" albo: „Polish Chinatown"...

Wieczorem jedziemy w stronę Petronas Towers, najwyższych kiedyś bliźniaczych wież świata. Są one dla Kuala Lumpur symbolem tego miasta, tym czym Opera House dla Sydney lub wieża Eiffla dla Paryża.

– Pamiętacie tych Polaków z autobusu? Anię i Arka? – pytam współtowarzyszy. – Mówili, żeby zamiast na wieże, iść do baru w hotelu obok, bo stamtąd jest fajny widok. Pamiętacie?

– Tylko jak my znajdziemy ten hotel? Wiesz, jak się nazywa? – pyta słusznie Vlad, rozglądając się wśród drapaczy chmur, które z poziomu pieszego wyglądają identycznie.

Zadanie okazuje się łatwiejsze, niż mogłoby się wydawać. Do Trades Hotel kieruje nas pierwszy zapytany biznesmen, który dopiero koło dwudziestej pierwszej opuszcza biuro (nie on jeden zresztą). Piękny bar z oświetlonym basenem, gdzie podłogi wyłożone są aksamitnym dywanem i gdzie serwuje się najdroższe pewnie napoje w Kuala, mieści się na wysokim piętrze. Rozpościerająca się z niego panorama miasta, z gigantycznymi Petronas Towers na pierwszym planie, przywodzi na myśl obraz z przyszłości. To architektoniczna wirtuozeria w najlepszym wydaniu. Szklankę coli sączymy przez godzinę, nie stać nas na drugą, a wcale nie chce nam się wychodzić.

– Do zobaczenia! – o poranku żegnam się z moimi przyjaciółmi. Sta-

rając się utrzymać emocje na wodzy, pociągam melodyjnie nosem. Dopiero w pociągu, w drodze na lotnisko, wybucham głośnym płaczem, takim samym jak miesiąc wcześniej, kiedy na warszawskim lotnisku żegnałam się z rodziną. – Do zobaczenia – powtarzam sama do siebie.

Fragment z dziennika

Kuala Lumpur, Malezja. 26. dzień podróży dookoła świata

To jest chyba najgorsze w tej podróży, ciągłe pożegnania. Nie przewidziałam tego. Nie wiedziałam, że tak szybko można przywiązać się do nowo poznanych ludzi.

Wskazówki

Malezja. Kraj tak różnorodny, że czasami trudno sobie przypomnieć, gdzie się jest. Różnorodna jest tu przyroda – są rajskie wyspy, dzikie dżungle. Są też nowoczesne miasta. Różnorodna jest kuchnia, kultura, religia i sposób życia. Nie należy do biednych krajów, jest bezpieczna i ciekawa, a Malezyjczycy są przyjaźni i otwarci na nowe znajomości.

Malezja jest dobrym krajem na autostopowe przygody i miejscem, gdzie z autostopu warto skorzystać.

5 rad dla początkującego autostopowicza

1. Ośmiel się

Autostop może budzić mieszane uczucia, ale… póki nie spróbujesz, nie przekonasz się, czy to dla ciebie. Przestań się więc bać i wyciągnij rękę w geście proszącym o podwózkę. Spróbuj najpierw na krótszym dystansie, pewnie lepiej z kimś u boku – we dwójkę zawsze będzie raźniej przełamać pierwsze lody.

2. Ogranicz bagaż

Przy podróżach autostopem bagaż jest kwestią bardzo istotną – za duży może po prostu nie zmieścić się do czyjegoś samochodu. Spakuj się więc na tyle kompaktowo, by móc wcisnąć torbę pod nogi, ale trzymać plecak na kolanach.

3. Naucz się tych kilku zwrotów

Czy istnieje lepszy sposób na przełamanie pierwszych lodów niż powiedzenie „Dzień dobry” w języku osoby, którą właśnie poznajemy? Naucz się kilku podstawowych zwrotów: cześć, dzień dobry, dziękuję, do widzenia i – nie mówię po… – żeby móc łatwo wybrnąć z sytuacji, gdy ktoś pomyśli, że mówisz w jego języku (a to prawdopodobnie się wydarzy).

4. Bądź elastyczny

Najtrudniej jest trafić na kierowcę, który jedzie dokładnie tam, dokąd chcemy dotrzeć, i od razu dowiezie nas do celu. Nie stawiaj poprzeczki za wysoko – pozwól sobie na zmianę planów i dojechanie do wymarzonego miejsca trochę później. Albo wcale.

5. Zaufaj swojej intuicji

Bezpieczeństwo przede wszystkim. Jeśli jeszcze przed wejściem do czyjegoś samochodu czujesz, gdzieś pod skórą, że coś jest nie tak – nie wsiadaj, a jeśli już jesteś w środku – wysiądź przy najbliższej okazji.

Blogi

www.zuinasia.com – Zuzanna mieszka w Malezji już jakiś czas. W tej chwili jest na pewno najlepszym polskim źródłem internetowym o tym kraju i jego stolicy Kuala Lumpur.

www.autostopem-przez-zycie.pl – Największym hobby Przemka Skokowskiego jest… podróżowanie autostopem. Na blogu *Autostopem przez życie* opowiada o swoich niezwykłych wojażach i podpowiada, jak jeździć autostopem.

INDONEZJA

Każda matka i córka powinny znaleźć czas na wspólną podróż. To dobre dla duszy.

Anne Robinson

Wyspa Jawa, Dżakarta

Na lotnisku szukaj Taxiku. Będą dziesiątki przewoźników, ale Taxiku jest najlepsze – pisze w esemesie Gadis, Indonezyjka z Dżakarty, znajoma mojego kolegi z pracy, Kuby R. „Zarezerwowałam Ci też hotel, zaraz dostaniesz adres. Do zobaczenia niedługo".

Jest dokładnie tak, jak mówi – na lotnisku w Dżakarcie osaczają mnie lepiej i gorzej wyglądający taksówkarze atakujący pytaniami: *Taxi misssssss?!,* a ja w tym tłumie usilnie wypatruję wspomnianego Taxiku. Ustawiam się w kolejce (w Dżakarcie na lotnisku są kolejki do taksówek) i cierpliwie czekam.

Fragment z dziennika

Dżakarta, Indonezja. 26. dzień podróży dookoła świata

Wreszcie ruszamy i jedziemy do hotelu. Jedziemy, to za dużo powiedziane – przemieszczamy się żółwim tempem w kierunku centrum, mijając po drodze slumsy. W pół godziny, godzinę, półtorej, dwie pokonujemy może jakieś trzydzieści kilometrów. Są korki, tysiące samochodów, autobusów i milion skuterów. To wszystko wygląda dość dramatycznie. Dżakarta to bezsprzecznie najbardziej zakorkowane miasto, jakie kiedykolwiek widziałam. Wreszcie dojeżdżamy do celu. Gdybym mogła, zabarykadowałabym się w pokoju i udawała sama przed sobą, że mnie tu nie ma. Ale nie mogę, więc postanawiam się przejść.

– Przepraszam panią, czy mogę spytać, gdzie się pani wybiera? – zagaduje elegancki recepcjonista, gdy wieczorem wychodzę na spacer.

– Na krótki spacer, tu po okolicy – odpowiadam, sama nie wiedząc, czemu się tłumaczę. – Dobranoc!

– Proszę poczekać, tu nie jest bezpiecznie, proszę pani, szczególnie wieczorami – stara się mnie przekonać, żebym jednak została.

Jego argumenty powtarza przechodzący obok barman. Upieram się nierozsądnie, że jednak wyjdę. Nie po to tutaj przyjechałam, żeby siedzieć w pokoju!

– Uważaj – ostrzega mnie na koniec rozmowy. – Po prostu uważaj.

To jego ostatnie „uważaj" trafia w sedno. Wychodzę przerażona, bo gdy ktoś ci powtórzy dziesięć razy z rzędu, jak bardzo jest gdzieś niebezpiecznie, w końcu w to uwierzysz. Więc toczę się, jak kłębek nerwów, ściskając w ręku telefon, a w kieszeni drobniaki. W ciemności stąpam po zaśmieconym chodniku, omijam siedzących pod płotem bezdomnych rzucających zaczepne: *Where are you from?*, *Are you alone?* i pogwizdujących w kiepskim stylu. Na szczęście nie widzę ich twarzy. Wewnętrznie zamieram, ale idę dalej. Pewność siebie, nad którą usilnie pracuję od tygodni, gdzieś wyparowała. Wracam do punktu wyjścia – jestem tak samo spięta jak pierwszego dnia w Bangkoku i oczami wyobraźni widzę, jak ktoś wciąga mnie w ciemną uliczkę. Obiecuję sobie, że ostatni raz zgrywam chojraka, spacerując w pojedynkę po podejrzanych zakątkach miasta.

Uciekam do wnętrza wietnamskiej, nowoczesnej restauracji, przypominającej te w Berlinie. Uciekam, żeby odsapnąć i zebrać siły na powrót tą samą drogą. Wśród trąbiących aut i pytań o to, skąd jestem, a także czy przypadkiem nie szukam towarzystwa. Biegnę.

Fragment z dziennika

Dżakarta, Indonezja. 27. dzień podróży dookoła świata

Jakby nienauczona doświadczeniem, rano postanawiam się przejść. I chyba upadłam na głowę, bo po Dżakarcie nie można „się przejść". Ruch drogowy występuje tu w natężeniu 1000%, a chodników, do jakich przyzwyczaiła nas Europa – brak. Temperatura przekracza dozwolone przez mój organizm limity, a powietrze dusi. Nie muszę chyba dodawać, że pieszy znaczy tu jeszcze mniej niż w Bangkoku.

Umiejętność przechodzenia na drugą stronę ulicy, zdobyta niczym gwiazdka w grze, przydaje się i tutaj. Przemykam zwinnie między sunącymi w żółwim tempie autami, w mieście gdzie nie ma znaków, przejść drogowych i zasad ruchu. Moje spostrzeżenia potwierdzi wieczorem Gadis, mówiąc o stronie na Facebooku pod hasłem „Jeśli potrafisz jeździć po Dżakarcie, to potrafisz jeździć wszędzie".

Po godzinnym, wątpliwej jakości spacerze, podczas którego musiałam odgonić całą drużynę niestrudzonych naciągaczy i lichych romantyków, docieram pod sławny obelisk zwany Monas – czyli wielki betonowy słup symbolizujący walkę o Dżakartę. Na jego czubek można wjechać i patrzeć na metropolię mieszczącą się w pierwszej dziesiątce największych miast świata. Chociaż kocham panoramiczne widoki, rezygnuję, widząc ciągnącą się bez końca kolejkę. Wizja stania na placu, równie betonowym co sam słup, skutecznie mnie odstrasza. Czuję się jak boczek na patelni, więc szybko zmykam w poszukiwaniu autobusu na stare miasto. Kończę w taksówce, która kilka kilometrów pokonuje w jakieś czterdzieści minut – nie da się jechać, taki zator, a autobusu nigdzie nie znalazłam.

Fragment z dziennika

Dżakarta, Indonezja. 27. dzień podróży dookoła świata

Starówka okazuje się placykiem z kilkoma kolonialnymi domami wokół. Część z tych przepięknych budynków jest oczywiście w opłakanym stanie i ledwo trzyma się w pionie. Z niektórych została już tylko elewacja. Ale na starówce jest też pierwsza rzecz, która mnie w Dżakarcie urzeka – rowery, wypożyczane z kolorowymi kapeluszami w zestawie. Tylko gdzie tu jeździć?

W upał pedałowanie odpada, bo już się czuję, jakbym przebiegła maraton. Dżakarta męczy! Na szczęście, chwilę wytchnienia znajduję w osławionym muzeum lalek Wayang. Można tu obejrzeć kolekcję kukiełek z całego świata, w tym także kukiełki łowickie z Polski. Muzeum trochę mnie rozczarowuje. Poza tym, że można tu popatrzeć na zakurzone i słabo oświetlone lalki, to w sumie miejsce nie oferuje nic więcej. Po za-

ledwie piętnastu minutach staję przy wyjściu. Patrząc w bezchmurne niebo, zastanawiam się, gdzie pójść dalej.

– Dzień dobry – zagaduje nieśmiało młoda dziewczyna w granatowej sukience z długim rękawem.

Jej dwie, ubrane dość podobnie koleżanki, chichoczą z boku.

– Nazywam się Eli. Czy mogę z panią chwilę porozmawiać?

Na początku mam ochotę odwrócić się na pięcie i nie zawracać sobie nimi głowy, ale… w sumie, gdzie mam iść? Pogadam.

– Cześć. Jasne. Jestem Julia – odpowiadam, pamiętając o wszystkich zasłyszanych wcześniej historiach o oszustach.

Jedna z chichoczących koleżanek natychmiast doprowadza się do porządku i, jak wyszkolony sekretarz, zaczyna notować.

– Czemu przyjechałaś do Dżakarty? – pyta Eli.

– Jestem w podróży dookoła świata, a Dżakarta to jeden z przystanków po drodze.

– W podróży dookoła świata?! – wykrzykuje. – Przez jak długi czas będziesz podróżować i gdzie są twoi znajomi? – dopytuje dziewczyna.

– Przez sześć miesięcy, a znajomi są w domu, bo podróżuję sama – wyjaśniam.

Sekretarka notuje, a pani dziennikarz, jakby zbita z tropu, myśli nad kolejnym pytaniem.

– To straszne! – wykrzykuje jeszcze głośniej. – Musisz być bardzo samotna – dodaje wyraźnie zatroskana. – Nie boisz się?

– Czy się nie boję? Czasami tak, ale samotna nie jestem nigdy, bo jak człowiek podróżuje sam, to jakoś łatwiej poznaje nowych ludzi. Jest chętny do rozmów, chociażby takich jak ta, a inni chcą się o niego zatroszczyć. To nie takie straszne – uśmiecham się do nich.

Widzę w oczach Eli, że chce wiedzieć więcej, ale coś jej każe zadawać standardowe pytania o to, skąd jestem, jak mi się podoba Dżakarta, ile mam lat. Na koniec wyjaśnia, że w ramach pracy domowej musi przepytać kilku obcokrajowców, ćwicząc w ten sposób język angielski.

– Idź tam, do Cafe Batavia, to najładniejsze miejsce w całej Dżakarcie. – Rezolutna nastolatka odsyła mnie na drugą stronę placu. – Dziękuję –

rzuca i odchodzi w innym kierunku, a za nią biegną, znów chichoczące głupkowato, kumpele.

Cafe Batavia mieści się w drugim najstarszym budynku w centralnej Dżakarcie, zaraz przy placu Fatahillah. Wystarczy popatrzeć na ten budynek, aby przenieść się do dziewiętnastowiecznego kolonialnego królestwa, którym była wówczas, zarządzana przez Holendrów, Indonezja. Jeszcze do 1949 roku obecna Dżakarta nosiła nazwę właśnie Batavia i była stolicą Holenderskich Indii Wschodnich. Dziś po tych koneksjach pozostało niewiele, między innymi ta właśnie kamienica. Czerwona dachówka, przeszklone ściany, piękne drewniane okiennice i wykończenia, ukryte w cieniu dwóch wielkich palm. W środku różnorodne wnętrza przesiąknięte zamierzchłymi czasami. Jest skrzypiący parkiet wymieszany z wyślizganymi kafelkami, są zdobione sklepienia i płaskie, obwieszone lampami sufity. Są staroświeckie meble i wyblakłe zdjęcia w sepii na większości ścian.

– Kawę z mlekiem poproszę – zamawiam z półuśmieszkiem, oddając kelnerce menu.

Przy płaceniu orientuję się, że to była prawdopodobnie najdroższa kawa w moim życiu. Warta grzechu, bo w duchu tej kafejki można się zadurzyć.

Podobnie zresztą w niewielkim straganie na pobliskiej przecznicy, gdzie sprzedają wszystkie owoce świata i trochę pamiątek.

Fragment z dziennika

Dżakarta, Indonezja. 27. dzień podróży dookoła świata.

Dochodzi 21:00. Przez hotelowe drzwi wkracza dziewczyna w śnieżnobiałej koszuli i eleganckiej spódnicy za kolano. „Julia?" – pyta. "Tak, to ja! Miło cię wreszcie poznać Gadis. Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że tu jesteś". Razem z Gadis i czekającym w aucie jej chłopakiem jedziemy do wyglądającej wyśmienicie restauracji na iście indonezyjską ucztę.

– To skąd znasz Kubę? – dopytuje Gadis.

– Pracowaliśmy razem przy kilku serialach. Gdy tylko zobaczył, że

w planie mojej podróży jest Dżakarta, od razu wspomniał o tobie i swoim wyjeździe do Indonezji – wyjaśniam. – Cieszę się, że udało nam się spotkać. Gdzie dokładnie mieszkasz?

– Dwie godziny jazdy stąd – w ciągu dnia, nocą – godzinę. Blisko – śmieje się Gadis, a chłopak przytakuje. – Dla nas to blisko. Wiem, że Dżakarta jest okropna, ale wierz mi – można się do niej przyzwyczaić, a nawet polubić. Poza tym nie mam wyboru, bo to tu jest praca. Marzyłoby mi się mieszkać na Bali, ale o karierze tam nawet nie mam co marzyć. Tylko tutaj młodzi ludzie mają szansę.

Rozmowę przerywa nam kelnerka. Stawia na stole czerwony ryż z chrupkami ubity w równe kuleczki podane na zielonym liściu, a obok *pisang goreng sambal roa*, czyli apetycznego, smażonego banana. Za chwilę lądują też przed nami grillowane ośmiorniczki z ostrą nutą, pachnące orzechowym sosem *sataye*, tofu z miodem, naleśniki z kokosowymi musami, indonezyjska sałatka *gado-gado* i mrożona herbata. Pierwszy raz od dawna piję coś w szklance wypełnionej lodem, którego unikam zazwyczaj ze względów bakteryjnych, więc celebruję każdy łyk i proszę o dolewkę. Cieszę się również każdym kęsem, bo to jedzenie to niebo w gębie! Jawajska kuchnia zachwyca mnie od samego początku. Wszystko jest bardziej słodkie niż ostre i to zdecydowanie trafia w mój kulinarny gust. A w tle mruczy jawajska muzyka na żywo i ciągną się rozmowy o Indonezji z Indonezyjczykami – nie mogłabym sobie lepiej wymyślić ostatniego wieczoru w dość przeciętnej Dżakarcie.

Wyspa Jawa, Dżogdżakarta

Do Dżogdżakarty (Yogyakarty), miasta położonego u podnóża wulkanu Merapi, które z Dżakartą łączy jedynie podobna nazwa, lecę z rana lokalnymi liniami. Z długiej podróży pociągiem rezygnuję ze strachu – boję się jechać sama taki kawał, ale nie boję się podejrzanych linii lotniczych! Z perspektywy czasu nie potrafię zrozumieć swojego toku rozumowania. Podjęłam jednak tę nielogiczną decyzję. Na szczęście bilans startu i lądowania wyniósł 1:1.

Przy bramce czekają na mnie Farah i Gusti – znajomi Gadis, która po wczorajszej kolacji dała im znać o moim przyjeździe – studenci z tzw. Dżogdży. W rękach dzierżą kartkę, na której wypisane jest moje imię. I dobrze, bo nie mam pojęcia, jak miałabym ich rozpoznać. Ona – pulchna dziewczyna, z długimi włosami i szczerym uśmiechem, pochodzi z Sumatry. On – drobniejszy chłopak z Bali, który z wyglądem Farah nie ma nic wspólnego.

– Musimy poczekać chwilę na naszego kolegę – mówi Farah, przemiła dziewczyna z radosnymi oczami, gdy stajemy koło ich skutera. – W trójkę, razem z twoim plecakiem, się nie zmieścimy, ale on zaraz będzie.

Po godzinie podjeżdża na kultowej vespie gość z długim włosem. Wita się z nami bez jakiegokolwiek zażenowania, że tyle się spóźnił. Wrzuca mój plecak przed siebie. Ruszamy zakorkowaną przez samochody, motory i konne powozy drogą w stronę Malioboro, handlowego centrum miasta. Po kilku nieudanych próbach znajdują dla mnie wreszcie nocleg – wcale nie fajny i wcale nie tani, ale położony w dosyć dobrej lokalizacji. A potem idziemy na obiad do hiszpańskiego baru Mi casa, tu casa na indonezyjską ucztę w latynoskich klimatach, w miejsce gdzie lu-

bią przebywać.

Fragment z dziennika

Dżogdżakarta, Indonezja. 28. dzień podróży dookoła świata

W Dżogdżakarcie jest dużo dobrych uniwersytetów, a do tego większy spokój niż w stolicy kraju. Moi nowi znajomi studia skończyli już jakiś czas temu, ale odwlekają, jak tylko mogą, oddanie pracy zaliczeniowej. Nie chcą stąd wyjeżdżać. Dlaczego? Bo Dżogdżakarta pozwala im na beztroskę, bo większość z nich pracy musi szukać w stolicy, a żadne nie chce tam mieszkać.

Farah, główna organizatorka i mój tutejszy anioł stróż, poznaje mnie z chyba całym swoim wydziałem, a każdy z tych nowo poznanych chce pokazać mi w Dżogdżakarcie swój kawałek świata. Idziemy więc na włoskie lody, które uwielbia jedna z dziewczyn. Potem do tzw. kasty, gdzie mieszkają chłopaki, czyli czegoś pomiędzy akademikiem a stancją. Dalej do ulubionego baru kogoś innego, na spacer do parku, na zakupy, do galerii obwieszonej prześlicznym batikiem (materiałem na Jawie uważanym za jawajski, a w Malezji za malezyjski). Wreszcie, grubo po północy, ruszamy na uliczne żarcie. Wszędzie z fajką w zębach, bo wszyscy tu kopcą jak smoki, jednego za drugim.

Grzejemy w jakiś ciemny zaułek, kręcąc się i omijając jednokierunkowe uliczki. Czmychamy daleko od zgiełku, żeby zatrzymać się przy samotnie rozstawionym na chodniku tymczasowym warungu, czyli rodzinnej niby-restauracji.

– *Gudeg* to tradycyjne jawajskie danie z Dżogdży, tu jest nasze ulubione – rzuca Farah, gdy zeskakujemy ze skuterów.

– To długo gotowany niedojrzały jackfruit. Wiesz, co to? – pyta raczej retorycznie, nie zostawiając mi czasu na odpowiedź. – Najlepszy jest ten nakładany ręką przez kucharkę. Tak się przynajmniej mówi, że to właśnie dodaje smaku. Zresztą zobaczysz, co ona zrobi.

Szefowa ulicznej kuchni dłonią, niczym chochlą projektu Jamiego Olivera, nakłada na liście mazię przypominającą gulasz. Dorzuca odrobinę kurczaka, kleisty ryż, malutkie jajka na twardo i serwuje solidną porcję

każdemu z nas. To brązowe danie na zielonym kawałku liścia nie wygląda zachęcająco. Siadamy na macie, tak po prostu rozłożonej na chodniku pod wielkim drzewem, dostajemy po kubku imbirowego napoju i kosztujemy. *Gudeg* zachwyca smakiem, połączeniem kokosowej nutki z ziołami oraz ostrości wymieszanej z łagodnością. Smaku dodaje też atmosfera, w jakiej spożywamy posiłek.

– Czy to prawda, co pokazali w filmie *Stadiony nienawiści*? – rzuca dotychczas milczący chłopak w typie miśka, Yoga. – Czy naprawdę tacy są wasi?

Okazuje się, że Yoga to drugi, po mnichu z Penang, wielki fan polskiej piłki, którego spotykam w podróży. Chłopak marzy o karierze dziennikarza sportowego. O światowym futbolu wie wszystko, a przynajmniej więcej niż ja. Więcej niż ja wie też o tym naszym, krajowym. Przez kolejne piętnaście minut tłumaczy mi, kto jest kto, ile strzelił bramek, i za co kocha polską piłkę.

– Też znam jednego sławnego Polaka, Kowalskiego – wtrąca w końcu Farah. – Pingwina z Madagaskaru!

Wszyscy wybuchamy śmiechem. Ja też, bo dotychczas myślałam, że Kowalski występuje tylko w polskiej wersji językowej, a tu proszę – światowa kariera pingwina. Kto by pomyślał?

W drodze na wulkan Merapi zatrzymujemy się na śniadanie w House of Ramiten, warungu prowadzonym przez miejscowego artystę, występującego jako *drag queen*. Wszystko jest tu unikalne, dosłownie wszystko! Od obsługi, przez projekt menu, aż po dizajn wnętrza. Pomiędzy stolikami, stojącymi w porozrzucanych po ogrodzie bambusowych chatkach, biegają koguty, a właściciel patrzy na gości z licznych portretów, oczywiście przedstawiających go w odsłonie scenicznej i pełnym makijażu, również w toalecie.

– Historia jest taka, że on podobno podpisał pakt z diabłem – informuje długowłosy od vespy, odpalając kolejnego papierosa. – Jedziemy? – popędza nas i wstaje z podłogi.

Góra Merapi, bo to jest nasz cel na dziś, to po jawajsku zwyczajnie Góra Ognia, czyli najaktywniejszy wulkan Indonezji i jeden z najbardziej

nieznośnych na świecie. Leży zaledwie 30 kilometrów na północ od Dżogdżakarty i straszy regularnie co kilka lat.

Skutery porzucamy na jednym z zakrętów. Pod górę wchodzimy piechotą, aż do położonej niedaleko krateru wioski Kinahrejo, w której życie skończyło się parę lat temu. To długa wycieczka, prawie jak na inną planetę, a to, co zastajemy na końcu, to krajobraz iście księżycowy. Widok przepełniony szarością i ruinami, życiem, które zastygło – ot tak, pewnego dnia. Kraina, do której roślinność, bardzo nieśmiało zresztą, zaczyna dopiero zaglądać. Wcześniej nie miała po co, bo wyjałowiona i przykryta warstwą pyłu gleba nie zachęcała do odrodzenia. To miasto, w którym wulkan złapał chwilę: są tu pootwierane szuflady, porozrzucane zabawki, źle zaparkowane samochody – tak jakby coś działo się tutaj wczoraj. To taki żywy, a zarazem martwy pomnik ostatniej erupcji. Jest ponuro, groźnie, przerażająco.

Dochodzimy do małej flagi zamocowanej na zgliszczach.

– To tu mieszkał Mbah Maridjan, patron i strażnik góry. 83-letni staruszek zginął podczas modlitwy przed wybuchem w 2010 roku. Z wulkanu wylatywały gorące gazy, a on wykrzykiwał, że musi tu zostać, bo Kinahrejo to jego miejsce – wyjaśnia jeden z chłopaków, którego nazywam (nie bez powodu) Przewodnikiem. – Razem z nim zginęło trzynaście osób, które starały się go przekonać do ucieczki – dodaje, wskazując na spalony wrak.

– Czyli ostatni wybuch był w 2010 roku? Ile zginęło osób?

– Ponad 300, ale wulkan uaktywnia się zazwyczaj co dwa lub cztery lata, więc niedługo pewnie znowu coś się wydarzy…

– Ale my tu mamy dobre systemy ostrzegawcze, tylko czasami ludzie są uparci… – przerywa mu Yoga.

– I to też trzeba uszanować – kończy Gusti.

– Ludzie wierzą, że bogowie przenieśli tu górę dla równowagi z innego krańca Jawy, a duchom wulkanu to się po prostu nie podoba. Dlatego wciąż wybucha – klaruje, jakby sam szukając uzasadnienia, Przewodnik.

Ale to nie ostatnia historia o dziwnych zjawiskach i zachowaniach, którą słyszę w Dżogdży. Po zwiedzeniu wodnego pałacu Taman Sari,

późnym wieczorem dobijamy do Alun-alun Kidul, czyli południowego placu Dżogdżakarty. Na skwerze – zbiegowisko, dzieci i dorośli bawią się doskonale. Wokół kursują obwieszone kolorowymi światełkami samochodziki, o często zaskakujących kształtach, a z ich głośników tłucze dokuczliwa muzyka. A na środku tej miejskiej areny tkwią dwa bliźniacze drzewa, Beringin Kembar, czyli baniany. Przejść między nimi, nie patrząc, to sztuka, która udaje się niewielu.

W pałacu Taman Sari w Dżogdżakarcie

– Spróbujesz? – namawia mnie Gusti, który właśnie z zawiązanymi oczami chciał wejść między drzewa, ale pod wpływem jakiejś dziwnej energii, skręcił w prawo.

– Jeśli z zamkniętymi oczami uda ci się przejść pomiędzy nimi, to znaczy, że twoje serce jest czyste i twoja prośba może zostać spełniona – tłumaczy Farah. – Jedna z legend mówi o księżniczce, która nie chciała poślubić pewnego mężczyzny, inna o tym, że bliźniacze drzewa są przejściem do Morza Południowego.

Odmawiam. Ze strachu przed tymi dziwnymi siłami. Spontaniczności

muszę się jeszcze nauczyć.

Wyspa Bali

Mija miesiąc. Niby niewiele, ale to pierwszy miesiąc w moim życiu, kiedy jestem tak długo bez najbliższych. I tak od nich daleko. Stoję w hali przylotów, mam gęsią skórkę na plecach, czekam. Z jednej strony cieszę się, że zaraz do mojego podróżniczego świata dołączy ktoś bliski, z drugiej – boję się, że ten ktoś zabierze mi moją przytulną przestrzeń. Przestrzeń, w którą podróżując w pojedynkę, wpuszczam innych tylko z wyboru.

– To zawsze tak długo trwa – zagaduje stojąca obok dziewczyna w stylu hipiski. – Jak się na kogoś tak bardzo czeka, to zawsze tak długo trwa... Nie widziałam mamy od pół roku. A ty na kogo czekasz?

Gdy wychodzi przez drzwi, rzucam jej się na szyję i obydwie zaczynamy się głupkowato śmiać, a oczy zachodzą łzami.

– Jak tam? Zmęczona? – podpytuję.

– Nie, lot był super. Dobrze wyglądasz – odpowiada moja mama, przytulając mnie z matczynym uczuciem.

– Ty też. – „Cieszę się, że jesteś", dopowiadam w myślach.

Zatrzymujemy się w Candidasie, miasteczku po drugiej stronie wyspy, bo tu prowadzi mały ośrodek babcia mojej koleżanki z liceum. Alicja, z którą nie miałam większego kontaktu od czasów matury, napisała do mnie jakiś czas temu, proponując, żebym to tu zatrzymała się, będąc na Bali. Kolejny przypadek?

Candidasa jest martwa. To turystyczna wioska, gdzie poza sezonem wieje nudą. Tym bardziej gdy docieramy tam po zmroku, a wszystko jest już zamknięte. Hotel, w którym miałyśmy się zatrzymać, też.

– Jesteś pewna, że to tu? – sprawdza mama, gdy zabieramy rzeczy

z taksówki.

– Chyba. Tak mi pisała Ala. Miała powtórzyć babci, że przyjedziemy – staram się uspokoić i siebie, i ją.

– Okej, ale mi się wydaje, że tu nikogo nie ma...

– Mamo, proszę cię, nie panikuj – odpowiadam rozdrażniona, pukając już chyba do trzecich drzwi.

W końcu przemiła dziewczyna, z brzuchem jak balon, obudzona chyba z wieczornej drzemki, otwiera furtkę.

– Dobry wieczór, jestem koleżanką Alicji, wnuczki właścicielki, Julia – przedstawiam się, wciąż zaniepokojona, czy to dobry adres.

Dziewczyna w ciąży rozciąga usta w uśmiechu.

– Jak się ma Ala? Wchodźcie, na pewno jesteście zmęczone. Jestem Ilu. Już idę po Mamę Izę – kończy, znikając w ciemności.

Mama Iza, bo tak ją tu wszyscy nazywają, wita nas z otwartymi ramionami i poleca obsłudze dobrze się nami zająć. Drobna, starsza pani z wielkimi pokładami pozytywnej energii, ubrana w suknię w kwiaty. Od razu bierze nas pod swoje skrzydła i kwateruje w domku obok swojego. Jesteśmy tu my, ona, dwa małżeństwa z Holandii, które do hotelu Iguana przyjeżdżają od lat, oraz pięć uratowanych kiedyś kotów. Widać, że miejsce zamiera w nudzie, trochę zapomniane, zakurzone i może już trochę niechciane.

Babcia na Bali gdzieś w okolicach Ubud.

– Za rok kończy się nam dzierżawa – opowiada rano, gdy jemy śniadanie nad basenem, z widokiem na morze. – I już jej chyba nie przedłużymy. Tyle lat sprowadzamy biżuterię, wygodnie było mieć tu swoje miejsce, ale ja już nie mam siły.

– Biżuterię do Polski? – zgłębiam.

– Tak. Na Bali robi się dużo pięknego srebra, zresztą zobaczycie w Ubud. Mamy takiego chłopaka, tu na miejscu, który nam pomaga, ale z nimi łatwo się nie pracuje – opowiada. – Dla nich najważniejsze są te różne ceremonie i wtedy rzucają wszystko. Nawet teraz, chociaż w hotelu jest pusto – mam aż pięć osób w pracy, bo przez te ich obrządki, ktoś ciągle musi wyjść. Prowadziliśmy hotel, bo spędzaliśmy tu tyle czasu, że było nam łatwiej. Ale ja już nie mam siły, nie to zdrowie. Cieszę się, że przyjechałyście, zjemy razem kolację – oświadcza, zostawiając nas pod palmą.

Odpoczywamy leniwie i beztrosko, jak na wakacjach *all inclusive*. Brakuje nam tylko pięknych piaszczystych plaż, bo te w okolicy przysypane są czarnym, klejącym się pyłem, jeśli w ogóle są. Na szczęście basen – tylko dla nas – wynagradza te braki. I właśnie wtedy obiecuję sobie, że już nigdy nie będę spała w żadnej przebrzydłej norze. Nie, woda sodowa nie uderza mi do głowy, nic z tych rzeczy. Utwierdzam się tylko w przekonaniu, że budżetowy reżim z zerem wygód i gromadą pluskiew – to nie jest to, w czym czuję się najlepiej. Powoli spostrzegam swoją podróżniczą manierę, a doświadczając, uczę się. Wciąż się czegoś uczę…

Z mamą Anią podczas wycieczki na skuterze po wyspie Bali

– Czy ty chciałeś nas zabić? – Wściekła rzucam kluczami o ladę. – To gówno nie ma hamulców!

– Mówiłem, że może pani wziąć nowsze auto – odpowiada bezczelnie brudny gość z przydrożnej wypożyczalni, wyciągając mój paszport z szuflady.

Łapię go szybko, zanim zdąży zareagować.

– Jeszcze pieniądze – dodaję.

Te też oddaje bez mrugnięcia okiem, jakby doskonale wiedział, że wsadził nas do jeepa, który nie powinien już nigdy wyjechać na te kręte drogi.

Z firmy naprzeciwko biorę skuter, ale po samochodowej przestrodze sprawdzam wszystko trzy razy i idę się przejechać na próbę.

– Ale ty będziesz wiedziała, jak tym jeździć i to po lewej stronie? – niepewnie pyta mama, gdy wręczam jej obdarty kask.

– Mamo! – odkrzykuję, nie zdradzając swoich wątpliwości.

Mam nadzieję, że tak, bo z doświadczeń jednośladowych mam na

koncie jedynie nieukończony kurs na prawo jazdy.

Ostrożnie ruszamy w kierunku Tenganan, do starej wioski położonej na pobliskim wzgórzu. Suniemy pod górę, zaciskając zęby za każdym razem, gdy mija nas rozpędzona ciężarówka. Oczywiście żadna ze stron nie zwalnia i swoim „oddechem" przesuwa nas delikatnie w kierunku pobocza. Mama ściska mnie mocniej w pasie. Po pierwszych trzydziestu minutach z przyjemnością odstawiam skuter. Idę się przejść.

Od bramy, na której przybite są dwa martwe ptaki, wyłożona kamieniami ścieżka prowadzi nas do jednej z małych świątyń. Oczywiście, tlą się tu kadzidełka i pachnie porozrzucanymi kwiatami plumerii, które od początku stały się dla mnie zapachem Bali. Spokój zakłócają farbowane koguty, które – schowane pod koszami – czekają chyba na czas walk, oraz przechadzające się, ot tak – bawoły.

Wejścia do identycznych chatek ustawionych wzdłuż drogi obwieszone są kolorowymi tkaninami na sprzedaż. Tenganan to prawdopodobnie jedno z ostatnich miejsc, gdzie produkuje się podwójnie tkany materiał, zwany *geringsing*.

Ściany innych domów przyozdobione są różnej wielkości balijskimi maskami, z których większość straszy, a nie bawi albo płaskorzeźbami wszechobecnych gekonów. Ktoś plecie koszyki, ktoś sprzedaje miód, ktoś inny ma małe poletko ananasów i dokarmia przechodniów. Wszystko jest na sprzedaż. Na pierwszy rzut oka to miejsce – opisywane zazwyczaj jako ostoja jednej z najstarszych indonezyjskich kultur – przypomina skansen połączony z targowiskiem. Nikt się tu nie przepycha z naciąganiem, ale też nikt nie wygląda na autentycznego mieszkańca wioski. No, może oprócz chłopca, który z wielkim wokiem na głowie wychodzi z lasu – on jest bardzo prawdziwy.

W przeciwieństwie do sławnej plaży Pasir Putih, czyli plaży z białym piaskiem. Żal, że piasek jest tu średnio biały, ale za to zastawiony równiutko poustawianymi leżakami i parasolami w paski. O relaksie jak na bezludnej wyspie można zapomnieć.

– *Mahi mahi* jest pyszna. Spróbujcie – zagaduje do nas Australijka w knajpie obok plaży i z tematu grillowanej ryby szybko przechodzimy

na temat podróży.

– Jeśli jedziesz do Australii, musisz umieć powiedzieć dwie rzeczy: *No worries*... – zawiesza głos i czeka, aż powtórzę.

– *No worries*.

– I *thanks mate!*...

– *Thanks mate!* – kopiuję jej dziwny akcent.

– Tym kupisz każdego Australijczyka. Gdzie jedziesz? – zgłębia.

– Ląduję w Sydney, a potem pociągiem chcę dojechać do Cairns.

– Dziewczyno, pociąg to najgorszy pomysł! – przerywa mi jej mąż. – Pociągi w Australii są drogie, powolne i stare. Lepiej już autobusem. Po wschodnim wybrzeżu kursuje ich dużo. Albo samolotem – szybko weryfikują mój plan.

Polecona przez nich ryba była rzeczywiście pyszna, może więc powinnam skorzystać z tych podpowiedzi?

Małpy w Ubud na Bali. W zachowaniu łudząco przypominające ludzi

Kolejną próbę poznania Bali podejmujemy w towarzystwie kierowcy, który ma nas obwieźć po nietuzinkowych lokalizacjach. Jak na złość, odhacza chyba punkty ze słabego przewodnika. Na początek lądujemy w świątyni nietoperzy, Goa Lawah, w wiosce Pesinggahan. Odziane w barwne sarongi[1)], za wcale niemałą opłatą, idziemy się rozejrzeć. Po dziesięciu minutach ruszamy dalej. Magia nie zadziałała. Równie szybko

zwiedzamy plantację kawy, jedną z tych, w której można spróbować sławnej *kopi luwak*[2]. To jedyny plus, bo atrakcja z tego zwiedzania żadna.

1) Szale osłaniające nogi.

2) Najdroższa kawa świata.

Zachwytom nie ma końca dopiero w Pura Besakih, u podnóża góry Agung, w największej świątyni balijskiego hinduizmu. Rozstawione na kilkunastu poziomach idealnie proporcjonalne wieżyczki, przyodziane w żółte szaty posążki, parasolki z frędzlami i schody aż do nieba – to wszystko razem robi wrażenie już z parkingu. Uroku miejscu odbierają, niestety, naciągacze, którzy wręcz agresywnie atakują nas zaraz po wyjściu z auta.

– Kup sarong. Tanio. – Staje przed nami kobieta z rękami pełnymi, pięknych skądinąd, materiałów.

Chociaż mamy swoje, przekonuje nas, że wejść możemy jedynie w tych od niej. Kłamie, szybko można się zorientować po jej natarczywości. Przy samym wejściu witają nas prośbą o „dotację", która z dotacją nie ma nic wspólnego – jest to po prostu regularna opłata w stylu „co łaska". Wrzucamy kilka drobniaków. Wkurzone, idziemy dalej. Ale wtedy dopiero się zaczyna.

– Nie możesz tam iść. – Wyrasta przede mną cwany podrostek, którego staram się ominąć z prawej, ale ten ciągnie mnie mocno za ramię. – Nie możesz tam iść! Nie słyszysz?! Musisz iść z przewodnikiem.

Odsuwam jego rękę i bez słowa odchodzę, ale za chwilę pojawia się drugi.

– Nie wolno wam tu wchodzić, musicie mieć przewodnika.

Łapie mamę za rękę. Obrzucam kłamcę pogardliwym spojrzeniem. Krzyczy za nami, ubliżając nam zapewne po balijsku. Mam ochotę mu odpysknąć, ale gryzę się w język.

– Stop. Dalej nie wolno. – Na środku schodów próbuje nas zatrzymać kolejny.

Nie odpuszcza. Tym razem wdajemy się w pyskówkę.

– Nie kłam. Już mamy bilet kupiony przy wejściu – mówię stanowczo.

– Żeby iść dalej, musisz zapłacić za przewodnika. Nie dyskutuj i płać – żąda.

– Nie dam ci ani grosza. – Staram się przejść, ale mocno chwyta mnie za nadgarstek.

Wyrywam się i krzyczę, żeby odszedł. Chyba uwaga innych go odstrasza.

Oni wszyscy kłamią. Możemy zwiedzać, co nam się podoba, bo już za to zapłaciłyśmy. Tyle że wcale nam się tu już nie chce chodzić – naciągaczom nie udało się nas okraść, ale udało się odebrać uczucie przyjemności.

Bali pogrąża się w naszych oczach jeszcze bardziej, gdy zatrzymujemy się w sławnych gorących źródłach Batur Natural Hot Springs, nad jeziorem Batur. Baseny w kiepskim stanie, podłoga, po której raczej nie chce się chodzić na boska, i brudna woda – niewarte 50 złotych za wstęp.

Nasz kierowca chce nas zabrać do pobliskiej knajpy, ale zgodnie każemy mu przystanąć w barze przy drodze. I szybko żałujemy, bo kucharzowi pomaga gotować stado much. Zamawiamy wegetariańską wersję *nasi goreng*, czyli smażonego ryżu, co wydaje nam się najbezpieczniejszym wyborem.

– Okej? Okej? – pyta starszy pan, który z gołym dzieckiem na ręku wychodzi z zaplecza. – Okej? Okej? – powtarza, podnosząc kciuk w górę.

Przytakujemy z uśmiechem, jest przemiły.

Fragment z dziennika

Bali, Indonezja. 35. dzień podróży dookoła świata

Na szczęście, w drodze powrotnej do Candidasy zaczyna padać deszcz. Czemu mnie to cieszy? Bo krajobraz się zmienia, robi się zagadkowo, intensywnie zielono, lasy i doliny spowite są mgłą, a jeździe krętymi drogami zaczyna towarzyszyć dreszczyk emocji. Może na Bali trzeba by przyjechać w porze deszczowej? Jakoś jest chyba… ładniej, gdy pada. Namawiam naszego kierowcę, żebyśmy wrócili inną trasą i jest fantastycznie. Mijamy malutkie wioski, zatrzymujemy się przy ryżowych tarasach, gdzie miejscowi w zewnętrznych łazienkach biorą nagie kąpiele, a na koniec odwiedzamy pałac na wodzie, Taman Ujung.

Wyspa Gili Meno

Punktualnie o dziewiątej rano, z pobliskiego portu w Padang Bay, razem z tłumem imprezowej młodzieży, wypływamy w kierunku archipelagu trzech wysp Gili. Mamy wysiąść na Trawangan, ale na tym przystanku łódź pustoszeje, co zachęca nas, żeby popłynąć dalej. Obydwie, po natręctwie Balijczyków, mamy ochotę się gdzieś zaszyć. Gdy motorówka dobija do Gili Meno, wysiadamy już tylko my. Brodząc po kolana w krystalicznej wodzie, wychodzimy na boską, pustą plażę.

– Jest pięknie – wzdycham sama do siebie, gdy w małej altance tuż przy morzu popijamy fioletowy sok z pitai, czyli smoczego owocu. Mama przytakuje, wznosząc toast.

Wynajmujemy przyjemny bungalow w hotelu Biru Menu, a potem rozkładamy się plackiem i łapiemy świeże promienie słońca, schładzając się co jakiś czas w przyjemnie ciepłej wodzie. Ta do brzegu dobija delikatnie, nie budząc sprzeciwu fal, ale tworząc za to idealne warunki do nurkowania. Szybko wypożyczam płetwy oraz maskę i zanurzam się w głębiny. W towarzystwie kalejdoskopowych koralowców i równie barwnych ryb wypatruję gdzieś przy dnie żółwia. Wracam tu kilka razy, bo cudne widoki śnią mi się po nocach.

– Mamo, musisz spróbować – namawiam ją kilkukrotnie, wiedząc, jak nieznośnym uczuciem jest dla niej moczenie głowy. W końcu się zgadza, ale z wody wyskakuje jak kot z kąpieli. Cóż, przynajmniej spróbowała.

Pusta, piękna plaża na wyspie Gili Meno

Fragment z dziennika

Gili Meno, Indonezja. 38. dzień podróży dookoła świata

Spacerujemy wokół wyspy, bo jest na tyle mała, że można ją przejść piechotą. Mijamy kilka ośrodków, które splajtowały po atakach terrorystycznych na Bali w 2002 oraz zamachach w 2005 roku – zamachach, które echem odbiły się też i tutaj. Największy hotel na wyspie, z basenem przy plaży, popada w ruinę. Obok drugi, który spotkał ten sam los – teren na sprzedaż. Za zakrętem wraca życie: szkoły nurkowania, nowe bungalowy, knajpki i bary. Plaża jest miejscami szeroka, a miejscami bardzo wąska. Morze za to czasem spokojne, a gdzie indziej dość wzburzone. Pod palmą zaczepia nas sprzedawczyni świeżych owoców, która, oprócz soczystego mango, daje mi lekcję noszenia kosza na głowie, co okazuje się wielkim wyzwaniem. A wyglądało tak łatwo!

Nauka noszenia kosza na głowie na wyspie Gili Meno

– Polacy – szepcze mama, gdy siadamy do kolacji w jednej z knajp.

Dwie pary, pewnie jakoś koło czterdziestki, przy stoliku obok rozmawiają po polsku.

– Dobry wieczór – odwraca się do nich z uśmiechem.

– Dobry wieczór – odrzuca opryskliwie jeden z nich, a reszta udaje, że nie rozumie. Już drugi raz trafia mi się spotkać rodaków, którzy z innymi mają jakiś problem.

– Ale ona jest gruba! Pewnie dlatego taka nadęta – nie mogę się powstrzymać od niegrzecznego komentarza.

– To może zazdrość…

– Moja?! – pytam oburzona.

– Też się już z tym spotkałam na Kostaryce. Polakom chyba nie podoba się to, że innych też stać na to, co oni robią. Wiesz, że stać ich na wyjazd w egzotyczne kraje.

– Myślisz? – dopytuję, nie będąc przekonana do jej teorii.

– Kiedyś niewielu mogło jechać, dziś to żadne wyzwanie, ale niektó-

rzy chyba nie mogą się z tym pogodzić – tłumaczy swoją myśl. – Zresztą, jak my jeździliśmy do Rumunii te trzydzieści lat temu, to Polacy byli tacy sami.

– A może boją się, że coś będziesz od nich chciała? Wiesz, jak to jest, nikt nie wierzy w bezinteresowne rozmowy – dodaję. – Takich pytań jak „co tam?", „jak tam?" raczej się u nas nie zadaje nieznajomym, nawet jak się chce.

– Może. Albo po prostu czegoś się wstydzą.

Rozmowę o polskości mogłybyśmy pewnie pociągnąć dłużej, gdyby na naszym stole nie wylądowała ryba z grilla, z kolbą kukurydzy, frytkami i sałatką á la Colesław. Zestaw mało egzotyczny i niestety też mało smaczny.

– Na żadnej z tych wysp nie zjecie świeżej ryby. Wszystkie przywożone są z Lomboku, tu nikt nie łowi. To lenie, nie opłaca im się. Na kolację najlepiej weźcie pizzę – tłumaczy nam później w barze Anglik serwujący drinki z palemką.

Wyspa Gili Air

Po trzech ospałych dniach wypływamy w kierunku Gili Air, na wyspę nieco bardziej ruchliwą. Niektórzy mówią, że Meno jest na miodowe miesiące, Air dla par, a Trawangan dla tych, co szukają wrażeń.

Fragment z dziennika

Gili Air, Indonezja. 40. dzień podróży dookoła świata

Po piętnastu minutach jesteśmy w innym świecie. Port jest większy, ludzi więcej i jest znacznie głośniej, ale obydwie cieszymy się z tej odmiany. Znajdujemy domek na prawo od przystani w takiej samej cenie co na Meno, tylko warunki nieco gorsze, plaża mała, a przed chatką – droga. Ale urok właścicielki przekonuje nas, żebyśmy zostały. Jej twarz promienieje radością! Wypożyczamy rowery, które – obok małych konnych powozów – są tu głównymi środkami transportu i jedziemy na przejażdżkę. Za pierwszą linią hoteli jest wioska, zupełnie prawdziwa. Są kolorowe domki, małe uliczki, siłownia domowej roboty, uprawy kokosów, mango na drzewach, biegające w tę i z powrotem wychudzone koguty oraz krowy pasące się na… wysypisku śmieci.

Okazuje się, że sercem tych uroczych indonezyjskich wysp jest „syf”, czyli nie taki naturalny rozgardiasz, tylko śmietnik. Gili Air to jeden wielki chlew w ładnym opakowaniu. Z zewnątrz jest pozamiatane, ale w środku: plastikowe butelki, sparciałe opony, worki foliowe, rupiecie – wszystko się tu piętrzy. Mijamy wysypisko, plażę Sunset Beach, najładniejszą podobno na wyspie, i jedziemy dalej na naszych podrdzewiałych „góralach”.

– Magicznego grzybka? – Zaczepia nas biały chłopak z dredami, który zjadł ich w swoim życiu pewnie tysiące. Zupełnie przez przypadek trafia-

my w miejsce, gdzie wszyscy są w transie.

– Dzięki. – Przechodzę z rowerem dalej i zatrzymuję się przed menu knajpy, w którym są chyba trzy różne szejki z dodatkiem owych grzybków.

Z muzyką dudniącą z głośników przekrzykują się ci, którzy dziś już za dużo wypili albo wypalili, bo w powietrzu wyraźnie czuć smród jaranego jointa.

– No to co chcesz robić dalej? – pytam mamę przy obiedzie.

– Obojętnie.

„Obojętnie" to najgorsza z możliwych odpowiedzi, gdyż zrzuca na ciebie całkowitą odpowiedzialność za podjęte decyzje i organizację wypoczynku innych. Co innego, jak się jest samemu – decydować można do woli, ale za kogoś – to już nie jest tak fajnie.

– Nie może być ci wszystko jedno – odpowiadam.

– Dostosuję się.

„Dostosuję się" to druga z najbardziej beznadziejnych odpowiedzi, która niby ma ułatwiać sprawę, a tak naprawdę ją utrudnia. Rzadko bywa tak, żeby dwie osoby pragnęły dokładnie tego samego i z tego samego czerpały radość. Nawet jeśli jest to matka i córka.

– Mamo, powiedz, co byś chciała robić – nie odpuszczam.

– No nie wiem. Naprawdę jest mi wszystko jedno.

Wkurzam się i chyba daję o tym znać, bo rozmowa tamtego wieczoru nie bardzo nam się klei.

Wyspy Flores i Rinca

Samoloty z czerwonym lwem na ogonie stoją w szeregu niczym posłuszni żołnierze. Lotnisko spowite jest delikatną mgłą, a my z bagażem w ręku, całkowicie zaspane, czekamy w kolejce. Po powrocie na Bali uzgodniłyśmy, że lecimy na Flores – wyspę, z której wypływa się na spotkanie ze smokami.

Fragment z dziennika

Flores i Rinca, Indonezja. 43. dzień podróży dookoła świata

Na skrzypiącym fotelu strach się poruszyć. Modlę się w duchu, żeby dolecieć, bo wiem, że do maszyny Lion Air nie powinnyśmy były wsiadać – nie bez powodu jest na czarnej liście linii lotniczych w Europie. Nie miałyśmy jednak zbyt dużego wyboru. Wszystkie tanie linie indonezyjskie to ponoć ryzyko. Odliczam czas do lądowania. Przez małe, podrapane okno widać tuż pod nami krater wulkanu. Potem kilka drobnych, intensywnie zielonych plamek z żółtym piaskiem i błękitnymi wodami wokół. Do tego bezkres mórz i oceanu, małe stateczki, a od czasu do czasu chmury przysłaniające widoki. Zbliżamy się do celu. Na lądowisku, pod słomianym dachem, czeka na nas facet z kartką „Miss Juli" – od razu wiadomo, o kogo chodzi.

Rozklekotanym, czerwonym samochodem bez okien telepiemy się do rybackiego miasta Labuan Bajo. Tam, po przedarciu się przez cuchnący targ, wsiadamy na kremową, nadgryzioną przez korniki łódkę. W tonacji zachodu słońca, po morzu spokojnym jak woda w wannie, zjawiamy się pod wysoką skarpą, do której przyklejone są bambusowe bungalowy.

– *Bonjour!* Witamy w Waecicu Eden Beach – wykrzykuje do nas z ta-

rasu kobieta w zwiewnej szacie.

– *Bon… jour…*

Hotel prowadzi francusko-indonezyjskie małżeństwo. Para, która poznała się lata temu w… podróży dookoła świata. Dziś mieszkają trochę tu, trochę tam, wyciągając to, co najlepsze zarówno z Indonezji, jak i z Francji. Miejsce takie jak to było ich marzeniem. Trudno się dziwić – tak właśnie wyglądać miał raj, którego po cichu szukałam. Raj z prądem przez pięć godzin dziennie i bez internetu, z dosłownie niebiańską plażą obok.

Na kolację dostajemy wreszcie świeżą, przepyszną rybę duszoną w ziołach i kieliszek wybornego, francuskiego oczywiście, wina.

– A jak tu jest z malarią? – pytam właścicielkę, która nas obsługuje. – Bo czytałam, że na Flores lepiej się zabezpieczać?

– Jeśli powiem ci, że mieszkam tu z dwójką małych dzieci i nie biorę żadnych lekarstw, to cię przekonam? – rozwiewa moje wątpliwości. – Chcecie rano płynąć do parku Komodo?

Fragment z dziennika

Flores i Rinca, Indonezja. 44. dzień podróży dookoła świata

Dryfujemy po spokojnych wodach w pełnym słońcu. Nawet mama, która nie przepada za pływaniem, wydaje się w siódmym niebie i opala się na dziobie. Skrawki mijanego lądu są różnorodne – zielone, wysuszone, małe i nieco większe. Wokół tylko błękit i ukryte tuż pod powierzchnią rafy koralowe. A za burtą, ot tak, tańczą sobie delfiny. Kawałek dalej ktoś łowi ryby, a my przemierzamy okolicę na naszym pomarańczowym statku i obserwujemy wszystko wokół, zajadając się soczystymi owocami. Po dwóch godzinach dobijamy na Rincę.

Wyspa Rinca, razem z Komodo, Padar i prawie trzydziestoma małymi enklawami, należą do Parku Narodowego Komodo, założonego w latach osiemdziesiątych. To tutaj żyją warany, największe jaszczurki na świecie, zwane smokami z Komodo.

– Musicie się trzymać blisko mnie, nie wolno wam się oddalać, zatrzymywać i robić zdjęć bez mojej zgody, zrozumiano? – mówi stanowczo nasz przewodnik wbity w uprasowany mundur, gdy po dokonaniu

opłat i podaniu danych przechodzimy przez bramkę w porcie. – Smoki mogą was zabić, zrozumiano? – straszy. – Pani trzyma ten kij – mówi, wręczając go mamie. – I odpędza, jak trzeba, zrozumiano?

Po kilku krokach staje.

– Nie macie menstruacji? – pyta ni stąd, ni zowąd.

Obie kiwamy głową na boki.

– To dobrze. Nie wolno tu wchodzić, jak się ma okres, bo jak wyczują krew, to koniec. Zrozumiano? – wyjaśnia.

Pierwszego smoka dostrzegamy chwilę potem. Leży sobie, jak gdyby nigdy nic, pod domem na palach i ani drgnie. Nawet nie odwraca łba w naszą stronę.

– Zaraz zobaczycie następne. Siedzą pod kuchnią, bo czują jedzenie. Możecie robić zdjęcia – zgadza się, a potem każe iść dalej.

Pod domkami odpoczywa z dziesięć – wielkich jak krokodyle – jaszczurek.

Stąpamy po cichu w cieniu przewodnika i przez wysuszone tereny docieramy na polanę, na której pod drzewem pasie się tłusty bawół.

– Zjedzą go tak jak tego. – Palcem wskazuje prawie pod nasze nogi, gdzie leży jedna, marna kość. – Dużo z niego nie zostanie, bo one zeżrą wszystko. A jak trzeba, to siebie nawzajem też. Idziemy, zrozumiano? – Popędza nas, a potem nagle zwalnia. – Stop!

W krzakach chowa się potężna jaszczurka, największa z tych, które dotychczas widziałyśmy, i pilnuje jaj przed napastnikiem, jakim może się stać nawet ojciec nienarodzonego potomstwa. Kawałek dalej siedzi druga.

– Po jednym z turystów zostały tylko okulary – plecie przewodnik. – Odłączył się od grupy i znaleźli go trzy dni później. Znaczy, tylko okulary znaleźli, bo resztę zżarły. Zrozumiano? – podkręca atmosferę, a my przytakujemy.

Uśmiechamy się do siebie z mamą, gdy nie patrzy, zdając sobie sprawę, że on mocno koloryzuje. Ale z drugiej strony wiemy, że smoki faktycznie atakują ludzi, więc w każdej z tych opowieści (a było ich kilka) musi być odrobina prawdy. Działa. Bojaźń przechodzi, dopiero gdy stam-

tąd odpływamy.

Nurkuję podczas przystanków, zachwycona tym, co robię, a mama zbiera muszle na plaży w towarzystwie kapitana. Obie mamy to, czego nam w tej magicznej chwili potrzeba.

Fragment z dziennika

Flores i Rinca, Indonezja. 44. dzień podróży dookoła świata

Przy kładce, na małej rybackiej wyspie, czeka na nas grupa dzieciaków w kolorowych podkoszulkach. Witają nas jak dawno wyczekiwanych gości – uśmieszkami i dźwięcznym „Hello, miss". Łapią nas za ręce, zaczepiają, zagadują kilkoma angielskimi słówkami, wariują w podskokach. Ustawiają się w kolejce do robienia i oglądania zdjęć, a potem zabierają nas na wzgórze, do swojej szkoły. Cała ta rybacka osada składa się może z 25 blaszanych domków na kurzych łapkach i szkoły, do której trzeba wspiąć się po stromych, krzywych schodach. Jest kilka sal, tablice i widoki przez okno, których nikt tu pewnie nie docenia. Dzieci, jak to dzieci – szaleją, popisując się, ale nie opuszczają nas ani na sekundę. Są jak te dzieci w podróżniczych programach telewizyjnych – biedne, prawdziwe i najszczęśliwsze na świecie. I patrzą na nas „tymi" oczami…

W ciągu około dwóch godzin pokazują nam każdy, najmniejszy nawet zakamarek na wyspie, każdy znaczący dla nich kamień, każdy, jakże ważny, krzak. Przedstawiają schorowane babcie, a potem wciągają do malutkiego sklepiku, gdzie wykupuję dla nich wszystkie cukierki. Machają nam z brzegu, gdy znikamy im powoli z pola widzenia.

– *Bye! Bye!* – Woda niesie tylko echo ich dziecięcych okrzyków.

Podczas wieczornego zwiedzania Labuan Bajo, które może nie jest architektonicznym cudem, ale ma w sobie dużo prawdy, rezerwujemy transport w góry, do wodospadu Cunca Rami.

– Skąd jesteś? – zaczepia mnie na ulicy niziutka dziewczyna. Po prostu chce pogadać.

A potem łazimy po tym cuchnącym rybnym targu, czekając na transport do hotelu. Inaczej nie możemy tam wrócić.

Wielkie jaszczury, Komodo Dragons, na wyspie Rinca

Na wodospady wyruszamy z samego rana. Mimo że pogoda w wiosce jest fantastyczna, w górach łapie nas porządny deszcz.

– Wysiadać – rozkazuje nagle nasz kierowca, zatrzymując się na środku drogi.

Patrzymy na siebie zdezorientowane i, ściskając w rękach osobisty bagaż, zastanawiamy się, czy otworzyć drzwi, czy nie?

– Stromo. Wysiadać – powtarza.

Gapimy się na odjeżdżający w strugach deszczu autobus, zdziwione i nieco wystraszone, że nie poczeka. Nagle trąbi, wystawia rękę za okno i przywołuje nas.

– Wsiadać – krzyczy.

Razem z nami wsiada też nastolatek, który podbiega z drugiej strony.

– Opiekun – dusi słabą angielszczyzną kierowca, klepiąc dzieciaka po plecach.

– *Hi!*

Ma jakieś czternaście lat i to on ma nas dziś zaprowadzić do wodo-

spadu w lesie. W wiosce o podejrzanie znajomej nazwie, Warsawe, dołączają jego koledzy. Wychodzi słońce, a my ruszamy w drogę. Najpierw szerokim deptakiem wyłożonym kamieniami, potem przez pole, by wreszcie zanurzyć się w dżungli. Wtem na przeszkodzie staje nam rwąca rzeka.

– Chodźcie – krzyczy jeden z chłopców, przeskakując jak zgrabna sarenka. – Chodźcie, chodźcie – krzyczy, wskazując na kamienie.

Wpadam prawie po pas. Idziemy boso po nierównym brzegu (w butach się nie da), a drużyna co kilkanaście metrów buduje nam prowizoryczną kładkę, żebyśmy łatwiej mogły pokonać większy dół czy strumyk. Powątpiewamy w istnienie celu, bo droga ciągnie się zdecydowanie za długo, a nie spotkaliśmy na niej nikogo.

– Myślę, że oni nas oszukują – stwierdza, nauczona życiowym doświadczeniem, mama.

Jej przypuszczenie okazuje się na szczęście błędne, bo w końcu, po dwugodzinnej przeprawie, zza skał wita się z nami nasz wodospad, a tak naprawdę to wodospadowe baseny. Półki skalne zawieszone są kilka metrów nad wodą.

– Skoczyta? – pyta nasz główny opiekun.

– Nie… – odpowiadam, zerkając w dół – chyba nie.

Dzieciaki ściągają ubrania i jeden po drugim znikają w głębinie. Zamieram w bezruchu. Mam ochotę błagać, żeby tego nie robili, bo na samą myśl dostaję palpitacji, ale ta zgraja urwisów pysznie się bawi. Pozostaje mi gapić się w niebo, żeby tego nie widzieć, i obserwować zbliżające się groźne, czarne chmury.

– Chceta iść na górę? – pyta młodzieniaszek. – Chodźta, bo będzie lało.

Przyczepiamy buty do plecaka i za jego radą ruszamy, znowu boso – ślizgając się po stromej skarpie, wchodzimy na górę. Dokładnie w chwili kiedy stajemy na szczycie, zaczyna się ulewa. Spoglądając jeszcze zza krzaków na wodospad, zawracamy w niemałym popłochu.

– Spieszta się, bo zaraz rzeka będzie nie do przejścia – mówi młody.

Mama zjeżdża na tyłku kilka metrów w dół, ale na szczęście, oprócz

ubłoconych spodni, obchodzimy się bez szkód. Wycofujemy się tym samym szlakiem, którym szliśmy tu przez chyba półtorej godziny, ubłocone po kolana i przemoczone dosłownie do ostatniej nitki. Z jednej strony prawie biegniemy, z drugiej – stawiamy ostrożnie każdy krok, aby nie skręcić kostki. Spokojna rzeka, którą przestąpiliśmy wcześniej po kamieniach, zamienia się teraz w rwącą. W rzędzie, trzymając się za ręce, zanurzeni głęboko w wodzie, szczęśliwie przestępujemy na drugą stronę. Nawałnica nie daje za wygraną. Z wielką ulgą drepczemy wreszcie po drodze, która prowadzi nas prosto do wioski.

Fragment z dziennika

Flores, Indonezja. 45. dzień podróży dookoła świata

Starszy mężczyzna wygląda przez okno bambusowej chatki i macha na nas ręką. Chłopcy, po przybiciu piątki, rozbiegają się do domów, zostaje z nami tylko nasz opiekun. Miejscowy, który postanowił nas ugościć, jest wyjątkowo podniecony tym spotkaniem i uwija się jak mrówka przy obieraniu ananasa przyniesionego z ogrodu, otwiera także świeży kokos. Nie zna słowa po angielsku, ale językiem uśmiechu udaje nam się dogadać. Wyciąga ze starego pudła kilka rodzinnych zdjęć i wycinki z gazet. „Poland, Poland" – mówi, wskazując na fotografię polskiego papieża. Nasz nastoletni przewodnik, popalając papierosa w kącie, wyjaśnia, że przyjeżdżają tutaj polscy misjonarze. Starszy człowiek uzbraja nas w parasole z liścia bananowca, bo nadal leje. To najlepsze parasole świata.

– Płacita? – pyta gówniarz przed pożegnaniem, wystawiając rękę w oczekującym geście.

– Ale my już zapłaciłyśmy – mówię przekonana, że płacąc za auto, zapłaciłyśmy też za przewodnika.

– Tak, ale padało – wyjaśnia.

Lekko zdezorientowana rzucam mu to, co mam w portfelu. Odprowadza nas do auta i odbiera swoją transzę od kierowcy. Żegna się z nami miną cwaniaka. Cwaniak.

Chłopcy w rybackiej wiosce, w pobliżu Flores.

– Nie mogę się ruszać – bełkoczę, gapiąc się na zachód słońca, który z naszego tarasu wygląda idealnie.

– Ja też – przytakuje dzielna mama. – Nieźle dałaś mi dzisiaj w kość. Poczułam się, jakbym znowu miała dwadzieścia lat.

Będąc tak blisko tych jej wspomnień, nie mogłam nie spytać o Jelenią Górę z jej młodości, o weekendy w górskich schroniskach, o ten obóz harcerski, na którym poznali się z tatą.

– Skakał tak jak oni dzisiaj, tylko z trampoliny na basenie olimpijskim w Jeleniej, żeby zrobić na mnie wrażenie – śmieje się.

Drążę dalej i słucham o studiach we Wrocławiu, o ratlerku, który jak mały odkurzacz sprzątał na stole w akademiku, o tym wieczorze, kiedy brat w złości złamał jej nos.

– A opowiadałam ci, jak rozbiliśmy namiot na środku skrzyżowania? – pyta. Czekam na ciąg dalszy. – Gdy wreszcie po kilku dniach jazdy auto-

stopem dojechaliśmy z Jeleniej do Mielna, byliśmy padnięci. Był środek nocy, w miastach wtedy nie było świateł. Znaleźliśmy kawałek trawy i rozbiliśmy namiot. Rano obudziły nas trąbiące auta – byliśmy na środku skrzyżowania.

Znam te wszystkie historie, ale chcę usłyszeć więcej, chcę usłyszeć je jeszcze raz, bo jak nie teraz, to kto i kiedy mi je opowie? Przez wspomnienia zarywamy noc. Z miłosnych wątków, schodzimy na poważniejsze tematy – tułaczkę babci z rodziną, przez Syberię aż do Uzbekistanu, później poszukiwanie jej rodzeństwa przez Czerwony Krzyż...

– Ona się zawsze bała. Bała się, że wrócą złe czasy – opowiada mama.

Wyspa Bali. Powrót

Po powrocie na Bali postanawiamy dać wyspie drugą szansę. Bez złego nastawiania się i niedobrych wspomnień jedziemy do Ubud – szukać tego, co Elizabeth Gilbert opisała w swojej książce *Jedz, módl się, kochaj*. Kierowca przewozi nas przez, pożal się Boże, fabrykę srebra, gdzie na dwóch stołach przyczepione są jedynie imadła, a na ladzie leży biżuteria w zaporowych cenach. Bez naszej zgody zatrzymuje się też w jednym z wielu sklepów z meblami, które na przemian z tymi jubilerskimi, stanowią chyba o wartości okolicy – jest ich tu zatrzęsienie.

O zatrzęsieniu można też mówić w przypadku liczby małp i turystów w miejscu zwanym Sacred Monkey Forest Sanctuary. Trudno nie poczuć się tu osaczonym. W tym świętym miejscu, obok klimatycznych, zabytkowych sanktuariów porośniętych zielonym mchem, w środku lasu deszczowego splątanego lianami, żyje kilkaset makaków. Jest dość dziwnie, chciałoby się rzec – czarownie i nierealnie.

– Czy one nie przypominają ci ludzi? – pytam mamę, zaniepokojona swoim spostrzeżeniem.

– Bardzo – odpowiada i razem ze mną oddaje się wnikliwej obserwacji.

Makaki żyjące w tym małpim gaju naprawdę zachowują się po człowieczemu, na przykład – pod drzewem siedzi chyba mama-małpa i przytula dziecko-małpkę, inna dopala wyrzucony przez kogoś niedopałek papierosa. Poważnie! Facet-małpa siedzi w rozkroku i... niczym wyluzowany chłop przed telewizorem, drapie się po genitaliach. Jedne się kłócą, inne biją, a jeszcze inne ganiają po płocie. Wszystkie z zainteresowaniem

śledzą każdy ludzki krok. W oczach widać, zastanawiają się, co by tu zbroić. No, może oprócz jednej, która czuwa przy czyimś nagrobku. Wychodzisz stąd z ulgą.

Fragment z dziennika

Bali, Indonezja. 48. dzień podróży dookoła świata

Ruchliwą drogą zmierzamy do centrum miasta. Bo Ubud to betonowa, wielka dżungla! Chcemy pójść na targowisko, ale okazuje się, że to najbardziej znane przebudowują właśnie w jakiś gigantyczny budynek á la centrum handlowe. Ostał się tylko malutki fragmencik, gdzie można kupić wszystkie balijskie pamiątki, a najbardziej popularne są… drewniane fallusy. W różnej postaci, w różnych kolorach i w różnorodnych rozmiarach. Są wersje tęczowe, z wzorkami, w kropki, kreski i w tradycyjne balijskie rysunki. Jedne służą za breloczki – członek w wersji mini z pętelką na końcu, inne za popielniczkę – fiut stoi, a przy jądrach umieszczona jest miseczka na kiepy, ale najbardziej popularne są chyba te służące za otwieracze. Po negocjacjach cenę – jak za złote przyrodzenie – zbijamy o połowę. Kupujemy dwa.

Obok propagowanego – z nieznanej mi przyczyny – kultu fallusa, sprzedawcy zachęcają do zakupu apaszek, bransoletek, rzeźb i przeróżnych instrumentów muzycznych. Z przyjemnością wsiadamy do samochodu. Uciekając od miejskiego zgiełku, jedziemy zobaczyć to, co ma nas zachwycić – sławne tarasy ryżowe w Ubud, Tegalalang Rice Terrace.

– Chcę już wracać – mówię do mamy, gdy stajemy przy knajpie w pobliżu zatłoczonej drogi, patrząc na panoramę tak zachwycającą w folderach. Teraz jednak, nie wiem z jakiego powodu, zaczynam płakać. Łzy ciekną mi po policzkach – przed nami może i ładna zieleń przyozdobiona pojedynczymi palami, ale za plecami – okropny rozgardiasz, nowoczesność w złym i tandetnym wydaniu. Tu się nie chce być. Wychodzę.

Syn Ilu, dziewczyny poznanej na Bali, podczas jednej z ceremonii

Wybornym widokiem delektuję się dopiero innego dnia w Amed, dokąd zabierają nas na skuterach chłopaki z hotelu Iguana. Jedziemy spokojniejszymi drogami przez wiochy, rybackie miasteczka, zjeżdżamy z trasy tam, gdzie sama nie odważyłabym się zajrzeć. A potem podwożą nas do domu Ilu, tej dziewczyny w ciąży, która z szerokim uśmiechem przywitała nas pierwszego wieczoru.

Przez las bananowców, zasypany hałdą śmieci, dochodzimy do małego betonowego bunkra, gdzie mieszka rodzina Ilu i jeszcze dwie inne. Wszyscy szykują się na ważną ceremonię, na ceremonię, na którą postanowili nas zaprosić.

– Mam dla ciebie piękny sarong – mówi Ilu do mojej mamy i chwilę później przewiązuje jej go w pasie wielką kokardą.

Jej schorowana babcia szybko podtyka drugi, dla mnie. Gotowi są wszyscy: mąż, babcia, bratanek, kilkuletni syn i my dwie.

– A ty? – pytam Ilu, gdy mamy już wychodzić.

– Nie idę. Boję się, że ktoś z zazdrości rzuci na mnie urok – wyjaśnia,

nawiązując do swojej ciąży. – Poczekam na was z kolacją – dodaje, wręczając mi ostatni koszyk z darami.

Z bagażnikiem zapakowanym po szybę jedziemy do świątyni, której nazwy nigdy nie poznałam. Jest niewielka i ginie w tłumie niezwyczajnie ubranych ludzi. Wokół – festyn. Plastikowe wiatraczki i zabawki „Made in China", stragany przeładowane jedzeniem, na którym siedzą tysiące much. Pełen rozgardiasz i sama prawda.

Nasi opiekunowie oprowadzają nas, gdzie tylko mogą, nie dopuszczając jedynie do ołtarzy. Tam idą sami – pomodlić się oraz poświęcić i złożyć piękne dary. Każdy koszyk jest bowiem ręcznie robiony, a w każdym takim ręcznie robionym koszyku są ręcznie robione dekoracje i misternie zapakowane paczuszki z jedzeniem.

Fragment z dziennika

Bali, Indonezja. 50. dzień podróży dookoła świata

Siadamy na trawie – jak wszyscy inni – i zaczynamy wspólną ucztę. W tych kobiałkach są świeże, rybne *sataye*, ryż prażony i ryż w wersji klejącej zapakowany w misternie uplecione z liści poduszeczki. Na deser ciastka, domowe wypieki i słodkie, cudownie żółte banany! Jest jak w najlepszej bajce. Prawie, bo… Gdy kończy się ta zbiorowa biesiada, wszyscy odjeżdżają, ale coś po sobie zostawiają – góry śmieci. Cały teren wygląda teraz jak jedno wielkie wysypisko. Niby kwitnąco, barwnie, magicznie, ale syfu nie może nigdzie zabraknąć. To jest Bali.

Bałaganu nie brakuje też w Kucie, największym mieście na wyspie, zdominowanym przez młodych, naćpanych Australijczyków, gdzie spędzamy ostatni dzień przez odlotem. Trudno się dziwić, że Balijczycy mogą ich nie znosić – drą się wniebogłosy, ściągając na siebie uwagę każdego przechodnia. Przy okazji wywyższają się na każdym kroku. Aż boję się tego, co spotka mnie za kilkadziesiąt godzin…

Kuta to wielkie centrum handlowe – oprócz sklepów, kiepskich knajp i hoteli nie ma tutaj niczego interesującego. No okej, niby jest ładna, szeroka plaża i warunki idealne dla surferów, ale atmosfery jakiejkolwiek jest stanowczy deficyt. Pędzą skutery, pędzą samochody, pędzą, przepychając się, ludzie. W ten rozgardiasz wkraczamy też my, gdyż zachciało

nam się zakupów w markowych sklepach i kawy ze Starbucksa. Udaje nam się znaleźć w tym babskim kaprysie odrobinę przyjemności.

– Czy to nie jest ta dziewczyna, którą poznałaś, kiedy przyleciałam? Ta, która też czekała na swoją mamę? – pyta moja mama, gdy na lotnisku czekamy na nasze loty, wskazując na zalane łzami dwie kobiety.

Kojarzy fakty szybciej niż ja, bo tak – to Emma, dziewczyna, która wtedy do mnie zagadała. Przytula mamę na pożegnanie i przechodzi przez bramki, a ta wybucha płaczem. W odruchu bezwarunkowym podchodzę, pocieszając ją, że niedługo na pewno się z córką zobaczy.

– Ona nie wróci. Postanowiła zamieszkać w Indiach – sączy przez zaciśnięte zęby starsza Angielka. – Nie wróci. Wyjechała na kilka miesięcy, a dziś mi mówi, że już nie wróci…

Chwilę później z mamą żegnam się ja i przechodzę przez te same bramki na drugą stronę. Wiem, że ona też płacze, tak jak płacze mama Emmy. Płaczemy obydwie, trudno nie płakać przy pożegnaniach. Pod wpływem impulsu, przeciskam się pod prąd, żeby jej jeszcze raz pomachać – stoi, jak stała, nieporuszona.

– Do zobaczenia, mamo. Kocham cię – krzyczę, a ona, ocierając łzy, odpowiada mi tym samym.

Wskazówki

Indonezja. Kraj tysięcy wysp – miejsce dla siebie znajdą tu zarówno wielbiciele leniwych wakacji pod palmami, jak i poszukiwacze przygód. Każda z indonezyjskich wysp jest zupełnie inna, różnią się religią, kulturą, kuchnią, a nawet językiem. Dlatego będąc tu, warto wybrać się nie tylko na Bali i poznać tę różnorodność. Jednak różnorodność i poszukiwanie przygód nie zawsze wiążą się z przyjemnościami – to w Malezji i Indonezji zachorowałam dwa razy.

Jak sobie radzić z chorobą w podróży (i korzystać z wykupionej polisy)

1. Nie panikuj, ale reaguj

Jeśli w podróży poczujesz się źle – zareaguj i zgłoś się do lekarza. Oczywiście, panika nigdy nie jest wskazana, ale będąc w podróży, nie warto ignorować nawet niepozornych symptomów. Choroby tropikalne, inna flora bakteryjna oraz bakterie i wirusy krążące w środkach transportu obniżają odporność – to wszystko razem może być fatalne w skutkach, jeśli nie będziemy od początku zdecydowanie reagować.

2. Informuj ubezpieczyciela

Jeśli masz możliwość, poinformuj ubezpieczyciela o swoim stanie zdrowia i planowanej wizycie u lekarza. Jeszcze przed nią informuj go o każdym kroku, najlepiej mailowo – po pierwsze, dobry ubezpieczyciel udzieli wskazówek i pomoże, a po drugie – na rozliczenie z tym kiepskim przyda się każdy dowód.

3. Zbieraj raporty lekarskie

Przy każdej wizycie u lekarza proś o raport, wszystkie placówki powinny go udostępnić. Przyda się, jeśli nieszczęśliwie trafisz do lekarza później, już w innym miejscu – będzie on wiedział, co się z tobą działo wcześniej. Podobnie jak

w punkcie 2. – raport przyda się przy rozliczeniach z ubezpieczycielem.

4. Pozwól sobie odpocząć

Jeśli w podróży zachorujesz – pozwól sobie odpocząć. Zostań w jednym miejscu nieco dłużej, zainwestuj w lepszy hotel, dobrze się wyśpij, jedz regularnie, nie pędź. Przed tobą jeszcze tyle świata, a bez dobrego zdrowia daleko nie zajedziesz.

5. Nie bój się prosić o pomoc

Przy kiepskim samopoczuciu przydaje się wsparcie innych – poproś o nie bez wstydu. Poproś znajomych lub poszukaj znajomych twoich znajomych w mieście, w którym jesteś, bo być w chorobie samemu, nie jest łatwo.

Blogi

www.wazji.pl – Ania Błażejewska mieszka na Bali. Swoją część świata pokazuje na pięknych zdjęciach – jest fotografem.

Filmy i książki

Jedz, módl się, kochaj – książka Elizabeth Gilbert i film nakręcony na jej podstawie rozsławiły Bali. Nie udało mi się znaleźć tam tej magii, którą przedstawia autorka, ale myślę, że zarówno książka, jak i film są świetną zachętą do wyjazdu w te strony.

Rok niebezpiecznego życia – Mel Gibson w roli młodego australijskiego reportera rozgaszcza się w Indonezji. Jednocześnie poznaje jej sytuację społeczną oraz polityczną lat sześćdziesiątych, czyli tę przed rewolucją.

AUSTRALIA I NOWA ZELANDIA

Miłość nie jest czymś, co znajdujesz. Miłość jest czymś, co znajduje ciebie.

Loretta Young

Sydney, Australia

Dostrzegam ją już z okna samolotu. Wyglądała jak drobna skorupa porzucona nad turkusową wodą. Nigdy nawet nie marzyłam, żeby ją zobaczyć, bo wydawała mi się czymś tak niedostępnym i odległym, że nawet sfera marzeń tam nie sięgała. A dziś, niespodziewanie, jest w zasięgu ręki – Opera w Sydney.

– Masz bilet na dalszą podróż? – pyta stanowczo celniczka, przeglądając mój paszport i stos kartek, które musiałam wypełnić w samolocie.

– Tak, wylatuję za kilka tygodni do Nowej Zelandii – odpowiadam, wręczając jej pognieciony wydruk. Zerka na niego szybko i lustruje mnie od stóp do głów niechętnym wzrokiem.

– Masz pieniądze na podróż?

Lekko zdezorientowana, szukam w głowie właściwej odpowiedzi. Przytakuję.

– Poczekaj tam – mówi szybko, zabiera moje dokumenty i znika w jakimś pomieszczeniu.

Moja wyobraźnia od razu rusza jak z kopyta, pędzi jak szalona przez pola przypadków i możliwych scenariuszy. Analizuję, co mogłoby być nie tak, co mogło ją zaniepokoić. Wreszcie wraca.

– *Welcome to Australia.* – Wbija pieczątkę w mój paszport i obdarza szerokim uśmiechem, tak jakby nagle wstąpił w nią dobry duch.

Na bagaż nie muszę czekać długo, bo jeździ samotnie po taśmie już od jakiegoś czasu. Z nadzieją ruszam do wyjścia, ale na drodze wyrasta przede mną mężczyzna w mundurze.

– Dzień dobry. Skąd przyleciałaś? – pyta.

– Z Indonezji.

– Uzupełniłaś deklarację? Masz jakieś lekarstwa, drewniane pamiątki, jedzenie, brudne buty? – wypytuje, a ja szukam po kieszeniach tej zakichanej deklaracji, którą znajduję wreszcie w małej kieszeni plecaka. – Nie jesteś chora? Przeziębiona? Jakieś bóle brzucha? – przepytuje jak lekarz pierwszego kontaktu.

– Nie – odpowiadam skrótowo, starając się ukryć kłamstwo, bo brzuch dokucza mi nieźle od kilku dni. Bierze tę kartkę i bez słowa, ale z uśmiechem, odsuwa się na bok, a ja przyspieszam kroku, żeby wreszcie stąd wyjść.

Po drugiej stronie czekała na mnie Klaudia, urocza dziewczyna, którą w życiu widziałam jakieś pięć minut – nie dłużej.

Pracowałam z jej mamą, która postanowiła nas poznać, gdy Klaudia wpadła kiedyś do studia w odwiedziny. Jeszcze z Bali napisałam do niej, że będę w Sydney, a ona, jakby odruchowo, zaprosiła mnie do siebie i powiedziała, że odbierze z lotniska. Nie rzuciła mi się na szyję, zresztą wcale nie powinnam się była tego spodziewać, ale ciepło przywitała, pomogła zorganizować kartę do telefonu i zabrała do domu.

– Muszę iść do pracy, ale zaraz wrócą Kasia i Nina. Też są w podróży i się u nas zatrzymały. – Macha ręką na do widzenia, zamykając drzwi. Stoję na balkonie i gapię się na zatokę w Darling Point. Jest spokojna pełna żaglówek, trawniki wokół są równiutko przystrzyżone, a wzdłuż brzegu powolnie przechadzają się ludzie. Samochody przejeżdżają jedynie od czasu do czasu. Podczas spaceru zauważam, że nie ma tu hałasu, bałaganu, tego zgiełku, który towarzyszył mi przez ostatnie dwa miesiące. Od razu zakochuję się w tych uporządkowanych uliczkach, w ludziach zagadujących nie dlatego, że chcą ci coś sprzedać. W powietrzu, którym przyjemnie się oddycha. Do późnego wieczoru po prostu łażę, znowu w pojedynkę, znowu trasą, której nie mogłabym już odtworzyć – sama z sobą, ze swoimi myślami. Idąc, analizuję to wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie tygodnie – wreszcie mam na to czas.

Siadam pod palmą – pełno ich tutaj w parkach. Towarzyszą mi białe kakadu z żółtym pióropuszem, które drąc się, przywołują mnie do rze-

czywistości. Myślę więc o tym, gdzie dziś jestem i co się zmieniło. Chyba niektóre obawy były przedwczesne. Martwiłam się, czy poradzę sobie językowo, czy będę umiała znaleźć dobry nocleg albo transport na dalszą podróż, czy sprostam nowym wyzwaniom i decyzjom, czy nie będę czuła się samotna. Już dziś wiem, że samotność to ostatnie słowo, jakim tę podróż będę mogła opisać.

Słynna Opera House w Sydney

– Chcesz zobaczyć koale? – pyta Klaudia, czytając w moich myślach. Szczerzę się jak głupi do sera. – Pojedziemy potem – odpowiada, widząc chyba, że mocno się podekscytowałam.

Zmierzając w kierunku małej plaży Bronte, położonej we wschodnich dzielnicach miasta, mijamy kilka bardziej zatłoczonych miejsc i utykamy na chwilę w korku. Trudno ich w Sydney podobno uniknąć, nawet w niedzielne popołudnie.

W parku, zaraz obok piaszczystego wybrzeża, robimy to, co Australijczycy lubią robić najbardziej w taki dzień jak ten – urządzamy sobie naj-

zwyczajniejszy piknik. Koc w kratę rozkładamy na uczesanej trawie, otwieramy wielki kosz naładowany jedzeniem i butelkę schłodzonego wina. Korzystając z darmowych grillów, smażymy pyszne krewetki wymieszane z pachnącymi warzywami i, jak w karcianym rozdaniu, wymieniamy się historiami swojego życia. Pięć Polek (dołączyła do nas jeszcze Aga, koleżanka Klaudii ze studiów, z którą zupełnie przez przypadek zamieszkały na tym samym końcu świata) – każda inna, a jednak los sprowadził nas w ten sam punkt o tej samej porze.

A potem, w centrum miasta, ruszamy na pierwsze spotkanie ze zwierzętami, które zazwyczaj ogląda się tylko na zdjęciach. W Wild Life Sydney Zoo, wciśniętym między budynki (co nieco mnie uwiera), czekają na nas kangury, koale, diabeł tasmański, krokodyle i trochę paskudnych pająków.

Leniwy koala w Australia Zoo

Dni zawsze kończymy ucztą – a to w fajnej knajpie, a to leniwie w domu – prawie rodzinnie, bo rzecz jasna znowu pojawia się to pokrę-

cone uczucie bliskości z właściwie nieznajomymi kobietami. Podczas jednego z tych wieczorów, za radą Petera, narzeczonego Klaudii, kupuję bilet na pociąg do Brisbane, który pozwoli mi ruszyć na północ. Doradza mi to tylko ze względu na cenę, bo bilet na wyprzedaży kosztuje około 40 dolarów. Pod każdym innym względem potwierdza się to, co o pociągach usłyszałam od Australijczyków na Bali – to najgorszy sposób na zwiedzanie Australii.

Z żalem żegnam Klaudię i Petera, gdy odlatują na święta do Polski. Pogoda też jest nieszczególna – pada. A ja czuję się dziwnie, siedząc na ich kanapie, w ich mieszkaniu, pijąc kawę z ich kubka i gawędząc z ich koleżankami, które zostały tu razem ze mną. Serdeczność Klaudii jest imponująca. I uczy życzliwości dla drugiego człowieka – przecież nie każdy zostawiłby klucze od swojego domu nieznajomej…

Aborygeński obraz

Wiedząc, że zatrzymam się tu jeszcze kilka dni, decyduję się na wizytę u lekarza. Długo odwlekałam tę decyzję, gdyż obca jest mi hipochon-

dria, ale utrzymujący się od jakiegoś czasu ból brzucha zaczął mnie wkurzać.

– Proszę udać się do najbliższego centrum medycznego, a potem przesłać nam rachunek, żebyśmy mogli go rozliczyć – informuje mnie skrótowo pani na infolinii Compensy, ubezpieczyciela, któremu świadomie oddałam w ręce swój los na czas tej podróży. Oczywiście nie dodaje nic o odebraniu jakiegoś „raportu z wizyty", o który prosi później.

Pozostawiona sama sobie odnajduję lecznicę na rogu i umawiam się na spotkanie jeszcze tego samego dnia.

– Gdzie dokładnie byłaś? – po pytaniach o wiek, seks i inne takie „drobiazgi" dopytuje lekarka.

– W Tajlandii, Malezji i Indonezji...

Opukuje mój brzuch, zagląda w jedno i drugie oko. Niepewnie stwierdza, że to najprawdopodobniej zatrucie.

– Obserwuj, co się wydarzy przez kolejne kilka dni. Jeśli nic się nie zmieni, będziesz musiała zrobić badania – mówi. – To może być *Bali Belly* albo jakaś inna bakteria, chociaż niewiele na to wskazuje. Masz ubezpieczenie? – dopytuje.

Mruczę, że tak.

– Skontaktuj się z ubezpieczycielem, bo takie specjalistyczne badania mogą sporo kosztować, pewnie około 500 dolarów – uprzedza mnie i żegna kartką z zalecanymi witaminami.

Pocieszona diagnozą, obiecując sama sobie, że na pewno poczuję się lepiej, ruszam odkrywać miasto; autobusem docieram na plażę Coogee i stamtąd spaceruję w deszczu nad urwiskiem. Szare chmury wiszą nisko nad Morzem Tasmana, które, bodaj w złości na tę paskudną pogodę, grzywaczami wali o brzeg przy wtórze wiatru.

Spacer w deszczu wydaje się tu absurdem, ale – mimo że przemoczona – wesoło szwendam się to tu, to tam, bo jest zjawiskowo! Sześciokilometrowa ścieżka prowadzi przez parki i zwalnia przy drobnych zatoczkach; snuje się chwilowo wśród domów z widokami, aby potem szybko wrócić na skraj. W malutkich porcikach stoją zacumowane żaglówki i rybackie łajby, w skałach zawieszone są baseny, do których litrami wlewa

się morska woda. Na plażach dziś pustki, w końcu pogoda nieszczególna, ale biegacze nie odmawiają sobie przyjemności i brną przez kałuże.

Na dłużej zwalniam przy cmentarzu, bo przy Waverley Cemetery trudno po prostu tego nie zrobić. Założone w dziewiętnastym wieku miasto umarłych rozciąga się na szczycie klifu, dając tym, którzy odeszli scenerię, o jakiej pewnie nawet nie marzyli za życia. Do tego te wiktoriańskie i edwardiańskie monumenty, niektóre zadbane bardziej, inne mniej, a jeszcze inne całkowicie opuszczone.

Lubię nekropolie, zawsze je lubiłam. W swoim dostojeństwie i ciszy zmuszają do refleksji, uczą prawdy, a także pokory wobec życia i przemijania. Przemoknięta, kucam przed nagrobkami, wczytując się w często słabo widoczne już historie ludzi, którzy odeszli, a potem na ławce, z tą nekropolią za plecami, wtapiam wzrok w horyzont.

Na sławnej plaży Bondi, chyba jednej z najbardziej znanych australijskich plaż, która położona jest zaledwie dziesięć kilometrów od śródmieścia, dziesiątki surferów czekają na idealną falę. Deszcz ich nie przepędza, w końcu i tak są już zmoknięci. Szukając wytchnienia, chowam się pod małym daszkiem i patrzę na obrazek, który widziałam dziesiątki razy na pocztówkach.

Ale dopiero następnego dnia, gdy wreszcie stanęłam przed ikoną, dotarło do mnie, że jestem na drugim końcu świata, końcu, który istnieje naprawdę. Niby tylko zwykły budynek, niby nic, ale miękną mi przed nim nogi. Czekam do wieczora, aby Opera House obejrzeć też w blasku świateł. Chodzę, dotykam, zaglądam, mogłabym tu zostać dłużej.

Widok na Trzy Siostry w Górach Błękitnych.

– Wstawaj! – Szarpie mnie o świcie Nina, moja chwilowa współlokatorka. – Spóźnimy się na pociąg.

Na szczęście chwilę później udaje nam się skasować bilet i zmierzamy w kierunku Gór Błękitnych, które są dosłownie „rzut beretem" od miasta. Po półtorej godziny wysiadamy na uroczej stacyjce w jeszcze bardziej uroczym miasteczku. Katoomba wita nas błękitnym niebem, dobrą kawą i pachnącymi wiosennie kwiatami. Bocznymi ulicami zmierzamy do Echo Point, najpopularniejszego punktu widokowego w okolicy.

„Według jednej z aborygeńskich legend, trzy piękne siostry z plemienia Katoomba, Meehi, Wimlah i Gunnedoo, zakochały się w trzech braciach z plemienia Nepean" – czytam na tablicy informacyjnej. – „Jednak prawo zabraniało takich związków. Bracia sprzeciwili się tradycji i postanowili siłą zdobyć owe panny. Dla ich bezpieczeństwa, gdy rozpoczęła się bitwa – czarownik z plemienia Katoomby zamienił siostry w skały, ale

podczas walk został zabity, a piękne siostry na zawsze pozostały kamieniami" – kończy się historia.

I tak stoją nieruchomo od lat, spoglądając w niezwykłą, spowitą lekką mgłą dolinę. Trzy skały zwane Trzema Siostrami – wielkie, pomarańczowe, wybijające się wyraźnie z eukaliptusowych lasów, którym góry zawdzięczają swoją nazwę. Nad drzewami bowiem unosi się eukaliptusowy olejek, który w połączeniu z cząstkami pyłu, kroplami wody i promieniami słońca, tworzy złudzenie tej niebieskiej aury. Ale nie tylko dzięki kolorowi Góry Błękitne są wyjątkowe – o ich niezwykłości stanowi także to, że położone są w dole, więc górskich szczytów nie wypatruje się tu, gapiąc się w niebo, tylko patrząc pod nogi.

Fragment z dziennika

Sydney, Australia. 59. dzień podróży dookoła świata

Schodzimy w dół, by na góry spojrzeć z takiej normalnej perspektywy. Przez pachnące świeżością gęstwiny idziemy w stronę wodospadów, mijamy po drodze monstrualnie rozrośnięte drzewa, których w pasie nie objąłby nawet wielkolud, następnie drepczemy w stronę starej kopalni, i jeszcze... pragniemy dotrzeć do zamkowych ruin. Na szlaku jednak zostajemy zupełnie same, więc po pikniku na samotnej skale w towarzystwie natury, zawracamy i ruszamy w stronę Giant Stairs, czyli wielkich schodów. Już sama nazwa przyprawia mnie o zawrót głowy, a potem ląduję w skórze Jacka Nicholsona z filmu *Lepiej późno niż później*, któremu pokonanie dziesięciu stopni sprawiało trudność – przede mną osiemset! Ostatecznie Nicholson, zwalczając swoje dziwactwa, odnosi sukces. Odnoszę i ja, ale po drodze wypluwam płuca – muszę kilka razy poleżeć na ziemi, by złapać oddech. Z przyjemnością zatrzymuję się na dłuższy przystanek u podnóża Trzech Sióstr.

Tego samego dnia wsiadam do mojego pociągu na północ, ale zamiast podziwiać widoki za oknem, podziwiam swoją krainę snów i marzeń – tak przez piętnaście godzin. Przed świtem wysiadam na dworcu w Brisbane.

Brisbane, Australia

I'm driving a white van – czytam esemesa. *And I have two green backpacks* – odpisuję zaczepnie.

Po poranku spędzonym na spacerze w centrum Brisbane ruszam pociągiem na przedmieścia, by spotkać się z chłopakiem, który zaproponował, że zajmie się mną przez weekend. Zarośnięty facet w roboczych ciuchach wychodzi mi na spotkanie i wita, jakbyśmy się już znali.

– *Sam* – przedstawia się, cmokając mnie w policzek. – *Good to see ya!*

– *Thanks for picking me up. Julia* – przedstawiam się i ja.

– *No worries*.

Nasze spotkanie to znowu kwestia przypadku, spotkanie z serii tych, które w ogóle nie powinny się wydarzyć. Po zakupie biletu do Brisbane po raz pierwszy napisałam lakonicznie na Facebooku: „Czy nie znacie kogoś w Brisbane?". Z jakiego powodu? Po prostu nie wiedziałam o tym mieście zupełnie nic, miało być jedynie przystankiem w drodze na Wielką Rafę i liczyłam, że ktoś mi może coś podpowie. Niedługo potem odezwała się do mnie Magda, dziewczyna poznana rok wcześniej na wieczorze u wspólnych znajomych w Podkowie Leśnej, obecnie mieszkająca w Melbourne.

– Julcia, mój kuzyn przeprowadził się niedawno do Brisbane – mówi przez telefon. – Tylko że on ciągle gdzieś wyjeżdża i nie wiem, czy będzie w domu. Zadzwonię do niego i dam ci znać, okej? – dodaje.

Chwilę potem dostaję esemesa: „Julcia, jest w domu w ten weekend i powiedział, że możesz się u niego zatrzymać, jeśli chcesz. Zaraz prześlę Ci jego numer". Po krótkiej wymianie wiadomości, podczas której staram

się ustalić, czy ów kuzyn nie jest wariatem i czy mam mówić do niego po polsku, czy po angielsku – dzwonię.

Rozumiem co drugie słowo i kilka razy muszę go prosić, żeby powtórzył; jego australijski akcent brzmi raczej jak bełkot niż angielski, do którego przywykłam. Sytuacja nie zmieniła się przy spotkaniu na żywo – nadal siliłam się, żeby dobrze go zrozumieć i przy okazji nie zrobić z siebie kretynki.

– Czuj się jak w domu – powiedział w końcu piękną polszczyzną, zaglądając do pokoju, gdy wreszcie poszłam rozłożyć rzeczy, i uśmiechając się przy tym głupkowato, a być może łobuzersko. Drań.

Sam jest synem polskich emigrantów, urodzonym w Melbourne. Z polskich cech ostało mu się jedynie poczucie humoru, co udowadniał mi od samego początku. Powtarza się historia szybkiego „kliknięcia" z nieznajomą osobą, a wspólna podróżnicza pasja trochę to ułatwia. Po kolacji w Redcliffe – miasteczku, na którego miejscu miało początkowo powstać Brisbane oraz gdzie swoją karierę rozpoczynał zespół Bee Gees – zarywamy wieczór, oglądając wyścigi psów w śmierdzącym piwem prawdziwym australijskim pubie. Zarywamy też kilka kolejnych, bo postanawiam zostać w Brisbane parę dni dłużej, żeby je lepiej poznać. Miasto od pierwszych chwil mnie urzeka.

Brisbane to trzecia metropolia Australii i jedno z najstarszych miast na tym kontynencie. To stolica słonecznego stanu Queensland, miejsce gdzie przez większość roku można chodzić w klapkach.

Fragment z dziennika

Brisbane, Australia. 63. dzień podróży dookoła świata

Słońce wstało już jakiś czas temu; dzień zaczyna się tu wcześnie, bo już od piątej rano kolorowe papugi dają koncert, a duchota wyciąga mnie spod kołdry. Kawiarnie otwierają się niedługo potem, a ludzie ruszają na poranną przebieżkę. Wychodzę z domu… bez mapy, bez celu, przed siebie. Tak jak lubię. Najpierw między wieżowcami (w tzw. CBD, czyli Central Business District), do których poprzyklejane są urocze, ceglane kościółki z innej epoki. Nowe idzie tu w parze ze starym i przyozdobione jest kwitnącymi na różowo bugenwillami, rosnącymi w towarzystwie palm. Mostem zwanym Story Bridge, który ma być podobno

młodszym bratem tego w Sydney, Harbour Bridge, przechodzę do południowej części miasta. Już od dziewiątej rano robi się naprawdę gorąco. Cienia szukam pod klifami, zaraz przy brzegu, w dzielnicy Kangaroo Point, miejscu idealnym na wspinaczkę, ze wspaniałym panoramicznym widokiem na miasto. A potem jest piękna, sztuczna plaża z lazurową wodą w basenach i czyściutkim piaskiem oraz miejską przestrzenią po drugiej stronie rzeki Brisbane.

Na South Bank wracam kilka razy – a to zajrzeć do jakiejś galerii, a to do kawiarni czy knajp, które rozsiane są wzdłuż wybrzeża. Jednak to nie mnogość atrakcji oczarowuje mnie tu najbardziej, bo tych wcale nie ma tak dużo – porywa mnie luz i spokój, odzwierciedlenie popularnego *no worries.*

– Brisbane to taka wielka wiocha, wszystko jest tu dziesięć lat do tyłu – tłumaczy mi Sam, gdy pewnego dnia jedziemy nad ocean.

W drodze na Słoneczne Wybrzeże zatrzymujemy się w górach, które kształtem przypominają smoczki. Glass House Mountains wyrastają pojedynczo z płaskiego terenu porośniętego plantacjami sosen i ananasów, a za nimi – na horyzoncie – widać linię Pacyfiku.

– Chodź na spacer, tam na pewno są kangury – zachęca mnie Sam i wyprowadza w las. Kłamie, na to wygląda, bo kangurów brak.

Miasteczko Mooloolaba z szeroką, niezbyt zatłoczoną plażą i jak zawsze gniewnym oceanem, które słynie z połowów krewetek, to nasz następny przystanek. Czekają tu na nas znajomi Sama z pracy. W trzydziestosiedmiostopniowym upale człowiekowi chce się jedynie leżeć plackiem pod tym wzorowo błękitnym niebem, więc rozmowa niezbyt się klei.

– Ej! Bo ci oddam – odkrzykuję do Sama, który, niby niewinnie, a jednak zaczepnie, chlapie mnie wodą. Potem, podczas zachodu słońca – znowu z panoramą na Glass House Mountains – kiedy atmosfera robi się wręcz romantycznie niezręczna, pierwszy raz przez głowę przelatuje mi myśl, że to w sumie fajny gość. Odganiam ją szybko, żeby nie wpakować się w sercowe kłopoty, bo mam przecież jechać dalej!

Po zwiedzeniu pobrzeży na północ od Brisbane wybieram się, już sama, na odkrywanie południa, czyli osławionego Złotego Wybrzeża i dopada mnie pęd dużego, nieuporządkowanego miasta. Wbrew moim oczekiwaniom, Gold Coast przytłacza wielkością, a w labiryncie drapaczy chmur, mimo że usytuowanym przy perfekcyjnej plaży, można się zmęczyć. Tłumy, głośna muzyka, bary raczej niegrzeszące dobrą jakością, resztki świetności, która zdaje się przeminęła w latach dziewięćdziesiątych.

Zastanawiam się, podobnie jak jeszcze niedawno na Khao San Road w Bangkoku, o co tyle szumu. O kiczowate pamiątki z kangurami? O kiepskie piwo z czterema iksami na etykiecie? O neony McDonalda bijące się o przestrzeń z innymi fast foodami? O dziewczyny w sukienkach odsłaniających tyłki? Czy może o te wszystkie markowe sklepy? Dlaczego w tak zjawiskowo położnym mieście nie udaje mi się odczuć radości z faktu, że się tutaj znalazłam?

Może dlatego, że zbliża się Boże Narodzenie, a ja jestem sama na drugim końcu świata? Wszechobecne dekoracje, ubrane choinki czy nawet Mikołaj w szortach i renifery spotkane w Brisbane, w zestawieniu z letnią pogodą – jakoś do mnie nie przemawiają. Nawet myśl o spędzeniu świąt na Wielkiej Rafie Koralowej nie cieszy…

– Madzia, czy mogłabym przyjechać do was wcześniej? – pytam podczas telefonicznej rozmowy Magdę, tę koleżankę z Melbourne, która wysłała mnie do Sama.

– Jasne, Julcia! Zrobimy pierogi. Przyjeżdżaj – odpowiada bez namysłu.

W Brisbane zanosi się na burzę. Nie wiadomo kiedy, błękit nieba przysłania czarna chmura i zaczyna się wielkie, tropikalne starcie. Miasto obrywa gradem wielkości piłek golfowych, grzmi groźnie. A my spędzamy wieczór, słuchając polskich piosenek, na przemian z oglądaniem australijskich filmów. We dwójkę, w tym jego domku jak z papieru, z miską popcornu na kolanach, w dwóch przeciwnych narożnikach kanapy – i tak do czwartej rano.

– Dzięki za wszystko! Odezwij się, jak znowu będziesz w Polsce – żegnam się z moim przemiłym gospodarzem, przekonana, że szybko go nie spotkam.

Melbourne, Australia

Fragment z dziennika

Melbourne, Australia. 67. dzień podróży dookoła świata

Tak się złożyło, że byłam ostatnią osobą, którą Magda i Bartek poznali w Polsce, a teraz pierwszą odwiedzającą ich w Australii. Spotkaliśmy się w grudniu rok temu, wpadłam do znajomych na drinka, żadna szczególna okazja – oni też wpadli. Wtedy widzieliśmy się po raz pierwszy, potem udało nam się zaliczyć jeszcze jedną wspólną imprezę, dziś – widzimy się po raz trzeci, ale na drugim końcu świata i do tego rzucamy się sobie na szyję, jakbyśmy byli najlepszymi przyjaciółmi. O co tu chodzi?

– Julcia, musimy ci coś powiedzieć... – zaczyna podejrzanie poważnie Magda przy pierwszym wspólnym obiedzie, kręcąc się przy tym nerwowo na krześle.

Nic nie mówię, ale wzrokiem daję jej do zrozumienia, że już jestem gotowa na drugą część.

– Jestem w ciąży.

Podskakuję jak oparzona, nie zważając na chwilę ciszy, która powinna była zapaść przy tym wyznaniu.

– Ale się cieszę! – wykrzykuję, ściskając oboje i zupełnie szczerze raduję się tak, jakby miał to być mój siostrzeniec. – Nieźle, bardzo się cieszę, kochani.

O „zarzucaniu kotwicy", o ich przeprowadzce i nowym życiu, o moich nieustających bólach brzucha i przemyśleniach z podróży rozmawiamy z Magdą, spacerując po Caulfield, nieoficjalnej żydowskiej dzielnicy Mel-

bourne. Urokliwe domy z haftowanymi firankami w oknach ustawione są równo po obu stronach ulicy, którą przecinają głośne tramwaje. Zapach róż, kwitnących dziś chyba w każdym parku i ogrodzie, roznosi się po okolicy. Przemykających chodnikami pejsatych mężczyzn, ubranych w czarne płaszcze, trudno nie dojrzeć, ale zaraz obok, w szeregowych kamienicach, witają nas Azjaci. Pomiędzy kawiarnie, w których można kupić chałkę i pączki, restauracje, liczne pralnie na monety i wypożyczalnie filmów, wbite są tzw. Milk Bary, czyli wielobranżowe sklepiki, przypominające bardziej azjatyckie stragany niż sklepy. Dziwię się nieco – przecież jesteśmy w metropolii – ale ta różnorodność bardzo mi się podoba.

Na St. Kildzie, gdzie jedziemy tramwajem następnego dnia, jest zupełnie inaczej. To prawdopodobnie jedna z najbardziej znanych dzielnic miasta i jedna z tych, która przeszła najwięcej przemian. Leży około sześciu kilometrów od śródmieścia; to tu znajduje się najpopularniejsza i położona najbliżej miasta plaża w Melbourne. Jest molo, stare wesołe miasteczko, wiele dobrych jadłodajni i... nocnych klubów o lichej reputacji. W dziewiętnastym wieku mieszkanie w tej okolicy było zaszczytem i wyróżnieniem, ale też luksusem, na który stać było niewielu. To w tamtych czasach powstała większość wykwintnych, wiktoriańskich i edwardiańskich budynków zdobiących promenadę. Potem St. Kilda odbiła w stronę dzielnicy czerwonych latarni, a po wojnie zmieniła się w scenę alternatywną – była miejscem spotkań australijskiej bohemy, twórców wszelakiej artystycznej maści i szalonych hipisów. Dziś jest gdzieś pośrodku luksusu i awangardy.

Fragment z dziennika

Melbourne, Australia. 68. dzień podróży dookoła świata

Tuż nad zatoką stoi barwny, stuletni lunapark, do którego prowadzi oryginalna brama – wielka, roześmiana gęba. Obok potężny i dostojny Palais Theatre, niegdysiejsze kino funkcjonujące dziś przede wszystkim jako sala koncertowa. Jest i molo – St. Kilda Pier, a na jego końcu stara kafejka – St. Kilda Kiosk, odbudowana po pożarze w 2005 roku. Na kawiarni nie kończą się atrakcje, bo po jej drugiej stronie – na przysypanym kamieniami samym czubku mola – żyją pingwinki

małe, które można tu spotkać o zachodzie słońca. Pingwiny w Australii.

– Masz siłę jeszcze jechać do miasta? – pyta Magda po kilku godzinach łażenia.

– Jasne.

W odpowiedzi idę na przystanek i ruszamy do centrum. Przez przestronny Ogród Botaniczny i Shrine of Remembrance, miejsce poświęcone pamięci żołnierzy poległych w wojnach – dochodzimy do Federation Square, placu zwanego często „miejscem dla ludzi". Odkąd w 2002 roku ukończono jego budowę, Federation Square stał się kulturalnym centrum miasta. Na odległość wyczuwa się tętno tego miejsca, tak jakby jego serce leżało na tych wielkich schodach. Chyba zawsze są tu tłumy zrelaksowanych mieszczuchów i przyjezdnych, którzy na plac trafiają od razu, wychodząc z dworca. Po drugiej stronie ulicy króluje żółty gmach Flinders Street Station – symbol Melbourne, widok znany z pocztówek, który teraz ożywa na moich oczach.

Krążymy małymi uliczkami (zwanymi *laneways*), pełnymi uroczych, pachnących na odległość kafejek. Oglądamy oryginalną sztukę uliczną w postaci wszechobecnych kolorowych graffiti. Natrafiamy także na choinkę. W końcu święta Bożego Narodzenia za trzy dni – święta, których nie mogę się doczekać. Jeszcze kilka dni temu odgrażałam się w myślach, że żadnych świąt nie będzie. Dziś – chciałabym już mieć Gwiazdkę. Coś się zmieniło… a może po prostu poczułam się bezpiecznie?

– Julcia, jakby co, to mów i zatrzymamy się na chwilę – szepce Magda, widząc, że zielenieję na tylnym siedzeniu, z nosem za szybą.

Kręta droga na górę Dandenong nie chciała się uspokoić. Pięliśmy się tą serpentyną, wśród potężnych drzew spowitych delikatną mgłą. Temperatura zaczęła spadać, co dało się odczuć w podmuchach wiatru wdzierających się przez uchylone okno. Niesamowite wąwozy wyłaniające się na zakrętach porośnięte były szalonymi paprociami. Strzeliste eukaliptusy, zwane królewskimi, sięgały chmur, tworząc zaczarowany ogród.

W Grants of Sherbrooke obsiadła nas zgraja wygłodniałych białych

kakadu, które, jak wytresowane, zaglądają tu na obiad. Niezbyt delikatnie wbijały pazury w przedramię, żeby wydłubać wszystkie ziarna z dłoni, a gdy skończyły, przesiadały się na czyjąś głowę. Szalone! Potem przedstawiła nam się kukabura chichotliwa, jeden z najpiękniejszych ptaków, jakie kiedykolwiek widziałam, która tkwiąc w krzakach, śmiała się niczym nieznośna małpka. Patrzyliśmy na panoramę Melbourne ze skarpy w środku lasu, zupełnie sami.

W upalny poranek, następnego dnia, ruszyliśmy na półwysep Mornington, położony na południowy wschód od Melbourne. Z jednej strony otoczony jest on spokojnymi wodami zatoki Port Philip, z drugiej – odgrodzony szaloną Cieśniną Bassa.

Od godziny, siedząc na plaży, z przestrachem obserwuję narwany ocean. Przypominam sobie marny los byłego australijskiego premiera, Harolda Holta, który zaginął gdzieś w tym rejonie, bezpowrotnie wciągnięty między fale. Nie decyduję się na kąpiel.

– Zbieramy się i idziemy na *fish and chips*? – pyta Magda, gdy słońce zaczyna nam dokuczać. – Tam w Sorrento, Bartuś?

Zapakowana w papierową torbę ryba i frytki z majonezowym sosem, które można jeść na trawniku z widokiem na co się chce, smakują wyśmienicie.

– Spróbuj – Bartek podtyka mi pod nos małą brązową butelkę z *ginger beer*, czyli australijskim bezalkoholowym napojem imbirowym; bąbelki wylatują mi przez nos.

– Pycha! – Przyssana do butelki wychylam ją do dna.

Już sama trasa z półwyspu lub na niego angażuje wszystkie zmysły. Mijasz przyjemne miasteczka, mnóstwo rozgrzanych latem parków i plaż, punktów widokowych, na których jedyne, czego się chce – to chłonąć urodę mijanych okolic... Ostatni przystanek tej wycieczki zachwyca mnie najbardziej – Brighton Beach. Jest to plaża, wzdłuż której stoją różnokolorowe, drewniane chatki. *Bathing boxes,* czyli kąpielowe pudełka. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że to zwykłe magazyny na letnie i piknikowe graty, ale warte są majątek. Rozciągają się na skraju plaży, jeden

koło drugiego, każdy pomalowany inaczej. Te w pastelowych barwach – uspokajają, ten maźnięty w australijską flagę – ma być główną atrakcją, a wszystkie one wyglądają jak z obrazka, jak z bajki jakiejś i wszystkie zasługują na sesję zdjęciową.

– Jeszcze chwilę, proszę.

Wigilia. Grudniowy dzień w środku lata, na termometrze dwadzieścia siedem stopni, zupełnie inna aura niż ta, do której przywykłam przez ostatnie dwadzieścia siedem lat. Z łóżka zwlekam się ledwo żywa, osłabiona i zmęczona. Od mojej wizyty u lekarza minął ponad tydzień, a przez kilka ostatnich dni starałam się ustalić z beznadziejnym ubezpieczycielem, gdzie powinnam się udać teraz, bo ból brzucha nie ustawał. Tak bardzo nie chciałam iść na badania, tak bardzo bałam się diagnozy, tak skutecznie odganiałam myśl o chorobie i tak bardzo chciałam być zdrowa. Aż do dzisiejszego dnia.

– Czy szpital Cabrini jest gdzieś w okolicy? – pytam przy śniadaniu.

– Tak. Jednak chcesz jechać?

Nie tak wyobrażałam sobie Boże Narodzenie na drugim końcu świata. Na ostrym dyżurze – kolejka. Siadamy z Bartkiem w kącie, czekając, aż ktoś mnie wywoła. Jedni pokasłują, drudzy wyją z bólu, a kolejni, zrezygnowani, czekają tak jak ja na spotkanie z dyżurnym lekarzem. Ktoś kuśtyka, ktoś inny po prostu gapi się w sufit. Resztki dobrego nastroju szybko ulatują w szpitalnej przestrzeni. Nie da się inaczej.

– Julia… Ra…zcko? – woła mnie w końcu pielęgniarz.

Spisuje moje dane, numer karty, robi szybki wywiad, każe podpisać kilka papierków, mierzy ciśnienie i zaprasza na drugą stronę.

– Dam znać – mówię szybko do Bartka, przechodząc przez automatyczne drzwi. – Jedź do domu.

– Okej.

Chwilę potem leżę w szpitalnych ciuchach za skromną zasłoną, przez którą ciągle ktoś zagląda. Wśród szeptów, pikania maszyn, jakichś szmerów – irytujące cykanie zegara. W tej kakofonii dźwięków udaje mi się kilka razy wyłowić swoje imię. Lekarz wypytuje o szczegóły, potem bada,

a pielęgniarka niczym wampir wysysa ze mnie parę fiolek krwi. Podłącza kroplówkę.

Czekanie okazuje się najgorsze. Ułamki sekund zamieniają się w długie minuty, aż pędzący zazwyczaj czas nagle przestaje się spieszyć… Jak na złość.

U will be ok! Don't stress, it could be worse. U could be in a Polish hospital… – Uśmiecham się na wiadomość od Sama, któremu Bartek z jakiegoś powodu dał znać, że wylądowałam na ostrym dyżurze. Jego poczucie humoru odgania moje rozgoryczenie. Wymieniamy kilka esemesów, co przyspiesza pobyt na szpitalnym łóżku i pozwala się wyżalić. Nikt inny nie wie, że tu jestem. Postanowiłam oszczędzić rodzinie niepotrzebnych stresów i przemilczeć sprawę do czasu otrzymania diagnozy.

– *Miss Ra…zcko…* – Wychodzi zza tej marnej zasłony mój lekarz. – *It's not good news.* – Zamieram. – *It looks like you have campylobacter, salmonella or amoeba*.

Nazwy, znane mi dotychczas z lekcji biologii albo nagłówków gazet o nagłych zgonach, dudnią w głowie. Staram się skojarzyć, co jest co, co może się stać, jakie mogą być konsekwencje. Ścigam się ze swoimi myślami. Nic nie mówię, tylko patrzę na niego z przestrachem w oczach.

– *I'm surprised that you're feeling so well. Strong girl!* – Uśmiecha się po raz pierwszy i kamień spada mi z serca. – *We will have to do an ultrasound, but not today…*

Szybko wyjaśnia, że dziś nie ma już lekarza, który mógłby mi zrobić USG, aby wykluczyć przerzuty na wątrobę. Przepisuje trzy różne antybiotyki i przez godzinę nawadnia mój wygłodniały organizm. Gdy już mam wychodzić do domu, zatrzymuje mnie w drzwiach. O nie…

– *Julia, the doctor is here. We can do the ultrasound, please get changed.* – Idę z głową pełną nowych koncepcji.

Do domu wracamy po południu z workiem lekarstw i zaleceniem, żeby pozostać w okolicy przez najbliższy tydzień. USG nie wykazało na szczęście żadnych zmian, ale lekarz sam nie był pewien, co może się wydarzyć. Nie dajemy jednak przeklętej chorobie zepsuć polskiej tradycji – siadamy do wigilijnego stołu zastawionego pierogami, w mikołajowych

czapkach na głowach. Szybko udaje mi się zapomnieć o nieprzyjemnym poranku i cieszę się tym, że święta mogę spędzić z nowymi przyjaciółmi. Przynajmniej nie miałam kiedy zacząć tęsknić za domem.

W okolicach Dwunastu Apostołów, podczas wycieczki na Great Ocean Road

Zbieramy się szybko, bo jednodniowa wyprawa na Great Ocean Road wiąże się z przejechaniem ponad pięciuset kilometrów. Rozleniwiony samochód nie chce odpalić, a potem znowu gaśnie na wysokości miejscowości Geelong, niedługo przed początkiem trasy widokowej. Zawracamy w obawie przez utknięciem i bezpiecznie jedziemy tramwajem (darmowym z okazji świąt) do centrum – na spacer po Docklands, czyli jednej z najnowszych części Melbourne, w której króluje wielki stadion Etihad. Great Ocean Road musi pozostać na razie w strefie marzeń.

Typowy australijski znak, w drodze do Parku Narodowego Wilsons Promontory

Przez kilka dni mamy czas na rodzinne pikniki, zakupy w tłumie podczas drugiego dnia świąt, czyli tzw. wyprzedażowego *Boxing Day*, mamy czas na wizytę w polskiej knajpie After the tears i w starym kinie obok. Delektujemy się kawą, która w Australii wydaje się najlepsza na świecie, czekając, aż skończy się nasze pranie w jednej z tych miejskich pralni, które ogląda się zazwyczaj w starych amerykańskich filmach. Potem odwiedzamy galerię obwieszoną oryginalnymi dziełami sztuki aborygeńskiej. Mamy czas na poznanie siebie.

– No i jak wam się tu mieszka? – podpytuję wieczorem, gdy z miskami popcornu siadamy przed telewizorem.

– Na razie bardzo dobrze. Wiadomo, że tęsknimy, ale Australia jest cudowna…

Chwilę potem odpalamy film o mordercy, który torturował backpackersów, gdzieś na Outbacku.

Fragment z dziennika

Melbourne, Australia. 74. dzień podróży dookoła świata

Jedziemy do Parku Narodowego Wilsons Promontory, gdzie Bartek obiecuje mi spotkanie z kangurami, wombatami i strusiami emu. Droga, mimo że długa i męcząca, jest przepiękna. Po horyzont rozpościerają się zielone pola, a na nich pasą się szczęśliwe krowy i puchate owce. Chmury lekko przysłaniają letni krajobraz, a gdzieś w oddali widać jedną z winiarni. Przejeżdżamy obok starej kopalni złota, a ja wzdycham sama do siebie. Mogłabym tak siedzieć godzinami i gapić się z nosem przyklejonym do szyby samochodu. Zatrzymujemy się, by wypić kawę i zjeść australijskie ciastko typu *scones* w mieścinie, w której czas zatrzymał się w odległej przeszłości. Wreszcie, po kilku godzinach, docieramy na miejsce. Ulewny deszcz wita nas na Squeaky Beach (plaży, gdzie piasek piszczy pod nogami), nie pytając nikogo o zdanie. Przemoknięci ruszamy dalej – przez góry, suche równiny, a potem zielone zagajniki pełne pachnących krzewów, aż do plaży, która ma wyznaczać kraniec Australii.

– Czy wy serio widzieliście jakiegoś kangura na wolności? – pytam w końcu zrezygnowana. – Bo jestem tu już dwa tygodnie i nie widziałam żadnego.

Chwilę później struś emu przebiega nam drogę, a szare kępki trawy ożywają. Zgraja kangurowatych zrywa się do ucieczki. Są.

Pod wieczór, w drodze do Melbourne, spotykamy też kilka walabii kicających po Wyspie Filipa. Wyspa, na którą można wjechać mostem, znana jest głównie z Parady Pingwinów – niestety, na nią się spóźniliśmy.

Z Magdą, kuzynką Sama, chowając się przed deszczem na Squeaky Beach

Po raz drugi wybieramy się na Great Ocean Road, jedną z bodaj naj-

bardziej widokowych tras na świecie, a na pewno w Australii. Prowadzi ona wzdłuż południowego wybrzeża, na odcinku ponad 200 kilometrów, od Torquay do Allansford. Pięknie… tu jest po prostu pięknie. Zaraz przed wjazdem wita nas smukła, trzydziestoczterometrowa latarnia Split Point, dominująca nad zatoczką Aireys. Spod czerwonego kapelusza nieprzerwanie obserwuje okolicę. Właściwa trasa – której początkiem jest drewniana brama i pomnik przypominający, że Great Ocean Road to jedno z najważniejszych miejsc upamiętniających pierwszą wojnę światową – zaczyna się jednak kawałek dalej. Nie możemy odmówić sobie przerwy na zdjęcia. Przystanki powtarzamy zresztą dość regularnie z dwóch powodów – widoki oszałamiają, a sekwencje ostrych zakrętów zawarły porozumienie z chorobą lokomocyjną. Dawka świeżego powietrza – pomaga.

Potem droga odbija nieco w głąb lądu i sunie przez gęste lasy, często strome pagórki i nijakie równiny, aż do Dwunastu Apostołów. Po wyjściu z auta dopada nas stado much, a tłumy azjatyckich turystów, jakby w komitywie z nimi, starają się odebrać nam przyjemność zwiedzania. Przedzieramy się zawzięcie przez te gromady ludzi w kierunku oceanu i wtedy wszystko inne przestaje mieć znaczenie wobec żywiołu natury.

Beżowe kolosy wybijają się wysoko nad powierzchnię wody, która usilnie stara się je unicestwić. Odnosi sukces, bo z dwunastu skał zostało chyba osiem. Grzywacze delikatnie wpływają na ciągnące się po horyzont plaże skryte pod wysokimi klifami, przy których czujesz się jak mrówka. Schodzimy tam przy pierwszej okazji, nie możemy sobie odmówić przygody. Dopiero z tej perspektywy dociera do mnie ogrom, którym właśnie zdecydowałam się otoczyć – ogrom oceanu, urwiska i dzikiej natury.

Wpatrując się w przepastne niebo pełne gwiazd, rozpościerające się nad Melbourne, łapię swoją – spadającą. W myślach naprędce wypowiadam życzenie, zawieszając się gdzieś w czasoprzestrzeni.

– Cześć, Semik! – słyszę za plecami i kątem oka dostrzegam znajomego, zarośniętego faceta, który roboczą koszulę zamienił na czerwony T-shirt. – Jak fajnie cię widzieć, super, że przyjechałeś – wita się z kuzynem

Magda.

Sylwestrowy wieczór spędzamy w rodzinnym gronie, gdzieś nad zatoką, z widokiem na miasto, wyczekując pokazu fajerwerków. Sam, ten gość z Brisbane z polskim poczuciem humoru, który pocieszał mnie głupkowatymi esemesami, kiedy byłam w szpitalu, postanowił do nas dołączyć. W zamieszaniu składania sobie noworocznych życzeń, łapiemy się za ręce i równie szybko puszczamy w zakłopotaniu. Potem kilka razy chwytamy się wzrokiem i wreszcie zostajemy sami – wszyscy inni rozchodzą się do domów… Jest już 2013 rok.

W nagłym przypływie uczuć, w magii sylwestrowej nocy, po kilku lampkach szampana całujemy się, a los podarował nam, oprócz siebie – niebo pełne gwiazd, widok roziskrzonego Melbourne i być może… miłość?

Queenstown, Nowa Zelandia

Pilot, starając się wpasować między szczyty, dość gwałtownie zmienia trajektorię lotu. Jakaś siła rzuca nami na boki, ale potem szybko się uspokaja, tak jakbyśmy złapali właściwą falę. Samolot sunie równo nad rozlewiskiem, a potem hamuje mocno na krótkim pasie.

– *Welcome to Queenstown where the local time is…* – rozlega się z głośników.

Lądowanie w tym górskim miasteczku na południowej wyspie Nowej Zelandii uznawane jest za jedno z najbardziej spektakularnych na świecie. Trudno się dziwić – wszyscy wzdychają z zachwytem, ledwo powstrzymując się od oklasków, które bezsprzecznie należałyby się naturze.

Zawrotne ceny hosteli zmuszają mnie do zatrzymania się w pokoju wieloosobowym, gdzie za łóżko płacę i tak 34 dolary! Dotychczas starałam się unikać dzielonej przestrzeni, gdyż cenię sobie swoją własną, ale tym razem nie mogłam sobie na nią pozwolić. Nie może być tak źle – pomyślałam.

Ktoś otwiera drzwi, a potem szybko się wycofuje. Wraca za chwilę.

– O kurwa, myślałem, że pomyliłem pokój i musiałem, kurwa, sprawdzić, czy to tu – tak wita się ze mną wysoki jak dąb, lekko zatuczony chłopak z nażelowanymi włosami. – Siemano! Josh. – Chwyta mnie za rękę. – To żeś, kurwa, trafiła…

Rozglądam się po pokoju wielkości trzy na trzy, gdzie stoją trzy piętrowe łóżka i mieszka podobno czterech Brazylijczyków i Josh – nowo poznany Hawajczyk. Do pięciu facetów dołączam ja – dziewczyna z Polski. Jest… obrzydliwie i cuchnie nieświeżą, zapoconą bielizną oraz skarpetkami noszonymi przez tydzień. A na stoliku jakieś butelki ze spleśniałym sokiem.

– Chodź na browar, bo mam przerwę. – Wyciąga mnie za sobą bez

pytania. Zerkam na zegarek; dochodzi dziesiąta rano. – Normalnie bym nie proponował, ale że ty z Polski… – nigdy nie kończy zdania.

Po śniadaniowej alkoholizacji wymykam się ukradkiem nad jezioro Wakatipu, do którego z hostelu mam jakieś dziesięć kroków. Siadam oszołomiona, bo z nadmiaru wrażeń czuję jedynie zachwyt, którego nie potrafię zwerbalizować nawet w myślach – to jest lazur w najczystszej postaci, taki z palety wzornika kolorów. Z brzegu widać ganiające się pod powierzchnią pstrągi, bo woda jest krystaliczna, a wokół – górski pejzaż namalowany przez wyrafinowanego artystę. Mógłby spokojnie znaleźć się w zbiorach Podkowińskiego, a w barwach przypomina te z kolekcji Augusta Mackego.

Od dość zatłoczonego centrum, gdzie trudno spotkać choćby jednego Nowozelandczyka, uciekam skrajem jeziora w głuszę i, nie zauważając kiedy, odnajduję się siedem kilometrów dalej, we Frankton. Nogi niosły mnie, nie chcąc się zatrzymać, a oczy nie mogły przestać cieszyć się widokami.

– Jesteś, kurwa. – Wpada do pokoju Josh i jak zwykle uradowany, oczywiście bez pytania, wyciąga mnie do kuchni. – Ona jest z Polski. Wiecie, kurwa, ile oni mogą wypić? – wykrzykuje na całą salę, wznosząc za mnie głośny toast.

Do pokoju prowadzę go pod rękę, bo jeszcze przed dwudziestą pierwszą (wtedy wybija godzina zero i w hostelu nie można więcej spożywać alkoholu) zdążył upić się w trupa, na szczęście pozostając przy tym zabawnym.

Korzystając z wolności, zwiedzam nocą Queenstown, a rankiem – zanim skacowane towarzystwo się ocknie – jestem już na nogach, po to, by wjechać gondolą na szczyt Boba i spojrzeć na nie z wysokości.

Długie na 80 kilometrów jezioro Wakatipu, najdłuższe w kraju, wdziera się zuchwale między masywy, u których podnóży ułożyło się miasto. W pewnej chwili po błękitnym niebie przemyka helikopter, a z lasu dochodzi echo okrzyków ludzi rzucających się w przestrzeń.

Queenstown to stolica sportów ekstremalnych – to tu, zgodnie z tym, co podają rozmieszczone wszędzie tablice, miało swój początek komer-

cyjne skakanie na bungee. Oprócz tego, można tu też skoczyć ze spadochronem, wybrać się na rafting albo zimą poszaleć na nartach. Decyduję się na niby zwykły spacer w dół – i nie żałuję, bo w Queenstown nawet lasy są przepiękne. Nie bez powodu co roku przyjeżdżają tu dwa miliony turystów...

Widok na miasto Queenstown i okolicę

W nocy pogoda postanawia spłatać wszystkim figla – temperatura spadła do siedmiu stopni, a w górskim krajobrazie pojawiły się białe plamy śniegu. Śnieg w środku lata. Zmarznięta szybko pakuję się do pełnego autobusu (nie znoszę ich, ale innej możliwości nie było) i wraz z wycieczką jadę na... właśnie – na fiordy.

Na miejsce prowadzi nas spektakularna droga – Milford Road, która zwalnia na zakrętach przy wyrzeźbionych przez lodowce dolinach i pachnących świeżością lasach, a potem znika w tunelu Homer. Jak podają na oficjalnej turystycznej stronie[3)], przed 1954 rokiem dalej nie było drogowego dostępu. To, co kryje się po jego drugiej stronie, jest moim dzisiej-

szym celem – Zatoka Milforda (Milford Sound), opisana przez brytyjskiego pisarza Rudyarda Kiplinga jako ósmy cud świata.

3) milford–sound.co.nz

Zatoka Milforda, położona w Parku Narodowym Fiordland, to nowozelandzka ikona, o której pierwszy raz usłyszałam kilka tygodniu temu od Sama i to on wręcz kazał mi się tu wybrać. Za co powinnam mu chyba dziękować do końca życia!

Wypływamy na niczym niezmącone wody, osaczone przez wysokie, zielone klify, z których w dół, jak z lekko niedokręconego kranu, tryskają smukłe wodospady. Na szczytach, na drugim planie, spokojnie spoczywa śnieg, a zimne podmuchy wiatru przypominają, że jesteśmy daleko na południowej półkuli.

Fragment z dziennika

Queenstown, Nowa Zelandia. 86. dzień podróży dookoła świata

Wiatr zrywa czapki z głów, a te kręcą się wokół jak oszalałe, bo nie wiedzą już, na co patrzeć. Głowy wszystkich osób na łodzi wpadają w amok – patrzeć w lewo na wodospad czy może w prawo na wodospad? A może jednak przed siebie na bawiące się w wodzie delfiny albo tam, w bok, na śpiące na skałach foki? Albo za siebie na wyłaniające się zza zakrętów klify? Od piękna przyrody można tu zwariować, można popłakać się z zachwytu. W sumie z ulgą wracam po kilku godzinach do autobusu, bo w końcu – ile razy widok może ci zapierać dech w piersiach? No ile? W Nowej Zelandii – non stop. Nawet jak się jedzie autobusem, którego się szczerze nie znosi. Odpoczynek nie jest mi dziś pisany.

Christchurch – Wellington – Auckland, Nowa Zelandia

Fragment z dziennika

Christchurch, Nowa Zelandia. 89. dzień podróży dookoła świata

Stoję oparta o betonowy słup, ubrana w najlepsze ciuchy, jakie miałam, czyli najmniej wymięty podkoszulek i dżinsowe szorty z Tajlandii. Stoję tak już chyba od godziny, czekam – niespokojna i niecierpliwa. Po sali przylotów krąży tylko kilka osób, snują się, zerkając od czasu do czasu na wielki zegar w rogu. Wewnętrznie się gotuję i nerwowo patrzę na swój. Moje serce wali jak szalone, obserwuję drzwi, a potem wbijam wzrok w podłogę i wcale nie chcę go podnosić. Sama nie wiem, czy nie powinnam uciekać. Co ja tu właściwie robię? Czy postradałam resztki rozumu, żeby decydować się na wakacje z prawie nieznajomym?! Zwariowałam. To nie podlega dyskusji. I gdy już prawie przekonałam sama siebie, że to głupi pomysł, że trzeba stąd wiać, przez te drzwi, na które nie chciałam patrzeć – wychodzi on. W niebieskim podkoszulku, z plecakiem przerzuconym przez ramię, z równie nerwowym uśmiechem jak mój.

I have a great idea – napisał niedawno. *A campervan trip from Christchurch to Auckland* – to był początek śnieżnej kuli, która – napędzona uczuciami – sprawiła, że tydzień później spotkałam się z Samem w Nowej Zelandii i mieliśmy ruszyć na nasze pierwsze wspólne wakacje. W spontanicznych decyzjach chyba oboje nie mieliśmy sobie równych.

Od początku wiedzieliśmy, że to, co się dzieje z nami i między nami – będzie intensywne pod każdym względem. Cztery dni. Po pierwsze, czasu nie było zbyt wiele, po drugie, było przecież tyle do zobaczenia, a po

trzecie… wszystko się w nas kotłowało i do tego na wysokich obrotach! Między głosem serca a głosem rozumu żadne z nas nie mogło odnaleźć siebie, wokół zaczęła się kształtować nowa rzeczywistość, na którą po prostu nie mieliśmy wpływu.

Pomnik ofiar trzęsienia ziemi w Christchurch

– Tęskniłam – wyszeptałam rano, a potem zaczęłam się zastanawiać, za czym. Jak mogłam tęsknić, no jak?! Przecież to wbrew jakiejkolwiek logice.

– Ja też – odpowiedział i w jego oczach widziałam to samo zdumione zmieszanie. Jak można tęsknić za kimś kogo się prawie nie zna?!

Ale nam się przecież wtedy wydawało, że znamy się doskonale! Na pierwsze wspólne śniadanie trafiliśmy do… Sweet Heart Cafe, kafejki ukrytej w malinowym polu. Romantyczny sztafaż rozkręcał się na całego i chyba w swoich planach miał jeszcze więcej pomysłów, niż mieliśmy my.

Potem odpuścił – ten romantyzm. W chwili, gdy wjechaliśmy do cen-

trum Christchurch – zapałka zgasła...

Fragment z dziennika

Christchurch, Nowa Zelandia. 90. dzień podróży dookoła świata

Po opustoszałych ulicach przechadza się tu powoli dziwna energia. Panuje totalna cisza i wieje tylko ten niepokojący wiatr. „Road closed". „No entry". „Extreme danger. Keep out". Christchurch – nie żyje. Pozostało zrujnowane po trzęsieniach ziemi sprzed dwóch lat – całe centrum to tzw. czerwona strefa ogrodzona wysoką siatką. Widzimy: opuszczone restauracje, gdzie wciąż leżą porozbijane szklanki i widelce, które pospadały ze stołów, wysokie i niskie bloki z powybijanymi oknami, budynki bez dachów, połowy budynków albo ich szczątki, kompletnie rozwaloną piękną katedrę, tony gruzu, puste place, niedziałające światła i niezwykły pomnik – sto osiemdziesiąt pięć białych krzeseł, symbolizujących sto osiemdziesiąt pięć ofiar trzęsienia ziemi. Wśród tych krzeseł – dziecięcy fotelik samochodowy, też pomalowany na biało. Jedne z uchylonych drzwi skrzypią jak w horrorze. Wnet – zawiał wiatr. I zapałka zgasła...

Trzymając się za ręce, chyba jeszcze mocniej niż wcześniej, spacerujemy w zadumie i myślimy o tych ludziach, o żywiole natury, o kruchości ludzkiego życia.

Przybici, ruszamy wreszcie w drogę, bo jutro z samego rana mamy przeprawić się na drugą wyspę. Wschodnim wybrzeżem, tym rzadziej odwiedzanym, gnamy na północ, ścigając się z pędzącym równolegle pociągiem ginącym nagle w tunelu przykrytym płaszczem trawy. Zjeżdżamy w kierunku Kaikoury – miasteczka, które rozciąga się od linii błękitnej zatoki do masywnych szczytów gór. W rozbrykanych falach Pacyfiku dostrzegamy bawiące się delfiny...

– Rano z łodzi widzieliśmy pięć wielorybów – wspomina nieznajomy, gdy z punktu widokowego podziwiamy otaczającą nas przestrzeń. Wyjaśnia szybko, że Kaikoura to jedno z lepszych miejsc na świecie na wielorybie wycieczki i znika w swoim kamperze, zaparkowanym tuż obok naszego.

Kamper mój i Sama nad zatoką w mieście Kaikoura

Jedziemy za nim, a potem szarą, wyłożoną obłymi kamykami plażą, której kolor kontrastuje mocno z białymi grzywami fal, dochodzimy do małego baru, gdzie serwują świeże langusty. To od tego frykasa miasteczko wzięło swoją nazwę – w maoryskim dialekcie bowiem *Kai* to jedzenie, a *Koura* – langusta. Wszechobecne albatrosy wytrwale czekają, aż będziemy mieć już dość obżarstwa.

Niedługo za miastem zatrzymujemy się w Ohau Point Seal Colony, gdzie leniwie odpoczywają setki fok, a potem, drogą wręcz przyklejoną do oceanu, jedziemy w stronę Picton. W głośnikach przeboje lat dziewięćdziesiątych, a do tego my – nieudolnie odtwarzający hity szkolnych dyskotek. Przemykamy przez malowniczą dolinę Awetere i wjeżdżamy dalej między pola pełne winorośli. To region Marlborough, w którym produkuje się ponad siedemdziesiąt procent wybornych win nowozelandzkich. Dwie butelki ruszają z nami w dalszą podróż.

Przydają się już tego samego wieczoru, gdy w porcie czekamy na poranny prom. Była to długa noc pełna rozmów, a bez wina pewnie trudno

by było je rozpocząć.

Marlborough Sounds podczas porannej przeprawy z wyspy południowej na północną

Pobudka o czwartej nad ranem (ostatnia rzecz, o której marzymy) okazała się doskonałym pomysłem, bo przeprawa o świcie to najlepsze, na co mogliśmy się zdecydować. Cieśnina Cooka, łącząca Morze Tasmana z Oceanem Spokojnym i Wyspę Północną z Południową, nie jest jeszcze zakłócona nawet jedną falą. Wszystko wokół nas jakby trochę drzemie i nawet wiatr wziął sobie chyba wolne. Wypływając z portu, przemykamy przez efektowne fiordy Marlborough Sounds, a potem prom nawiguje w pobliżu rozrzuconych gdzieniegdzie małych, zielonych wysepek.

– *Come on!*

– Nie, tam! – odkrzykuję. – Zobaczysz, tam będzie lepszy widok.

Biegamy jak opętani z rufy na dziób, starając się uchwycić to wszystko, co piękne i tak bardzo delikatne. Cieszymy się przy tym jak dzieci i z tego, że tu jest tak pięknie, i że jest coś, co będziemy mogli razem wspominać. Czyżby to była jedna z tych rzeczy, którą można otrzymać

w podróży z kimś – wspólne wspomnienia?

Nowozelandzka stolica wita nas słońcem, wyśmienitą kawą i pysznym śniadaniem w jednej z wielu interesujących restauracyjek. Wellington rozciąga się na zielonych pagórkach i kusi miejską układanką, na którą patrzymy z przyjemnością ze szczytu Góry Wiktorii. Uciekamy jednak szybko, wiedząc, że miasto to nie to, czego nam teraz potrzeba, po prostu znikamy.

Fragment z dziennika

W drodze, Nowa Zelandia. 91. dzień podróży dookoła świata

Sądziliśmy, że krajobraz Wyspy Południowej zmienia się jak w kalejdoskopie – byliśmy w błędzie, a chwilę później w obłędzie. To na Wyspie Północnej co kilometr jest inaczej. Najpierw skaliste wybrzeże, nieco wzburzone wody, gwałtownie rozbijające się fale i piękne plaże. Potem zieleń na przemian ze złotymi polami. Kilka dość nudnych wiosek i miasteczek, w których niewiele się dzieje. Górskie drogi, delikatne pagórki, łąki i gdzieś daleko po lewej stronie – ośnieżony szczyt, drogowskaz wskazuje niewinnie stok narciarski. Wreszcie trafiamy na Marsa – wielkie, puste, wojskowe tereny i przewijający się tu i tam kolczasty drut. To okolice Waiouru – domu nowozelandzkiej armii. Dalej jest dziwny wulkaniczny stożek i kratery, które widać z daleka, a zaraz za zakrętem – zarośla. Powietrze niespodziewanie nasiąka wilgocią, a my suniemy krętą drogą przez gąszcz, zmieniający się w okamgnieniu w potężny bukowy las uzupełniony drzewami kanuka. Skręcamy w drogę, którą raczej nikt nie jeździ, i zostajemy sami nad rwącym, jak szalony, potokiem.

Tu romantyzm znowu bierze górę. W miejscu, w które żadne z nas nie trafiłoby po raz kolejny, nad rzeką Tongariro, gdzie zapewne nie powinniśmy rozbijać obozu – dostajemy znowu w prezencie od losu niebo roziskrzone tysiącem gwiazd. Rozłożeni na wilgotnej od wieczornej rosy trawie, przypisujemy każdej z nich zmyśloną historię, a potem, w ciszy, łapiemy te spadające.

Po dobrej godzinie wstajemy już lekko zmarznięci z ziemi, i, wracając do rzeczywistości, pakujemy się do zaparkowanego pod drzewem kampera. Ale tu – zamiast nowej dawki romantyzmu – wita nas armia żąd-

nych naszej krwi komarów. Operacja pozbycia się wszystkich zajmuje kolejną godzinę. Rzeź niewiniątek. Udaje nam się zasnąć w spokoju.

Zatoka w okolicach miasta Kaikoura

Do porannej kawy siadamy na kamieniu, przy tym rwącym potoku, w którym ścigają się pstrągi, a w cudownie krystalicznej wodzie widać każdy paproch.

– Idziesz?

– Za chwilę.

Bezwstydnie zrzuca ubranie i bladymi pośladkami świeci w moim kierunku.

– Zimna?

– *No, it's not...*

Od razu wiem, że kłamie, ale w tej lodowatej wodzie dzielnie dryfuje z prądem, na golasa oczywiście, a potem – biedaczek – musi wrócić. Czy

robi to wszystko, żeby wywrzeć na mnie wrażenie? Nie, on po prostu jest wariatem.

– Chodź – namawia mnie usilnie i nawet próbuję, ale woda jest tak zimna, że aż czuję ból w kościach. Czekam z ręcznikiem.

Przez Tongariro National Park, najstarszy park narodowy w Nowej Zelandii, znajdujący się podwójnie na liście UNESCO (zarówno kulturowo, jak i naturalnie), zawracając kilka razy ze względu na widoki, pokonujemy powoli kolejne kilometry. Przestrzenie porośnięte są kępiastymi trawami tussock, a strzegą ich trzy groźne wulkany: Ruapehu, Ngauruhoe i Tongariro. Przykucamy w krzakach, wypatrując ptaków kiwi, o których obecności ostrzegają przydrożne znaki, ale nie zauważamy żadnego. Jak dowiadujemy się później, spotkać je można raczej po zmroku.

Gdy w końcu dojeżdżamy do celu, kłaniamy się nisko, w zachwyceniu, bo jezioru Taupo ukłony po prostu się należą. Trudno dostrzec jego drugi brzeg – jest gigantyczne, niektórzy mówią, że podobno większe od Singapuru. Znajduje się w jednym z kraterów powstałych po wybuchu superwulkanu – wybuch ten miał być tak wielki, że przyćmione niebo dojrzeli nawet w starożytnym Rzymie. Zarówno wokół niego, jak i wewnątrz atmosferę podgrzewają liczne źródła termalne.

Ale, zupełnie szczerze… nie na tych pięknych widokach, nie na tych bezdyskusyjnych cudach natury skupiamy naszą uwagę, tylko – egoistycznie na sobie nawzajem. Zamiast w horyzont – patrzymy sobie w oczy. Zamiast odkrywać liczne jaskinie – wolimy siedzieć na brzegu, trzymając się za ręce. Odstawiając piękno Nowej Zelandii na drugi plan, serce wygrywa walkę z rozumem. Tak już jest z uczuciami.

Z Dorotą, znajomą z Milanówka, z którą spotkałam się w Auckland

– Mam… Tak myślałem…

Ja ani drgnę.

– Wiesz… A jakby…

Czuję, jak gdzieś we mnie wszystkie nerwy zwijają się w wielki kłębek.

– Może… Może wrócisz ze mną na trochę do Australii?

Nadal się nie ruszam i patrząc na spokojną wodę mówię, jakby bardziej do siebie: – Tak.

– Serio?!

Auckland – nazywane „miastem jachtów”

Auto oddajemy w Auckland następnego poranka, na lotnisko wbiegamy zziajani, bo do odlotu zostało czterdzieści minut.

– Żartujecie? – pyta pani z obsługi naziemnej. – Nie ma… – patrzy na nas i chyba dostrzega, że musimy wsiąść do tego samolotu, teraz albo nigdy. – Nie macie bagażu?

Machamy głowami na „nie”, bo wszystko mieści się w podręcznym,

a nawet gdyby było inaczej, zmuszeni jesteśmy kłamać i liczyć na szczęście. Chwilę później wręcza nam karty pokładowe.

– Biegnijcie!

Z przejęcia wchodzę do męskiej toalety.

Melbourne – Hobart, Australia

Bujało. Mówią, że Cieśnina Bassa, oddzielająca Tasmanię od reszty Australii, jest wredna i uprzykrza podróż nawet tym, którzy nie cierpią na chorobę morską. Czasem – gigantycznymi falami – odsyła ich z powrotem do portu, dając znać, że nie ma ochoty na gości. Na szczęście dziś była w dobrym humorze i tylko trochę bujało.

Po kilku dniach spędzonych w Brisbane (nie pomyślałabym wcześniej, że wrócę), po paru jednodniowych wycieczkach na plaże Słonecznego Wybrzeża, postanowiliśmy mocniej podsycić podróżniczy ogień, który wygonił nas aż tutaj, gdzie dziś jesteśmy.

– Jedziemy na Tasmanię – rzucił Sam, przeglądając coś na telefonie. – Jest kamper z Melbourne do Hobart na trzy dni.

Klamka zapadła, wybieramy się na Tasmanię, korzystając zaś z tzw. relokacji – prawie za darmo. To opcja identyczna z tą, na którą trafiliśmy w Nowej Zelandii – przestawienie auta z punktu B do A, za symboliczną opłatą. Rozwiązanie opłacalne zarówno dla wypożyczalni, które nie muszą zatrudniać kierowców, aby przyprowadzić auta do bazy, jak i dla turystów pragnących zjechać Australię czy Nową Zelandię na czterech kołach, nie tracąc przy tym fortuny.

Potężny prom „Spirit of Tasmania", po dziesięciu godzinach na wodzie, dobija wreszcie do miasteczka Devonport. Z przyjemnością schodzimy na ląd i ruszamy przez pola obsadzone ziemniakami, cebulą i pnącym groszkiem, czyli największe rolnicze tereny Tasmanii, na poszukiwanie dzisiejszego noclegu. Nie mamy pojęcia, co chcemy zobaczyć i gdzie się zatrzymać – jako fani przypadków i tym razem oddajemy się

w ręce losu.

Jedna ze ścieżek, w którą skręcamy pod wpływem impulsu, skuszeni zabawnymi skrzynkami na listy ustawionymi na rogu, prowadzi nas nad jezioro Czterech Wiosen.

– Widziałeś? – pytam zaciekawiona widokiem starej lodówki przy drodze.

– Tak.

– Zatrzymaj się.

Lodówka na oko ma kilkanaście lat, w środku leżą trzy opakowania jajek, a obok stoi skrzynka z napisem „$4".

– To *honesty box*, czyli taki samoobsługowy stragan – tłumaczy Sam, wyciągając z lodówki jajka na śniadanie. – Bierzesz, co chcesz, i wrzucasz pieniądze do skrzynki.

– W Polsce by się nie sprawdziło… niestety.

Ostatni rybacy zbierają się do domu, zostawiając nam jezioro na wyłączność, aż do rana. Nawet kiepska rozpuszczalna kawa, ale wypita nad wodą, której nikt oprócz nas jeszcze dziś nie widział, smakuje wyśmienicie. Słońce powoli ogrzewa schłodzone nocą powietrze, kaczki rozbudzają się podczas kąpieli, a my zbieramy się do dalszej drogi i jedziemy do Cataract Gorge Reserve.

Dzikość w środku miasta – The Gorge – jak nazywają je miejscowi, znajduje się piętnaście minut piechotą od Launceston, drugiego co do wielkości miasta na wyspie. Ten rezerwat przyrody, wbity między skały przy rzece South Esk, zaprasza na poranny spacer. Trwa on oczywiście dłużej, niż zaplanowaliśmy, bo najpierw trzeba się przejść długim, trzęsącym się jak galareta mostem, potem przejechać najdłuższym na świecie jednoprzęsłowym wyciągiem krzesełkowym, a na koniec popływać w obszernym basenie schowanym w trawie, zaraz przy brzegu rzeki.

Z samym Launceston też nie możemy się szybko rozstać. To jedno z najstarszych miast w Australii, założone zaraz po Sydney i Hobart, zachwyca uliczkami obudowanymi pięknymi kamienicami, tak rzadkimi dla tej części świata, że wciąga nas ten czar i nie chce puścić. Fascynuje

parkami, pięknym portem, uroczymi kawiarniami i historią retro bijącą z wiktoriańskich murów. Nikt, na szczęście, nie poprzecinał tych szlaków nowoczesnymi szklanymi wieżowcami – wszystko jest takie jak dwieście lat temu.

Fragment z dziennika

Tasmania, Australia. 102. dzień podróży dookoła świata

Przez pola, drogami, którymi nikt nie jeździ, przez słoneczne wzgórza, przez zroszone deszczem lasy, przez wypalony busz – przed siebie na południe, nigdzie się nie spiesząc, jedziemy z widokami na rozciągającą się po horyzont Tasmanię, zupełnie pustą i dziką, czekającą na odkrycie. Odpoczywamy, gdzie tylko nam się zapragnie i zachwycamy się tym, co jest za zakrętem. A jest się czym zachwycać! Raz suche pola, raz zielone gęstwiny, raz pada, a chwilę potem świeci słońce. Wśród pagórków poukrywane są liczne jeziora połączone drogami, po których o zmierzchu skaczą setki kangurów.

Chcemy jechać dalej, ale szkoda nam skrytych nocą krajobrazów. Zastanawiając się, gdzie będzie dobry przystanek na dziś, trafiamy do Bronte Park – dziwnego miejsca, ukrytego w górach, wśród licznych jezior i wodospadów.

Bronte Park to niby-miasteczko, niby – bo tak naprawdę to dziś stara karczma, sklep i rozciągający się wokół kemping. Nieliczna zabudowa powstała tu w latach czterdziestych z myślą o robotnikach pracujących przy miejscowym projekcie hydroelektrowni. Kilka lat później mieszkało tu ponad siedemset osób. Było kino, poczta i komisariat policji. Miasto należało do spółki Hydro Tasmania, ale po finalizacji budowy, zaczęło stopniowo umierać.

– Gdyby nie Denis i Robin Wiss – opowiada nam przemiły barman, który sam wypił już chyba kilka piw, wskazując na zdjęcie starszej pary na ścianie – nic by tu nie było. Oni wiedzieli, że to piękne miejsce ma potencjał i odkupili je od wielkich jakieś dwadzieścia lat temu.

W karczmie roznosi się zapach rozlanego piwa, dwóch gości w rogu gra w bilard, a my słuchamy opowieści.

– Wiecie, tu jest dziwnie – opowiada. – Słyszeliście o pożarach przy

Hobart w zeszłym tygodniu? – Przytakujemy. – No, to tutaj wtedy padał śnieg. U nas wszystko jest inaczej.

To środek australijskiego lata – niska temperatura w nocy nie pozwala nam się dobrze wyspać, więc zrywamy się skoro świt. Koło nas drzemią jeszcze ludzie w kamperach, jest kilka przyczep kempingowych, a przy ścieżce stoją leciwe chatki pracowników elektrowni, nazwane krajami, z których pochodzili. Mamy Niemcy, Luksemburg, Wielką Brytanię, Norwegię i kilka innych. Niektórzy mieszkają tutaj na stałe – w tych swoich przyczepach na kołach, z murowanym kominem obok, inni – tacy jak my czy facet w wielkiej ciężarówce – są tu tylko przejazdem.

Trasę do Hobart, stolicy stanu, wyznacza podwójna biała linia wijąca się między pagórkami i tak naprawdę jedyną atrakcją po drodze, oprócz przepięknych pejzaży, które z przyjemnością omiatam wzrokiem, są przechodzące na drugą stronę stada owiec. Usypiam, tracąc to, co powinnam chłonąć, ale jednak nadmiar wrażeń bierze górę.

– Potrzebuję kawy – wyduszam jeszcze przez sen.

Na moje szczęście, które ostatnio się ze mną dość spoufala, w Hobart można przebierać wśród kafejek i restauracji, co czynimy z największą przyjemnością. Po siedemnastej nie pozostaje nam już zresztą nic innego, bo biznesy kończą tu swoją działalność, więc zamiast plątania się po sklepach, zostaje nam plątanie się po knajpach, zjedzenie świeżutkiej ryby z dzisiejszych połowów i przechadzka po porcie. Linki żagli delikatnie uderzają o maszty w rytm przepływających fal, grupki znajomych chichoczą, popijając popołudniowe wino, na którego lampkę spotykają się regularnie po pracy, a my siadamy na brzegu, wciąż nie frasując się myślą o tym, co będzie dalej i ciesząc się chwilą. Bo przecież jutra może nie być, a wspomnienia pozostaną.

– Największą atrakcją jest tu Richmond Bridge – czytam na ulotce zwiniętej z punktu informacyjnego, gdy następnego poranka wyjeżdżamy z Hobart. – To najstarszy, wciąż działający most w Australii. Wielu uważa, że ten most nawiedzony jest przez duchy… Minąłeś zjazd – doda-

ję, widząc tablicę wskazującą Richmond przemykającą mi za szybą.

– Gdzie?

– No tam, w lewo – wskazuję, odwracając się przez ramię i w tej samej chwili łapiemy się na sekundę tym wciąż powodującym ciarki wzrokiem. – Tam… – uśmiecham się bez powodu.

Parkujemy na wzgórzu, pod kościołem, gdzie przy wejściu wisi zdjęcie Jana Pawła II, który też kiedyś przyjechał tu w odwiedziny. St. John's Catholic Church to najstarszy, wciąż działający, kościół katolicki w Australii, zbudowany w 1837 roku.

Gdzieś tam w dole, przy parku, stoi ten most z piaskowca, o którym czytałam – Richmond Bridge, zbudowany w pierwszej połowie XIX wieku przez skazańców, a kawałek dalej jest więzienie. Jednym z najsławniejszych osadzonych w Richmond Goal był Isaac „Ikey" Salmon uważany za wzór postaci Fagina z Dickensowskiej powieści *Oliver Twist*. Richmond oczarowuje architekturą, otoczeniem i historią.

Z okolicą Hobart żegnamy się z punktu widokowego w Rosny Hill, skąd rozpościera się pocztówkowa panorama na miasto ułożone zaraz przy rzece Derwent, które odgrodzone jest od reszty świata górą Wellington. Dwa brzegi łączy długi most.

W 1975 roku masowiec „Lake Illawara", załadowany wartą miliony dolarów rudą cynku, uderzył w słupy wspierające most Tasmana, powodując śmierć dwunastu osób. Zarwany fragment drogi zatopił statek, a kierowcom otworzył drogę do piekła. Szczęście w nieszczęściu, w ten pochmurny, niedzielny dzień ruch nie był zbyt wielki. Za tą najbardziej spektakularną katastrofą morsko-drogową w Australii stoi polski kapitan Bolesław Pelc, który przeprowadzając jednostkę pod mostem, popełnił kilka fatalnych błędów. Wrak „Lake Illawara" do dziś spoczywa na dnie rzeki, a w odbudowanym moście brakuje jednego pylonu – z powodu zalegającego pod wodą gruzu, nie można go było odbudować[4)].

4) *Katastrofa na moście Tasmana*, antypody.info (dostęp 30.01.2016); *Tasman Bridge disaster: 40 years on, Tasmania remembers night of deadly accident*, www.abc.net.au (dostęp 30.01.2016)

– To już prawie czterdzieści lat – zagaduje do nas starsza kobieta, która zapewne mieszka w okolicy, jej mąż tylko kiwa głową. – Czterdzieści lat temu byliśmy odcięci, to była katastrofa – zdaje się, że wracają tu codziennie, aby sprawdzić, czy most Tasmana nadal stoi. Po chwili odchodzą, nie dodając nic więcej.

Odchodzimy i my, chyba coraz bardziej przejęci nadchodzącym rozstaniem.

Auckland, Nowa Zelandia

Przepraszam, wiesz, kiedy będzie autobus?

Pulchna dziewczyna, która wzięła się znikąd – stoi nade mną i czeka na odpowiedź. Szybko ocieram łzy, które wraz z emocjami zerwały się ze smyczy. Siedząc na chodniku, zerkam w jej stronę.

– Wiesz, kiedy będzie autobus? – pyta po raz drugi. – Jeżdżą chyba całą dobę?

– Tak, pewnie za chwilę, bo siedzę tu już jakieś piętnaście minut.

Komunikacja miejska łącząca lotnisko z centrum Auckland działa tu przez 24 godziny. Autobus podjeżdża kilka minut później. Idę na koniec, ona za mną.

– Skąd jesteś? – pyta jeszcze, zanim zdążę usiąść.

– Z Polski – odpowiadam skrótowo, bo najzwyczajniej nie mam dziś ochoty na rozmowy, ale ona drąży...

– Uwielbiam Kraków! Jestem Daria. – Wyciąga rękę w moim kierunku. – Mogę się przysiąść?

– Julia, jasne. – Wiem, że nie odpuści.

Staram się odgonić kiepski nastrój, który dopadł mnie po wyjeździe z Australii. Mimo że pewnie wsiadłam do samolotu, przekonana, że bez względu na rodzące się między mną i Samem uczucie chcę dokończyć tę podróż, to rozsypuję się, cierpię, pękam. W miłosnych uwikłaniach zawsze byłam mięczakiem godzinami ryczącym w poduszkę. Przełamuję niechęć do dziewczyny – tłumaczę sobie szybko, że smutek nigdy jeszcze nigdzie mnie nie zaprowadził – i sekundę później rozmowa po prostu zaczyna się kleić.

Daria, mieszkanka Kolorado, podobnie jak ja jest w podróży dookoła świata. Ma zamiar pokonać trasę w dwanaście tygodni za punkty uzbierane w programie lojalnościowym. Tematy do rozmów pojawiają się same, jeden za drugim, i nie pozwalają mi za wiele myśleć o niedawnym rozstaniu. Babskie pogaduchy trwają do świtu, bo okazuje się, że śpimy w tym samym hostelu – beznadziejnym zresztą molochu Base Backpackers Auckland Central.

Rano rozchodzimy się w przeciwnych kierunkach.

– Powodzenia – rzuca i ściska mnie mocno. – Przyjedź kiedyś do Kolorado.

Chwilę potem znika, gdzieś w tłumie przechodniów. Uśmiecham się do siebie na wspomnienie wszystkich dobrych duszyczek, które spotkałam po drodze.

Niedługo potem spotykam następną – Martę. Jest ona koleżanką Tomka, z którym kiedyś pracowałam w telewizji, ale nie mieliśmy okazji się poznać. Nasza wspólna znajoma skontaktowała nas niedawno, odkrywając, że w tym samym czasie będziemy w Peru. I to właśnie Tomek umówił mnie z Martą z Auckland, która zresztą też pracowała w tej samej firmie. Świat okazuje się za mały, a sieć znajomości bardzo zawiła i pełna niespodzianek.

Fragment z dziennika

Auckland, Nowa Zelandia. 110. dzień podróży dookoła świata

Dołącza do nas mąż Marty, więc jesteśmy we trójkę, a właściwie to w czwórkę, bo Marta jest w dziewiątym miesiącu ciąży. Siadamy w jednej z kafejek i zaplanowane półgodzinne spotkanie szybko zamienia się w trzygodzinne. O czym gadamy? O życiu, o czym by innym... O przeprowadzkach na drugi koniec świata, o radościach, o wątpliwościach, o tęsknotach. O trudnych decyzjach, które trzeba czasem podejmować, i o trudności podejmowania decyzji w ogóle. „Zaśnij z pytaniem, na które chcesz poznać odpowiedź. Rano będziesz ją znała” – od zawsze powtarzała mi mama. Ot, siła naszego umysłu.

Rozstajemy się z poczuciem niedosytu, bo ta fajna znajomość mogła-

by się rozwinąć. Dziś nie ma na to jednak czasu, każdy idzie w swoją stronę – oni do domu, ja zwiedzać miasto.

Auckland to największe miasto Nowej Zelandii, gdzie mieszka ponad jedna trzecia Nowozelandczyków. To kulturowy miks, bo wielu obywateli to imigranci lub ich potomkowie. Barw dodają wszechobecne maoryskie akcenty.

Wiedząc, że czasu nie mam zbyt wiele, uciekam do centrum, gdzie w mrówczym pędzie, ze słuchawkami na uszach, odkrywając siłę muzyki w odganianiu samotności, przemykam ulicami i uliczkami, pełnymi wszystkiego, co jest typowe dla dużego miasta: sklepów, supermarketów, galerii, banków, barów, restauracji, kiosków, świateł i samochodów. Nowoczesne trendy łączą się tu z tymi sprzed lat, nie zawsze w udany sposób, ale jako całość robią miłe wrażenie. Nad wszystkim czuwa The Sky Tower, najwyższy budynek na półkuli południowej, który – widoczny z każdego zakątka – służy za doskonały azymut.

Typową dla metropolii szarość i nudne beże na zawsze odgania Wynyard Quarter – najnowsza dzielnica miasta rozciągająca się wzdłuż brzegów niebieskiej zatoki. W idealnie wręcz zaplanowanej miejskiej przestrzeni są place zabaw, punkty rozrywki, skwery lenistwa z ustawionymi równo wygodnymi leżakami skrytymi pod parasolami w paski. Elementy paskudnej, betonowej zabudowy okraszone są kolorowym graffiti. Na targu rybnym Auckland Fish Market wybieram filet, który chwilę później ląduje usmażony na moim talerzu; siedzę w barze znajdującym się w starym kontenerze, z widokiem na port. Jest tu zatrzęsienie łódek, podobno ma je jedna trzecia mieszkańców – nie bez powodu niektórzy nazywają Auckland Miastem Żagli. Te bardziej eleganckie stoją zacumowane w pobliskim Viaduct Harbour i pozwalają na siebie popatrzeć tym, którzy o wielkich luksusach mogą jedynie pomarzyć.

Fragment z dziennika

Auckland, Nowa Zelandia. 110. dzień podróży dookoła świata

Chwilę po siedemnastej wskakuję na prom do Birkenhead i ruszam na drugą stronę miasta, oddzieloną od centrum wodami zatoki. Płynę spotkać się… z panią od

bizonów. To kolejna z tych dziwnych znajomości, które przydarzają mi się ostatnio coraz częściej. Jakiś czas przed moim wyjazdem z Polski, Karolina, moja przyjaciółka z dawnych lat, napisała do mnie: „Pamiętasz polowanie na bizony?". Nigdy nie byłyśmy normalne, ale żeby aż tak! Jako urocze chłopaczary, całe dzieciństwo spędziłyśmy – moja sąsiadka Karolina i ja – wspinając się po drzewach, paląc ogniska. Pasłyśmy konie, strzelałyśmy z procy i… piałyśmy przy płocie, w ramach wzajemnego nawoływania. Miałyśmy też własną skrzynkę na listy, gdzie każdego dnia zostawiałyśmy sobie wiadomości. To tam pędziłam po powrocie ze szkoły, w czasach kiedy telefony komórkowe były tylko w filmach o przyszłości. „Polowałyśmy na bizony razem z Dorotą. Pamiętasz ją? Ona mieszka w Auckland, więc…" – wyjaśniła.

Przez długi wieczór, zapoczątkowany butelką wina – do sześciu pod koniec – przy pysznym jedzeniu, w rodzinnej atmosferze, staram się wyciągnąć od Doroty prawdę o polowaniu na bizony. Zrozumienie tego absurdu przekracza jednak moje możliwości poznawcze, więc wskakuję na teren naszego rodzinnego Milanówka, gdzie jedno wspomnienie goni kolejne, a rano głowa mi pęka od nadmiaru wrażeń, informacji i białego wina.

Na szczęście jutro znów będzie niedziela, bo w drodze na Tahiti przekroczę granicę czasu.

Wskazówki

Australia i Nowa Zelandia. Kraje, o których chce się marzyć – są odległe i przyprawione tą szczyptą tajemnicy. To dobre miejsca na wakacje zarówno dla tych, którzy lubią zimowe szaleństwa, jak i dla plażowiczów. Australia i Nowa Zelandia, mimo że drogie, są doskonałymi krajami na wyjazdy zorganizowane samodzielnie.

5 rzeczy, które musisz wiedzieć o relokacjach

1. Relokacje - co to jest?

Polegają na przestawianiu pojazdów z punktu B do A za niewielką opłatą. Każdego dnia australijskie i nowozelandzkie drogi pokonują setki, a może nawet tysiące wypożyczonych aut – turyści jadą często w jedną stronę, tam zostawiają samochód i ruszają dalej samolotem. Wypożyczalnie płaciłyby majątek kierowcom, którzy mieliby przywieźć te auta z powrotem do bazy, dlatego dają szansę tym, którzy i tak chcą (czy muszą) pokonać daną trasę i udostępniają im te auta za grosze.

2. Jakim autem możemy jechać?

Korzystającym z relokacji może się trafić wielki kamper z prawdziwego zdarzenia, mały backpackerski van albo po prostu najzwyklejszy samochód.

3. Koszty i zasady

Za kampera lub samochód płaci się od jednego do piętnastu dolarów dziennie, a dni na podróż są ograniczone – auto trzeba dostarczyć w wyznaczonym terminie. Czas jest tak wyliczony, żeby można było trasę przejechać w miarę spokojnie i bezpiecznie, ale nie pozwala na leniwe zwiedzanie. Często można dokupić dodatkowe dni, żeby przedłużyć swoją podróż, ale zapłacimy za nie już pełną cenę, jaką płaci się za wypożyczenie danego kampera czy auta.

4. Dla kogo są relokacje?

Relokacje kamperów i samochodów to świetna opcja dla tych, którzy mogą i lubią być spontaniczni, bo zazwyczaj najlepsze oferty znajdziemy na kilka dni lub nawet na dzień przed wyjazdem, więc planowanie raczej odpada. Trzeba też lubić jeździć i mieć chęć na spędzenie długich godzin za kółkiem oraz ekspresowe zwiedzanie.

5. Gdzie szukać relokacji?

Można szukać bezpośrednio na stronach wypożyczalni (najpopularniejsze w Australii i Nowej Zelandii to m.in. Apollo, Jucy, Britz, Wicked Campers) lub poprzez wyszukiwarki, takie jak Transfercar lub Imoova.

Blogi

www.roadtonz.com – Blog Evy to moja ulubiona strona o Nowej Zelandii. Doskonałe zdjęcia, ciekawe historie i przygody, a do tego – przydatne wskazówki.

www.ytravel.com – Blog australijskiego małżeństwa, które przez ponad rok podróżowało z córkami dookoła Australii.

Filmy i książki

Śniadanie z kangurami – książka Billa Brysona, świetnego podróżniczego autora, to pozycja obowiązkowa dla każdego, kto wybiera się do Australii. Bryson w zabawny i błyskotliwy sposób opowiada o miejscach, ludziach i zwyczajach, a wszystko to przeplata mnóstwem faktów historycznych.

Ścieżki – młoda kobieta idzie piechotą przez australijskie pustynie, aż do oceanu. Film nakręcony jest na postawie książki podróżniczki Robyn Davidson, a rolę główną gra Mia Wasikowska – australijska aktorka polskiego pochodzenia. To opowieść o zmaganiu się z własnymi słabościami i nieprzyjaznym Outbackiem. To, co w filmie najpiękniejsze, to australijskie krajobrazy.

POLINEZJA FRANCUSKA

Nie martw się porażkami, martw się szansami, które straciłeś, bo nawet nie chciałeś spróbować.

Jack Canfield

Tahiti i Moorea

Miało zacząć się tak pięknie – miały być rajskie wyspy, słońce, palmy i żadnych kłopotów. Miały… Zaczęło się od fatalnego lotu. Gdy tylko samolot osiągnął wysokość przelotową, zaczęło trząść jak w szejkerze. Sygnalizacja „zapiąć pasy” zgasła może na pół godziny – przez resztę lotu nie wolno nam było ruszać się z miejsc. Taka atmosfera nakręcała moją i tak już bujną wyobraźnię oraz strach – boję się latać. Od zawsze tak było i z każdym lotem boję się coraz bardziej. Zawsze, kiedy wsiadam na pokład, przełykam tę kulkę nerwów, która staje w gardle, a potem leży ciężkostrawna na dnie żołądka. Jedyne co pomaga, to świadomość, że podróże samolotem pozwalają mi spełniać marzenia. Tylko dlatego latam.

Zazwyczaj w momencie startu i lądowania zamykam oczy i odruchowo ściskam dłoń nieznajomego obok. Tym razem było tak przez cały lot (biedny współpasażer). Trzy podejścia do lądowania wycisnęły łzy strachu. Potem byłam wściekła i rozdygotana jeszcze bardziej, bo wszystkie bankomaty odrzuciły moje karty. Musiałam więc wyciągnąć z buta (tak, z buta) dolary schowane na czarną godzinę i stanąć w długiej kolejce do kantoru, w której bez przerwy zaczepiali mnie natrętni taksówkarze.

Gdy wreszcie wyszłam z lotniska, mocny wiatr, ulewa i trzaskające pioruny zapędziły mnie szybko do samochodu. Czekał na mnie Frederic, właściciel hostelu Pension Te Miti, gdzie miałam spędzić kilka dni. W drodze, z niewiadomego mi powodu, zaczął wspominać tutejszą katastrofę lotniczą z 1973 roku, w której przeżył tylko jeden pasażer. Miałam ochotę krzyknąć: „Daj już spokój!”.

Plaże na wsypie Tahiti

Na szczęście następnego dnia znów jest niedziela i to chyba lepsza od poprzedniej – świeci słońce, a groźne chmury wiszą już jedynie nad środkiem wyspy. Tak tutaj jest pewnie zawsze, że nad zielonymi górami siąpi deszcz.

– Siadaj, Juliette – zagaduje do mnie z francuskim akcentem elegancka kobieta, gdy tylko wychodzę do ogrodu. – Jestem Christelle, a to Nadia, Caroline, Pierre, John, Aurelie, Rene, Dave… – przedstawia mi po kolei każdą osobę siedzącą przy wielkim stole. – Masz ochotę na świeżą bagietkę?

Lekko zmieszana, bo wszyscy zachowują się jak jedna wielka rodzina, dosiadam się przy końcu stołu, a Christelle podstawia mi pod nos talerz pełen mango. – To z naszego drzewa – dodaje. – *Bon appétit!*

W Te Miti śniadanie jest w cenie, właśnie chyba po to, żeby wszyscy lepiej się poznali. Większość gości jest tu przynajmniej miesiąc – ostatecznie to koniec świata – traktując miejsce jako bazę wypadową na inne wyspy. Siedzimy więc tak przez dwie godziny pod pełnymi owoców drze-

wami mango i awokado, starając się jakoś dogadać, bo większość gości to Francuzi, którzy po angielsku potrafią się jedynie przedstawić. Podobnie zresztą, jak ja po francusku: *Je m'appelle Julie* – i to by było na tyle. Po językowych akrobacjach, zmykam nad wodę – taki dzień jak ten najlepiej wykorzystać na słodkie lenistwo.

– Za rogiem jest najładniejsza plaża na Tahiti – mówi Frederic, wskazując mi drogę.

Fragment z dziennika

Tahiti, Polinezja Francuska. 114. dzień podróży dookoła świata

Od wybrzeża dzieli mnie dziesięciominutowy spacer. Mijając skrzyżowanie, ścieżką obrośniętą palmami wychodzę na plażę i… okazuje się, że to mały, kamienisty skrawek lądu pełen psich kup i jeszcze do tego wszystkiego – śmierdzi. Myślę sobie – trudno – są za to piękne rafy i krystaliczna woda. Niestety, nie dziś – padało wczoraj, więc morze jest zamulone i snorkeling odpada. Z trudem znajduję w miarę bezludny, trochę czystszy kawałek terenu i leżę plackiem z zamkniętymi oczami, wyobrażając sobie, że jestem w raju. Ze snu budzi mnie jednak obwąchujący moje stopy pies, który szuka chyba miejsca na toaletę...

Popołudniowa ulewa zmusza wszystkich do dalszej integracji. W hamakach, z lokalnym piwem Hinano (które jest swoją drogą doskonałe), przy muzyce wystukiwanej przez deszcz, dzielimy się przemyśleniami.

– Nic mi nie mów! Jestem na Polinezji od dwóch miesięcy i ciągle pada – szybko ripostuje moje narzekania Nadia, Kanadyjka w stylu hipiski, która ucieka przed dorosłością chyba od zawsze. – To podobno najgorsza pora deszczowa od lat. Wszyscy mi tak zazdroszczą, że jestem na Tahiti, a tu pogoda do kitu.

Francuzka z burzą loków, która z kieliszkiem wina siedzi pod ścianą i zaśmiewając się, coś notuje – przytakuje, zgadzając się z Kanadyjką.

Potem wchodzę w małą pyskówkę z przemądrzałym Niemcem na lekkim rauszu. Gówniarz twierdzi, że ich pieczywo jest najlepsze, ja – że polskie. Od chlebowego konfliktu, schodzi na te stereotypowe, że Polacy to złodzieje. Podenerwowana nie odpuszczam, nie potrafię, gdy ktoś tak

głupio generalizuje!

– Wypożyczcie samochód – proponuje Frederic, przerywając naszą do niczego nieprowadzącą dyskusję. – Jutro też będzie padać, a wyspę objedziecie w jeden dzień.

– A zarezerwujesz nam? – upewnia się Nadia, bez żadnych konsultacji z nami.

Rano czeka na nas małe autko, za które płacimy, bagatela, 6500 franków CFP, czyli jakieś 60 euro za dzień. Kwota podzielona na trzy, bo na wycieczkę jedzie Nadia, Caroline i ja, nie boli, ale nie zmienia to faktu, że ta najtańsza opcja na wyspie to tylko dowód na to, że jest tu piekielnie drogo.

Tahiti jest częścią Polinezji Francuskiej, wspólnoty zamorskiej Francji, położonej tak daleko od Europy, że już się chyba dalej nie da. Pięć grup wysp, które razem dają ponad sto, porozrzucanych gdzieś na Oceanie Spokojnym, między Australią a Amerykami. To jedno z ostatnich miejsc na ziemi, do którego dotarł człowiek, ale gdy już to się udało – zachwycił się jego dziewiczością. Widocznie musiała być wtedy ładna pogoda…

Padać zaczyna, gdy tylko wyjeżdżamy na drogę, ale to tak, że pracujące na najwyższych obrotach wycieraczki ledwo trzymają się szyby. Przemieszczamy się w żółwim tempie, omijając co chwila wielkie kałuże. Pokonując południowo-zachodnie wybrzeże, zjeżdżamy przy małej jaskini i pod parasolami idziemy na krótki spacer. Potem powtarzamy to samo na plaży – czarnej i równie brudnej jak ta, którą widziałam wczoraj. Obok stoi zabity dechami hotel. Nie dzieje się nic.

Na zachwyty, ochy i achy, pozwalamy sobie dopiero po odbiciu w głąb wyspy – deszcz sprawia, że te i tak zielone tereny, zielenieją jeszcze bardziej, a las deszczowy wygląda jak z innej czasoprzestrzeni. Z piętrzących się, stożkowych gór, przypominających kadry z *Avatara*, sikają liczne wodospady, a wraz z chwilowymi promieniami słońca pojawia się, równie chwilowa, tęcza.

Ale potem ściana wody odcina nam drogę i już nie możemy eksplorować tego, co podoba nam się najbardziej. Trekking w magicznej dolinie – odpada. Punkty widokowe i jaskinie też.

Zjeżdżamy na Tahiti-Iti – mniejszą część wyspy – w poszukiwaniu cudów… I pewnie byśmy je nawet znalazły, ale mgła ogranicza widoczność do kilku metrów. Zrezygnowane niedostępnością piękna, które miałyśmy na wyciągnięcie ręki, wracamy na wybrzeże i drugą stroną jedziemy w kierunku Papeete – czyli polinezyjskiej stolicy. Na nasze szczęście to wschodnie wybrzeże wydaje się bardziej atrakcyjne i nieco żywsze. Udaje nam się nawet wypatrzeć kilka znanych z pocztówek domków krytych strzechą i w spokoju, bez deszczu, pospacerować przy wodospadach w Fa'one oraz poobserwować wytryskującą zaraz przy jezdni, wysoko w powietrze, wodę. To Arahoho Blowhole – tunel stworzony przez lawę, który przy napływie wody i wysokim ciśnieniu powietrza zamienia się w gejzer. Zdecydowanie największa atrakcja dzisiejszego dnia.

Papeete okazuje się za to jedną z najgorszych… O tym mieście jakby ktoś zapomniał, jakby odebrał mu bogactwo, które kiedyś podarował, obdarł z dobrych ubrań, zostawiając stare szmaty. Pepeete jest betonowe, głośne i chaotyczne – w najgorszym tych słów znaczeniu. Zwiedzanie zostawiam sobie jednak na jutro – i tak muszę tu wrócić, bo w portfelu zostało mi 15 dolarów i pewność, że żaden bankomat na wyspie nie zechce współpracować z moją kartą. Miejscowy bank jest dla mnie ostatnią deską ratunku.

Jeden z wielu budynków w ruinie, w mieście Papeete, stolicy Polinezji Francuskiej

W banku nikt nie mówi po angielsku – to francuski jest tu językiem urzędowym, uznawanym prawdopodobnie za jedyny słuszny. Z pomocą Caroline udaje mi się jakoś dogadać. Po dobrej godzinie – kserowanie paszportu, kart, podpisywanie oświadczeń – dostaję plik pieniędzy i kamień spada mi z serca. Za oknem leje deszcz.

Statek wycieczkowy w porcie w Papeete

Fragment z dziennika

Tahiti, Polinezja Francuska. 117. dzień podróży dookoła świata

Przebiegamy szybciutko na miejscowy targ – skryty pod dachem plac pełen kolorów, zapachów i dźwięków. Le Marche to główna atrakcja miasta. Pobudza wszystkie zmysły i kusi. Kusi soczystymi owocami, świeżymi rybami, lokalnymi wyrobami, kwiatami, tradycyjnymi ubraniami, pamiątkami – wszystkim tym, czego potrzebuje zarówno turysta, jak i miejscowy. To dla mnie najładniejsze miejsce w Papeete, bo reszta lata świetności ma już za sobą. Co drugi budynek, w oczekiwaniu na inwestora, ledwo broni się przed zawaleniem, a w każdym innym, jeszcze stojącym, jest sklep z perłami, z których słynie Tahiti. Ulicami przelewają się tłumy turystów, które właśnie opuściły pokład wielkiego wycieczkowego statku – miejscowi szaleją i… zmieniają tabliczki z cenami na dwa razy wyższe. Tak się toczy życie w Papeete.

– Oni nie potrafią pracować – tłumaczy mi wieczorem Frederic, były wojskowy, który mieszka tu z żoną od ponad dwudziestu lat. – Gdy skoń-

czyły się testy nuklearne, Francja przestała pakować pieniądze w Polinezję i ludzie musieli iść do pracy, a oni nie potrafią. To raj utracony.

Płaszczki przy brzegu na wyspie Moorea

Przekonuję się o tym boleśnie na wyspie Moorea, gdzie płynę na kilkudniową wycieczkę. Uciekam od nudy. Na Tahiti nie ma co robić, a z setek innych wysp pozostaje mi tylko ta położona obok. Dlaczego? Jestem tutaj po prostu za krótko. Loty na Bora-Bora czy Markizy nie odbywają się często, a przy tak nieprzewidywalnej pogodzie bywają też odwoływane. Nie mogę sobie pozwolić na utknięcie gdzieś pośrodku oceanu, bo za kilka dni właśnie stąd ruszam na kolejny kontynent. Do tego te loty są bardzo drogie, jak wszystko zresztą w Polinezji, a mój budżet, przewidziany i tak z nawiązką na tę część świata, kuleje. Mam jeszcze możliwość przeprawy promem albo na statku przewożącym towary, ale znowu – czas nie pozwala. Decyduję się na Mooreę.

– Płyńcie jutro, mamy promocję! 1700 w dwie strony, czyli połowa ceny – zachęca nas sprzedawczyni biletów.

Zamknięty przydrożny bar na wyspie Moorea

Dajemy się skusić, Nadia i ja, i następnego dnia z samego rana pakujemy się na prom.

Zza zamglonego horyzontu wyrastają szpiczaste szczyty otoczone laguną, a widok szybko budzi skojarzenia z filmami o agencie 007. Od razu słyszę tę charakterystyczną melodię i wypatruję motorówki Jamesa Bonda.

„Wstrząśnięte, nie mieszane" – mam ochotę powiedzieć, gdy w porcie kupuję świeżo wyciskany sok. – Au! – krzyczę za to, gdy tłusta, polinezyjska pszczoła gryzie mnie w palec. Puchnie w sekundę, boli jak cholera, a moja koleżanka pracuje nad usunięciem żądła. Autobus odjeżdża nam sprzed nosa.

Trzydzieści minut później znajduje się następny, bo port to ich główny przystanek. Jeżdżą tu dwa – jeden w prawo, drugi w lewo, potem spotykają się na środku i zawracają do przystani. Tak wygląda cała komunikacja miejska na wyspie – małej ostoi Tahitańczyków i miejscu uwielbianym przez romantyków. Moorea ma ponoć kształt serca i jest drugim po

Bora-Bora, najbardziej popularnym kierunkiem na miesiące miodowe.

Jakoś się nie zakochuję. Już z rozklekotanego autobusu dostrzegam pozamykane kurorty i ledwo wiążące koniec z końcem bary, które kiedyś były zapewne doskonałymi restauracjami. Poczucia, że znalazłam się w miejscu pogrążonym w kryzysie, nie da się uniknąć. Wzmacnia się ono, gdy docieramy do naszej kwatery – w ośrodku przewidzianym na około pięćdziesięciu osób, jest nas czwórka. Camping Nelson, bo tutaj się zatrzymujemy, to najtańsza opcja na wyspie – za marny pokój dwuosobowy płacimy jakieś 150 złotych. Na szczęście w cenie mamy wybrzeże tylko dla siebie. I deszcz.

Fragment z dziennika

Moorea, Polinezja Francuska. 119. dzień podróży dookoła świata

Wieczorem jedziemy na kolację i przedstawienie lokalnego tańca do Tiki Village. Ta turystyczna rozrywka, która ma nam przybliżyć polinezyjską kulturę, kosztuje jakieś 10 000 CFP, czyli około 350 złotych, ale… jak pada, to chyba jedyne, co można tu robić. Na szczęście wieczór okazuje się bardzo ciekawy, mieszkańcy opowiadają o geografii, historii i tradycjach. Dowiaduję się na przykład, że tatuaże pochodzą z Polinezji (to obszar od Hawajów do Wyspy Wielkanocnej, na południu oddzielony Nową Zelandią – tę wiedzę też zdobywam podczas tego spotkania) i że każdy ma głębokie znaczenie. Czego się dowiedziałam o swojej „obrączce", którą mam na lewym przedramieniu? Że ma dobrą energię, bo nie jest zamknięty. Tatuaże w takim stylu nie mogą być zamknięte, bo… odseparują nas od nowych doświadczeń.

Po kolacji, na której możemy częstować się do woli miejscowymi przysmakami, niestety niezbyt wybornymi, rozpoczyna się pokaz tańca – to, na co czekałam najbardziej. Tradycyjne pląsy okazują się swoistym teatrum. Sztuka opowiada historię miłosną. Wzbogacają ją śpiewy, piękne stroje i emocje. Ale to, co dzieje się na koniec, uderza mnie najbardziej…

– Szanowni państwo… – Na scenę wkracza młody chłopak, będący organizatorem całego zamieszania. – Dziękujemy i prosimy… Prosimy, żebyście podzieli się swoimi przeżyciami ze światem. Prosimy, żebyście

o Polinezji Francuskiej mówili tylko dobrze. Wiemy, że nasz kraj nie jest idealny, ale staramy się, żeby był… – zawiesza głos, a z publiczności nikt nawet nie piśnie, bo mówi z takim przejęciem. – Prosimy, opowiedzcie naszą historię! Żyjemy tu z turystyki, jeśli was, turystów, zabraknie, to my stracimy pracę. Niestety, dziś ta perspektywa wydaje się bardzo bliska. Moorea nie jest już taka, jak przed laty, ale…

Długo rozprawia nad losem wyspy i jej przyszłością, potwierdzając tylko moje spostrzeżenia i to, o czym opowiedział mi Frederic…

W latach 1966–1996 na atolu Moruroa, położonym około tysiąca kilometrów na południowy wschód od Tahiti, Francja przeprowadziła prawie dwieście testów nuklearnych. W jednym z najpiękniejszych zakątków świata intensywnie sprawdzano broń masowego rażenia, niszcząc przyrodę, narażając zdrowie tysięcy ludzi, a jednocześnie pompując pod stołem gotówkę, która napędzała tutejszą gospodarkę i miała zamknąć wszystkim usta. Wraz z końcem testów nastał koniec dofinansowywania i spowolnienie gospodarcze, na co wpłynął też kryzys w Europie i Stanach Zjednoczonych. Pociąga to za sobą wzrost przestępczości, bo ludziom brakuje środków do życia i zaczynają kraść. Do tego dopiero teraz można zauważyć dramatyczne skutki zdrowotne testów nuklearnych – Polinezyjczycy chorują, a zanieczyszczenie powietrza okazało się dużo bardziej toksyczne, niż przewidywano.

Fragment z dziennika

Moorea, Polinezja Francuska. 120. dzień podróży dookoła świata

Smucą zabarykadowane wejścia do rozpadających się kurortów, dziwią knajpy, które z pięciogwiazdkowych stały się przydrożnymi barami, hotele, wybudowane na fali popularności lat dziewięćdziesiątych, zastanawiają. A do tego wszystkiego dochodzą wciąż absurdalnie wysokie ceny, które utrzymują się na tym samym poziomie co przed laty, mimo że standardy na Tahiti czy Moorei znacznie się obniżyły. Płacimy więc za warunki luksusowe i dostajemy luksus… z minionej ery. Jest biednie, a wciąż tak drogo jak dawniej.

Nagle wszystko gaśnie. Piorun uderza z impetem gdzieś za rogiem,

bezdomny pies skowyta głośno, a ja siedzę w ciemnym pokoju z nowo poznaną koleżanką, Angielką Tabby. Popijamy rum z colą, rozważając, że tak właśnie musi być w więzieniu.

– Cztery ściany, totalna cisza, za oknem mrok i nic nie możesz zrobić, tak sobie to wyobrażam – kwituje boską Polinezję moja nowa znajoma.

O poranku przestaje padać i wtedy, jak za dotknięciem magicznej różdżki, wyspa zamienia się w mały raj. Pogoda ma niezwykłą moc. Słońce dodaje barwnika do szarej wody, zamieniając ją w krystaliczny, lazurowy basen i ożywia rodzinę płaszczek. Palmy, pochylone nad białą plażą, rzucają kawałek cienia, którego nikt dzisiaj nie szuka. Wszyscy chcą się po prostu opalać.

Rozsiadam się w knajpie z widokiem i… przez Skype'a dołączam do moich przyjaciół świętujących trzydziestkę jednego z nich.

– Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam… – śpiewam, wznosząc toast drinkiem z palemką.

Dla nich to dawka słońca w ten zimowy dzień – tak bardzo zazdroszczą mi tego, gdzie jestem – a dla mnie… czas, którego tak bardzo mi brakuje. Każdego dnia usilnie staram się uchwycić momenty, tam w domu, w Polsce, które mogę stracić na zawsze i będąc w podróży, tracę na zawsze. To cena, jaką płacę za tę beztroskę – w życiu nie ma nic za darmo. Mimo że chłonę wszystko co nowe, raduję się fantastycznymi znajomościami i pięknem odwiedzanych miejsc, część mnie czuje pustkę. Pustkę, która powinna być wypełniona towarzystwem osób ważnych w moim życiu. Uciekają mi ich kłopoty i chwile radości, pierwsze kroki ich dzieci, plany i realizacja pomysłów, słowo „tak" wypowiadane przed ołtarzem, codzienne życie, którego dotychczas byłam częścią. Tam wszystko toczy się dalej, nic ani nikt nie czeka aż wrócę, nie da się nacisnąć pauzy.

Zamykam się w tym moim więzieniu i ryczę w poduszkę. Sama – na tak pięknym końcu świata.

Rajska Moorea w słoneczny dzień

Autobus nie przyjeżdża. Po godzinie nadal go nie ma, a mój prom odpływa za pięć minut. Nie ma go i nikogo to tutaj nie dziwi – wszyscy po prostu rozchodzą się do domów i wracają później.

– Czy ten autobus już odjechał?! – zaczepia mnie zziajana Czeszka.

– Ten, co miał być pół godziny temu, jeszcze nawet nie przyjechał – odpowiadam zrezygnowana.

– Cholera! Spóźnię się na prom, a jutro mam samolot.

– To tak jak ja...

W nerwowym oczekiwaniu „na Godota" obgryzamy paznokcie, licząc na to, że może uda nam się załapać na kolejną przeprawę. W końcu podjeżdża ten stary grat, a my wraz z innymi pasażerami popędzamy kierowcę, żeby jechał szybciej, bo to nasza ostatnia szansa, żeby dostać się dziś na Tahiti. Z językami wywieszonymi do pasa wbiegamy w ostatniej chwili na pokład. Znowu pech, kłopoty się nie kończą.

Autobusy z Pepeete już nie jeżdżą, więc jedyne, co mi pozostaje, to autostop. Sama, późnym wieczorem, z dobytkiem na plecach, stoję prze-

moknięta na skraju drogi, zastanawiając się, co robić dalej. Odrzucam wszystkie zasady bezpieczeństwa, które sama sobie narzuciłam, i wyciągam rękę w geście proszącym „podwieź mnie". Facet jest kompletnie pijany, a ja całkowicie zdesperowana. Na szczęście docieramy bezpiecznie do celu – podwozi mnie pod drzwi hostelu Ti Miti, mimo że powinien był skręcić w drugą stronę już dawno temu. Zna Frederica, właściciela. I chyba czuje się zobowiązany.

Wchodzę na miękkich nogach, co zauważa Dave, gość w wieku mojego taty, którego poznałam tu wcześniej. Sadza mnie przy stole, dzieląc się kolacją właśnie przygotowaną i moim, już ulubionym, miejscowym piwem. Z butelki zrywa naklejkę – mówi, że zbiera.

Fragment z dziennika

Tahiti, Polinezja Francuska 121. dzień podróży dookoła świata

To jedna z najfajniejszych znajomości, jakie tu zawieram. Pomimo sporej różnicy wieku, łączą nas podobne poglądy. Dave utknął w Polinezji na jakiś czas – ma dom w Hiszpanii, Anglii, Nowej Zelandii i wszędzie mieszka po trochu. Z Tahiti miał zamiar dotrzeć do Nowej Zelandii jachtostopem. Robił to już wcześniej, ale tegoroczna pora deszczowa psuje jego plany. Na kilka tygodni musiał wyjechać do Chile, potem tu wrócił i czeka nadal, zwiedzając przy okazji okoliczne wyspy. Ma w kapeluszu miliony niezwykle ciekawych historii, które chłonę z zapartym tchem – bardzo prywatnych, ale dzieli się ze mną jak z najlepszą przyjaciółką. Żałuję, że do tych dyskusji usiedliśmy tak późno.

– Leć bezpiecznie, Julia. I pamiętaj, żeby do mnie pisać – Dave odprowadza mnie na lotnisko następnego wieczoru, po dniu spędzonym na wspólnym nurkowaniu. Po ojcowsku, troskliwie całując w czoło, mówi: – Niczego nie szukaj, bo ty już wszystko masz.

Pamiętam te słowa i w chwilach zwątpienia powtarzam jak mantrę.

Wskazówki

Polinezja Francuska. Grupa wysp rozrzuconych na Pacyfiku, tak daleko, że już dalej chyba się nie da. I drożej też nie. Niestety, nie jest najlepszym miejscem na budżetowe i krótkie podróże. Na zwiedzenie Polinezji Francuskiej najlepiej mieć zarówno pieniądze, jak i czas.

5 rzeczy, które musisz wiedzieć o pieniądzach w podróży

1. Dwie różne karty

Poleganie na jednej karcie płatniczej jest błędem – weź ze sobą przynajmniej dwie (Visę i Maestro/MasterCard). Najlepiej z różnych banków. Może się zdarzyć, że jeden z banków zablokuje twoje transakcje lub jego karty nie będą działały w danym kraju albo w miejscu, w którym chcesz zapłacić kartą, nie będą obsługiwać kart Visa. Musisz więc mieć wybór, który da ci poczucie komfortu. Dodatkowo weź ze sobą kartę kredytową (albo przypilnuj, żeby jedna z dwóch wyżej wymienionych nią była) – taka karta potrzebna jest zazwyczaj przy rezerwacjach internetowych lub wypożyczaniu auta.

2. Zabierz trochę gotówki

Są miejsca i sytuacje, w których karty okazują się bezużyteczne – wtedy uratuje cię gotówka schowana w skarpecie. W podróż najlepiej zabrać ze sobą dolary amerykańskie. Można je wymienić prawie wszędzie na świecie, chociaż w takich krajach, jak Kuba może być z tym problem – tam przyda się, na przykład, euro.

3. Konta i limity

Na podróż najlepiej założyć nowe konto/konta (tzw. konta bieżące) i nie przelewać na nie wszystkich swoich pieniędzy, tylko ich część. Kartę do głównego konta zostaw w domu, a hasła dostępu najlepiej komuś bliskiemu – pieniądze na „podróżnicze" konto możesz przelewać sobie z tego głównego w czasie podróży, możesz ustalić stałe przelewy lub ktoś może zrobić je za ciebie. Pamiętaj też o limi-

tach, które koniecznie musisz wyznaczyć zarówno na konto, jak i na karty płatnicze.

4. Bankomaty w bankach

Najbezpieczniej jest korzystać z bankomatów znajdujących się wewnątrz banków. Po pierwsze, prawdopodobieństwo, że ktoś napadnie nas w banku przy wybieraniu pieniędzy jest minimalne, po drugie – złodzieje raczej nie zainstalują tu urządzenia do skopiowania twojego numeru konta lub PIN-u.

5. Przechowywanie

Nie trzymaj kart i gotówki razem – rozłóż je w różnych miejscach bagażu. Najważniejszą kartę i część gotówki schowaj razem z paszportem, gdzieś na dnie torby lub w takiej torebce, którą nosi się pod ubraniem: na brzuchu, klatce piersiowej lub udzie. W portfelu używanym na co dzień trzymaj tylko jedną kartę i trochę gotówki. Resztę zaszyj gdzieś, schowaj pod wkładką w bucie, w worku z brudną bielizną – w kilku różnych miejscach.

Filmy i książki

Bunt na Bounty – podczas zdjęć do tego filmu Marlon Brando zakochał się w Polinezji Francuskiej i zakupił jedną z jej wysp. Film przedstawia historię zbuntowanej załogi brytyjskiego statku i smutne etapy „zmiany” raju w piekło. Ekranizacji było kilka, ale to ta z Marlonem Brando i późniejsza, z Anthonym Hopkinsem oraz Melem Gibsonem, są najsławniejsze. W filmie – piękne krajobrazy polinezyjskich wysp.

CHILE

Tutaj nie ma obcych. Są tylko przyjaciele, których jeszcze nie poznałeś.

William Butler Yeats

Santiago

Gdy postawiłam stopę na Wyspie Wielkanocnej – szlag mnie trafił, bowiem dwadzieścia minut później musiałam znowu wsiadać do samolotu. To był największy błąd, pomyłka czy porażka, jaką popełniłam, planując bilet dookoła świata. W swoim niedopatrzeniu, ale też niepoinformowana przez pracownika linii lotniczych, który pomagał mi w jego układaniu, nie zauważyłam międzylądowania na Wyspie Wielkanocnej podczas lotu z Polinezji Francuskiej do Santiago! Kiedy zorientowałam się – „O Boże, to tam!" – było już za późno na jakiekolwiek zmiany. Moja chilijska pieczątka w paszporcie pochodzi więc z magicznego miejsca, którego nigdy nie dane mi było zwiedzić.

– Wody?

– Nie – warczę do stewardesy, mimo że ta nic nie zawiniła.

– Herbaty albo kawy?

– Nie, dziękuję.

„Daj mi spokój", mam ochotę dodać. Na szczęście, odchodzi. Posągom Moai – macham przez okno.

Fragment z dziennika

Santiago, Chile. 122. dzień podróży dookoła świata

Moje pierwsze spostrzeżenia z Chile są takie – każdy ma tu swoje zajęcie: pani wita przy jednych drzwiach, druga pani przy kolejnych, pan wskazuje drogę do toalety, następny mówi, że trzeba wypełnić dokumenty, a jego kolega je podaje. Do tego trzy osoby wskazują, gdzie odebrać bagaż i znowu następna, po raz kolejny, wysyła cię do łazienki. Czyżby dlatego bezrobocie w Chile było tak niskie? Ale najbardziej mnie zadziwia kontrola bagażu! Jak już go masz, to deklarujesz, czy przewozisz coś nielegalnego, czy nie i… naciskasz przycisk. Teraz już wszystko za-

leży od losu. Jeśli zapali się czerwone światło – idziesz na kontrolę. Jeśli zielone – droga wolna. Naciskam więc guzik, wstrzymuję oddech i...

Spotkanie z Moniką vel Tresvodką, która czeka na mnie po drugiej stronie, to kolejne z serii – „spotkania niemożliwe". Jeszcze przed wyjazdem z Polski mój znajomy z byłej już pracy, Zelenka, napisał: „Mam koleżankę, która od kilku lat jest w Chile, w Santiago. Zresztą też kiedyś pracowała w TVN Warszawa, ale chyba się nie znacie. Może po prostu jej i Tobie będzie miło się spotkać?". Od początku tak właśnie jest – jest nam miło.

Szybko znajdujemy te same fale i – jak w dobrej audycji – nadajemy, nie pozwalając sobie na sekundę ciszy. Obie wierzymy w przeznaczenie, w intuicję i mamy szczęście do ludzi. Czy to wystarczy na zalążek przyjaźni?

– To spotkajmy się jutro o jedenastej przy kościele San Francisco – proponuje Monika. Wiem, który to, bo mijałyśmy go w drodze z włoskiej restauracji do hotelu.

– Okej, do zobaczenia!

Misiek Podróżnik, który przejechał ze mną cały świat

Moja nowa znajoma okazuje się nie tylko przemiłą istotą, ale także świetnym przewodnikiem po mieście i chilijskiej kulturze – nic lepszego nie mogło mnie spotkać na początku zwiedzania Ameryki Południowej.

Dzień zaczynamy od *completo* – hot doga podawanego z awokado, pomidorami oraz kiszoną kapustą, lokalnego przysmaku, serwowanego w jednym z wielu śniadaniowych barów. Spacerkiem idziemy w kierunku Plaza de Armas.

Od czasów kolonialnych jest to główny plac w stolicy Chile, Santiago. Otaczają go piękne fasady Poczty Głównej, Muzeum Historii, katedry, za którymi ukryte są betonowe bloki przyozdobione palmami, dodającymi odrobinę luzu, oraz fontanną. Plaza de Armas, plac Broni, jest sercem miasta. To tu działo się i dzieje wszystko: życie buzuje i szaleje, ludzie wygłaszają swoje poglądy, magicy robią magiczne sztuczki, malarze malują, a kilku innych gości po prostu pije piwo.

– To jest Catedral Metropolitana de Santiago – z pięknym hiszpańskim akcentem tłumaczy i opowiada Monika – największa katedra

w mieście.

Gdy przekraczamy jej próg, zadzieram głowę i ledwo ogarniam wzrokiem zdobną podniebną przestrzeń. Nie wiem, czy to przez ten ogrom, ale odczuwam grozę bijącą ze ścian.

– Kilka lat temu pod ołtarzem znaleziono ciało chilijskiego ministra… – mówi Monika i milknie. – Chile to kraj duchów[5].

5) M.Trętowska, *Paranormalne Santiago de Chile*, tresvodka.com (dostęp 28.01.2016)

Tym tropem zwiedzamy resztę miasta – tropem paranormalnych zjawisk.

– Widzisz ten budynek? – pyta, gdy stajemy na środku placu przy liniach wskazujących cztery kierunki świata. – To Portal Fernandez Concha. Na samej górze stoi statua Maryi Dziewicy, która ma strzec miasta, obok była kiedyś miejska gilotyna… – Zaczynam już czuć ten dziwny klimat, ale moja znajoma dopiero się rozkręca. – Pod adresem Portal 960 nie chce mieszkać nikt, na każdym piętrze straszy, do drzwi puka facet w kapeluszu, a chłopiec, który dawno umarł, gra w piłkę. Można tam kupić tanie mieszkania, mimo że to centrum miasta…

Potem opowiada mi jeszcze o nieszczęśliwej dacie Chilijczyków, czyli 8 grudnia. W różnych latach, ale zawsze w tym właśnie dniu, w kraju wybuchały pożary.

Prowadzone tymi niezwykłymi historiami, które powodują, że po plecach ciarki biegają mi jak stado przerażonych mrówek, zaglądamy do kościoła San Augustin. Na jednej ze ścian wisi tu figura Jezusa, któremu podczas trzęsienia ziemi zsunęła się na szyję jego własna korona cierniowa.

– Legenda głosi, że za każdym razem, gdy ktoś będzie chciał ją poprawić, w Chile zdarzy się kolejna katastrofa.

Nie będę próbować, wychodzimy. Monika jednak nie chce skończyć, bo dodaje:

– Tu obok mieszkała okrutna La Quintrala, kobieta, która torturowała i zabijała, a dziś podobno wraca z zaświatów.

– Wierzysz w duchy? – musiałam w końcu spytać, bo ona opowiadała o tym wszystkim z tak wielką pewnością.

– Nigdy żadnego nie widziałam, ale w domu mojego chłopaka podobno jeden żyje. Wspominał mi raz, że widział go w drzwiach… – jej historia bardziej mnie zastanawia, niż bawi. – W Chile wszyscy wierzą w duchy – dodaje Tresvodka – a ja chyba jestem gdzieś w środku, pomiędzy racjonalizmem i irracjonalizmem.

Inne zadziwiające historie oraz szczegóły tych, o których już usłyszałam, poznaję wieczorem, czytając blog Moniki… i nie mogę spać.

– Czemu Tresvodka? – pytam, gdy spacerujemy przez Lastarrię, czyli artystyczną dzielnicę miasta, ulubione miejsce Moniki.

– Chilijczycy nie potrafią wymówić mojego nazwiska – uśmiecha się. – I tak Trętowska zamieniła się w Tresvodka, jakoś przylgnęło, wiesz.

Gdy stajemy na szczycie wzgórza Santa Lucia, skąd ładnie widać metropolię otoczoną zaznaczonymi na horyzoncie górami, w Monice znów budzi się duch przewodnika.

– To tutaj, zgodnie z historią, powstało miasto Santiago – wyjaśnia.

Przyznam szczerze, że dawno się tak nie złaziłam i nie wchłonęłam tylu nowych, interesujących oraz nieznanych mi dotychczas informacji. Upalny dzień dał nam w kość, więc z przyjemnością zasiadamy w jednej z knajp, w towarzystwie Claudia – Chilijczyka z krwi i kości, narzeczonego Moniki Tresvodki.

– Cześć, jak się masz? – wita się ze mną po polsku (!) i zamawia dla każdego z nas po zimnym piwie. W klimatycznym barze The Clinic ściany obwieszone są prześmiewczymi obrazkami i hasłami – to tu ludzie pozwalają sobie kpić z polityki rządu. Claudio też nie oszczędza sobie komentarzy.

Fragment z dziennika

Santiago, Chile. 123. dzień podróży dookoła świata

A na deser, już po zmroku, serwują nam trzęsienie ziemi – Chile to w końcu kraj tych nagłych rozładowań. Na szczęście nami zatrzęsło w nieco inny sposób… *Terremoto*, czyli trzęsienie ziemi, to tradycyjny chilijski drink… ścinający z nóg. Wino, z jakiegoś etapu fermentacji, lody ananasowe, grenadina – pijesz, pijesz i nic nie

czujesz. Do czasu. Pijemy więc *terremoto* w La Piojera, jednym z najstarszych barów w Santiago, czekając na moment „odcięcia". Śmierdzi, szum, hałas, wszystko się lepi, jest tłum miejscowych, dla których stanowimy atrakcję – i jest cudownie.

Przed targiem La Vega Central w centrum Santiago

„Lekko wstrząśnięci", kończymy wieczór w dzielnicy Lastarria – w barze szczególnym dla moich nowych znajomych. Bardzo wyjątkowym... ale to już ich opowieść, nie moja. Popijając naprzemiennie chilijskie wino i lokalne piwo, uczą mnie hiszpańskiego.

W moim małym notesiku z różową zakładką, który zawsze mam przy sobie, Claudio notuje bezbłędnie, po chilijsku i po polsku (!), podstawy, które mogą się przydać. „Español de Chile!" – tytułuje. Obok rysuje mapę kraju, smukłego i długiego, zaznaczając najciekawsze miejsca. Wreszcie przechodzi do tego, do czego zawsze sprowadza się lekcja języka dawana obcokrajowcom przez miejscowych. Na środku rysuje symbol radioaktywności i kupę, żebym przypadkiem nie zapomniała, co to za słowa, a przy poszczególnych zwrotach oznacza liczbą gwiazdek siłę prze-

kleństw. I tak trenujemy na wesoło, opróżniając cztery butelki wina.

Fragment z dziennika

Santiago, Chile. 124. dzień podróży dookoła świata

O poranku niebo jest bezgranicznie błękitne. Cudownie, ale w mieście również męcząco, bo w betonowym Santiago wszystko szybko się nagrzewa, także nasycone spalinami powietrze. Dla ochłody łapię *Mote con Huesillo* – napój kupiony na ulicznym straganie – czyli pszenicę z brzoskwiniami, zalane kompotem. Słodkie, pyszne i orzeźwiające – smakiem przypomina nieco sok z brzoskwini w puszce. Przed słońcem chowamy się na miejskim targu. La Vega Central pachnie truskawkami, a kawałek dalej napęczniałym z soczystości arbuzem, dojrzałym melonem, pomidorami, papryką, kukurydzą, dynią i kolendrą. Na tym największym miejskim bazarze, na którym trzeba przepychać się łokciami, aby odnaleźć odrobinę własnej przestrzeni, handlują rolnicy z okolicznych wsi, a na kilku stoiskach serwują gotowe dania kuchni chilijskiej. Jest brudno, kolorowo i tak niezwykle magicznie. Targowiska staną się chyba moimi ulubionymi miejscami na podróżniczym szlaku – gdzie indziej można znaleźć więcej prawdy o ludziach i ich życiu?

– Cześć, Claudio! – rzuca jedna ze sprzedawczyń. Tu wszyscy się znają.

Obładowali torbami, pełnym jak zawsze transportem miejskim jedziemy do domu moich znajomych na… wspólny walentynkowy obiad. Claudio gotuje *porotos granados* – zupę z kukurydzy, dyni i fasoli – bardzo domowe, chilijskie danie. Na romantyczny wieczór zostawiam ich samych. Odkrywam, też sama, zakątki Santiago, nie wiedząc oczywiście, gdzie zmierzam. Plączę się ulicami, gubię się i obserwuję kontrasty, których jest tu tak wiele: jest biednie i bogato, brudno i czysto, bardzo europejsko i bardzo latynosko. Santiago okazuje się miastem o wielu twarzach. Tę najbardziej nowoczesną poznaję następnego dnia.

Mote con Huesillo – chilijski napój kupiony na ulicznym straganie

Sanhattan – bo tak się zwie biznesowa część stolicy – to las awangardowych wysokościowców, które nijak nie pasują do kraju ruchów sejsmicznych, ale jednak stoją – czyli inżynierowie i na to znaleźli sposób. Spośród nich, jak wyrośnięty nastolatek, wystaje Gran Torre Santiago, czyli najwyższy budynek Ameryki Południowej. Wokół – porządek jak nigdzie indziej: pozamiatane chodniki, a na ich skraju kolorowe ławki, kwiaty na rabatkach posadzone w nienagannych rządkach. Na jednym z rogów – obowiązkowy Starbucks. Tu zawsze są tłumy.

– Gruby pies! – wykrzykuje niespodziewanie Claudio, przechodząc z angielskiego na piękną polszczyznę z uroczym hiszpańskim akcentem. – Gruby pies! – powtarza.

Zanim orientuję się, o co chodzi, wybucham śmiechem, bo określenie pojawia się znikąd. Po chwili dopiero widzę, że chodnikiem przechadza się po prostu… gruby pies. Psów zresztą w Santiago, niekoniecznie tych zapasionych, jest sporo. Taksówkarz trąbi, żebyśmy szybciej wsiadali.

Widok na miasto Santiago z Cerro San Cristóbal

Podjazd pod Cerro San Cristóbal zajmuje dobre dziesięć minut. Mimo że jest stromo i pokrętnie, rowerzyści zdobywają wzgórze na rowerach, piesi – piechotą, a z nas niezłe lenie.

Wzgórze San Cristóbal leży po północnej stronie miasta. Jest jednym z najwyższych punktów Santiago i stąd rozpościera się na nie najładniejszy widok. Panoramę ogranicza pasmo Andów, oddzielające miasto od reszty świata. Coś niewyobrażalnie zachwycającego – i bez dyskusji – stolica Chile jest jedną z najcudowniej położonych metropolii na ziemi.

Fragment z dziennika

Santiago, Chile. 125. dzień podróży dookoła świata

W chwili, gdy stoję tu na górze pod białą statuą Maryi Dziewicy, dociera do mnie, jak olbrzymie jest Santiago. Wokół przepiękne góry, a z każdej strony betonowy świat, aż po horyzont. Pomarańczowe słońce powoli chowa się za szczytami, w dole zapalają się miliony światełek, a my, zajadając się doskonałymi *empanadas*, wciąż zaśmiewamy się z „grubego psa". Ucztę kontynuujemy w Bellavista, czyli imprezowej części miasta, pełnej klubów i zatłoczonych barów – miejscu

idealnym na ostatni wieczór.

Valparaiso

Wraz z przyjazdem do tej morskiej osady moje wszystkie teorie o wyższości uporządkowanej architektury nad bałaganem i bieli nad nadmiarem kolorów – legły w gruzach.

– Miasto leży na ponad czterdziestu wzgórzach i rozciąga się aż do nieba; stąd jego nazwa, Va-al-paraiso – opowiada Monika, gdy stromą ścieżką wspinamy się na jedno z nich. – Wszędzie jest pod górę.

Valpo, bo tak nazywają je miejscowi, leży jakieś dwie godziny drogi od Santiago, tuż nad Pacyfikiem. Jest jedną z ukochanych weekendowych odskoczni mieszkańców stolicy. Nic dziwnego – po prostu trudno się tutaj nie zrelaksować. Uroki miasta zrozumiał najlepiej Pablo Neruda, jeden z największych poetów XX wieku, który stąd właśnie czerpał wiele swoich poetyckich inspiracji. Kochał Valpo!

Z Moniką vel Tresvodką podczas zwiedzania Valparaiso

Miasto jest rajem dla ulicznych malarzy, artystów, poszukiwaczy alternatywnych poglądów i... drobnych złodziejaszków (pod tym względem Valparaiso nie cieszy się najlepszą sławą). To także jeden z najstarszych i największych portów południowego Pacyfiku, gdzie ruch w przystani nie ustaje nawet na chwilę. Miejscowa starówka od 2003 roku znajduje się na Liście Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO – prawdopodobnie to właśnie ten tytuł dał miastu turystycznego kopa.

– Zaraz coś znajdziemy – uspokaja mnie Monika, gdy w czwartym z kolei hotelu nie ma miejsc, a ja, jak to ja, nic nie zarezerwowałam. – Nie martw się, tu hotele są naprawdę wszędzie.

Faktycznie, na prawie każdym kolorowym domu wisi tabliczka: hostel, guest house, hotel, bed&breakfast albo ich hiszpańskie odmiany. W końcu, w jednej z podupadłych willi, gdzie wszystko ma zapach retro, a na werandzie, jak w babcinym domu, kwitną pelargonie – udaje mi się zarezerwować łóżko. Zostawiam plecak i idziemy się powłóczyć po tych

papuzich labiryntach uliczek, gdzie co drugie graffiti wygląda jak dzieło sztuki. Windą, do której wsiada się wprost z chodnika, wjeżdżamy na wyższy poziom, żeby z góry zerknąć na tę barwną perełkę porzuconą nad brzegiem. Potem, już na „poziomie zero", objadamy się świeżymi owocami morza w restauracyjce przypominającej – a jakże – babcine mieszkanie.

– Weź sobie jutro na obiad *chorrillana*, a wieczorem idź na *pisco sour* – przed pożegnaniem Monika udziela mi ostatnich, kulinarno-alkoholowych instrukcji. – No i do zobaczenia. – Macha i znika w pełnym ludzi autobusie. Wsiadam do kursującego po brukowanych uliczkach trolejbusu – tak bez jakichkolwiek kontekstów – żeby się przejechać.

Sztuka uliczna w Valparaiso – jedno z tysiąca graffiti

Z językową ściągawką zrobioną przez Claudio i z bezcenną wiedzą zdobytą od Moniki stawiam swoje pierwsze samodzielne kroki na południowoamerykańskim lądzie i czuję się tutaj tak, jakbym była... u siebie. Nie przeszkadza mi rozgardiasz, nie przeszkadzają naciągacze, nie prze-

szkadza lenistwo – nie przeszkadza wszystko to, co w Azji po prostu mnie wkurzało. Czy to znaczy, że to jest „mój klimat", czy może „dojrzałam"?

Wskazówki

Chile. Nie jest ani bardzo egzotyczne, ani bardzo europejskie – to doskonały kraj na rozpoczęcie przygody z Ameryką Południową. Rozciąga się od gór do oceanu, zahaczając zarówno o wiecznie zmarznięte lądy, jak i o gorące pustynie. Ma piękną przyrodę, uśmiechniętych mieszkańców i... doskonałe wina, które najlepiej pić w środku nocy (życie nocne w Chile jest naprawdę nocne – zaczyna się około północy) w towarzystwie przyjaciół...

5 sposobów na odgonienie samotności w samotnej podróży

1. Pokochaj siebie

Dobrego towarzystwa poszukaj najpierw w sobie samym. Musisz stać się swoim najlepszym kumplem – tylko wtedy twoje relacje z innymi będą zdrowe i pełne. To prawda, która sprawdza się nie tylko w podróży, ale w życiu w ogóle.

2. Uśmiechaj się

Tak – uśmiech otwiera wszystkie drzwi i… serca. Uśmiechaj się. Uśmiechaj się dużo do ludzi, których spotykasz na swojej drodze, a wtedy oni uśmiechną się do ciebie. Jeśli będziesz się wstydził, bał, będziesz wkurzony lub smutny, ludzie, z którymi będziesz miał ochotę pogadać, będą tacy sami.

3. Poszukaj znajomych albo znajomych znajomych na końcu świata

Każdy z nas ma znajomych, a ci znajomi mają znajomych, a ci znajomi znajomych… I niektórzy z tych znajomych mogą mieszkać albo podróżować akurat tam, dokąd ty się wybierasz. Popytaj, daj znać, że tam jedziesz, nie wstydź się, ale przede wszystkim nie oczekuj, że inni będą wiedzieli, że ty masz ochotę gdzieś tam kogoś spotkać albo że w ogóle tam jedziesz.

4. Bądź otwarty na nowe doświadczenia i wyjdź poza swoją strefę komfortu

Nigdy w życiu nie zapytałbyś nieznajomego, czy możesz się do niego przysiąść w knajpie, albo nie poprosiłbyś kogoś na plaży, żeby posmarował ci plecy? Nie przeszłoby ci przez myśl zagadanie do współpasażera w autobusie czy przechodnia na światłach? Nie lubisz tłumów i wieloosobowych sal w hostelach? Spróbuj jednak, przynajmniej raz, zrobić coś innego albo inaczej, bo może się okazać, że otwartość na ludzi i nowe doświadczenia to klucz do sukcesu.

5. Nie przywiązuj się do swojego planu

Może się okazać, że ktoś ma lepszy. Bądź elastyczny i pozwól sobie na spontaniczne decyzje.

Blogi

www.tresvodka.com – Monika jest cudowną osobą, świetną dziennikarką i doskonałą blogerką. Wie dużo o Chile i kulturze Ameryki Łacińskiej.

www.pewnegorazuwchile.co – Dorota, podobnie jak Monika, mieszka w Chile, ale w zupełnie innym rejonie.

Filmy i książki

Na fałszywych papierach w Chile – ten reportaż Gabriela Garcíi Márqueza uznawany jest za jego największe dziennikarskie dzieło. Jest prawdziwy i nie ma nic z baśniowej aury. Książka pełna jest nietuzinkowych obserwacji i wniosków, specyficznych żartów i – prawdy.

PERU

Każda podróż ma ukryty cel, o którym podróżujący nie ma pojęcia.

Martin Buber

Lima

Jechałam tutaj bez większego przekonania i bez entuzjazmu. O żadnym innym miejscu na mojej trasie nie nasłuchałam się tyle złego co o Limie. „Jest taka niebezpieczna", mówili jedni. „To beznadziejne miasto", twierdzili drudzy, dodając: „Wyjeżdżaj stamtąd po jednym dniu, szkoda czasu". Perswazja była na tyle skuteczna, że planowałam nawet wykreślenie Peru z listy, szczególnie że nigdy mnie tam specjalnie nie ciągnęło, ale jakoś zostało – chyba z lenistwa...

– Julia! Polska, Polska! – krzyczy wytatuowany chłopak w recepcji. – *Look what I have for you* – spod lady wyciąga zimne piwo. – Polska, Polska! – powtarza. – Na zdrowie!

Oczy wszystkich zwracają się w moim kierunku. W myślach zapadam się pod ziemię – nie dość, że znowu może pojawić się generalizowanie, te cholerne stereotypy, to zaraz wszyscy pomyślą, że i ja dużo piję, bo przecież nie mogę odmówić.

– Na zdrowie – uśmiecham się zmieszana, smakując na śniadanie peruwiańskie piwo.

Zanim docieram do swojego pokoju, mijają dwie godziny. Recepcjonista Igi opowiada mi historię swojego życia, którą, jak szybko się orientuję, sprzedaje pewnie każdej przyjeżdżającej tu samotnej dziewczynie.

– Musiałem uciekać z Amazonii. Tam jest mój dom, moja rodzina, ale nie mogę wrócić – zagłębia się w historię. – Myślą, że kogoś zabiłem... Musiałem uciekać, bo oni nie wybaczają. Wiesz, dżungla...

Potem odsłania każdy ze swoich tatuaży, których ma chyba osiemnaście, i tłumaczy mi ich pokrętne znaczenie.

– Ten oznacza, że moja dusza jest czysta, a ten… – Uśmiecha się zawadiacko, zarzucając kucyk ciemnych włosów na plecy. – … że będę dobrym mężem.

Niechcący wybucham śmiechem, co trochę go zawstydza.

– Na pewno będziesz – odpowiadam wcale nie złośliwie, a on szybko się orientuje, że z romansu nici i wraca na poziom koleżeński, tłumacząc mi, gdzie mam iść na spacer.

Niezbyt ruchliwą ulicą, zabudowaną zarówno zaniedbanymi blokami, jak i uroczymi kamienicami, mijając po drodze coraz więcej barów, sklepów i restauracji, dochodzę do parku Kennedy'ego.

Rudy kocur przebiega mi drogę. „Dobrze, że nie czarny" – myślę. Niestety… chyba nie w porę, bo zaraz po nim między nogami przemykają dwa kolejne, zdecydowanie czarne. Jako osoba niezbyt przesądna, ale mimo wszystko… rozsądna, zawracam i skręcam w boczną alejkę. Na darmo – tu kotów, nie tylko czarnych, jest jeszcze więcej. Przechadzają się wszędzie, wylegują na trawniku, wychodzą z bram, skaczą z gzymsów, miauczą i być może starają się mimo wszystko niezbyt rzucać w oczy, ale… co tu dużo mówić – przy takiej liczbie kuzynów, trudno być niewidocznym.

Koty są stałymi mieszkańcami parku Kennedy'ego w dzielnicy Miraflores – parku z równiutko przystrzyżoną trawą, gdzie nie wala się choćby jeden śmieć – i dzielą tę przestrzeń z równie licznymi malarzami, wystawiającymi na sprzedaż swoje płótna i szkice, sprzedawcami pamiątek i… wózkami osłoniętymi daszkami w czerwono-białe paski. Uliczne jedzenie zachęca zapachami: są słodkie *churros*, czyli rurki z nadzieniem lub bez, którym trudno się oprzeć; jest *mazamorra y arros con leche*, czyli pudding z ryżu i kukurydzy, smaczny i sycący; są także *picarones* – pączki z dyni i słodkich ziemniaków wyglądające jak krążki cebuli. Próbuję wszystkiego, a potem pękam, siedząc na betonowej ławce ustawionej w kręgu przypominającym amfiteatr, gdzie mieszkańcy odbywają popołudniowe, samozwańcze lekcje tańca.

– Papierosa? – Częstuje mnie nieznajomy Latynos, szukający towarzystwa.

Nie palę od dwóch lat, ale skuszona atmosferą miejsca, w którym palą chyba wszyscy wokół, łapię jednego. Odpalam i bezczelnie znikam na nieco bardziej ruchliwej ulicy. W przeciwieństwie do niego, nie szukam przypadkowego towarzystwa.

Fragment z dziennika

Lima, Peru. 129. dzień podróży dookoła świata

Tomek czeka na mnie wieczorem pod drzwiami hostelu Boulvard Backpackers – ten sam, z którym kiedyś pracowaliśmy na sąsiednich piętrach. Los chciał, żebyśmy w Limie byli w tym samym czasie i tutaj się poznali – jego wezwał świat, mnie też. Na przełamanie pierwszych lodów, zamawiamy *pisco sour*, czyli południowoamerykańskiego drinka, o którego pochodzenie Chile i Peru kłócą się od lat. Nie wchodzę w tę polemikę, tylko kosztuję – peruwiańska wersja wydaje się bardziej kwaskowa od chilijskiej, ale przez to bardziej orzeźwiająca, co przydaje się w duszny wieczór. Gdy rozprawiamy o powodach porzucenia dawnego życia, które w sumie obydwoje lubiliśmy, dołącza do nas Paulina – dziewczyna z Opola, będąca razem z Tomkiem na wolontariacie w Limie.

– No, co to jest za miejsce? – staram się cokolwiek wydusić z moich rozmówców, którzy chyba po prostu nie chcą się chwalić. – Powiecie? Gdzie jesteście na wolontariacie?

– W domu dzieci ulicy założonym przez byłego polskiego misjonarza, a poznałem go, gdy był gościem w *Dzień Dobry TVN* – wyjaśnia Tomek, zerkając porozumiewawczo na drugą koleżankę.

– A ja dotarłam tu przez fundację Papaya.

– Może przyjedziesz do nas jutro? „Jefe" nie powinien mieć nic przeciwko...

– Na pewno nie! – utwierdza go w pomyśle Paulina.

– Kto?

– Jacek, nasz szef.

Zakręceni alkoholową przystawką idziemy na ponoć najlepsze hamburgery w mieście, do miejsca nazywanego Miquel, gdzie serwują nam wielkie buły z jajkiem i minifrytkami w środku. Na popitkę dodają fioletowy napój *chicha*.

Plac nie opustoszał, ale po zmroku pojawiło się więcej policji, więc można wyczuć tę nutkę niebezpieczeństwa – w końcu czegoś muszą pilnować, czyż nie?

– W Limie trzeba być… rozsądnym – tłumaczy mi Tomek. – Nie pokazuj aparatu, nie noś przy sobie za dużo kasy, staraj się nie zwracać na siebie uwagi jakimiś krótkimi spódniczkami, ale co najważniejsze… – zatrzymuje się – głowa zawsze do góry. Musisz sprawiać wrażenie pewnej siebie.

Udzielając wskazówek, moi nowi znajomi odprowadzają mnie na kwaterę.

– Do zobaczenia jutro – krzyczą, wsiadając do taksówki. Upewniwszy się wcześniej, że jestem po drugiej stronie wysokiego płotu, który odgradza hostel od ulicy.

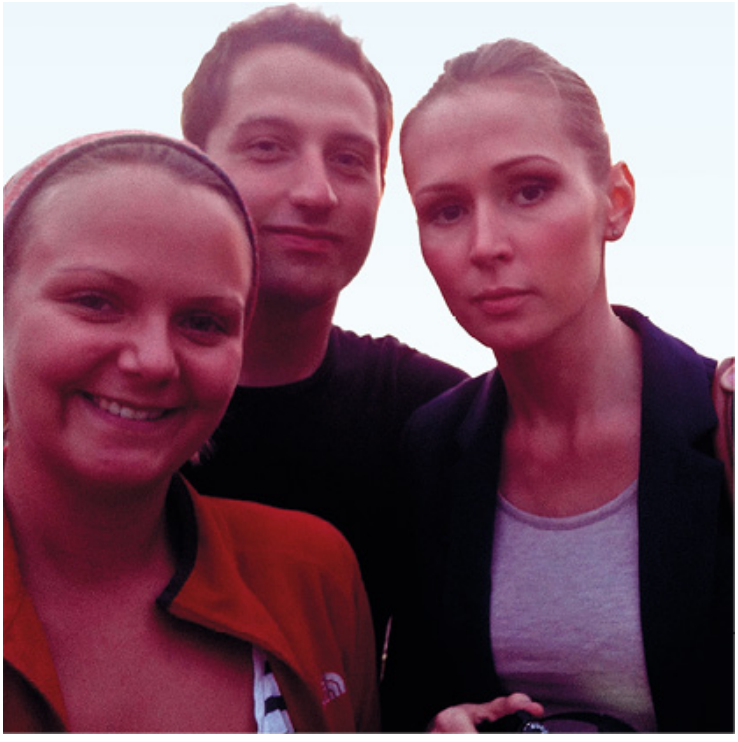

Z Pauliną i Tomkiem podczas jednego z wieczorów w Limie

– Chciałbym mieć czeską dziewczynę – zagaduje do mnie przy śniadaniu niepoprawnie przystojny Kolumbijczyk Louis, uprzedzony przez

Igiego, że jestem z Polski. – Czeszki są takie piękne!

– Polki ładniejsze – uśmiecham się tylko.

Popijając świeży sok z pomarańczy, przekonuję go do mojej teorii, a on mnie do tego, że Kolumbia jest dziś bezpieczna, i że obowiązkowo powinnam wybrać się do Bogoty. Do dyskusji, gdy wszyscy kończą już jeść, dołącza Igi i razem przeprowadzamy analizę miejsc Ameryki Południowej. Oni nigdzie się nie spieszą, wszystko przecież można zrobić jutro, ale ja tak…

– Złapiesz mi taksówkę? – proszę mojego recepcjonistę, widząc, że zbliża się południe. – Muszę się dostać do Chorrillos.

– To nie jest miejsce dla turystów, a już na pewno nie dla polskich blondynek – zaśmiewa się Louis.

– Po co tam jedziesz? – pyta za to zupełnie poważnie Igi. – Znasz tam kogoś? Ktoś się tobą zajmie?

– Tak – uspokajam go, widząc, że się troszczy. – Znajomi będą na mnie czekać tutaj… – Wyciągam z plecaka chusteczkę z adresem zapisanym przez Tomka.

Igi gdzieś dzwoni i rzuca krótko:

– Dziesięć minut. – Po czym wychodzi ze mną na ulicę i z taksówkarzem, mimo że znajomym, targuje się o cenę. Prosi, żebym zapłaciła z góry i nic mu więcej nie dawała.

– W Limie zawsze ustalaj cenę z góry, inaczej cię oszukają – podpowiada.

Kierowca wyraźnym gestem nakazuje mi zamknąć drzwi i wcisnąć guzik. Plecak z fotela zrzuca pod moje nogi i dopiero rusza. Atmosfera robi się nieco nerwowa, ale staram się jej nie poddać i po prostu wyglądam przez okno. Jedziemy przez zakorkowane miasto, co chwila szukając objazdów w małych uliczkach przepełnionych kolorowymi, kolonialnymi domami strzeżonymi przez wysokie palmy. Dalej wpadamy na trasę szybkiego ruchu i w końcu między mieszkaniowe kolonie strzeżone przez żelazne bramy…

Do Ayllu Situwa, czyli domu, w którym pomaga Tomek, idziemy piechotą we dwójkę, spod centrum handlowego także otoczonego siatką.

– Niedawno tu strzelali… – rzuca od niechcenia mój kolega, sam chyba niepewny, na ile w okolicy jest bezpiecznie.

Wchodzimy na osiedle przez jedną z tych topornych bram. W drzwiach wita nas Paulina i dwóch peruwiańskich chłopaków, którzy chyba są trochę zawstydzeni, bo chowają się w drugim pokoju.

– Odrabiajcie lekcje, zaraz je sprawdzimy – po hiszpańsku nakazuje im Paulina i zaprasza nas do kuchni.

Na stole lądują ruskie pierogi i marakuja prosto z drzewa. Jest jak w domu.

– Chcecie pierogi? – woła, a oni zjawiają się w sekundę, uwielbiają je – polskie pierogi ruskie.

Fragment z dziennika

Lima, Peru. 130. dzień podróży dookoła świata

Jestem tu chwilę, ale wrażenia są niezapomniane. Są dzieci potrzebujące pomocy i dorośli, którzy chcą im pomóc. Niby takie oczywiste, a tak rzadko spotykane. Oni dają tym chłopcom szansę na normalne życie: umożliwiają chodzenie do szkoły, wizyty u lekarza, dają ciepło rodzinne i tę radość ze zjedzenia wspólnego obiadu. Dają im dom, najprawdziwszy z prawdziwych, nie oczekując nic w zamian. Może do Ayllu Situwa trafiłam nie bez powodu?

W dzielnicy romantyków i błękitnych ptaków, Barranco, w knajpie gdzie za wazony służą stare kalosze, wypijamy popołudniowe espresso, dyskutując o urokach Peru, Hiszpanii i Polski. Głównie jednak o Barcelonie tak bardzo przez nas lubianej. Rozmowę kontynuujemy, przechadzając się po tej ponoć najpiękniejszej części miasta. To tutaj na początku XX wieku bogaci Peruwiańczycy budowali swoje rezydencje. Siedziby te, porzucone przed laty i zajęte na squaty, dziś zmieniają się w perełki art déco. W miejsce tych, których nie da się odbudować, powstają nowoczesne domy w kalifornijskim stylu, nieustępujące urokiem tym starym. Nie brakuje restauracji, muzyki na żywo na Plaza de Barranco, klimatu bohemy tworzonego przez miejscowych artystów zmieniających ulice w galerie sztuki.

– Dobra, idziemy. Jest coś, co musisz zobaczyć – popędza mnie Tomek, gdy z nosem przyklejonym do szyby, w jednym z barów, które odwiedziliśmy, jak zahipnotyzowana obserwuję ten inny świat. – Chodź, chodź, to ci się spodoba, ale musimy się pospieszyć, bo trochę chyba przegapiliśmy…

Wstaję niepocieszona, bo uwielbiam obserwować życie z boku. Deptakiem, otoczonym najpierw cukierkowymi fasadami kamienic, potem parkiem i znowu budynkami, idziemy w kierunku oceanu. Już z daleka widać, iż zabarwiony jest dziś na fioletowo. Przez szepty przechodniów przebija się melodia fal, a powietrze z duszno-miejskiego zmienia się w słono-morskie. Okazuje się, że za sprawą zachodzącego słońca na fioletowo pomalowane są również klify ciągnące się hen, daleko – wyniosłe urwiska, na których osadzone jest miasto Lima. Ten widok nie ma sobie równych. Nie ma drugiego takiego miasta z niechlubną sławą, które w rzeczywistości jest aż tak malownicze.

– Z Limą jest tak: kochaj albo rzuć – tłumaczy mi w jednym prostym zdaniu „Jefe". Mam wreszcie okazję poznać go tego wieczoru. – Są tacy, którzy jej nienawidzą, i tacy, którzy czują się tu jak w domu. Ciekaw jestem, z jaką grupą będziesz się identyfikować.

Atakuję go pytaniami – nie mogę inaczej, bo Jacek to tak interesująca postać, że chce się wiedzieć wszystko: Kto? Po co? Dlaczego? Jak to? Gdzie? Z kim? Czy? I co teraz? To były polski misjonarz, któremu Amazonia chciała odebrać życie, ale on się wymknął śmierci. To człowiek stawiający dobro innych ponad swoje własne, altruista z charyzmą: czarujący, tajemniczy, interesujący. Rzadko patrzy w oczy, a zawsze mówi prawdę.

Rzucił wszystko, żeby pomagać dzieciakom żyjącym w Limie na ulicy. Tym bez przyszłości postanowił dać szansę na plany i marzenia, po prostu – z miłości do drugiego człowieka.

Fioletowa Lima o zachodzie słońca

Fragment z dziennika

Lima, Peru. 130. dzień podróży dookoła świata

Godziny lecą jak sekundy. Opróżniamy szklankę *pisco* za szklanką *pisco*, zajadamy się przysmakami peruwiańskiej kuchni – od *ceviche*, czyli surowej ryby zamarynowanej w limonkowym sosie z ziołami, po bawole serce – tak dobre, że proszę o dokładkę. A potem idziemy na plażę w środku nocy – zrzucamy buty, podwijamy spodnie i robimy kilka kroków w przód. Fale bezczelnie wdzierają się na ląd, ale wcale nas to nie przepędza. Wolność? Wolność! Stoimy tak w czwórkę – Paulina, Tomek, Jacek i ja – i wszyscy czujemy się jak dzieci. Niewinni, naiwni, niezależni, z nieodpartą pokusą zatrzymania czasu – mamy ochotę krzyczeć: „Chwilo, trwaj!".

I trwa ta zaczarowana chwila jeszcze przez kilka godzin – w pobliskim barze na dachu, gdzie nie możemy przestać gadać. W końcu jednak zagłusza nas grupa muzyków, którzy postanawiają śpiewać specjalnie dla nas, a właściwie to trochę dla mnie, bo w prawie każdej piosence wplatają… „Julia".

Limo – przestań już, bo się w tobie zakocham! Czy było się czego bać?

Cusco

Nagle drętwieje mi prawa ręka. Chwilę potem czuję mrowienie w nodze, a moja głowa, jakby wrzucona na karuzelę – szaleje. Zbieram się z tłocznego targu San Pedro i – przez moment zagubiona – zastanawiam się, gdzie mam iść. Potrąca mnie Indianka dźwigająca garnek zupy, peszy się i znika wśród innych. Po niebie przesuwają się chmurki – takie, jak te wycinane z papieru na lekcjach plastyki – idę zgodnie z kierunkiem ich ruchu, podpierając się o stary mur. Przemykam po schodach obok staruszki, u której rano kupiłam bułkę z awokado (najlepszą). Mijam chłopaka, który plecie bransoletki i przystaję – złapać oddech. Serce jednak przyspiesza, mimo że ciało przestało dodawać gazu. W zmęczeniu i dziwnym oszołomieniu jednak rozpoznaję okolicę. Zdyszana wchodzę do hostelu Flying Dog, który jest tuż za rogiem. Osuwam się na kanapę przy wejściu.

– O, widzę że dopadła cię zmiana wysokości – mówi dziewczyna z obsługi, podając mi jakiś dziwny napar i kilka cukierków zapakowanych w papierki z napisem „Coca". – Odpocznij. Jesteś w dziesiątce? – kiwam głową.

Łapie mnie pod rękę i odprowadza na górę.

Męczę się złym samopoczuciem, ale wreszcie usypiam i budzę się trzy godziny później, zastanawiając się, co się ze mną działo.

– Co mi było? – wychylając się z klatki schodowej, pytam dziewczynę, która mi pomogła wcześniej, a teraz siedzi przy komputerze.

– *Soroche*, czyli choroba wysokościowa, na pewno o niej słyszałaś – zerka na mnie badawczo, jakby upewniając się, czy zaraz nie upadnę. –

Cusco leży na wysokości prawie trzech i pół tysiąca metrów. Niektórym przywyknięcie do mniejszej ilości tlenu w powietrzu zajmuje trochę czasu. Chodź tu. Victoria, cieszę się, że czujesz się lepiej. Jakby co, tam jest zapas herbaty z koki i cukierków.

– Z koki?

– Z liści koki. To nie narkotyk, jeśli o to pytasz. Gdyby zrobiło ci się bardzo słabo, w aptece możesz kupić też małą butlę z tlenem.

– Julia – wyciągam rękę, uświadamiając sobie, że się nie przedstawiłam. – Dziękuję.

– Chcesz coś zjeść?

Woła kolegę z kuchni, żeby zmienił ją w recepcji i idziemy na krótki spacer – na długi nie dajemy rady, bo zadyszka uczepiła się mnie jak rzep psiego ogona. Na niepozornym placyku, do którego na moje nieszczęście trzeba się wspiąć po około stu stopniach, zajadamy się ryżem z frużeliną, kupionym za dwa sole u lokalnej sprzedawczyni mającej magiczny uśmiech na twarzy i beżowy kapelusz na głowie.

– To jest pyszne. – Wsuwam, jakbym nie jadła tydzień, co sprzedawczyni obserwuje z radością. Cieszy się jeszcze bardziej, gdy proszę o dokładkę, cieszy się tak bardzo, że nie pozwala mi zapłacić. – *Muchas gracias* – wyduszam swoimi okruchami hiszpańskiego.

– *De nada, de nada* – odpowiada, wciąż uśmiechnięta, mimo że zaczyna lać.

Zresztą i mnie ten deszcz też wcale nie przeszkadza – w wieczornym Cusco, zlanym wodą, jest pięknie.

Po dłuższej podróży taksówką i autobusem docieram do tej już mniej uroczej części miasta, gdzie zamiast ładnych domów i brukowanych ulic jest dziurawy asfalt oraz szare blokowiska. Odnoszę też wrażenie, chyba słuszne, że wszyscy się na mnie gapią, myśląc „Co ona tu robi?". Oczywiście wysiadłam na złym przystanku i piechotą muszę przejść dwie przecznice do biura Ministerstwa Kultury. Oznaczeń brak, więc pozostaje mi ufać kropce na mapie, którą wczoraj postawiła Victoria i wejść przez niepozorne drzwi. To tutaj kupuje się bilet wstępu na Machu Picchu, jeśli wybiera się tam na własną rękę. Ten na pociąg, Peru Rail, już mam – na-

byłam go za radą Tomka jeszcze na lotnisku, gdy wczoraj przyleciałam z Limy. Tak przygotowanej pozostaje mi czekać dwa dni na przygodę życia, a tymczasem zwiedzam okolicę.

Zaczynam od kościoła Santo Domingo – na pozór pięknego – z historią niszczącą kulturowe dziedzictwo. Kościół stoi bowiem w miejscu, gdzie wznosiła się najważniejsza świątynia imperium Inków z Tawantinsuy, Coricancha – świątynia Słońca. Hiszpańscy konkwistadorzy właśnie tu postanowili zbudować swój zakon, wiedząc, że tym ruchem rozbiją od wewnątrz inkaskie układy. Sądzę też, że wierzyli w niezwykłą siłę tego miejsca.

Zaintrygowana pradziejami, ruszam dalej na poszukiwanie innych skrawków historii, które odnajduję co krok – w Cusco trudno się nie potknąć o przeszłość. Inkaskie mury z kamienia przewijają się tu i tam, a przestrzeń między nimi zapełniona jest kolonialną, też zresztą piękną, architekturą.

– To niezwykłe, z jaką precyzją budowali Inkowie – zaczepia mnie niespodziewanie chłopak, będący tutaj chyba na wakacjach, gdy ręką przesuwam po potężnej ścianie. Ma rację: głazy ułożone przez Inków są idealnie spasowane (nie włożysz między nie ostrza noża), a te dołożone przez naszą, niby bardziej rozwiniętą cywilizację, jakoś tak do siebie nie pasują i połatane są cementem.

Cusco (zwane też Cuzco) jest uznawane za jedno z najstarszych, wciąż zamieszkanych miast półkuli zachodniej. Wiele kultur miało tu swój początek i koniec, ale to dopiero pierwszy władca Inków, którzy zajęli te tereny, ogłosił Cusco miastem. Dokładniej mówiąc, pępkiem świata, bo w inkaskim języku keczua „cusco" oznacza nic innego, jak pępek świata (według przewodników, jest też druga teoria, mówiąca, że nazwa oznacza skałę sowy; wolę pępek świata).

Po przejściu wzdłuż i wszerz głównego placu miasta – Plaza de Armas (czy plac Broni jest w każdym mieście Ameryki Południowej?) – oraz pobocznych uliczek, zataczam koło i ląduję pod bramą targowiska San Pedro, gdzie byłam już wczoraj.

Rynek szybko staje się moim ukochanym miejscem w mieście – wra-

cam tu codziennie na sok z mango, papai i ananasa serwowany przez przemiłą dziewczynę ze stoiska numer 160, jednego pewnie z pięćdziesięciu serwujących dokładnie to samo. To tak na przystawkę, bo na główne danie funduję sobie, jako ich fanka – zupę. W kolejce przepycham się łokciami z miejscowymi, a ci chcą wskoczyć przede mnie, zaglądam w garnki i tylko wskazując palcem, zamawiam – sama nie wiem co. Nie mam pojęcia, czy to fart, czy naprawdę peruwiańskie zupy smakują wyśmienicie, ale zjadam je z apetytem. Za każdym też razem spędzam tu pewnie dwie godziny, odkrywając coraz to ciekawsze rzeczy.

Na tym skrytym pod dachem targu handluje się wszystkim tym, co jest charakterystyczne dla Peru. Są tu grube, tkane koce, kolorowe chusty z typowymi wzorami, swetry, czapki, rękawiczki, obrazki, rzeźby i pocztówki, ale moim zdaniem – najważniejsze są tu te wszystkie, nie zawsze oczywiste i akceptowane przez nas, Europejczyków, doświadczenia kulinarne…

W pierwszej alejce, na końcu po prawej, natykam się na stos krowich (a może końskich albo oślich) paszcz – zasuszone w całości nosy i żuchwy leżą na kupie i jakby zerkały na mnie. Ale nie mają oczu, więc nie zerkają. Obok za to można kupić głowę osła – już taką w całości, z oczami i uszami – ta może i zerka, a może nawet słucha? Na wiadrze, zawinięte w papier, leżą… upieczone świnki morskie, które można schrupać w ramach popołudniowej przekąski zamiast jabłka. To *cuy* – tradycyjna potrawa z Cusco. Na tym jednak nie kończy się przygoda, bo są też marynowane węże oraz „krew ze smoka”. Oczywiście nie brakuje worków z liśćmi koki (te są na każdym rogu), półek pełnych kukurydzianych kolb w przeróżnych kolorach i kilogramów ziemniaków w dziesiątkach odmian i oryginalnych kształtach. Nic dziwnego, że jest ich tu tak wiele – w końcu ziemniaki pochodzą właśnie z Peru.

Fragment z dziennika

Cusco, Peru. 133. dzień podróży dookoła świata

Z wyrzutami sumienia z powodu obżarstwa, wspinam się na Sacsayhuaman, ruiny królujące nad Cusco, zwane przez miejscowych… Sexy Women. Zdyszana zali-

czam przystanki średnio co pięć minut, bo moja kondycja przegrywa z rozrzedzonym powietrzem i z trudem docieram na szczyt. Wśród tych murów, które, co tu dużo mówić, są niezwykłe, pasą się lamy oraz alpaki, a między nimi przemyka ciekawska owca. Widoki na miasto oszałamiają, więc siadam na tej zielonej trawie i wzrokiem omiatam jego ogrom – Cusco jest olbrzymie i położone tak niezwykle wśród szczytów Andów, że trudno nie wydawać z sobie „ochów" i „achów". W drodze powrotnej znów bierze górę… głód, a może ciekawość smaków. Raczę się gotowaną kukurydzą, skuszona jej zapachem. Nie kończę na tym – po zmroku wracam do starszej sprzedawczyni na ryż z frużeliną.

Pani z Cusco specjalnie dla mnie uplotła kilka bransoletek

– Nie wiem, czy to ta wysokość, czy co, ale ja ciągle jem – szukając wytłumaczenia, zagaduję do Victorii, która ma dziś dyżur w recepcji.

– Też tu ciągle jem! W Peru jest po prostu pyszne jedzenie, trudno nie być łakomczuchem. Tak samo będzie w Meksyku, więc się przygotuj – uprzedza. – Jaki masz plan na Meksyk?

Wieczór spędzamy, organizując dalszą eskapadę. Victoria jest Meksykanką, historykiem, amatorką podróży i odkrywania świata – na lepszego

przewodnika nie mogłam trafić. Na kilku stronach A4 wynotowuje ważne miejsca, wyjaśniając obok ich magiczną moc...

– Musisz zrozumieć, że ta część świata ma w sobie energię, taką moc, której nie ma nigdzie indziej. Uwierz, pozwól sobie – wtedy zaczniesz ją czuć.

Dopisuje do listy potrawy godne uwagi, zaleca z całą powagą picie tequili przy jakichkolwiek dolegliwościach, co podkreśla, stawiając przy słowie „tequila" dziesięć wykrzykników.

Słowo „tequila" wyłapuje w mig pijany w sztok Rosjanin, który wtoczył się właśnie przez drzwi i powtarza je nieudolnie w rytm jakieś, znanej pewnie tylko jemu, melodii. Prośby o zachowanie ciszy zdają się na nic, bo chłopak nie rozumie zdania po angielsku, a poza tym najwyraźniej ma to gdzieś. W jego zawianym stanie zauważa coś interesującego starszy, pewnie siedemdziesięcioletni gość siedzący dotychczas cicho w kuchni przy lekturze gazety. Nie wiem, czy jest złośliwy, czy szuka rozrywki, ale stawia butelkę whisky na stół i rozkręca dyskusję, z której nikt nic nie rozumie, nawet on sam.

Patrzymy z boku, najpierw z rozbawieniem, potem z zażenowaniem. Wreszcie to wszystko przestaje być śmieszne i Victoria dzwoni do właściciela hostelu, uprzedzając go o sytuacji, bo żadna z nas nie wie, jak może się to zakończyć.

Starszy pan jest Włochem, matematykiem, nieznającym słowa po rosyjsku, a pijany Rosjanin nie umie porozumiewać się w innym języku niż swój ojczysty – więc to, co mają sobie do powiedzenia rysują na małych kartkach, które ktoś powinien był zabrać na pamiątkę. W końcu obydwaj zaczynają się kiwać, nawet na siedząco.

– Do pokojów, już! – krzyczy wkurzona Victoria. – Bo zadzwonię na policję.

Groźba skutkuje za siódmym razem, a ja proszę o zmianę pokoju, bo tak wyszło (na moje nieszczęście), że powinnam spać w tym, co imprezowicze.

Ollantaytambo, Machu Picchu, Chinchero

Rozklekotanym, bladoczerwonawym tico, czyli lokalną taksówką, docieram na ulicę Pavitos, skąd mam złapać autobus do miasteczka Ollantaytambo, oddalonego o jakieś 60 kilometrów, czyli ponad półtorej godziny jazdy po szaleńczych zakrętach.

– Panienka może chce jechać z nami? – zagaduje młody facet z niedopałkiem papierosa w zębach. – Naszym *colectivos*, za dziesięć soli, najlepiej, panienko!

Waham się chwilę, zastanawiając się przy tym, czy ktoś tu nie chce mnie oszukać, ale w końcu się decyduję. Minutę później ruszamy – byłam ostatnim pasażerem w tym ośmioosobowym busiku.

Krętą górską drogą, z przepaścią po jednej, a skalną ścianą po drugiej stronie, przez wioski, których mieszkańcy z ciekawością przesuwają wzrokiem za każdym przejeżdżającym autem, docieramy do celu – ja i sami miejscowi. Ollantę, bo tak mówią na Ollantaytambo, polecił mi na postój Tomek. Stąd wyruszam jutro w stronę Machu Picchu i potem wracam. Za jego radą zatrzymuję w hostelu Sumac Chaska, którym zajmuje się szczęśliwie zakochana we właścicielu Angielka, Mary. Hostel usytuowany jest niepozornie w ciągu domków z równo ociosanych kamieni, wbitych w brukowaną przecznicę. W środku zachwyca mnóstwem kwiatów i sporym podwórzem, z którego drewniane balkony prowadzą bezpośrednio do pokoi. Jest cudownie i wyjątkowo spokojnie. Mary okazuje się ciepłą i opiekuńczą gospodynią.

Ollantaytambo, otoczone strzelistymi szczytami, leży w samym cen-

trum Świętej Doliny Inków, ciągnącej się od Cusco do Machu Picchu. Wokół miasta, na stromych zboczach rozciągają się ruiny inkaskiej fortecy, tak ważnej w czasach walk z hiszpańskimi konkwistadorami oraz wielkie tarasy i spichlerz. Ollanta zbudowana jest na typowym dla Inków ortogonalnym planie krzyżujących się równo ulic, wzdłuż których ciągną się wąskie kanały, z placem będącym sercem miasta, początkiem i końcem każdej trasy. Przy tym placu jest oczywiście targ z jedzeniem prawie domowej roboty, gdzie wreszcie mam okazję skosztować słynnego w Peru *lomo saltado*, czyli smażonej na gorącym oleju wołowiny z cebulą i pomidorami, serwowanej jednocześnie i z ziemniakami, i z ryżem. Podwójna dawka węglowodanów jest dość typowa dla kuchni południowoamerykańskiej.

Lamy i alpaki to nieodłączny element krajobrazu Świętej Doliny

– Bilety, bilety, bilety – wykrzykuje śliczna Peruwianka chwilę przed odjazdem niebiesko-żółtego pociągu, sprawdzając, czy każdy z turystów je posiada.

Nagle – buch! Koła w ruch!

W zamglony poranek, pełna jakieś fajnej energii, odjeżdżam w kierunku Aguas Calientes, znajdującego się u podnóża sławnego Machu. Przejażdżka nie okazuje się aż tak frapująca, jak o niej pisali, a miasteczko, hmm… raczej nie grzeszy urodą. Od razu przypomina mi się niezbyt urodziwe Tanah Rata w Malezji, gdzie jednak za betonowym bałaganem krył się raj zielonych pól herbaty i uspokajam sama siebie myślą, że tutaj może być podobnie.

Aguas Calientes położone jest urokliwie pośród ukośnych wzniesień, nad rwącym szaleńczo potokiem i to chyba jedyny plus miasteczka. Powstało ono całkiem niedawno, bo jakieś sto lat temu, jako baza dla kolei i jej pracowników. Wciąż zachowuje klimat robotniczej osady. Szybko się zbieram, a że jestem sama, rezygnuję ze wspinaczki i autobusem ruszam na Machu Picchu…

I równie szybko schylam głowę w pokorze, bo oto przede mną roztacza się świat magii. Widok położonego na szczytach gór miasta, w miejscu wybranym przez człowieka tak doskonale, wręcz nierealnie – hipnotyzuje. Do tego ten dochodzący z przepaści szept rzeki Urumbamba.

Machu Picchu, dosłownie „stary szczyt", to miasto Inków zbudowane w XV wieku. Uznawane jest za jeden z cudów świata i za dowód wysokiego rozwoju inkaskiej cywilizacji, której nasz europocentryzm jeszcze niedawno nie doceniał. Czy była to militarna forteca, schronienie dla elit czy główny ośrodek ważnych ceremonii – tego nie wiadomo, ponieważ Inkowie nie wykształcili pisanego języka. Zatem powodów zbudowania osady w tak niedostępnym, a zarazem pięknym miejscu, można się jedynie domyślać, jednocześnie stawiając rozliczne hipotezy.

– Badacze wciąż szukają wskazówek, które wyjaśnią motywację Inków i tajemnicę miasta ukrytego na wschodnich zboczach Andów. Wiele wskazuje na to, że to tutaj zbiegają się różne energetyczne szlaki, w teoriach pojawiają się również połączenia z wydarzeniami astronomicznymi, słońcem i ruchami planet. Spójrzcie tutaj… – niezbyt grzecznie podsłuchuję przewodnika oprowadzającego małą grupę, ale ten szybko piorunuje mnie wzrokiem.

Pozostaje mi więc spacerować na własną rękę – wśród świątyń, placów, domów i pól. Żałuję trochę, chyba po raz pierwszy, że nie mam koło siebie kogoś, kto podzieliłby się ze mną zachwytem i wiedzą o tym miejscu, bo kultura Inków wyraźnie mnie wciąga.

Fragment z dziennika

Machu Picchu, Peru. 135. dzień podróży dookoła świata

Przystaję na małej polance z widokiem na Machu, leżące gdzieś tam w dole, a w pobliżu spaceruje dumnie łaciata lama. Zerkając to na mnie, to w przestrzeń, kręci się w kółko. Z tego pięknego miejsca wysyłam tacie imieninowego esemesa: „Wszystkiego najlepszego i buziaki prosto z Machu Picchu" (tak, mam zasięg), czując, że przekazuję mu zarazem mnóstwo tej dobrej energii, którą chłonę każdą komórką mojego ciała, jak magnes. I tak przez trzy godziny tkwię w jednym punkcie jak zauroczona – siedzę, kontempluję magię tego miejsca i wcale nie chce mi się ruszyć. Pogoda też mi sprzyja, obdarzając mnie wyjątkowo dużą ilością słonecznych promieni, w tym zazwyczaj deszczowym okresie. Dziś niebo jest pogodne, a ja mogę się opalać na... Machu Picchu. Po prostu. Dziękuję ci, losie – życie jest piękne.

O poranku Aguas Calientes budzi się w deszczu, a przez zaparowane okna nic nie widać. Tak – wczoraj miałam szczęście, więc dziś szybko się zbieram w drogę.

Magiczne Machu Picchu

– Zostań na dwie noce – namawia mnie Mary, gdy docieram z powrotem do Ollantaytambo. – Tu jest jeszcze tyle rzeczy, których nie widziałaś. Koniecznie musisz iść na „Wielką Twarz", obudzę cię o świcie.

Dziś zmrok zapada na całego, ponieważ w Ollancie nie ma prądu, pozostają rozstawione wszędzie świece.

Chwilę przed szóstą, puka do moich drzwi.

– Julia! Pobudka! Zrobiłam dla ciebie wcześniej śniadanie. – Uchyla w końcu drzwi. – Wstawaj – szepcze.

To jest dla mnie najgorszy moment dnia – nigdy nie byłam rannym ptaszkiem, a rozbudzenie się zajmuje mi wieczność, nie mówiąc o chęci na czyjąkolwiek kompanię, która przychodzi ze sporym opóźnieniem. Schodzę na dół ukradkiem i, jak myszka, siadam w kącie na posiłek, szczęśliwa, że jeszcze wszyscy śpią. Mary wyczuwa chyba moją jutrzenkową apatię i specjalnie mnie nie zaczepia.

– Czyli mam iść od razu na lewo? – upewniam się szybko. – I potem

jakby na czyjeś podwórko?

– Tak, tak, a masz wodę? – Przytakuję. – Zajrzyj jak wrócisz, żebym wiedziała, że wszystko okej. – Wychyla się przez drzwi, gdy już odchodzę.

Stąpam po tych kamiennych kostkach pełnych przeszłości, wśród lilipucich domków, mijam dwie gospodynie w pięknych tradycyjnych strojach i dziewczynkę sprzedającą gorące parówki, skręcam w lewo, a potem jakby na czyjeś podwórko – dokładnie tak, jak mówiła Mary. Wychodzę na szlak, ten mniej znany i rzadziej odwiedzany, bo na sławną „Fortecę", leżącą po przeciwległej stronie, wybiorę się później.

Fragment z dziennika

Ollantaytambo, Peru. 137. dzień podróży dookoła świata

Uzbrojona w muzykę w słuchawkach, której moc doceniam coraz bardziej w tej samotnej podróży, oraz w butelkę wody – ruszam na górę Pincuylluna. Na początku lekko kręta, zupełnie niepozorna ścieżka prowadzi mnie między porozrzucanymi tu i ówdzie skałami. Gdzieniegdzie rosną kaktusy, obok zielony krzak, a tam – o tam – kwitną kolorowe kwiaty. Widok na Ollantę robi się coraz bardziej imponujący. Pod górę trzeba troszkę się rozpędzić i powspinać, ale zadyszka pojawia się szybciej, niż myślałam. Przystaję – mogłabym tak zresztą „przystawać" co chwila, bo w takim miejscu to czysta przyjemność. Im jestem wyżej, tym jest ciszej, tym jest spokojniej, a niebo zdaje się bardziej błękitne – zachowuje się tak, jakby chciało zachęcić do spaceru w swoim kierunku.

Mijam mury starych spichlerzów wklejone w skalną ścianę, gdzie Inkowie prawdopodobnie przechowywali zbiory z tutejszych upraw – wysoko powietrze było chłodniejsze i mniej wilgotne. Wkraczam wreszcie na najtrudniejszy odcinek.

– Już niedaleko, a widok jest niezwykły – widząc rysującą się na mojej twarzy rezygnację, zachęca mnie młode małżeństwo (pierwsze i jedyne osoby, jakie tu spotykam), które na górę weszło pewnie jeszcze przed wschodem słońca.

Szlak nie chce się skończyć. Mimo bajkowego otoczenia mam już ochotę odetchnąć! Zaciskam zęby, skupiając się na ostatnim podejściu

i docieram wreszcie na… olbrzymią twarz Wirakoczy – wyrytą w kamieniu płaskorzeźbę.

Wirakocza (czy też, jak podają źródła, Viracocha lub Wiracocha) to bodaj najważniejsza postać w mitologii Inków, bóg uznawany przez nich za stwórcę wszystkiego. Według legendy, on wciąż z tego miejsca czuwa nad swoimi ludźmi.

Fragment z dziennika

Ollantaytambo, Peru. 137. dzień podróży dookoła świata

Siadam na nierównej skale – to chyba nos Wirakoczy, chociaż z góry dobrze nie widzę, a nogi dyndają mi nad przepaścią. W dole – budzi się rozległe Ollantaytambo. Wokół wzgórza o bajkowym wyglądzie, a nad głową latają białe motyle. Mnóstwo śnieżnobiałych motyli! Wszystko inne przestaje mieć znaczenie… Wybucham płaczem – sama do dziś nie wiem czemu. Może dlatego, że to tu spotykam się sama ze sobą bardziej niż kiedykolwiek wcześniej? To chyba jest właśnie to uczucie zwane „pełnią życia"…

Wyjeżdżam z żalem, czując, że Ollanta to miejsce, gdzie zawsze będę chciała powrócić w marzeniach – pierwsze na mojej dotychczasowej trasie, w którym znalazłam i zostawiłam cząstkę samej siebie.

– Masz ochotę pojechać jutro do Chinchero? – pyta z miejsca Victoria, gdy tylko melduję się w hostelu w Cusco.

– A co to?

– Jedna z wiosek, w których jeszcze nie byłam. Mówią, że tam narodziła się tęcza.

– Dobry argument. Być w miejscu „gdzie narodziła się tęcza" – brzmi cudownie! To o której?

Dziewczyna w Chinchero, która zaprosiła nas do swojego domu

Raniuteńko wracamy na ulicę Pavitos, w ten sam punkt, z którego ruszałam do Ollanty, i znów zbiorczą taksówką zwaną *colectivos* wyjeżdżamy do wioski tęczy. Stare Indianki, mocno podekscytowane naszą obecnością w tym samym aucie, w zwojach bransoletek utkanych jakby z muliny, takich jakie kiedyś plotło się na szkolnych przerwach, szukają w swoich zawiniątkach odpowiednich dla nas, co chwila zerkając nam w oczy.

– Chcą po jednym solu za pięć – tłumaczy Victoria, której mimo znajomości hiszpańskiego też się z nimi trudno dogadać.

Kupujemy piętnaście, płacąc im ze sporą nawiązką.

W Chinchero wita nas ulewa i pustki – albo nikt tu nie przyjeżdża, albo dziś jest jakiś beznamiętny dzień – tego nie wiem. Ta niezakłócona atmosfera, mimo że deszczowo-ponura, całkiem mi odpowiada. Spod kolonialnego kościoła, ustawionego – a jakże – na środku inkaskiej świątyni, idziemy w górę.

Na starą piramidę Inków wdrapujemy się bokiem, żeby uniknąć opła-

ty za wstęp i *boleto turistico* – Meksykanka okazuje się większą kombinatorką niż Polka – co samo w sobie dostarcza nam sporo adrenaliny i chyba tylko po to zachowałyśmy się tak po łobuzersku.

Chinchero położone jest jeszcze wyżej od Cusco na smaganej wiatrem równinie Anta. Ludzie wciąż chodzą tu na co dzień w barwnych, tradycyjnych strojach, poruszają się na osłach i mieszkają w domach z nieśmiertelnej cegły mułowej – żyją w świecie, w którym od lat niewiele się zmienia. Chinchero było i jest rolniczą osadą, bo gleba tu jest wyjątkowo żyzna, pozwala na spore plony przy uprawie ziemniaków, komosy ryżowej czy fasoli fava – jednej z najstarszych roślin hodowanych przez człowieka.

Wokół rozciągają się wielkie tarasy, zbudowane przez Inków, a używane do dziś. Obserwujemy ten fascynujący świat z ruin, na które udało nam się wspiąć ukradkiem.

– Co to? – macham głową poruszona jakimś szumem za plecami – szumem wyłapanym już po raz kolejny; odganiam to „coś" w obawie, że to jakaś wielka osa i… szok! – Patrz tam… kolibry!

Kolibry! Tu latają kolibry, które szybciej można usłyszeć, niż zauważyć. Małe, turkusowozielone ptaszki z długim dzióbkiem chowają się w inkaskich ruinach i jakby… zachęcają słońce. Im wyżej się wspinamy, tym niebo bardziej się rozjaśnia.

– Ta góra chce naszego towarzystwa, Julia – mówi Vici, zerkając na firmament. – Patrz, co dzieje się z pogodą. Gdyby nas ta góra nie chciała, nadal by lało… – Trudno jej zaprzeczyć.

Potem tłumaczy mi ukrytą siłę gór i teorię o energii świata, która przemieściła się w Andy z Azji.

– Buddyjscy mnisi tutaj właśnie będą teraz budować swoje zakony, bo energia ziemi wraca do Ameryki Południowej. Czy wiesz, że żadne ze starożytnych miast nie powstało tam, gdzie jest, ot tak, bez powodu? – tłumaczy.

Z zainteresowaniem wsłuchuję się w jej opowieść, wpatrzona w ośnieżony, gdzieś w oddali, szczyt Salkantay. Chłonę energię góry, w zamian oddając swoją, czego również uczy mnie moja towarzyszka.

Fragment z dziennika

Chinchero, Peru. 139. dzień podróży dookoła świata

Gdy postanawiamy już wracać, spotykamy Isii (chyba tak pisze się jej imię). Indianka z grubym warkoczem, która przykucnęła na polanie, zbierając jakieś rośliny, chyba zioła. Widząc nas, zaprasza do domu, gdzie pokazuje każdy zakamarek i swoją pracę. Chinchero znane jest nie tylko z tęczy i rolnictwa, sławne jest również z andyjskiego tkactwa. Tutaj wytwarzane są te wszystkie cudne peruwiańskie rzeczy: czapki, swetry, poncza, koce, torebki czy bransoletki. Nasza gospodyni zajmuje się tym fachem. Częstuje nas pieczonymi ziemniakami i naparem, oczywiście z liści koki, usadawia na klepisku podwórza wśród zimnych ścian, gdzie wiszą obsychające owcze skóry – i zaczyna tkać pled. Potem pokazuje nam każdy z etapów farbowania wełny z lamy, następnie z wielką precyzją robi czapkę na drutach. Zajmuje jej to chwilę. My, naturalnie, nie możemy odmówić sobie małych zakupów, gdyż wszystko, co tworzy, jest jedyne w swoim rodzaju!

Zachwycam się też kolejnym dniem w barwnym Pisac, wiosce już bardziej popularnej turystycznie od Chinchero, która mimo wszystko wciąż oczarowuje. Po krótkiej wspinaczce docieram do wyjątkowo dobrze zachowanych ruin usytuowanych tuż nad miastem, a potem ginę na przepełnionym ludźmi targowisku. Dla poszukiwaczy pamiątek jest to punkt obowiązkowy w Świętej Dolinie.

– Jakim jesteś znakiem zodiaku? – rozmawiamy przy piwie ostatniego wieczoru.

– Bykiem.

– Aaaa… A kiedy się urodziłaś? – dopytuje Victoria.

– 2 maja…

– Jaki rok? Wiesz, o której godzinie?

Zaczyna liczyć. Dodając i odejmując, tłumaczy mi, że każdy z nas ma dwa znaki zodiaku. – Jesteś Strzelcem. Niecierpliwa, żądna przygód, szczera…

Jakby się zgadzało…

Lima. Powrót

Do Limy wracam na trzy noce, bo chcę się upewnić, że mój pierwszy zachwyt nie był błędem. A tak naprawdę, to po prostu ją lubię – wiem, wiem jestem w mniejszości – i chcę tam wrócić. Tym razem z lotniska łapię już taksówkę do hostelu samodzielnie. Potrafię się targować, nie dam się oszukać i całkiem nieźle opanowałam podstawy hiszpańskiego (to chyba nie jest trudne dla Polaka) – działam więc dość sprawnie.

– *Polskaaaaaa! Are you hungry?* – z miejsca zaczepia mnie Igi, recepcjonista w Boulvard Backpackers, hostelu, w którym zatrzymuję się ponownie. Wygląda na to, że ci pracujący w noclegowniach: a) lubią mnie, b) nudzą się, c) litują się nade mną, myśląc, że samej musi mi być bardzo źle.

– W sumie to tak...

– Chodźmy więc – wyrywa mi plecak, wrzuca do swojej kanciapy i nawet nie pozwala mi o czymkolwiek pomyśleć.

Świadomość powraca dopiero przy składaniu zamówienia.

– Zobaczysz, to będzie najlepszy hamburger w twoim życiu – zapewnia mnie Igi, zamawiając dwa.

Peruwiańczycy lubią hamburgery – myślę sobie.

Nad małą budką wisi szyld „La Lucha" i... tak – burgery (takie znów z jajkiem sadzonym i minifrytkami w środku) są przepyszne. Podobnie zresztą jak ulubiona przez mnie fioletowa *chicha*, którą dostajemy na popitkę. Jeden ze smaczniejszych napojów świata!

Potem Igi szybko wraca do pracy. Wędruję nad brzegiem oceanu w Miraflores. Znowu te klify i znowu to miasto kiwające się na ich kra-

wędzi – spacer po długim parku El Malecón dopisuję do listy moich „top of the top" w Limie, obiecuję sobie także znaleźć czas na lekturę powieści Maria Vargasa Llosy, spadkobiercy kultury Inków. Spacery, jogging, rowerowe przejażdżki i… loty na paralotniach to pewnie jedne z wielu atrakcji tego świetnie położonego „miejsca dla mieszczuchów". W oryginalnym, pełnym kolorowej ceramiki parku del Amor (jednej z części El Malecón), którego autor musiał być mocno zainspirowany twórczością Gaudiego, rozsiadam się wygodnie by obserwować przechodzących ludzi – moje ulubione zajęcie. Wokół palmy, przede mną Pacyfik, a zaraz obok latarnia morska – inna niż te widziane przeze mnie do tej pory – czarno-biała. Czasem sobie marzę, jak by to było być latarnikiem – widzieć i czuć to wszystko, czego nie widzą inni…

Niespodziewanie – w tym parku pełnym sztuki, bo ogromniaste rzeźby sterczą tu co krok, z miękką jak poducha zieloną trawką, z magiczną aurą – dopada mnie zmrok. Zbieram się szybko, bo wiem, że mimo uroków, noc w Limie to nie jest najlepsza pora na spacery.

– Powinnaś pojechać na Plaza de Armas (tak, znowu plac Broni) – zasugerował mi mój hostelowy kolega Igi, uzasadniając, że to atrakcyjne historycznie centrum miasta, a przejażdżka transportem publicznym… będzie przeżyciem.

Pożycza mi swoją kartę miejską, bo tu biletów nie ma, i nakazuje być czujną. Rozpadającym się, wymalowanym autobusikiem jedziemy razem w kierunku głównej trasy. Igi kilka razy przypomina, że tutaj jest bardzo niebezpiecznie, a w metrobusie, do którego zmierzamy, mogę być jedyną turystką, przez co zapewne znajdę się pod ostrzałem wścibskich spojrzeń. Trochę się lękam, nie będę ukrywać, bo siła perswazji działa, ale jednocześnie przypominam sobie teorię o chodzeniu z podniesioną głową. Igi macha mi na pożegnanie – odjeżdżam.

El Metropolitano – stosunkowo nowy system szybkiego transportu miejskiego, czyli w rzeczywistości nowoczesne autobusy gnające specjalnie wyznaczonym i odgrodzonym środkowym pasem jezdni – okazuje się niezbyt drogim (płacę jakieś 3 sole) i szybkim przewozem na drugi ko-

niec miasta. Oczywiście, jak wspomniał Igi, podróżuję pod baczną obserwacją zaintrygowanych moją obecnością mieszkańców, ale wcale nie czuję się niepewnie, mimo że są tacy pogwizdujący i puszczający oczka.

Fragment z dziennika

Lima, Peru. 143. dzień podróży dookoła świata

Wchodząc na Plaza Mayor, jak inaczej jest zwana Plaza de Armas, znów się odrobinę zachwycam. Wokół doskonale odrestaurowane kolonialne budynki, wśród nich gmach rządu, gdzie urzęduje peruwiański prezydent, i pokaźna katedra miejska, zdobna jak żadna inna, a na środku te smukłe palmy, które barwią okolicę tropikalnie. To tu powstało miasto Lima, a w czasach hiszpańskich rządów plac służył za targ, pole bitwy dla byków i… miejsce wykonywania wyroków śmierci – na środku, w miejscu, gdzie dziś jest fontanna, stały szubienice.

Wędrując Jirón de la Unión, czyli deptakiem otoczonym dobrze zachowanymi kamienicami w stylu art déco i neoklasycystycznym, pomiędzy rzędami sklepów i restauracji, przyglądam się ulicznym artystom oferującym głośnemu tłumowi rozrywkę. Zmykam jednak szybko w boczną przecznicę, a na obiad zatrzymuję się w niepozornym barze Napoleon na zwykły rosół z kluskami. Rozglądając się, zauważam na ścianach pięć obrazów Matki Boskiej.

– Idź nad rzekę – przypominam sobie radę Tomka, planując dalszą wędrówkę po okolicy – tam są zabytkowe mury miasta.

Tak też robię. Za usytuowanym nieopodal kościołem San Francisco, tuż przy brzegu rzeki Rimac, wchodzę do parku De la Muralla, gdzie można dowiedzieć się nieco o historii serca miasta. Okolice te były bowiem ważne jeszcze w czasach Inków i tylko zmieniane pod wymagania każdego z kolejnych władców.

A po drugiej stronie rzeki wyrasta góra San Cristóbal, nazwana przez Tomka „Betlejem" – czterystumetrowe wzniesienie, z którego roztacza się najlepszy widok na miasto. Wzgórze obrośnięte slumsami, z potężnym krzyżem na szczycie…

– *Hola, chica* – dosiada się do mnie jakiś opryszek. Odchodzę, udając, że go nie zauważyłam. Coś pokrzykuje, więc przyspieszam kroku i pędzę

na spotkanie z moimi polskimi znajomymi.

– Idziemy na imprezę – oświadcza wyraźnie zadowolony Tomek. – Potańczyć.

Tym sposobem lądujemy w nocnym klubie, tak ekskluzywnym, że te polskie mogą się schować, i pląsamy do rana w rytm latynoskiej muzyki disco. Pracując intensywnie nad siłą jutrzejszego kaca, szalejemy – pierwszy raz w podróży pozwalam sobie na aż taki luz, ale tylko dlatego, że wśród znajomych czuję się bezpiecznie i na tyle dobrze, że po raz kolejny z żalem macham Limie na do widzenia. Zakochałam się w Peru.

Wskazówki

Peru. Bałam się tam jechać. W sumie upchnęłam ten kraj na trasie biletu dookoła świata tylko dlatego, że był po drodze. Nie intrygował mnie, nie ciągnął, wręcz przeciwnie – opowieści o niebezpieczniej Limie, skutecznie odstraszały. Jak bardzo się myliłam! Peru to miejsce, do którego chcę wrócić. Z całej wyprawy polubiłam najbardziej to państwo.

5 powodów, dla których Peru jest takie wyjątkowe

1. Lima

W Limie, stolicy owianej złą sławą, można się świetnie bawić. Jest pięknie położona, bogata w historię i kulturę, pełna smacznych knajp i knajpeczek. To miasto skrajności – kocha się je albo nienawidzi. Bez względu na to, po której staniesz stronie – zdecydowanie warto dać mu szansę.

2. Ludzie

W towarzystwie Peruwiańczyków chce się po prostu przebywać. Są uśmiechnięci, otwarci, pomocni i szczerzy. Wielu z nich wciąż kultywuje stare peruwiańskie tradycje, więc można dowiedzieć się od nich naprawdę dużo o tym niezwykłym kraju.

3. Energia

Z peruwiańskim powietrzem miesza się jakaś dziwna energia. Te metafizyczne doznania, które daje (takie niby nic, a jednak…) trudno opisać słowami, ale Peru hipnotyzuje. Pozwala na spotkanie z samym sobą, pozwala popaść w zadumę.

4. Święta Dolina

Święta Dolina to nie tylko Machu Picchu (chociaż ono absolutnie nie jest przereklamowane i można tam spędzić długie godziny), ale też dziesiątki innych miejsc przepełnionych historią i magiczną energią.

5. Jedzenie

Tak – peruwiańskie jedzenie jest wyśmienite, tak bardzo różnorodne i chyba mało znane. Peru to mieszanka tradycji, kultury i różnych klimatów, czego efekt widać właśnie na talerzu. *Ceviche*, czyli surowa ryba, to moje ulubione peruwiańskie danie. Ale warto spróbować też: *lomo saltado, empanadas, tiradito, butifarra, chicharrón*, no i koniecznie napić się *pisco sour*.

Blogi

www.kochamyperu.pl – Trudno nie kochać. Ta strona to aktualnie najlepsze źródło wiedzy o Peru.

www.intoamericas.com – Maja i Szymon to perfekcjoniści i profesjonaliści. Reporterzy z krwi i kości. Na ich blogu można przeczytać o Peru, Ekwadorze, Boliwii czy Meksyku.

KUBA

Rzeczy nie są takie straszne, gdy masz u boku najlepszego przyjaciela.

Bill Watterson

Hawana

Telefon wibruje w kieszeni: „Jakby co, to czekaj na mnie na lotnisku, po drugiej stronie – na razie mnie nie przepuścili.” Stojąc w kolejce do odprawy, czytam jeszcze raz: „Jakby co, to czekaj na mnie na lotnisku, po drugiej stronie – na razie mnie nie przepuścili.”

Cisza.

Z niepokojem patrzę w ekran, odczytując wiadomość od przyjaciółki, z którą mam się spotkać na Kubie, i zaczynam rozmyślać, co dalej – a jak jej faktycznie nie wpuszczą… Przecież to komunistyczna Kuba, przypominam sobie szybko wszystko, co czytałam o tym kraju. Tylko, co mogło się stać? Co teraz możemy zrobić? Jak jej pomóc? – tworzę różne scenariusze i wolno przesuwam się w rządku do okienka odpraw. W ciszy. Wracają uczucia z australijskiej odprawy, ale… ze zdwojoną siłą.

– Paszport – rzuca celnik, wybijając mnie z zadumy i wskazuje, gdzie mam ustawić się do zdjęcia, które robią każdemu; uważnie mi się przygląda, zagląda w dokument i kartę przylotu… – Proszę przejść na bok – bez żadnych wyjaśnień odsyła mnie pod ścianę, wskazując palcem, a sam, z moim paszportem, wychodzi.

W tym samym momencie dostrzegam w tłumie Anetę, którą właśnie odprawili. Ekstra – jesteśmy teraz po dwóch różnych stronach i to ja nagle staję się tą, która może potrzebować pomocy.

„Co z Tobą?” – pisze w esemesie, a ja aż podskakuję, bo w tej samej chwili ktoś za moimi plecami rozkazuje: – Proszę za mną. – Starając się zapanować nad strachem, głośno przełykam ślinę, bo wiem, że to on może stać się teraz moim największym wrogiem – celnik. Wszystko wygląda jak w kiepskim serialu.

– Po co przyjechałaś na Kubę? – zaczyna przesłuchanie.

– Na wakacje.

– Co będziesz tu robić?

– Zwiedzać.

– Skąd masz pieniądze?

– To oszczędności. – On skrupulatnie wszystko notuje i powieka mu ani drgnie. Staram się opanować nerwy.

– Czemu jesteś sama?

– Jestem w samotnej podróży dookoła świata – wolę nie zdradzać, że ktoś na mnie czeka.

– Masz komputer?

– Tak.

– Aparat?

– Tak.

– Jesteś dziennikarką?

– Nie.

– Piszesz?

Milknę na ułamek sekundy, nie wiedząc, czy powinnam kłamać, czy nie, w końcu piszę blog, ale wiem, że decyzję o odpowiedzi muszę podjąć ekspresowo, bo inaczej coś zauważy.

– Nie – odpowiadam, ukrywając ten mały szczegół. Urzędnik bierze kartkę i odchodzi bez słowa, zostawiając mnie przy stole na środku wielkiej sali.

Czekam.

Wciąż czekam.

Cisza.

– *Welcome to Cuba.*

Wreszcie! Wyrywam mu mój paszport i odchodzę w stronę odprawy.

– Paszport – wkurzonym tonem krzyczy teraz wyglądająca na wredną celniczka; jak wytresowana wskazuje, gdzie mam ustawić się do zdjęcia, które robią każdemu; uważnie mi się przygląda, zagląda w dokument i kartę przylotu… – Proszę przejść na bok. – Dzień Świstaka?! Odsyła mnie pod ścianę. Jestem już przekonana, że wpadłam w jakieś tarapaty.

Po dziesięciu może minutach znów wraca przesłuchujący mnie wcześniej gość bez mimiki.

– Masz książkę?

– Słucham?

– Czy masz w bagażu książkę, pytam.

Analizuję w myślach jego zawartość, plecaka.

– Nie. Nie mam.

Cisza.

– Możesz iść – rozkazuje w końcu niczym wysoki rangą wojskowy.

Już zupełnie zrezygnowana podchodzę do okienka, wyciągam paszport, ustawiam się do zdjęcia i, znając już każdy ruch urzędników, cierpliwie czekam na ciąg dalszy. W końcu ten podbija moją wpiętą na zszywacz wizę (nie, w paszporcie nie zostawia śladu), którą wyrobiłam, będąc w Australii, co mogłoby być jakieś podejrzane, i otwiera pancerne wrota. Uff.

Macham ręką do Anety, która już odebrała bagaż i biegiem pędzę po swój zielony plecak – ostatni na taśmie. Gdy tylko go łapię… czuję, że ktoś za mną stoi.

– Co znowu?! – mam ochotę krzyknąć, widząc dwóch policjantów, którzy zastępują mi drogę, ale odwagi starcza mi tylko na głupkowaty uśmiech.

– Po co przyjechałaś na Kubę?

– Na wakacje.

– Co będziesz tu robić? – kątem oka dostrzegam w ręku jednego z nich kartkę, na której ten wcześniej notował moje odpowiedzi; wygląda na to, że mnie sprawdzają.

– Zwiedzać.

– Skąd masz pieniądze?

– To oszczędności.

– Czemu jesteś sama?

– Jestem w samotnej podróży dookoła świata.

– Masz komputer?

– Tak.

– Aparat?

– Tak.

– Jesteś dziennikarką?

– Nie.

– Piszesz?

– Nie.

Odchodzą bez słowa, a my – Aneta i ja – zamiast rzucić się sobie na szyję w przyjacielskim, stęsknionym uścisku, rzucamy sobie tylko porozumiewawcze spojrzenie znaczące „chodź na fajkę". Siadamy w milczeniu na ławce przed lotniskiem.

Cisza.

– A co od ciebie chcieli?

– Wpisałam, że pracuję w mediach, może to był błąd? – opowiada Aneta.

– Wpisałam „psycholog", a i tak się przyczepili… I wiesz co?! Spytali, czy mam… książkę?!

Długo trwa nasz niepokój, zanim w końcu z radością się witamy i… wracamy na salę przylotów (na co wcale nie mamy ochoty) wymienić pieniądze – euro, które Aneta przywiozła z Polski – bo moimi dolarami mogę na Kubie jedynie…

Kolejka zdaje się nie mieć końca i wcale się nie zmniejsza z biegiem czasu, ale my czujemy się tak, jak byśmy widziały się wczoraj. Nie ma już ciszy, niezręczności – jest dokładnie tak, jak było te kilka miesięcy temu, przed moim wyjazdem – mimo że przez ten czas w życiu nas obu dużo się zdarzyło… Mamy ochotę obgadać „lotniskową" sytuację i kilka niezręcznych tematów, ale powstrzymujemy się, wspominając naszą przygodę z Londynu sprzed kilkunastu lat…

A to było tak: na przystanku stał starszy facet obściskujący dość obcesowo młodą, pewnie o trzydzieści lat młodszą partnerkę, a my – wtedy małolaty będące w Anglii na obozie językowym – komentowałyśmy głośno: „Fuu, jakie to obrzydliwe. Ona taka ładna, a on taki stary dziad."

– Coś wam, kurwa, dziewczynki nie pasuje? – burknął w końcu do nas po polsku. Było to jeszcze przed falą angielskiej emigracji.

Ze wstydu zapadłyśmy się pod ziemię, wyciągając z tego naukę życia: Polacy mogą być wszędzie, więc nawet jak coś myślisz – zamknij gębę i trzy razy zastanów się nad komentarzami w miejscach publicznych.

Ta lekcja oszczędza nam wstydu i dziś. Po dłuższej chwili okazuje się, że dwóch chłopaków za nami, też czekających do kantoru, to Czesi (ciągle jakichś spotykam!), świetnie znający polski. A już nam się cisnęło na usta, jak to babom, parę słów o tych wokół nas...

W końcu, uzbrojone w *peso convertible cubano*, czyli kubańskie pieniądze dla turystów (na Kubie są dwie waluty, ale tylko tę oficjalnie mogą kupić odwiedzający), pakujemy się w taksówkę i – jesteśmy wolne. A wjazd na Kubę zapamiętamy pewnie na zawsze.

Propaganda i wspomnienia rewolucji dopadają nas już w drodze do miasta – przejeżdżamy przez rozległą Plaza de la Revolución, gdzie nad spokojem czuwa wielki pomnik José Martíego i portret Ernesta Che Guevary na jednym z budynków. To tu z wiernymi spotkał się 1998 roku papież Jan Paweł II. Potem przeciskamy się przez kilka wąskich uliczek i wreszcie docieramy do Centralnej Hawany.

– Juliaaaaa! Anetaaaa! – wita nas w okrzykach i uściskach gospodyni, Sarita, u której wynajęłyśmy pokój na kilka dni. – Jesteścieeee! Wchodźcieee, wchodźcieeeee! Juliaaa! Anetaaa! – powtarza i szeroko otwiera drzwi, które na początku tylko leciutko uchyliła. Resztki słońca wpadają przez wysokie do sufitu okno prosto na bujane fotele od razu przyciągające mój wzrok; to będzie moje miejsce na poranną kawę. – Dzień dobry – dodaje na koniec, tłumacząc nam mieszanką hiszpańskiego ze strzępkami angielskiego, że Polacy to jej główni goście. Faktycznie – na drzwiach zauważamy naklejkę jednego z polskich biur podróży.

Znikamy jednak szybko, bo mamy ochotę na kubańskie mojito i kolację, zostawiając rozmowę z Saritą do śniadania – niezbyt ładnie, ale wygłodzony tęsknotą organizm pożąda kontaktu z bliską osobą, a nie poznawania, ot tak, z marszu, nowych ludzi. Po prostu.

Według wskazówek gospodyni, przecznicą – dokładnie taką, jak te, które widziałyśmy dotychczas tylko na fotografiach Hawany – wieczorem opustoszałą, wzdłuż której stoją zdezelowane domy i muzealne samocho-

dy, idziemy na ulicę Salude, gdzie… są dwie knajpy, czyli całkiem niezły wybór jak na Kubę. Jest pizzeria La Mimosa i jakaś kubańska, z nieco chińskim wystrojem, która dziś staje się naszym wyborem. Czy trafnym – to się okaże. Do obu kolejka zakręca jak ślimaczek trzy razy, a w tej kolejce stoją prawdopodobnie bogatsi Kubańczycy obserwujący nas z ciekawością i do końca nie wiem – czy również z sympatią.

Jeszcze kilka lat temu turyści odwiedzający Kubę z kulinarnych doświadczeń mogli sobie zafundować: posiłek w hotelu (jeśli przyjechali tu z wycieczką), posiłek w domu (czyli tzw. *casa particular* – u miejscowych, u których, tak jak my u Sartity, wynajmuje się pokój; to taki odpowiednik bed&breakfast) albo… w państwowych jadłodajniach, gdzie konsumpcja była podobno bardziej przymusem niż przyjemnością. Po przejęciu sterów przez Raula Castro i wprowadzeniu jakichś nowych reform otwieranie prywatnych lub spółdzielczych restauracji stało się możliwe i nagle okazało się, że kubańska kuchnia to nie tylko ryż z fasolą.

Kelner w bielutkiej koszuli, z trochę za mocno zapiętą muszką i przyciasną kamizelką, prowadzi nas do pokoju – ta *paladares* (czyli prywatna restauracja) mieści się w starym mieszkaniu. Na sufitach wiszą żyrandole, na ścianach kinkiety przypominające świeczniki, obok nich portrety najważniejszych i figura Matki Boskiej oraz… paprotka, a na stole obrus w kwiaty i srebrne sztućce. Doradza nam szybko, żebyśmy zamówiły jedną porcję i w ekspresowym tempie uzupełnia szklanki z mojito, które tu, u źródła, smakuje jeszcze lepiej. A wszystko sporo kosztuje.

– Cieszę się, że przyjechałaś. Nawet nie wiesz, jak bardzo! W ogóle powinnaś była ze mną jechać w tę podróż…

– Ale wtedy nie poznałabyś Sama… Opowiadaj!

Wieczór mógłby być dłuższy.

Puste półki sklepowe w Hawanie

Budzi nas uliczny gwar i nasza gospodyni szykująca śniadanie: dojrzałą papaję – ups! słowa „papaja" lepiej unikać, bo w kubańskim slangu znaczy… wagina lub, jak kto woli, cipka. Zatem jeszcze raz: dostajemy dojrzałą *fruta bomba*, plaster mielonki, suchą bułkę, pomidory z cebulą (pomidory są tu pyszne!), trochę dżemu, kawę i sok ze świeżych owoców gujawy. Właścicielka uwija się jak mrówka, zdradzając służebne nawyki i czujemy się skrępowane, gdy chcemy pomóc.

– Zostaw, zostaw – przegania Anetę, gdy ta z opróżnionym talerzem wybiera się do kuchni. – Kawa, kawa.

Siadamy więc przy otwartym balkonie, na tych dwóch bujanych fotelach, wnikliwie obserwując każdy kąt salonu i starając się zrozumieć rzeczywistość tak inną od naszej codzienności. W każdym zakamarku stoi wazon z upchanymi sztucznymi kwiatami, na ścianach w kolorze różu lub turkusu wiszą kolekcje porcelanowych talerzy, a mały stolik przykrywa cerata w truskawki. Myślami, chyba obie, wracamy do domów naszych dziadków, które pamiętamy z dzieciństwa.

Po wyjściu z klatki schodowej dopadają nas kierowcy napędzanych na pedały riksz, wyczekujący pewnie ofiar w naszym stylu. – Tanio, tanio – pokrzykują, ale my, na nogach, idziemy w kierunku promenady Malecón, wysłuchując pogwizdywania i zaczepek, do których pozostaje nam przywyknąć. Sławny stołeczny bulwar ciągnie się przez kilka kilometrów nad niezbyt spokojnym wybrzeżem Zatoki Hawańskiej, a obok, po bardzo szerokiej trasie, z rzadka przemyka auto. Taksówki trąbią na nas co jakiś czas. Fasady większości kamienic, odgradzających arterię od miasta, wyglądają jakby miały runąć w ciągu najbliższych trzydziestu sekund. Czasem tylko pojawia się nowszy blok. Ktoś gra na trąbce, ktoś inny łowi ryby – wędkarzy jest tu nawet kilkunastu – a kawałek dalej ktoś najzwyczajniej ciągnie rum z butelki. Na Kubie nikt nie ma nic przeciw publicznemu spożywaniu alkoholu.

– Kaśka będzie na nas czekać o pierwszej, gdzieś w… Parque Central… Sprawdzisz, w którą to stronę?

– Chyba tam – odpowiada po chwili, wskazując kierunek i skręcamy w prawo, w te mniejsze uliczki.

– Tanio, tanio, piękna! – Kierowcy riksz szybko zauważają naszą obecność, budząc się z drzemki. – Seks? – oferują, gdy odmawiamy podwózki.

Wśród śmieci, walących się ścian, uśmiechniętych ludzi akceptujących ten… nieład, smucąc się nieco widokami i jednocześnie ekscytując reliktami tutejszej motoryzacji, idziemy na spotkanie z… drugą moją przyjaciółką, która akurat jest w Hawanie na wakacjach. Uwierzycie?

Z przyozdobionego palmami, dość tłocznego i niewielkiego Parque Central, wyruszamy we czwórkę – bo jest też z nami Adrian, kanadyjski chłopak Kaśki – na zwiedzanie miasta. Mijamy ekskluzywny hotel, w którym podobno, przy odrobinie szczęścia, można skorzystać z trudno dostępnego internetu (tak naprawdę: niedostępnego – na Kubie nie ma go wcale i trzeba się z tym pogodzić). Przechodzimy przy usytuowanym obok barze El Floridita, uwielbianym przez Hemingwaya i zapuszczamy się w ulice Hawany, decydując sprawiedliwie, na przemian, gdzie tym razem skręcimy.

Fragment z dziennika

Hawana, Kuba. 146. dzień podróży dookoła świata

Są stragany ze słomianymi kapeluszami – mnóstwo – a obok… sklepik Adidasa. W wielobranżówkach dla miejscowych, obwieszonych kubańskimi flagami – puste półki; w tych dla turystów jest za to wszystko. Ktoś chce nam sprzedać lichy banknot z Che Guevarą. Mija nas stary cadillac, który ledwo terkocze i wyhamowuje, a tuż za nim przejeżdża nowy… SUV z napędem na cztery, obok stoi podrdzewiały moskwicz. Przykucamy na potężnych schodach przed Kapitolem – aktualnie w remoncie, który na pierwszy rzut oka przypomina ten w Waszyngtonie (ale słyszałam, że nie na nim był wzorowany, tylko na francuskim Panteonie). Sprzedawca jednej z wielu turystycznych atrakcji robi nam zdjęcie stuletnim aparatem – kupujemy na pamiątkę. Spędzamy tu dłuższą chwilę, przyglądając się… nudzie. Bo tu niewiele się dzieje – w tle martwe ściany, a wokół placu wycieczkowe autobusy i te zużyte auta, z których każde służy za taksówkę. „Taxi, taxi" – namawiają nas usilnie, szczególnie gdy chcemy robić zdjęcia.

– Musimy się przejechać takim któregoś dnia…

– Tylko najpierw nauczmy się targować. Słyszeliście, ile krzyczeli za przejazd tym turystom?! 30 pesos!

Hawana jest droga – wszyscy szybko się orientujemy, że biedny kraj nie równa się tani. A do tego jest tak bardzo zniszczona, że się na nią wkurzasz… bo Kubańczycy nie dbają o to, co mają wokół. Najzwyczajniej mają chyba to gdzieś – śmiecą, leżą do góry brzuchem na ławce w parku i żyją w brudzie, z murami sypiącymi się na łeb i psim gównem pod nogami. Oczywiście, ustrój robi swoje, ale chyba dokłada się też do tego ta karaibska mentalność, czy jak kto woli – nygusostwo.

– Wygląda na to, że to już jest La Habana Vieja, czyli Stara Hawana – wskazuje na mapie Aneta (uwielbia je), zwróciwszy uwagę na budynki po lub w remoncie. – Gdyby nie UNESCO, pewnie wszystko by się rozpadło…

La Habana Vieja wpisana jest, na szczęście, na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO, stąd te liczne renowacje budynków. Che Guevara zerka na nas z jednego z murali, kawałek dalej – następny. Niby nieobecny, a wciąż czujny. Brukowaną ulicą,

rozkopaną co kilka metrów, po której ktoś ciągnie długi wóz z bananami, wśród barokowych i neoklasycystycznych kamienic odzyskujących dawny blask dzięki zagranicznemu kapitałowi, dochodzimy do Plaza Vieja – Starego Skweru, zwanego w czasach, gdy powstawał – Nowym Skwerem. Kiedyś był miejscem procesji, egzekucji, walk byków. Dziś ma być wizytówką Hawany, uroczym placem o różnobarwnych elewacjach, gdzie znów – nie dzieje się nic. Plaza Vieja jest pusta. Przechadzają się po niej nieliczni turyści, kilku przesiaduje w kawiarniach ze stolikami rozstawionymi pod parasolami, a jeszcze inni – robią zakupy w Benettonie, schowanym pod arkadami…

Plaza de Armas (tak, nie mogło go zabraknąć) to z kolei jeden wielki antykwariat – roi się tu od sprzedawców książek, gazet, płyt oraz pamiątek związanych z Che i Fidelem Castro. Przez wieki było tu wojskowe serce miasta – dziś bije to turystyczne. Aby zaprzyjaźnić się z historią i uciec przed upałem, znikamy w gmachu Muzeum Miasta, czyli Museo de la Ciudad, a potem w jednej z wielu kafejek z muzyką na żywo, gdzie miejscowi oczywiście nie zaglądają.

– O, patrzcie! – wykrzykuje Aneta, nieuważnie gnając przez ulicę, gdzie nie ma przejść dla pieszych. – Maluch! – wydziera się z drugiej strony.

– Faktycznie, ale jaja…

– I tam, drugi.

Od tej chwili dostrzegamy je wszędzie. Polski fiat, zwany uroczo *el polaquito*[6], odnajduje się doskonale w towarzystwie amerykańskich klasyków i ład. Tak samo zresztą jak konne powozy.

6) K. Kowalewska, *15 rzeczy, które musisz wiedzieć przed wyjazdem na Kubę*, www.kami-everywhere.com (dostęp 06.12.2015).

Żegnamy się, spacerując wzdłuż kanału, od Castillo de la Real Fuerza, przez park, w którym kręci się diabelski młyn z lat dziewięćdziesiątych, tęsknie zerkając w stronę Casablanki, położonej na drugim brzegu.

– Pięknie tam – wzdycham. – Nie sądzicie, że latarnie morskie są ma-

giczne? – upewniam się u koleżanek, patrząc rozmarzona na kamienną latarnię ustawioną przy fortecy Castillo de los Tres Reyes del Morro, która czuwa przy wejściu do zatoki.

– Nie przesadzaj, słońce – szybko sprowadza mnie na ziemię, jak zawsze racjonalna, Aneta. – To co, widzimy się pojutrze?

– Tak. Autobus złapiecie tam, gdzie się rano spotkaliśmy. Napiszę wam nazwę hotelu. – Kasia i Adi wsiadają do taksówki, a my, znowu w tych rozwalonych przecznicach, rozpoczynamy misję poszukiwania bankomatu.

– Odrzucona.

– Masz drugą?

– Tak, ale to Citibank, więc nie wiem, czy zadziała… – próbuję i nic. – Może ty sprawdź swoją?

W końcu z banku wyskakuje gość, jazgocząc coś o awarii i znika, a my za nim – no bo jak to? Wyjaśniają nam, że dziś jest… awaria systemu bankowego na całej Kubie i że musimy poczekać do jutra; oznacza to też brak internetu w elitarnym hotelu przy Parku Centralnym. Pozostaje nam iść na… piwo – miejscowy browar Cristal jest doskonały i stosunkowo niedrogi. Myślałyśmy też, żeby potańczyć… ale na hawańskich ulicach, o dziwo, trudno o muzykę.

Domek przy plaży w Santa María del Mar

A później – po dwóch śniadaniach, wyglądających dokładnie jak to pierwsze: dojrzała papaja… znaczy *fruta bomba*, plaster mielonki, pomidory z cebulą, twarda bułka, trochę dżemu, kawa i sok ze świeżych owoców gujawy; po nabiciu kilkudziesięciu kilometrów ulicami Starej i Centralnej Hawany; po trzykrotnym przejściu Paseo del Prado, czyli ponoć najpiękniejszą ulicą miasta (myślę, że są… podobne); po przyjrzeniu się z bliska potężnej barokowej katedrze Najświętszej Marii Panny Niepokalanego Poczęcia, czyli Catedral de la Virgen María de la Concepción Inmaculada de La Habana, w skrócie zwanej po prostu Catedral de San Cristóbal; po degustacji hawańskiego hamburgera, czyli paskudnej czerstwej bułki z kawałkiem żylastego kurczaka, którą można kupić „w okienkach" przy ulicy (tzw. *peso stalls*); po kolejnych nieudanych próbach wyjęcia pieniędzy z bankomatu i godzinach spędzonych na jednym z targów z pamiątkami w hangarze przy zajezdni pociągów – łapiemy w końcu autobus do Santa María del Mar, plażowego rejonu, gdzie zatrzymała się Kaśka.

To część Playas del Este, czyli Plaż Wschodnich, położonych jakieś

dwadzieścia kilometrów od centrum miasta, które pod palmami mają się ciągnąć w nieskończoność… Ktoś wspominał też o pięknych hotelach, restauracjach i niepowtarzalnej, wakacyjnej atmosferze, więc nasza europejska wyobraźnia zaszalała.

– I że to niby ten hotel? – pytam z niedowierzaniem, patrząc na kremowo-bordowy komunistyczny moloch i zaczynam się głupio śmiać.

– Chyba… – wzdycha tylko Aneta, potwierdzając moje zdziwienie.

Kaśka każe nam czekać w miejscu, w którym nie ma ochroniarza, i bokiem przemyca do… „apartamentu", gdzie drzwi do klatki otwiera się bez użycia klucza – wystarczy mocniej kopnąć. To jest relikt – miejsce, w którym czas stanął uparcie trzydzieści lat temu i później ani drgnął. Korytarze są ciemne, zimne, a tynk odpada ze ścian. Echo naszych kroków i głosów szybko niesie się w górę, tutaj nie ma intymności – wszyscy wiedzą, że idziesz. W ich pokoju, obok kuchni wyposażonej w jeden garnek i trzy łyżki, znalazło się miejsce na zlew z tarą do ręcznego prania. Z jednej strony jestem tym wszystkim zafascynowana, z drugiej – przypominając sobie moje europejskie wyobrażenia oparte na tekstach i zdjęciach – irytuję się, że ktoś chciał mnie oszukać, pokazując zupełnie coś innego.

– Plaża? – zachęcam innych, bo pragnę sprawdzić, czy przynajmniej te rajskie plaże są takie, jak je sobie wyobraziłam, oglądając foldery.

I po drugiej stronie ulicy taki oto obrazek: lazurowa woda, szeroka, pusta, piaszczysta plaża, kilka palm i klimat karaibskich wakacji – a to wszystko tak sympatyczne i położone niemożliwie blisko centrum dużego miasta.

Fragment z dziennika

Santa María del Mar, Kuba. 148. dzień podróży dookoła świata

Jest 17.00 – i co teraz? Gdzie my dziś będziemy spać? Zaczynamy wreszcie myśleć, gdy zorientowaliśmy się, że nasz ostatni autobus do Hawany właśnie odjechał. Wstępny plan był taki, że przekimamy u Kaśki i Adriana na podłodze, ale… trochę się boimy. Te przesłuchania na lotnisku napędziły nam stracha, a pilnujący hotelu ochroniarze wcale nie sprawiają, że czujemy się bezpiecznie. Do tego wszystkiego tutaj każdej nocy spisują cię z paszportu i odnotowują, gdzie ją spę-

dzasz. I co im powiemy, jak nas zapytają na granicy, gdzie byłyśmy TEJ nocy? Przecież nie zostało odnotowane! Tak, panikujemy… ale trudno nie panikować, bo to w końcu rygorystyczny kraj, który nas na wstępie nieźle nastraszył. Z korytarza niosą się głosy, ktoś puka do drzwi i krzyczy – fantazja dostaje skrzydeł i nie pozwala mi zmrużyć oka nawet na chwilę.

– Mam dla was banany, ciastko i trochę kawy. – Kasia wyciąga z torebki wyniesione ze śniadania przysmaki i stawia kubek w kwiaty na stole. Pożycza nam też trochę kasy, bo dziś chcemy ruszyć na małą wycieczkę, a wciąż nie możemy dojść do porozumienia z bankami.

– Ile kosztuje najtańsze auto?

– Najtańszego już nie mamy…

– Czy wy w wypożyczalniach tak zawsze?! – mam ochotę krzyknąć, ale zostawiam to w myślach. – Ile kosztuje najtańsze, jakie macie? – pytam pracownika małej wypożyczalni w Santa María del Mar.

– 90 pesos za dzień – świetnie mówi po angielsku, więc dobrze rozumiem.

Patrzę na niego z niedowierzaniem, a potem na Anetę wzrokiem „nie stać nas", bo to jakieś… 350 złotych!!!! Za dzień!

– Jaka jest najlepsza cena?

Teraz on patrzy na mnie, kiwając głową i śmieje się trochę.

– 70 pesos, ale ile dni?

– Myślałyśmy, że na pięć, ale przy takiej cenie pewnie na trzy…

Odwraca się bez słowa, zerkając w zeszyt.

– 60 pesos za dzień, jak weźmiecie na pięć, w tym jeden dzień gratis. To najlepsze, co mogę zaproponować.

– A co to za samochód? – dopytuję, nie zdradzając radości z negocjacji.

– Kia picanto – wskazuje za okno.

– Bierzemy? – pytam po polsku Anety. – Nic lepszego pewnie nie znajdziemy…

– Ile kosztował Viazul[7)]? Jakieś 80 złotych do Trinidadu?

7) Viazul to najpopularniejszy transport autobusowy na Kubie.

– No to wyjdzie nam niewiele drożej, dzieląc na dwie… – liczę szybko – a wiesz, jak nie znoszę autobusów.

– Zgoda – rzucam po angielsku do gościa. – 60 pesos za dzień i jeden gratis?

– Uparte dziewczyny! – odpowiada, wyciągając dokumenty. Udziela nam też kilku cennych rad na temat jazdy po Kubie…

Chyba mamy szczęście.

Hawana – Trinidad – Varadero

Hej… Nie mamy flaka albo coś? – pyta zaniepokojona Aneta, gdy tylko wyjeżdżamy na trasę z Santa María del Mar. – Bo już drugi gość na nas macha…

Nie mając pewności, czy robimy dobrze, czy nie – zatrzymujemy się na poboczu, a przejeżdżający kierowca krzyczy: – Włącz światła! Wojskowy teren! Światła.

Włączam. Nawet jeśli kłamie, to zapalone światła nam nie zaszkodzą – myślę i pytam, żeby się upewnić: – Czy to kierunek na Cienfuegos?

– O nie! Nie! Nie! – dołącza drugi. – W drugą stronę, w drugą – macha w przeciwnym kierunku, jakby odganiał stado much. – Tam! W drugą, w drugą.

Chwila konsternacji. Wymieniamy spojrzenia, Aneta i ja, a on wciąż pokrzykuje: „W drugą, w drugą!”, nie dając nam szansy na zastanowienie się w ciszy.

– Obstawiam, że kłamie, a ty? – stwierdzam w końcu, przypominając sobie słowa faceta z wypożyczalni: „Nie ufaj miejscowym, gdy mówią ci, że jedziesz nie tam, gdzie trzeba.”

– Też tak myślę. Dawaj, jedziemy – zamykając okno, odkrzykuje do niego: – *Okay! Bye!* – i ruszamy dalej, nie przejmując się uwagami.

Fragment z dziennika

W drodze, Kuba. 149. dzień podróży dookoła świata

W końcu wrzucamy piąty bieg i mkniemy po szerokiej, pustej autostradzie o nie

najgorszej nawierzchni. No dobra, wielkie dziury zaskakują nas raz na jakiś czas. Wokół – nieobsiane pola i nic więcej, a na poboczu – autostopowicze. Mnóstwo autostopowiczów! Trzeba ich omijać szerokim łukiem, bo pakują się pod koła, zmuszając cię, abyś zwolnił. Wspólnie podejmujemy decyzję, że zabieranie kogokolwiek nie wchodzi tu w grę… Omijamy ich czasem z wyrzutami sumienia. Plotkujemy, nadrabiając kilkumiesięczne zaległości, śpiewamy nieudolnie, słuchając muzyki z telefonu, bo w radiu tylko szumi – i jest nam super. Potem zjeżdżamy z autostrady i toczymy przez niekończące się plantacje trzciny cukrowej, gdzie zamiast samochodów jeżdżą po drogach konne zaprzęgi. W mijanych co jakiś czas wioskach stoją pojedyncze, małe domeczki otoczone kwiecistymi ogródkami. Jest biednie, widać od razu, ale ci, których mijamy, mimo to są uśmiechnięci.

– Zaraz będzie zjazd na Cienfuegos. Jaki plan? – nie mamy ułożonej dokładnej trasy i pozwalamy sobie na dość spontaniczne decyzje. – Zjeżdżamy?

Cienfuegos zaskakuje nas od samego początku – jest tak inne od Hawany, a zarazem… tak podobne, wciąż bardzo kubańskie. To miasteczko, położone przy błękitnej zatoce, nazywane jest „Perłą Południa".

Cienfuegos es la ciudad que más me gusta a mí, czyli „Cienfuegos to moje ulubione miasto" śpiewał w swoim hicie Benny More, ponoć jeden z najznakomitszych kubańskich piosenkarzy. Mieszkańcy szczycą się tym do dziś – puszczają jego piosenkę w barach, a cytat umieszczają jako hasło reklamowe. Chowając wszystkie cenne rzeczy, parkujemy w bocznej uliczce… Siadamy przy Parque José Martí, zaraz przy głównym placu miasta zwanym – nie inaczej jak… placem Broni. Siadamy i obserwujemy. Tłum, z czerwonymi goździkami w dłoniach, stoi w długiej kolejce do ratusza, dostojnego Palacio Municipal. Nasze chwilowe zagubienie szybko zauważa starszy facet obok, który cygaro pali pewnie na śniadanie, obiad i kolację, a rum traktuje jako napój zdrowszy od wody. Ma rację?

– Czekają, żeby złożyć kwiaty i mu podziękować – tłumaczy, o dziwo, świetnym angielskim i szybko odwraca się w drugą stronę.

– Po co? – dopytuję, ale on udaje, że nie słyszy. – Po co stoją? – nie poddaję się. – Wiesz?

– Pożegnać przyjaciela, tego skurwysyna… Chaveza – nawet nie zerka w naszym kierunku.

Potem szybko odchodzi, jakby się bał, że ktoś, kto nie powinien, jednak go usłyszał. A my składamy fakty.

Kilka dni temu, a może tygodni (nikt do końca nie wie, jaka jest prawda), zmarł prezydent Wenezueli, Hugo Chavez, który Fidela Castro uznawał za swojego mentora. Nie wiemy, czy ci ludzie stoją tu w kolejce, bo chcą złożyć kwiaty i wpisać się do księgi kondolencyjnej, czy stoją – bo muszą… Podchodzimy bliżej, ale szybko przegania nas rząd policjantów. *No photos, no photos* – krzyczą, odgradzając nam drogę.

Grzecznie odchodzimy, chowając aparaty do kieszeni, ale nadal z przyjemnością spacerujemy po okolicy. Cienfuegos czaruje urokliwymi, odnowionymi domami we francuskim stylu. To jest właśnie chyba to, co odróżnia je wyraźnie od bardzo hiszpańskiej Hawany – domieszka francuskiej architektury, tu w wersji pastelowej. Oczywiście, politycznej propagandy też nie brakuje i ukochany Che przemawia do nas z kilku stron.

Gdy zapuszczamy się w nieco dalsze uliczki, czar pryska. Nawet mamy trochę pietra, bo robi się jakoś ponuro, a ludzie nie są już tacy szczęśliwi z powodu naszej obecności, więc zawracamy w kierunku placu.

– Gdzie idziecie? – zaczepia nas młody chłopak, co trochę nas stresuje. – Macie zapalniczkę? – pyta, dorównując nam kroku; my zwalniamy. Dopytuje, skąd jesteśmy, jak podoba nam się Kuba, doradza, żeby noclegu szukać po drugiej stronie miasta, a po drodze zajechać do portu. – Na pewno jesteście głodne.

– Nie, nie – chcę go trochę zniechęcić, ale nie odpuszcza.

– Znam dobrą restaurację. Zaprowadzę was.

Skuszone chyba głodem i… jego pięknym uśmiechem, bo Kubańczycy mają coś w sobie – idziemy. Chłopak szybko zamienia parę słów z kelnerką, pewnie umawiają się na procent, i znika, a ona wprowadza nas do pustej knajpy, będącej oczywiście starym mieszkaniem. Na ścianach kinkiety udające świece, obrazy Matki Boskiej, obok paprotki, a na stołach obrusy w kwiaty oraz srebrne sztućce. Jesteśmy same. Nauczone do-

świadczeniem, wiemy już, że na porcjach w kubańskich restauracjach nikt nie oszczędza, więc bierzemy jedną – jakąś marną rybkę z ziemniakami, tak wielką, że ledwo udaje nam się dokończyć to monstrualne danie.

Korzystając z rady poznanego Kubańczyka, jedziemy długim bulwarem do Punta Gorda, odkrywając przy okazji, jak duże jest Cienfuegos. To jedno z nowszych, ale też większych kubańskich miast, które fundusze zdobywa nie tylko z UNESCO, ale też z dość dobrze rozwiniętego, jak na Kubę, przemysłu.

W dzielnicy Punta Gorda można odpocząć w luksusowych hotelach mieszczących się w pięknych willach należących przed laty do bogatych właścicieli plantacji trzciny cukrowej. Jedną z ładniejszych jest Palacio de Valle (czasem wskazywana jako najładniejszy w ogóle budynek na Kubie). Dziś mieści się tu restauracja serwująca owoce morza z lokalnych połowów. Niestety, nas stać jedynie na to, żeby… zajrzeć do środka i westchnąć. To pałac z prawdziwego zdarzenia, mieszanka stylów, w której każdy szczegół jest tak bardzo na miejscu: zdobne gzymsy, sztukaterie na ścianach i na suficie, malowidła i ten majestatyczny fronton. Pod pretekstem szukania pokoju, na który tak naprawdę nigdy nie mogłybyśmy sobie pozwolić, odwiedzamy też kilka innych rezydencji z widokiem na zatokę, a na piwo, najlepszy w końcu trunek na ochłodę, przystajemy w podupadłym ośrodku turystycznym, gdzie oprócz nas i barmana nie ma nikogo. Cristal zdaje się znakomite, szczególnie przy zachodzie słońca.

– Mam pokój, bez szału, ale w miarę okej… – Aneta kończy misję z sukcesem; szybko się decydujemy, bo pytałyśmy już w kilku miejscach tak na poważnie i nic nie było. Już dawno po zmroku.

Zatrzymujemy się w *casa particular*, w jednym z tych malutkich, jednopiętrowych, kwadratowych domków, gdzieś z dala od luksusów, ale mamy tu swój własny ogródek tuż nad wodą (oczywiście z nieśmiertelnymi pelargoniami i bratkami). To tu zarywamy noc, wspominając naszą nastoletnią głupotę. Jej dowodem jest wiele „barwnych" historii…

Z Anetą, moją najlepszą przyjaciółką, gdzieś w drodze

Opuszczając Cienfuegos, zajeżdżamy jeszcze w okolice kolosa – ciężkiego, betonowego stadionu, na którym rozgrywane są głównie mecze baseballu, najważniejszego sportu na Kubie. Wokół kilka boisk, wszędzie – pustki. Nikt tu nie zagląda.

Podobnie jest na plaży, gdzie zatrzymujemy się w drodze do Trinidadu. Campismo Popular Playa El Inglés należy do kubańskiego ośrodka wczasowego dla miejscowych. U nas też kiedyś takie były – pamiętam jeszcze kolonie, gdzieś koło Łeby. Jest metalowy plac zabaw z kolorową karuzelą i domki letniskowe, lilipucie, bez wygód; można je wynająć na krótki wypoczynek.

– *Bananas! Bananas!* – nagle, w miejscu, które wydawało się kompletnie opustoszałe, wyskakuje z krzaków wychudzony gość i za peso sprzedaje nam wielką kiść. Małe, słodkie banany jemy na tej cichej, zapomnianej plaży. Smakują jak najlepsze owoce świata. Do czasu. W chwili, gdy pod bramę podjeżdżają dwa klekoczące autobusy i miejscowi wylegają na ten skrawek piachu, zaczyna się festyn. My, przedzierając się przez za-

pełniony tłumem plac zabaw, uciekamy.

Przez polecane przez wszystkich miasteczko La Boca tylko przemykamy – niczym nas nie urzeka. Gnamy dalej – aż do Playa Ancón, gdzie mamy ochotę trochę poleniuchować.

– Trzy pesos! – krzyczy krążący po parkingu gość, gdy tylko wyłączam silnik (wreszcie zaparkowałam przy jednym z tych pięknych oldtimerów). Wkurzam się najpierw, ale potem przypominam sobie drugą złotą radę pana z wypożyczalni: „Płaćcie za parking, jeśli chcecie, żeby z auta nic nie zginęło."

– Dwa pesos? – Zgadza się, bo to i tak więcej niż jego normalna stawka.

Mijamy od tyłu spory hotel i znajdujemy sobie swój kawałek raju pod jedną z pochylonych palm. Playa Ancón ciągnie się jak biała wstążka, zakręcając perfekcyjnie wzdłuż krystalicznej, niczym niezmąconej wody, tworząc obrazek tak karaibski, że aż boli. Nic, tylko leżeć i się opalać. Nic więcej się nie chce. Nic. Może od czasu do czasu wejść do wody i popływać. Przyjemnie jest jednak tylko do zachodu – wtedy, ni stąd, ni zowąd coś zaczyna nas kąsać. Później dowiadujemy się, że na Playa Ancón są pchły piaskowe – jedyne, które żyją na ludziach… Może dzięki temu, że wtedy tego nie wiedziałyśmy, nie zalęgły się na nas? Brrrr!

– Julka, musimy zatankować.

– To wypatruj stacji. – „Mądralo", mam ochotę dodać.

– Może będzie bliżej Trinidadu…

To tam jest nasz dzisiejszy przystanek – w miejscu zwanym „muzeum Kuby".

Tymczasem, nie pamiętam dokładnie w którym momencie, bo może już nawet wcześniej, robi się dość tropikalnie, płaskie pola trzciny cukrowej zamieniają się w zamglone od wilgoci pagórki, a droga wije się chwilami nieznośnie. Za każdym razem, gdy mija nas jakieś stare auto, uśmiecham się do siebie – bo ja naprawdę jestem na Kubie!

– *Pasaporte!* – wymaga pani na stacji benzynowej jeszcze przed tankowaniem. W zeszycik wpisuje moje dokładne dane, ilość benzyny, jaką zatankowałyśmy, i kwotę, jaką zapłaciłyśmy. Potem puszcza wolno. Trini-

dad jest za zakrętem – wtaczamy się na jego brukowane uliczki. Ktoś przejeżdża obok na koniu.

Fragment z dziennika

Trinidad, Kuba. 150. dzień podróży dookoła świata

Po kilku nieudanych próbach (w Trinidadzie chyba zawsze jest tłoczno) Aneta znajduje nam nocleg w pięknie odnowionym, kolonialnym domu – Hostal Buri y Ernestina. Długo „rozkminiamy", czym handlują właściciele czy ajenci albo jakie i gdzie mają układy, bo krótko mówiąc – ten dom jest szałowy. Drewniany sufit dodaje klimatu, a piękne patio, pełne kwiatów – po prostu zaprasza. Buri bez pytania serwuje nam domowej roboty mojito. Dziś Dzień Kobiet. Wznosi toast i zachęca nas, żebyśmy z drinkami usiadły sobie na dachu z widokami na miasto. To wtedy spotykamy go pierwszy raz – kundelka o urodzie jamnika, psa o imieniu Czekoladek (w spolszczonej wersji), który podnieca się niebezpiecznie na nasz widok. Jego ryjek jednak, zamiast sympatii, mówi „odwal się" – wygląda na wrednego. Ale to nieważne – najważniejsze jest to, że… Czekoladek mieszka na tym dachu i nigdy nie schodzi na dół. Dowiadujemy się potem, że nie jest jedyny – psy na dachach widzimy kilka razy, ale najbardziej dziwi nas… husky w tym strasznym upale! Co z wami, Kubańczycy?! Czemu trzymacie psy na dachach?

– Który jest wasz samochód? – woła nas w końcu właściciel. – Muszę pokazać, czego ma pilnować.

– Ten po prawej, biały – odpowiadam, zbiegając po tych krętych schodach. Czekoladek chyba szczeka.

– Musicie zapłacić ochroniarzowi 2 pesos.

Płacimy bez słowa. Wkurzone jak Czekoladek.

Na kolację pan Buri wysyła nas do Vista Gourmet, gdzie, jakimś cudem, zarezerwował nam stolik w kilkanaście minut – może zna się z właścicielem, charyzmatycznym sommelierem Bono? Jest tłoczno, większość miejsc zajęta – pewnie dlatego, że stoliki w restauracji rozstawione są na tarasie na… dachu (zaczynam podejrzewać, że Kubańczycy mają coś z dachami) i widok byłby pewnie piękny, ale… z powodu ciemności, jest żaden.

Z dość bogatego bufetu nakładamy jak oszalałe górę jedzenia na tale-

rze, zamawiamy wino, a na główne danie homara – znakomitego. Jak szaleć, to szaleć. Nasz wspólny budżet, którego wciąż nie uzupełniłyśmy z powodu kłopotów z bankami, zostaje nieco nadwyrężony. „Jutro nie jemy" – zapada stanowcza decyzja, którą tak łatwo podjąć po obżarstwie.

– Chodź, wracamy – namawia mnie Aneta, kiedy ja wcale nie chcę. – Nie ma co chodzić po nocy, poza tym to średnio bezpieczne.

Ale ja czuję się tu swobodnie, jak zresztą na całej Kubie. Jedyne czego się czasem obawiam, to tego, że ktoś będzie chciał mnie oszukać albo... uwieść, prawiąc komplementy i zapraszając do tańca – na pewno nie napadając.

Jeden z wielu ubranych psów w Trinidadzie

Idziemy jednak na kompromis. Nocne zwiedzanie kontynuujemy od rana. W Trinidadzie jest tak barwnie, jakby Andy Warhol z pędzlem wpadł tu w szał! Domeczki wymalowane są w kolorach tęczy, a przy nich stoją, równie pozytywne, samochody – tak, tu też ich nie brakuje, amerykańskie i wschodnioeuropejskie relikty są na całej Kubie. Jednak po tutej-

szych nierównych, brukowanych ulicach najczęściej chodzi się piechotą lub jeździ bryczką. Można też na ośle – te stoją potulnie, uwiązane do krat w oknach. Od czasu do czasu zaglądamy przez nie, żeby podejrzeć kubańskie życie, a mieszkańcy zdają się specjalnie nami nie przejmować – wścibski turysta to tu żaden ewenement. W sklepach dla miejscowych, jak zawsze, pustki – jedzenie i inne dobra wciąż są tu wydzielane na kartki, a w tych dla przyjezdnych – pełno i drogo. Oczywiście Kubańczycy też mogliby tam kupować, ale… nie stać ich na wydanie kilku dolarów, gdy przez miesiąc zarabiają jedynie kilkadziesiąt. U rzeźnika leży tylko świńska głowa – zaraz zapewne zjawi się jakiś klient – będzie na obiad.

Muzyka grana przez uliczny zespół emerytów (pamiętam i mam album *Buena Vista Social Club*) narzuca nam żwawy rytm, a potem każe zawrócić, przysiąść przy nich i po prostu posłuchać. Pies w różowym podkoszulku mości sobie miejsce w moich nogach (nie dość, że mieszkają na dachach, to noszą T-shirty?!), dzieciak chce dosiąść zbyt wielkiego roweru i zdziera sobie kolano – twardy – nie płacze, stara Kubanka opiera się o niebieski mur i odpala śmierdzące cygaro, na rozstawionym przy ścianie stoliku chłopaki grają w domino.

Żeby poczuć, jak wyglądało życie nadzianych baronów cukrowych, którym pomiędzy XVII a XIX wiekiem wiodło się tu świetnie, idziemy na Plaza Mayor, główny skwer w mieście, otoczony trzema muzeami i kościołem z miodową fasadą. Zatrzymujemy się na dłuższą chwilę w jednej z kafejek, gdzie popijając *canchánchara* – miejscowy koktajl z rumem, limonką i miodem – obserwujemy to leniwe życie. W głośnikach rozbrzmiewa *Guantanamera*. Wreszcie jest muzyka!

Guantanamera, guajira guantanamera. Guantanamera… – nucimy obydwie w myślach i pod nosem przez resztę dnia, bo to ten typ piosenki, który wpada w ucho i nie chce wypaść.

Guantanamera, guajira guantanamera…

– Widziałaś? Kolejny pies w ubranku!

– No wiem! Pełno ich tutaj… – komentujemy, spacerując przez Callejón de la Pena, jedną z targowych ulic miasta, pełną suwenirów. Szczególnie w pamięć zapadają mi koronkowe ubrania, drewniane samocho-

dziki i te aparaty-zabawki zrobione z puszek po napojach. Nikt nas specjalnie nie namawia do zakupów – pozwalają nam po prostu popatrzeć. Gapimy się głównie na ubrane psy.

Zaglądamy do Muzeum Architektury Kolonialnej, a potem wspinamy się na miętowo-żółtą wieżę Iglesia y Convento de San Francisco, byłego zakonu franciszkanów, w którym później mieściło się więzienie, a dziś jest Muzeum Narodowe Walki z Bandytami (Museo Nacional de Lucha Contra Bandidos), czyli – antyrewolucjonistami. Z góry jest przyjemna panorama na miasto. To stąd dostrzegamy wzgórze, położone całkiem niedaleko, które czymś nas kusi...

Nagle opuszczamy tę zwykłą część miasta, znaną i często zwiedzaną. Wchodzimy tu, gdzie zabrakło już bruku i funduszy ze światowej skarbonki.

Patrzą na nas dziwnie. – Buty, buty – krzyczą dzieciaki. – Bluza, proszę – coś chce od nas starsza kobieta. Śmieci walają się po ulicy, a wśród nich szuka robaków wychudzony kurczak, którego też pewnie nie powinno tutaj być.

Trochę spłoszone, po raz pierwszy w trakcie naszej eskapady, pełne wątpliwości, idziemy na Loma de la Vigía – wzniesienie, z którego Trinidad i zielone doliny wokół miasta można zamknąć w jednym spojrzeniu. Na szczycie stoją ruiny kościoła Ernita de la Popa. W drodze powrotnej znów proszą nas o każdą część garderoby.

– Nie wiem, w co się ubrać!!! – z przymrużeniem oka marudzę przed naszym wieczornym wyjściem na tańce.

– Nie przesadzaj, słońce.

– Przecież żartuję! Zbieraj się... Salsa!

Gdy docieramy na miejsce, na schodach przy Casa de la Música jest już tłoczno, a miejscowy śpiewak daje niezły koncert. Wszyscy tańczą salsę – wszyscy razem, bez względu na to, czy się znają, czy nie. Nie zdążyłyśmy jeszcze rozgrzać się mojito, a już trafiamy zaciągnięte, na parkiet – przy Kubańczykach ruszamy się jak dwie pokraki, ale oni chyba udają, że wszystko jest okej. Rytmy zmieniają się nieco wraz ze zmianą zespołu – z przyjemnością patrzymy na tych zgrabnie wywijających biodrami, ale

też z odrobiną zazdrości. Mieszanka hiszpańsko-afrykańskiej krwi daje olśniewające efekty – polska, czysta, chyba bez domieszki (zresztą, czy to ważne) wypada przy niej marnie. Nie umiemy się ruszać tak jak oni, nawet po mojito.

Fragment z dziennika

W drodze, Kuba. 152. dzień podróży dookoła świata

Po czterdziestu ośmiu godzinach ruszamy z Trinidadu w dalszą drogę. Kawałek za miastem, po lewej, wypatrujemy jakąś wieżę, trochę krzywą – skręcamy bez namysłu – możemy. To jest właśnie wolność, jaką daje własne auto – wolność wybierania, gdzie, kiedy i na ile się zatrzymasz – niezależność, która dla mnie w podróży (w życiu też) jest tak ważna. Po nadgryzionych przez termity, skrzypiących schodach wspinamy się na piąte, a może szóste piętro, aby zerknąć... na pustkowie, bo niewiele tu się dzieje. Chwilę dłużej zwiedzamy Sancti Spiritus, jedno z najstarszych miast europejskich na Kubie – stolicę prowincji o tej samej nazwie. W tym roku miasteczko obchodzi swoje czterysta dziewięćdziesiąte dziewiąte urodziny! Jest piękne i zdaje się, że niezbyt docenianie, bo wśród tuziemców dostrzegamy zaledwie kilku turystów – zupełnie inaczej niż w polecanym Trinidadzie. Chociaż Sancti Spiritus nie zostało wpisane na żadną listę, jest zadbane, kolorowe i urocze. Siadamy w barze na TuKolę, odpowiednik sławnego w świecie napoju. Niczego nie chcemy żałować, ale zastanawiamy się głośno, czy nie lepiej było zatrzymać się w Trinidadzie na jedną noc, a na drugą właśnie tutaj w Sancti Spiritus.

Przecinając wyspę wszerz, przejeżdżamy przez Minas Arriba, Jarahueca, Meneses – wioski, o których nie mówi się wcale, bo oprócz codziennego życia, podobno nie mają nic więcej do zaoferowania. No właśnie, że mają – codzienne życie mieszkańców jest na wagę złota. W każdej wiosce zatrzymujemy się chociaż na spacer, a w jednej na dłużej, bo akurat odbywa się tu regionalny festyn i targowisko. Z dwóch anonimowych osób szybko stajemy się największą atrakcją, interesującą do tego stopnia, że krok w krok za nami podąża grupa obserwatorów.

– Okej, teraz rozumiem, jak się czują ci, na których ja zawsze się gapię – rozmyślam głośno.

– O, patrz! Mercedes – Aneta, niewzruszona tymi egzystencjalnymi przemyśleniami, chrząka na widok nowiutkiego mercedesa, którego mijamy w drodze do Cayo Santa María; faktycznie jest to widok dość unikalny. – Masz rację – przytakuje mi w końcu. A już myślałam, że nie słucha!

Za podupadłym miastem Yaguajay, wymazanym muralami, odbijamy na trasę wzdłuż wybrzeża, a za moment wjeżdżamy na sporą groblę.

– *Pasaportes* – wymaga wojskowy w budce kontrolnej. Na Kubie dokumenty należy mieć zawsze przy sobie. Każe płacić za wjazd i przez okno zagląda do auta, sprawdzając, czy z tyłu nikt nie siedzi.

Fragment z dziennika

W drodze, Kuba. 152. dzień podróży dookoła świata

Po prawej lazur i po lewej lazur. Potem po prawej bagna i krokodyle. Po lewej to samo – tak przez dziesiątki kilometrów jazdy po długim nasypie, który prowadzi nas do celu. Co chwila mijają nas autobusy transportujące urlopowiczów do i z luksusowych hoteli. Wchodzimy zupełnie wyluzowane, nie zdradzając, że tu nie mieszkamy, podejrzeć. Mamy już wprawę i zero krępacji. Jest ładnie – Cayo Santa María to jedna z kubańskich wysp, turystycznie zagospodarowana całkiem niedawno – wszystko więc jest tu nowe, zupełnie nienadgryzione zębem czasu, a plaża i morze są jak z obrazka. Bez skrępowania odwiedzamy kilka miejsc, nikt nawet nie zwraca na nas uwagi, bo giniemy w tłumie białych z Kanady i Europy.

– Jak się nazywała ta *casa*, którą on polecił? – dopytuję, gdy już po zmroku dojeżdżamy do Remedios. Dał nam ten adres Buri z trynidadzkiego hostelu.

– Nawet nie wiem, jak to się czyta… Ber… Może kogoś zapytamy?

Rozglądamy się chwilę, bo kogo by tu zapytać i nie narazić się na błędne wskazówki?

– Kierowcę karetki?

Mimo wielkich chęci nie jest w stanie wytłumaczyć nam drogi, ale szybko wskakuje do ambulansu i eskortuje nas pod drzwi jednego z domów. Macha na do widzenia i wraca do bazy, a my – pukamy. Drzwi zamknięte. Albo nikogo nie ma, albo wszyscy już śpią. Albo po zmroku ich

się po prostu nie otwiera. Trochę spanikowane zaczynamy krążyć po mieście, biorąc już pod uwagę spanie w naszym „Pikachu", jak pieszczotliwie nazywamy dzielną kię picanto.

– *Buenas tardes. Bus...co un cuadro pare, yyy, para est...a noche?* – pytam moimi koślawymi podstawami hiszpańskiego, które opanowałam przez doświadczenie.

– *Sí, sí.* – Otwiera starsza kobieta i woła córkę, która przez środek ich salonu i obok sypialni prowadzi nas na półpiętro, gdzie mamy dziś spać.

Trochę na migi, a trochę nie, prosimy Huanitę (nie wiem, jak nazywa się gospodyni, ale przywykłyśmy mówić tak samo o każdej z nich, bo imion nie jesteśmy w stanie spamiętać) o kolację. Dziś już nie chcemy nigdzie iść, chcemy leżeć do góry brzuchami. Za godzinę woła nas na dół i podaje gęstą zupę z czarnej fasoli, *arroz con pollo*, czyli po prostu ryż z kurczakiem oraz smażone, słodkie plantany do podgryzania. Zdarzyło nam się już kilka razy jeść domowe potrawy w poprzednich miejscach, gdzie nocowałyśmy, ale te – wygrywają. „Mama" przygląda nam się z drugiego pokoju, dostrzegam ją kątem oka, więc szybko się chowa. Ale tylko na chwilę – z radością patrzy z ukrycia, jak pałaszujemy. Już nie zerkam, nie chcę, żeby czuła się nieswojo. Zgodnie stwierdzamy, że na Kubie posiłki w *casas particulares* są najlepsze, a przecież miałyśmy okazję jeść tu w kilku naprawdę fajnych jak na Kubę knajpach. Gospodyni nie żałuje nam też swoich kulinarnych popisów przy śniadaniu, więc na zwiedzanie wybieramy się aż za bardzo... syte.

Jeden z wielu oldtimerów mijanych podczas wyprawy przez Kubę

Remedios to mała, spokojna mieścina, gdzie można odbyć podróż wehikułem czasu do XVI wieku. Widać, że przez lata nikogo nie obchodziła, dziś – pojawiające się nowsze budynki wskazują na to, że zaczyna, albo i nie... bo pod zamkniętym na trzy spusty kościołem (to ponoć jedyne kubańskie miasto, w którym przy głównym placu są dwa kościoły; pierwszy wyremontowany, drugi w ruinie) stoi tylko wesołe miasteczko, takie trochę jak z horrorów – wagoniki skrzypią na wietrze.

Miasto, kiedyś atakowane przez piratów, dziś jest leniwą noclegownią dla jadących na wyspy, ale raz do roku ożywa jak żadne inne miejsce na Kubie. W Boże Narodzenie odbywa się tu festiwal Las Parrandas de Remedios – niebo rozbłyskuje wtedy fajerwerkami, a ulice zaczynają wibrować w rytm kubańskiej muzyki. Uwaga reszty kraju skierowana jest wtedy na skromne zazwyczaj Remedios. Las Parrandes odbywa się od ponad dwustu lat, niektórzy mówią, że to najstarszy festiwal w tej części świata.

Inaczej jest w Santa Clara – mieście założonym prawie w samym środku Kuby przez mieszkańców Remedios uciekających przed wspo-

mnianymi piratami. Tu nie oddycha się kolonialnymi czasami, tu oddycha się rewolucją. W Santa Clara, symbolicznym miejscu, gdzie pod koniec 1958 roku, w ostatecznej bitwie, zakończyły się rządy Battisty, stoi mauzoleum Ernesta Che Guevary. Jego szczątki, jakieś trzydzieści lat po śmierci El Comendante, sprowadził z Boliwii Fidel Castro. Na wzgórzu tkwi potężny pomnik, a pod nim najpopularniejszy chyba cytat z Che: *Hasta la Victoria Siempre* („Do zwycięstwa, zawsze!"), który stał się nawet inspiracją do piosenki *Hasta Siempre – Comandante Che Guevara*.

– … i tak to nasza piękna Santa Clara jest zawsze zbuntowana. A jak jest teraz w Polsce? U was spokój? – słyszę, dołączając do Anety.

Staję jak wryta, ale od razu upewniam się, że się nie przesłyszałam – starszy Kubańczyk, elegancki mężczyzna w beżowym garniturze i białym kapeluszu, który zaczepił Anetę na górze, mówi po polsku! Ucinamy sobie z nim krótką pogawędkę, nie za bardzo pozwalając mu pytać, raczej stajemy w roli moderatorów rozmowy. Wyciągamy, ile możemy i ile chce zdradzić (to właśnie ten jegomość stał się dla mnie istotnym źródłem wiedzy o kulturze i miejscach, w których już byłyśmy).

– Chcecie iść zobaczyć, jak się robi cygara? Oprowadzę was.

Sama nie wiem czemu, ale odmawiamy. Może to z pośpiechu, bo po kawie w barze Europa ruszamy dalej.

Fragment z dziennika

W drodze, Kuba. 153. dzień podróży dookoła świata

Jedziemy przez zapomniane przez Boga i ludzi miasta, skręcamy w boczne dróżki, jeszcze dalej – byle tylko „zapuścić żurawia". Mijamy komunistyczne zakłady pracy, szare blokowiska, a zamiast aut widzimy „zaparkowane" pod nimi konie; zjeżdżamy do kolejnego opuszczonego ośrodka wypoczynkowego przy bezludnej, boskiej plaży, mijamy nieczynne tory, przez które przechodzą już tylko krowy na pastwisko; z dreszczykiem emocji wkraczamy na wyraźnie oznaczony teren wojskowy, ale na szczęście nikt nas nie zatrzymuje. Niebo jest błękitne, delikatnie oprószone białymi chmurami, po bokach pola, trochę piachu w kolorze bladej cegły, gdzieniegdzie tylko drzewa, jakiś bananowiec albo mango. Za dostojnym amerykańskim wozem, który podąża w przeciwnym kierunku, ktoś idzie piechotą i ogląda się za nami. Zwierząt jakby wcale nie było, oprócz tych krów na torach,

przemknie jedynie jakieś ptaszysko. Na wjazdach do miast i wiosek wita lub żegna identyczne hasło: „Hasta la Victoria Siempre", niekiedy widać wymazane na murach „Revolución", rzadziej cytaty z Fidela Castro, takie jak ten: „Luchar contra lo imposible y vencer", czyli „Walczyć z niemożliwym i wygrać".

– Okej. Jesteś głodna?

– Trochę. Ale nie mamy kasy…

– Mamy może… 10 pesos?

Jesteśmy w drodze do Varadero, turystycznej enklawy, która pozostaje naszą ostatnią nadzieją na zdobycie gotówki.

– Musimy coś zjeść… – furkamy na siebie.

Odbijamy do jednej z tych wiosek, gdzie jest tylko kilka budynków i może dwie przecznice. W pobliżu Martí, jeśli dobrze pamiętam, a sama nie wiem, bo to taki punkt, którego na mapie nie można odszukać. Google jeszcze tu nie dotarł.

– Tam było napisane „Pizza" – hamuję bez zastanowienia, bo wiem, że i tak nic za mną nie jedzie (nie jechało przez ostatnie trzysta kilometrów). Zjeżdżam na bok.

Nasza decyzja intryguje miejscowych: grające w piłkę dzieci w mundurkach – przestają grać, plotkujące staruszki – przestają plotkować, nawet gość, który siedział gdzieś pod obrzępolonym płotem – wstaje. Patrzą przez chwilę, a potem wracają do swoich zajęć: dzieci w mundurkach, babcie, gość siada z powrotem pod zaniedbanym płotem, a my, nieco speszone, idziemy w ciszy po pseudokrawężniku.

Gdy zwalniamy przy budce, tej z napisem „Pizza", znowu uwaga wszystkich skupia się na nas – jak na szkolnym apelu w podstawówce, kiedy trzeba było stanąć na środku i wydukać wierszyk, a wszyscy się gapili. Ci tutaj nie wierzą chyba, że dwie dziewczyny przyjechały do tego miejsca pośrodku nigdzie, żeby coś zjeść!

– Stać nas na… jedną…

– Piątaka za jedną pizzę? Czy oni oszaleli?! – wyrywa mi się chyba za głośno, bo patrzą na nas jakby z większą intensywnością. – *Una…* – wskazuję na palcach, a pan kiwa głową, bo zamówienie przyjęte.

Grzecznie ustawiamy się w kolejce za matką z synem i już nikt się nie czai z przyglądaniem ukradkiem – działają dość sprawnie i szybko. Pewnie pół wsi staje na tyle blisko, żeby przekroczyć strefę naszej prywatności. Rozbierają nas wzrokiem, napadają ciekawością, dokładnie badają: sznurówki, skarpety, łydki, kolana, spodnie (z rentgenem w oczach pewnie też bieliznę), podkoszulki, łokcie, tatuaże, szyje, twarze, oczy, usta, włosy, wszystko. Pożerają nas żywcem i nawet im się nie odbija.

– Też się na nich patrz, może sobie pójdą – rzucam trochę sparaliżowana, ale moja sugestia na wagę złota nadaje się na śmietnik. Każdy nasz oddech, najmniejszy ruch, zostaje odnotowany – jak przystało w mocno socjalistycznym ustroju i na bezludziu.

– Ej! – krzyczy w końcu kucharz z „pizzerii" i wręcza nam jakąś bułę, za którą z krwawiącym sercem płacimy pięć pesos. – Ej! – krzyczy znowu, gdy chcemy odchodzić i wręcza nam garść reszty – sześćdziesiąt pesos... Pytanie – jakich pesos oraz w jakim przeliczniku?

Słyszałyśmy już historie o nieuczciwych Kubańczykach wydających resztę niezorientowanym turystom – zamiast kubańskiego pesos wymienialnego, tego dla cudzoziemców, wydawali „krajowe" pesos o mniejszej wartości. Nasz sprzedawca jest uczciwy – szybko wszystko przelicza, wydaje prawie tyle, ile nam się należy, i kłania się w pas, wracając do pracy, bo kolejka jaka była, taka jest.

Przy pustkach w naszych portfelach ta sytuacja to zbawienie. Jedyne, czego się obawiamy, to tego, że „nowymi" pieniędzmi nie będziemy mogły nigdzie zapłacić, bo podobno od turystów kubańskie pesos nie jest przyjmowane. Sprawdzamy więc w kolejnej wiosce, z sukcesem płacąc za kanapkę i TuKolę. Tutaj też – w barze, w którym nie ma nic oprócz lodówki z trzema puszkami napojów – jesteśmy przybyszami z innej planety. I to we własnym UFO! Zabieramy więc kanapkę i odlatujemy, wreszcie szczęśliwe, bo „głodny Polak to zły Polak".

Fragment z dziennika

Varadero, Kuba. 153. dzień podróży dookoła świata

Uznawane przez wielu za eldorado, nieziemskie wręcz Varadero, leżące na długim

półwyspie Hicacos, jest pełne kurortów. Są tu olbrzymie molochy, podupadłe hotele, a kawałek dalej nowe, błyszczące monstrum – rozrośnięte blokowisko przy wyjątkowo urodziwej plaży. Nowoczesny kloc z pokojami w większości za kilkaset dolarów. Nie to jednak uderza nas najbardziej – naszą niechęć wzbudzają ludzie. W tutejszych kurortach nie ma Kubańczyków (ewentualnie w pracy), którzy od kilku lat mają tutaj (jak mówią) zakaz wstępu jako wczasowicze. Jest za to mnóstwo pijanych od śniadania, hałaśliwych, wywyższających się na trzeźwo Kanadyjczyków i Europejczyków… to takie niskie! Równie turystyczne Cayo Santa María było chyba nieco sympatyczniejsze... Wpadamy tu jednak, bo jesteśmy w potrzebie – szukamy banku, podpytujemy w hotelach i wreszcie… po tygodniu na Kubie, udaje nam się wyjąć pieniądze – karta współpracuje, a kubańskie banki nie mają awarii. O dziwo, działa MasterCard, a na Kubie podobno bywają z nią kłopoty.

– Chyba zatrzymamy się w Matanzas, co nie? – upewniam się jeszcze przed odjazdem. – Dalej to już będziemy u Kaśki...

– Tak, tak, nie ma co jechać dalej. Tam czegoś poszukamy – zarządza moja przyjaciółka i udziela mi wskazówek, bo nie wiem, gdzie jechać.

Matanzas to, jak informują przewodniki, miasto mostów – faktycznie jest ich tutaj kilkanaście, bo co chwila przez któryś się przeprawiamy i nawet stajemy w małym korku. Wypatrujemy symbolu przypominającego niebieską kotwicę, którym oznaczone są *casa particulares*. Matanzas wydaje nam się inne niż wszystkie miasta, w których byłyśmy, jakieś takie... bardziej miejskie? Trafiamy na wolny pokój, ale niestety nie ma garażu ani „samochodowego ochroniarza", co wydaje się tu rozwiązaniem niezbędnym. Podobnie jest w kolejnych dwóch, ale w końcu przemiła recepcjonistka odsyła nas naprzeciwko, do koleżanki – jest garaż i wolne miejsce na jedną noc. To nie jest kolonialna kamienica, w jakich spałyśmy dotychczas – to mieszkanie w stylu lat siedemdziesiątych.

Na poznawanie miasta zostaje nam wieczór. W Matanzas nie czujemy się do końca pewnie, w sumie nic nas tutaj nie niepokoi, ale... intuicja podpowiada, aby za długo się nie plątać po mieście.

Żeby nie wracać jeszcze do Hawany, w której i tak spędzimy parę ostatnich nocy, w kolejnym dniu bawimy się w Santa María del Mar, po-

pijając rzecz jasna mojito razem z naszą koleżanką Kaśką (głupio – w prażącym słońcu, mądrze – pod parasolem krytym strzechą, dającym skrawek cienia). Oddajemy wysłużone autko, odbieramy kaucję w gotówce i taksówką, jakimś „kanciakiem", docieramy do Guanabo. Kierowca zostawia nas – prawdopodobnie umyślnie, bo to nie jest przypadek – pod domem, w którym można wynająć pokój, a właściwie małą przybudówkę pełną mrówek.

Pierwszy raz na Kubie ktoś odradza nam zbyt długie spacery. Randka z Guanabo może być ryzykowna – tak twierdzi Huanita, właścicielka naszej *casy*. Wychodzimy szybko, żeby zobaczyć cokolwiek przed zmrokiem. Wśród miejscowych łowiących krewetki spotykamy Alexa – jest Kubańczykiem, ale przez dłuższy czas mieszkał we Włoszech, więc włoski styl bycia i strzelanie palcami ma we krwi. To przystojny facet w różowej, rozchełstanej koszuli, koło pięćdziesiątki, z którym do zachodu słońca rozmawiamy o... seksie.

– Dziewczyny! Musicie spróbować, Kubańczycy są najlepszymi kochankami na świecie – mówi pół żartem, a raczej bardziej serio. – O co was taki Polak zapyta po seksie? Rozwali się obok do góry brzuchem i spyta: „Dobrze ci było, mała, co?".

W swoją wypowiedź wkłada mnóstwo typowej italiańskiej ekspresji.

– A potem co robi?

– Idzie zapalić? – śmiejemy się.

– Otóż to! Idzie zapalić – potwierdza zupełnie poważnie.

Chcąc nie chcąc, po krótkim wahaniu zgadzamy się z nim.

– A Kubańczyk?

– Kubańczyk cię przytuli i szepnie, że jesteś piękna. Poczujesz się wyjątkowo. My tu inaczej traktujemy kobiety – uśmiecha się zalotnie. – Jesteście cudownymi istotami. – I zaprasza nas na kolację. Mieszka z mamą, o czym szybko nas zapewnia. My ślicznie dziękujemy. Nie skorzystamy.

Hawana. Powrót

O seksturystyce dowiadujemy się więcej w Hawanie. W długiej kolejce do Habana Casa de la Música, która mieści się w bladoniebieskim budynku z szyldem „América” (trudno go przegapić), poznajemy dwóch rodaków od lat mieszkających w Kanadzie (Kanadyjczycy chyba przeważają w turystyce na Kubie), starszych, bardzo miłych panów. Nie muszą dużo mówić – szybko orientujemy się, po co tu przyjechali. Na pewno nie na słodkie lenistwo na plaży ani w celu odkrywania fascynującej kubańskiej kultury. No jak? Przecież to nuda.

Puzzle tej układanki – eleganckie panie z Zachodu z młodymi kubańskimi chłopakami pod rękę, widziane przez nas już wcześniej, historie opowiedziane przez poznanego wczoraj Alexa, pogwizdywania, gdy przechodzimy chodnikiem i otwarte propozycje miłosnych uciech, z którymi stykamy się od początku, Kubanki w ostrych makijażach i sukienkach, spod których wystaje połowa pośladków. Kuba kipi seksem, często za pieniądze. Sponsoring i prostytucja są tu na porządku dziennym.

– Dziesięć pesos – wymaga ochroniarz (od głowy!) Jesteśmy spłukane już na wstępie, bo zgodnie z zasadą „przezorny zawsze ubezpieczony”, nie nosimy przy sobie zbyt dużo gotówki; w Hawanie też zdarzają się kieszonkowcy.

Nasi nowi znajomi okazują się dżentelmenami i stawiają nam po drinku, ale po miłej pogawędce, wyczuwając, że mają inny plan na wieczór, wycofujemy się.

– Miło było was poznać! Idziemy potańczyć.

Zmieniamy stolik i zaczynamy zachłannie obserwować owych męż-

czyzn oraz zachowanie innych gości. O matko, ależ jesteśmy wścibskie!

Po kilkunastu minutach otoczeni są wianuszkiem młodych, odstawionych Kubanek, które kręcą biodrami tak, że trudno ich nie pożądać – mogą wybierać. A żony? Zostały w domu, w Kanadzie czy Europie. Chłopaki są na męskich wakacjach.

Później, w tłumie szalejącym na parkiecie w rytm nie tylko kubańskiej muzyki, ale też typowych dyskotekowych hitów, po tanecznym przedstawieniu na scenie z pomponami i zgrabnymi pupami, widzimy jeszcze wiele innych osób: kobiet i mężczyzn, Kubańczyków i obcokrajowców, którzy przybyli tu nie tylko potańczyć.

Bo seks i taniec, to dwie rzeczy na Kubie, które można mieć za darmo – wyjaśnia nam „uczenie" jedyny chyba chłopak bez ciągot na podrywanie. Później dodaje, że to są ich dobra narodowe niepoddające się żadnemu politycznemu czy ideologicznemu systemowi.

Kubańska flaga na skrzynce na listy

Fermentacja spożytego w zbyt dużych ilościach rumu daje nam się we

znaki od razu po przebudzeniu – zgodnie stwierdzamy, że to jest świetny dzień na „chińczyka", a chińska dzielnica wciąż pozostawała na liście miejsc do odwiedzenia.

– Tanio! Tanio piękna! – pokrzykują kierowcy riksz, obudzeni z drzemki; leniący się jak każdy w Hawanie. Wsiadamy, bo dziś zwykłe zejście ze schodów jest jak wyprawa w Himalaje, ale ta przejażdżka też nam zapewnia dużo wrażeń – to szaleńcza jazda.

Potężna, zdobna brama wyznacza symboliczny początek – wchodzimy do Chinatown, Barrio Chino de La Habana. Po dawnym splendorze, kiedyś największej chińskiej dzielnicy w Ameryce Łacińskiej, pozostało niewiele.

– *O shit!* – krzyczy Aneta.

Odwracam się w jej kierunku i wybucham śmiechem, bo… poślizgnęła się na skórce od banana. Dziś jest ten dzień, kiedy każde takie drobne zdarzenie wydaje nam się najśmieszniejsze na świecie. Obywa się bez siniaków.

W ciągu restauracji przy Cuchillo, ulicy obwieszonej lampionami, smokami i girlandami, atakują nas naganiacze. Są to głównie młode Kubanki ubrane w kuse, tradycyjne chińskie sukienki ze stójką – każda przekonuje o wyjątkowości menu w jej restauracji. Nie ma chyba drugiego takiego miejsca na Kubie, gdzie właściciele prywatnych biznesów tak mocno ze sobą konkurują. Jednakże w wielu azjatyckich knajpach, zamiast chińszczyzny, serwują dania włoskie, więc z trudem znajdujemy wymarzonego kurczaka w pięciu smakach.

– Powinnyście wybrać się jeszcze do drugiej części Hawany – przekonuje nas syn Sarity-Huanity (zatrzymałyśmy się w tej samej *casie*) po długiej dyskusji przybliżającej nam meandry prowadzenia tutaj interesów. – Idźcie piechotą i po drodze zajrzyjcie do Hotel Nacional de Cuba. Koniecznie! Ruszajcie już, to będzie… długi spacer.

Robimy tak, jak radzi – wzdłuż Malecónu, nad wybrzeżem zatoki idziemy w kierunku Piątej Alei (Quinta Avendia) do dzielnicy Miramar, ale po drodze przystajemy na wzgórzu i wchodzimy, a raczej wkraczamy

do gmachu hotelu, który gościł w swoim czasie znane osoby. Wypoczywali tu między innymi Pedro Vargas, Frank Sinatra, Marlon Brando, Gabriel García Márquez, Walt Disney, Robert de Niro, obradowali światowi politycy, a wśród nich… Winston Churchill. Elegancki budynek powstał w 1930 roku jako wakacyjna oaza dla Amerykanów. Zamknięty potem przez Fidela Castro, czekał długo na ponowne otwarcie i wrócił „do życia" po remoncie w latach dziewięćdziesiątych. Co za szyk i elegancja, a do tego te wspomnienia i głośne nazwiska! Plączemy się bez ograniczeń po hotelowych korytarzach – nikt się nami nie interesuje, bo znikamy w tłumie białych turystów. Z rozkoszą siadamy na patio pod palmami i nie możemy odżałować (znowu), że nas po prostu nie stać na kaprys zatrzymania się tutaj choćby na jedną dobę – nocleg w tym hotelu powinien być obowiązkowy! A na Kubę powinno się mieć większy budżet.

– *Taxi*? – wołają kierowcy oldtimerów, których jest mnóstwo pod palmami. Auta wypucowane i błyszczące służą za taksówki dla przyjezdnych spragnionych „prawdziwej" Kuby.

My jednak idziemy dalej piechotą, tym razem zagłębiając się w dzielnicę Vedado. Początkowo okolica przypomina taką, jaką przypisałoby się klasie średniej – praktycznie nieistniejącej przecież w krajach rozwijających się. Jest tutaj wiele zadbanych, choć skromnych domków. Widok zmienia się w okolicach pobliskiego Uniwersytetu Hawańskiego i dalej, między klocami z wielkiej płyty przemawiającymi wszechobecną propagandą – tędy wracamy nad zatokę.

Ogromne fale z impetem wdzierają się na chodnik przy tej wielopasmowej arterii, rozsypujące się kamienice z okolic Starej Hawany tutaj zmieniły się w bloki z różnych epok, szare place i pomniki oraz – „las flag". Monte de las Banderas to miejsce symboliczne w walce ze współczesnym imperializmem amerykańskim.

Malecón zdaje się nie mieć końca… zakręca przy monumencie strzeżonym przez wielką armatę i kończy się dopiero przy kanale, gdzie płynnie przechodzi w Piątą Aleję – cel naszego przydługiego spaceru.

Fragment z dziennika

Hawana, Kuba. 157. dzień podróży dookoła świata

Wokół piękne wille, budynki ambasad, bulwar obsadzony równo przystrzyżonymi drzewami – w dzielnicy Miramar rzeczywistość jest inna niż ta, z którą obcowałyśmy przez ostatnie dni. Niektóre „pałace" są opuszczone, włóczą się po nich duchy przeszłości, inne są właśnie odnawiane. W jednych mieszczą się konsulaty, na co wskazują liczne flagi, w tych obok są prywatne firmy, oznaczone tabliczkami, a kawałek dalej stoją bogate rezydencje. Pod domem zaparkowane nowiusieńkie audi, a my, zmęczone, chcemy złapać taksówkę – jak na złość żadna nie jedzie. Znalezienie taksówki zajmuje nam co najmniej godzinę, ale „polowanie" kończy się wielką przygodą – przejazdem po szerokim Malecón malinowym kabrioletem, oldskulowym cadillakiem jak z filmu *Grease*.

– Wiesz, że już nawet mnie nie ruszają ich pogwizdywania na nasz widok? – zauważam swoje przyzwyczajenie, gdy stoimy w kolejce (te są w Hawanie wszechobecne) po *bocadito de helado* – kubańską lodową kanapkę nabywaną w *peso stalls*. Jest pyszna! Wydajemy oczywiście nasze kubańskie pesos, którymi z powodzeniem operujemy od kilku dni.

Niepozorną uliczką Starej Hawany, gdzie dzieci grają w piłkę starą puszką, a młodzież uczy się strzelać z dubeltówki na strzelnicy zaraz przy chodniku, gdzie na zarywających się tarasach wisi pranie, a pod nogami walają się śmieci, idziemy do przystani, skąd łapiemy prom na Casablancę – dzielnicę miasta osadzoną po drugiej stronie wody, w której króluje posąg Jezusa i skąd jest wyjątkowo ładna panorama stolicy.

– Czyli jak wam się podoba na Kubie? – przepytuje nas miejscowy student, chyba zwolennik systemu, chociaż sama nie wiem, bo to bystry chłopak z bardzo dobrym angielskim i do tego trochę podróżował, czyli musiał zauważyć różnicę między Kubą a miejscami, w których był.

– Jest bardzo różnorodnie, to chyba kraj kontrastów, ale wiesz, bieda zawsze zasmuca...

– A dlaczego uważasz, że jest biednie? Co uważasz za biedę? – drąży.

– No, nie wiem, są takie miejsca, w których widać, że ludziom brakuje...

– Kubańczykom nie brakuje – przerywa. – Każdy zawsze coś dostaje.

– Może za mało? A może nic nie robią, żeby mieć więcej?

– Czyli myślisz, że tu może być lepiej?

– Na pewno.

– A co to znaczy lepiej? – zbija nas z pantałyku. – W Polsce jest teraz demokracja i ty uważasz, że demokracja jest lepsza?

– Tak.

– A ja myślę, że nikt jeszcze nie opracował dobrego systemu politycznego. I pewnie nigdy nie opracuje, bo zawsze pojawi się ktoś, kto chce mieć więcej i więcej od innych, albo rządzić, a zresztą, komunizm komunizmowi nierówny.

Przez całą podróż opowiada o zachodzących na Kubie zmianach, czasem prowizorycznych, a na koniec dodaje:

– Nie możecie oceniać Kuby, wasze obserwacje są powierzchowne, tak samo jak spostrzeżenia, bo w ciągu kilkutygodniowych wakacji nie da się jej zrozumieć. Nigdy!

Wskazówki

Kuba. Skansen, który trzeba poczuć, a nie tylko na niego popatrzeć. Byle szybko, bo zaraz to nie będzie ta sama Kuba. Zmieni się, ale pewnie nie tak szybko, bo Kuba to nie tylko miejsce, ale przede wszystkim sposób życia. To kubańska mentalność, która nie przejdzie magicznej transformacji w sekundę, ale w końcu... tak – w końcu wyparuje.

5 powodów, dla których warto pojechać na Kubę, zanim się zmieni

1. Odetniesz się i będziesz tu i teraz

Niewiele jest już takich miejsc, w których faktycznie można się odciąć od świata. Ale na Kubie – tak, bo tu nie ma internetu. Nie ma i już (dostępny jest naprawdę w niewielu miejscach i jest bardzo drogi). Tam nie budzisz się rano i nie zaglądasz od razu w telefon, bo nie ma po co. Tam nie spacerujesz z nosem wklejonym w ekran. Tam jesteś tu i teraz, a nie szybujesz w wirtualnej rzeczywistości.

2. Na chwilę znajdziesz się w niezamerykanizowanym świecie

Tak – to kolejna rzecz, której na Kubie brak. Tu nie znajdziesz McDonalda i Starbucksa. Nie ma tej, obecnej już wszędzie, amerykanizacji i nowoczesności, która wychodzi nawet z lodówki.

3. Zobaczysz prawdziwe oldtimery i poczujesz się jak w filmie

Na kubańskich drogach można już spotkać trochę nowoczesnych aut, ale wciąż w większości przemierzają je kolorowe, amerykańskie wozy, które na co dzień widzi się tylko w filmach. Wsiadając do różowej taksówki kabrio, poczujesz się jak gwiazda filmowa...

4. Nikt i nic nie przemówi do ciebie z wszechobecnych reklam

Tu drogi nie są obstawione bilboardami, a płoty obwieszone płachtami nawołującymi do zakupu czegokolwiek. Tu ogłoszeniodawcy nie zapełniają czasu w radiu i telewizji, a ty jesteś wolny! No, prawie… Jedyne, przed czym na Kubie nie uciekniesz, to propaganda.

5. Może więcej zrozumiesz

Komunizm komunizmowi nierówny, ale… Polska też ma za sobą czasy ograniczeń, ciągłej kontroli i propagandy. Wizyta na Kubie to doskonała lekcja historii, którą pamięta już coraz mniej z nas.

Blogi

www.cuba-miamor.blogspot.com – Ania wie, co mówi, bo zna Kubę jak własną kieszeń. Czasem pisze zabawnie, a czasem się wkurza i obala mity.

Książki i filmy

Buena Vista Social Club – mogłabym go obejrzeć 10 razy i nadal by mi się nie znudził. *Buena Vista Social Club* to doskonała opowieść i muzyka – film dokumentalny poświęcony grupie kubańskich muzyków.

Dzienniki motocyklowe – klasyk dla podróżniczych fascynatów. Film nie opowiada o Kubie, ale o motocyklowej podróży przez Amerykę Południową późniejszego bohatera kubańskiej rewolucji – Ernesta Che Guevary.

MEKSYK

Nie jestem stworzony przez okoliczności. Jestem produktem moich własnych decyzji.

Stephen Covey

Mexico City

Wpatrywałam się w to malutkie okno (zawsze się zastanawiam, dlaczego okienka w samolocie są takie niewielkie?) jak chyba nigdy wcześniej. Potężne miasto rozlewało się do brzegów horyzontu, a na jego końcu wznosił się oprószony śniegiem szczyt i wszystko było fioletowe. Całe Mexico City było fioletowe.

– Co to za drzewa? – pytam Abu w drodze z lotniska.

– Dżakarandy, kwitną na wiosnę. Piękne, prawda?

– Nigdy wcześniej ich nie widziałam…

– Dżakarandy rosną głównie w tej części świata i masz szczęście, że przyjechałaś właśnie teraz.

Abu jest Meksykanką… znajomą byłej już dziewczyny syna koleżanki mojej mamy (tak, wiem, znów to trochę zawiłe). Jakimś cudownym zrządzeniem losu spotykamy się na końcu świata i razem jedziemy pod adres kuzynek Victorii, dziewczyny poznanej w Peru, u których mam się zatrzymać.

– Tu chyba nikogo nie ma – zauważa Abu.

Faktycznie – nie ma. Drzwi zatrzaśnięte, ale na płocie wisi karta z numerem telefonu. Okazuje się, że kuzynki zapomniały o moim przyjeździe i wyjechały na festiwal, wrócą jutro…

– Zostań u nas! – od razu reaguje Abu. – To żaden kłopot, tylko musimy iść coś zjeść, bo w domu chyba nic nie ma.

Kończymy w pobliskiej „hamburgerowni” (Meksykanie to kolejny naród uwielbiający buły z mięsem), a potem jedziemy na osiedle (pospolite bloki mieszkalne przypominające nieco Ursynów), gdzie moja nowa znajoma mieszka z bratem, siostrą i przeuroczym bassetem – Lolą. Wszyscy

pochodzą z Acapulco (oprócz Loli, która jest stąd), a do stolicy przyjechali uczyć się i pracować, bo to tutaj są największe szanse na sukces.

Fragment z dziennika

Mexico City, Meksyk. 160. dzień podróży dookoła świata

Rano jedziemy metrem do starej części miasta – Centro Historico. Już w drodze daje się wyczuć jakąś inność, odmienność od tego, co kojarzy mi się z podróżą metrem, z „klimatami", do których przywykłam. Jest tłoczno i różnorodnie. Metrem jadą biedni i bogaci, co chwila wsiadają i wysiadają handlarze wszystkiego. Sprzedają szczoteczki do zębów, śrubokręty, lizaki, muzykę, trampki, perfumy. Potem ktoś gra na akordeonie i śpiewa, turystów chyba nie ma wcale. Przewodniki straszą nas, że podróże metrem są tu niebezpieczne, więc nieco spięta trzymam się blisko Abu. Wysiadamy… niedaleko placu Broni, zwanym tu Zócalo (lub Plaza de la Constitución). „Duże" to chyba najlepsze słowo, aby opisać wszystko wokół! Zresztą samo Mexico City znajduje się w pierwszej dziesiątce największych miast świata. Na środku, na maszcie pnącym się do nieba, powiewa meksykańska flaga. Olbrzymia, monumentalna! Wschodnią stronę odgradzają potężne mury Palacio Nacional, ale to, co od razu przyciąga wzrok, to gigantyczna katedra. Catedral Metropolitana została zbudowana przez hiszpańskich kolonizatorów, aby pokazać wyższość Kościoła rzymskokatolickiego nad tamtejszą kulturą – zaraz obok znajdują się ruiny najważniejszej azteckiej świątyni, Templo Mayor, którą archeolodzy odkopali około czterdziestu lat temu.

– Wygląda na to, że Aztekowie mszczą się zza grobu – tłumaczy Abu, żartując trochę, gdy wchodzimy do środka; zamieram z wrażenia w tym kolosie. – Katedra się zapada – mówi już na poważnie.

– Jak to?

– Po pierwsze, miasto zbudowane jest na wysuszonym jeziorze i sporo tu też wstrząsów sejsmicznych – opowiada – ale najważniejsze jest chyba to, że jest coraz więcej mieszkańców i coraz częściej brakuje wody, ziemia wysycha, a budynki się zapadają.

– Czyli problem nie dotyczy jedynie katedry?

– Nie, w Mexico City jest wiele takich budynków, ale najgorsze w tym wszystkim jest to, że budowle nie zapadają się równomiernie, więc różnica poziomów może być spora – wskazuje na instalacje w katedrze. –

Gdybyś zaczęła tutaj toczyć po podłodze piłkę, poleciałaby tam – wskazuje dłonią. Wyobraź sobie życie w kamienicy, gdzie trudno na stole postawić pełną szklankę wody czy talerz zupy. Mexico City ma spory problem...

– A co oni robią? – podpytuję, gdy wychodzimy z powrotem na plac.

– Ogłaszają się.

Obok Indian odprawiających „oczyszczające" obrządki (kultura Indian i religia chrześcijańska idą tu dziś w parze), można znaleźć hydraulika, nianię czy murarza – to taka „żywa tablica ogłoszeń". Jeśli ktoś potrzebuje jakiegokolwiek specjalisty, może przyjść na Zócalo i z dużym prawdopodobieństwem go znajdzie.

Po jednej stronie, trochę na uboczu placu, jest bardziej egzotycznie – miejscowi przesiadują na krawężnikach, zajadając *tacos*, sprzedają skarpety oraz koszule, nagłaśniając przez megafony swoje oferty, a na piedestale stoi *calaca*, czyli przebrany szkielet ludzkich rozmiarów – kult śmierci jest tu żywy i wszechobecny. Meksykanie wierzą, że prawdziwe życie zaczyna się potem.

Po drugiej stronie Zócalo jest nieco bardziej nowocześnie i turystycznie. Są sklepy z ciuchami skryte pod arkadami, sklepy z biżuterią (dużo złota), hotele, restauracje, kawiarnie, banki i tłumy. Kryjemy się przed nimi na chwilę w Mumedi Shop, gdzie oprócz wydania fortuny na fajne, a nie kiczowate pamiątki i gadżety (są naprawdę świetne), można też skosztować fantastycznych meksykańskich dań w nowoczesnej odsłonie. W tym otoczeniu czuję się trochę jak w Barcelonie.

– Ten też się zapada – mówi Abu, gdy stajemy przez gmachem Palacio de Bellas Artes. – Mam pomysł! Chodź, pokażę ci coś – ciągnie mnie za rękę i nie daje mi szansy na spokojną obserwację.

Wchodzimy do... centrum handlowego i, dwukrotnie zmieniając windę, docieramy wreszcie na wysokie piętro, gdzie mieści się Cafe de la Gran Ciudad – kafejka z widokiem na Bellas Artes (akademię sztuk pięknych), zacnym widokiem.

– To mangonada. – Stawia przede mną żółto-czerwone *smoothie*.

– Co?

– *Smoothie* z mango z *chamoy*.

– Z czym? – pytam, nie mając pojęcia, co to jest *chamoy*.

– *Chamoy* to taki słodki, słony i pikantny zarazem sos. Koniecznie spróbuj!

Mieszanka słodkiego mango z tym faktycznie słodko-słono-pikantnym sosem na początku mi nie odpowiada, ale z każdym łykiem napój robi się coraz smaczniejszy. Miejscowi lubią dodawać *chamoy* do owoców albo po prostu je solą.

Fragment z dziennika

Mexico City, Meksyk. 160. dzień podróży dookoła świata

Potem oddalamy się nieco od głównych ulic. Tutaj naprawdę wszędzie sprzedają wszystko i tylko krzyczą do mikrofonów, że mają promocje. Taka forma marketingu bezpośredniego, sklep za sklepem, szaleństwo. A między sklepami bary i *tortillerie*, czyli miejsca gdzie piecze się świeże *tortille*, meksykańska wersja piekarni. Abu opowiada mi trochę o sytuacji studentów w Meksyku, o problemach ze znalezieniem pracy i kłopotach z kartelami. Niechętnie przyznaje, że są w tam miejsca, do których nigdy by się nie wybrała, gdyż są niebezpieczne, ale w Mexico City ma już swoje ścieżki. Po zmroku odprowadza mnie do Cracovia32, mieszkania kuzynek Victorii (miejsce to kojarzy mi się z domem sztuki alternatywnej, którą zajmują się dziewczyny). Czekają już tu na mnie, zaniepokojone moją nieobecnością i chyba z wyrzutami sumienia – zupełnie niepotrzebnie. Tak widocznie miało być.

– Pojedź sobie rano do Colonia Roma – doradza mi jedna z dziewczyn.

Zaopatrzona w jej instrukcje i kartę miejską, którą kupiła specjalnie dla mnie, jadę więc metrobusem z San Angelo do Colonia Roma. Podróż zajmuje mi prawie godzinę – miasto jest niebotyczne: szerokie ulice, ogromne budynki i wielkie odległości.

Roma to dzielnica młodych, nieco hipsterska, pełna księgarni, galeryjek i modnych knajp – takich serwujących dobrą kawę i dania z ekoproduktów. Zatrzymuję się w jednej z nich, Delirio. Pieką tu chrupiący chleb, ciasta, robią własne dżemy i sprzedają doskonałe sery. Siedząc przy jednym ze stolików rozstawionych niechlujnie na chodniku, pod fio-

letowymi drzewami dżakarandy, miło przyglądać się ulicznemu życiu – komuś się popsuł samochód, ktoś inny całuje się na do widzenia, a tu ktoś się wita, ktoś potknął się na nierównym chodniku, a tam ktoś biegnie do autobusu, mama przeprowadza synka za rękę na drugą stronę ruchliwej ulicy. To taki rodzaj miejskiego życia, które bardzo lubię, obserwacjom zaś mogę się oddawać długo i chyba nigdy mi się nie znudzą. Po raz kolejny czuję się trochę jak w Barcelonie, a może jak w Paryżu? W architekturze łatwo tutaj dostrzec francuskie wpływy.

Przyjemne wrażenie nie znika, gdy zapuszczam się dalej, w kierunku sąsiedniej dzielnicy La Condesa – sporo tu alternatywnej sztuki ulicznej, artystów, studentów, młodych biznesmenów i… psów. W parku España spotykam psy na największym grupowym spacerze, jaki kiedykolwiek widziałam. Część leży grzecznie w rządku, inne szaleją, ganiając w kółko, psi zaprzęg ciągnie opiekuna, nie pytając o kierunek. Wyprowadzacz psów to zresztą dość popularny zawód w Mexico City, widocznie doszła tutaj moda na posiadanie czworonoga i być może oglądam jej apogeum, albo… nie dorabiając filozofii – właściciele psów najzwyczajniej w świecie pracują, także na wyprowadzaczy. W knajpach na psiaki czekają miski z wodą i przekąski, w sklepach – ubranka i biżuteria, a od domu do domu krążą „psie myjnie samochodowe".

Wreszcie, już zmęczona, bo ten spacer ciągnie się od rana, a powoli dochodzi popołudnie, wkraczam na Paseo de la Reforma – jedną z najsłynniejszych i najpotężniejszych ulic miasta Meksyk. Wzdłuż szerokiej, zakorkowanej arterii, ciągnie się linia równo zasadzonych drzew i równo ustawionych drapaczy chmur – starszych, ale też tych bardzo nowoczesnych, szklanych konstrukcji. Po chodnikach, w tłumie, pędzą: białe kołnierzyki, uczniowie, spacerowicze, gosposie, rowerzyści oraz opiekunowie psów ze swoimi podopiecznymi.

„Czy wszystko jest tu takie przeogromne?" – zastanawiam się, zerkając na monument Anioła Niepodległości rozkładającego swoje złote skrzydła na czubku betonowego słupa. I pędzę jak inni ulicą Varsovia, przez rozrywkową część miasta Zona Rosa (przez niektórych nazywaną dzielnicą czerwonych latarni), przez jakieś lokalne targowisko na rogu,

żeby zdążyć na metrobus, a w nim pilnuję się, żeby nie usnąć w drodze, bo to byłoby zapewne mało rozsądne.

Rano wracam z powrotem w te okolice i po raz kolejny zaczynam śniadaniem w Delirio. Jest wyśmienite.

Fragment z dziennika

Mexico City, Meksyk. 162. dzień podróży dookoła świata

Ta część miasta bardzo mi pasuje. Po swobodnych spacerach wśród nowego i starego, docieram do Bosque de Chapultepec – olbrzymiego parku, a właściwie lasu, który służy za płuca miasta. Dobrze, że jest, ponieważ smog i zanieczyszczone spalinami powietrze to zmora Mexico City. W Chapultepec jest zamek, kilka ważnych pomników i muzeów, a pomiędzy nimi zieleń, rzeka i stragany z duperelami – to zakupowa oaza nie tylko dla zagranicznych, ale też lokalnych turystów. Jedną z największych atrakcji jest ogród zoologiczny, Chapultepec Zoo, z bezpłatnym wstępem, gdzie oprócz tygrysów, słoni i kangurów żyją pandy...

„We wrześniu 1975 roku Meksyk otrzymał w darze przyjaźni od Chińskiej Republiki Ludowej dwie pandy wielkie. Zoo Chapultepec jest pierwszym miejscem na świecie, poza Chinami, gdzie pandy wielkie rozmnożyły się w warunkach niewoli" – czytam na rozstawionych wszędzie tablicach informujących o sukcesach opiekunów tych przesympatycznych zwierząt.

Pandy wielkie zagrożone są wyginięciem, ale dzięki wspólnym działaniom chińskich władz i WWF na wolności żyje ich dzisiaj dwieście sześćdziesiąt pięć sztuk więcej niż dziesięć lat temu[8)]. Pierwszy raz mam szansę zobaczyć te zwierzęta na żywo. Szkoda, że za kratami...

8) M. Cessanis, *Hurra! Mamy więcej pand wielkich,* www.cessanis.com (dostęp 10.12.2015)

Nieopodal parku znajduje się bogatsza dzielnica miasta, Polanco, inna niż poprzednie, których już trochę zobaczyłam (zwiedzanie miasta piechotą to jednak najlepszy wybór, nawet w przypadku tego giganta). W Polanco jest dużo salonów samochodowych i salonów sukien ślub-

nych, luksusowych aut, rezydencji i wytwornych domów otoczonych zadbanymi ogrodami.

Zupełnie inaczej niż w odległym Coyoacan (Miejscu Kojotów – w azteckim dialekcie), gdzie po południu spotykam się z przemiłą Abu. Ta stara dzielnica przypomina wioskę wkomponowaną przez przypadek w obszar miasta. Mnóstwo tu kolonialnych, kolorowych kamieniczek – żółtych, pomarańczowych i zielonych – pomiędzy którymi wiją się brukowane ulice. Wszechobecne fioletowe dżakarandy do chyba jedyny element łączący Coyoacan z resztą Mexico City.

To tutaj znajduje się La Casa Azur, czyli niebieski dom sławnej Fridy Kahlo – tu się urodziła, mieszkała przez długi czas i tutaj zmarła. Dom został udostępniony zwiedzającym tuż po jej śmierci. Muszę tu koniecznie zajrzeć, podobnie jak do muzeum murali Diega Rivery, w którym zachwyca nie tylko ekspozycja, ale też sama jego siedziba. Jednak chyba najbardziej przypada mi do gustu Museo Nacional de las Culturas Populares, dokąd zaprowadziła mnie Abu. To tutaj, w tym niepozornym domu, promowana jest współczesna sztuka artystów z różnych zakątków Meksyku.

Trafiamy na obszerną wystawę kościotrupów i barwnych czaszek – symboli charakterystycznych dla tej części świata. Wśród kościstych statuetek jest rolnik, listonosz i panna młoda. A w sali obok ekspozycja *Lucha Libre*, opowiadająca o meksykańskim wrestlingu, a właściwie jest to wystawa poświęcona zdobnym maskom noszonym przez zawodników.

– To jest róż meksykański – Abu wskazuje na wielki, różowy, jednolity obraz. – Tak się nazywa ten kolor. Jest najczęściej używanym odcieniem w meksykańskiej sztuce. Jesteś głodna? – wypala niespodziewanie.

To pytanie, na które w podróży, bez względu na samopoczucie, zawsze odpowiadam twierdząco. Nie ma jak lokalna kuchnia!

Na Mercado de Antojitos, zadaszonym targu na świeżym powietrzu, można dostać ponoć najlepsze uliczne jedzenie w mieście. Próbujemy *quesadillas* i *tacos* – pysznych, a jednocześnie nieco innych niż meksykańskie smaki, z którymi miałam styczność wcześniej. Pulchna kobieta siedzi i gapiąc się w telewizor, przewraca placki, a następnie serwuje je, nawet

nie patrząc na klienta. Jest gwarno.

Zaglądamy jeszcze do pobliskiego El Jarocho, kultowego miejsca kawoszy w Mexico City, ale my akurat bierzemy gorącą czekoladę na wynos oraz *churros* ze straganu obok.

W tę okolicę wracam kilka dni później, ale już w innym towarzystwie...

Fragment z dziennika

Mexico City, Meksyk. 164. dzień podróży dookoła świata

Przez cały dzień nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, czas jakby stanął w miejscu; piłam kawę – dopiero dwunasta, potem piwo – dopiero druga. Poszłam na spacer – dopiero trzecia, teraz trochę poleżę, pogapię się w sufit – dochodzi czwarta. Wreszcie chyba mogę iść. Wsiadam do metra na stacji Pino Suarez, pół godziny drogi i przesiadka na Panititlan, stacji, na której nie chciałabym się znaleźć po zmroku, w końcu wysiadam na przystanku Terminal Aerea. Oddech przyspieszony, tętno także, ręce lodowato zimne i drżące. Co się ze mną dzieje? Co chwila zerkam na tablicę przylotów, ale samolot jeszcze nie wylądował. Te wredne minuty chyba robią mi na złość. Stoję, opierając się o betonowy słup, tak samo jak wtedy w Nowej Zelandii, z podobną mieszanką skrajnych uczuć i… wpatruję się w szklane drzwi, ale ciągle nie wychodzisz. Nagle ktoś cmoka mnie w szyję, z zaskoczenia. – Nie poznałem cię, masz nową bluzę. Przyzwyczaiłaś mnie do tych kilku podkoszulków, które nosisz w kółko.

Zatrzymujemy się w luksusowym, starym hotelu w samym centrum miasta, celebrując w pięknych wnętrzach chwile, które dane jest nam spędzać we dwoje. Gran Hotel Ciudad de Mexico mieści się w bajecznym secesyjnym budynku – tutaj właśnie zlokalizowany był hotel El Presidente, w którym James Bond zatrzymał się z Pam Bouvier w *Licencji na zabijanie* (Bond wraca tu też w najnowszym filmie *Spectre*). Warto zajrzeć do środka dla urody tego miejsca z otwartymi, starymi windami i witrażowym sufitem. Jest to pewnie jeden z ładniejszych budynków w mieście.

Zaczynamy śniadaniem w Cafe El Popular, otwartej całą dobę kawiarni nieopodal Zócalo. Mocna, parzona kawa, dolewana przez kelnerki krą-

żące z dzbankami, pieczone na miejscu ciastka i bułki. Na śniadanie zamawiamy *chilaquiles rojos*, czyli kukurydziane chrupki z serem, czerwonym sosem i sadzonym jajkiem w wersji śniadaniowej oraz *omelette Oaxaqueno*, omlet, który wprawdzie nie wygląda dobrze, ale smakuje wyśmienicie.

El Popular to miejsce pełne historii. Otwarte w 1948 roku przez chińsko-meksykańskie małżeństwo, Luisa Eng Fui i jego meksykańską żonę Felicitas, było na początku bardziej chińskim barem. Dziś serwuje się tutaj wyłącznie meksykańskie dania (śniadania można dostać całą dobę), ale właścicielami wciąż jest rodzina Eng.[9] Miejsce poleciła mi moja siostra, która była tu dziesięć lat temu. Rzeczywistość i obrazy z jej opowieści wydają się identyczne.

9) N. Gilman, *A Gift from the Orient: Cafe El Popular*, www.goodfoodmexicocity.com (dostęp 12.12.2015)

Z El Popular ruszamy wydeptanymi już przeze mnie ścieżkami przez Zócalo, Romę i Condesę (gdzie przenosimy się po jednej nocy w luksusach do normalności; w tej okolicy jest sporo fajnych noclegów) – staję się cicerone dla Sama, bo po tych zaledwie kilku dniach w Mexico City czuję się tu bardzo swobodnie.

Wieczorem wracamy do dzielnicy Coyoacan, gdzie spotykamy się z Abu i jej znajomymi. Dołącza też do nas Jared, kolega Sama z Melbourne, który akurat jest w Mexico City. Zbieg okoliczności? To popołudnie odbywa się pod hasłem „tequila & mezcal" w barze La Coyoacana i trwa do rana, ale oprócz wiadomego przebiegu ma też walor edukacyjny – od meksykańskich znajomych uczymy się o tutejszej kuchni i… alkoholach. Mariachi przygrywają przy stoliku obok – podobno żerują na pijanych, licząc sobie zawrotne kwoty za taki specjalny występ muzyczny.

– Czy tequila to najbardziej popularny alkohol w Meksyku? – pytam Abu, gdy zamawia kolejkę.

– Nie! Mezcal jest najbardziej popularny, tylko turyści myślą, że tequila – śmieje się.

– To gdzie jest różnica?

– Przede wszystkim, każda tequila to mezcal, ale nie każdy mezcal to tequila.

– Już brzmi skomplikowanie…

– „Mezcal" znaczy „gotowana agawa" i tak jest wytwarzany – poprzez gotowanie, a tequila przez parzenie, przez co jest delikatniejsza, ale… wiecie, jak się pije tequilę, a jak mezcal?

Cisza.

– Mezcal zawsze w shotach, czysty, jak polską wódkę. Dobrego nie chce się popijać, można zagryźć limonką. A tequilę – ciągnie wykład Abu – jak myślę, wszyscy pijecie z cytryną i solą albo pomarańczą i cynamonem?

Przytakujemy.

– Nigdy w Meksyku. Tu się pije czyste shoty i popija albo drugim kieliszkiem soku pomidorowego, albo sangritą. O tak – wznosi w górę kieliszek – *Arriba, abajo, al centro y pa!*

– *Arriba… aba-jo, al cen-tro… y pa!* – powtarzamy za nią trochę nieudolnie, a słowa te znaczą po prostu: „Do góry, na dół, na środek i do środka".

Po kilkunastu toastach prawie spadam pod stół – na szczęście mam dziś asystę dwóch Australijczyków. Jeszcze jedno pijackie powiedzonko, które zapamiętałam: *Para todo mal, mezcal, y para todo bien también!,* czyli: „Na wszystko co złe – mezcal i na wszystko co dobre, też!" – tak się mówi w Meksyku…

Fragment z dziennika

Mexico City, Meksyk. 166. dzień podróży dookoła świata

Czym się strułeś, tym się lecz, jak to mawiają w domu – w południe przemierzamy dzielnicę Condesa w poszukiwaniu chłodnego piwa. Zadanie okazuje się dość trudne, bo w mieście, żeby pić, musisz też jeść – nikt nie chce nam podać szklanki piwa bez zamówienia dania głównego. W końcu, w jakiejś bocznej uliczce, znajdujemy miejsce, gdzie udaje nam się przekonać kelnera, iż orzeszki mogą być daniem głównym i dostajemy upragnione piwo. Uff! Planujemy, co dalej, bo w trójkę decydujemy się wypożyczyć auto i ruszyć na południe. W pewnej chwili zatrzy-

muje się przy nas dziwny gość – widać od razu, że coś z nim jest nie tak – i przysiada się, zachwycony, że gadamy po angielsku. Jest z Londynu, mieszka w Meksyku już długo i z niewiadomego powodu zagłębia się w historię swojego życia. Sam puka mnie w ramię: – Spójrz na niego! Na krzesło – chichocząc pod nosem, mówi po polsku. Zerkam pierwszy i ostatni raz – Anglik, nie-Anglik ma dziurę w tym samym miejscu w spodniach i w majtkach, siedzi więc z..... wywalonym na wierzch, jak gdyby nigdy nic. Jestem zażenowana, ale zarazem gotuję się w duchu.

– To niemożliwe, żeby tego nie czuł – komentują chłopaki, gdy po ekspresowym wypiciu browaru ewakuujemy się z jego pola widzenia.

Mexico City – Puebla – Oaxaca

Przez zakorkowane i ogromne ulice miasta wyjeżdżamy w końcu na drogę szybkiego ruchu – zajmuje nam to ponad dwie godziny; jazda po Mexico City jest raczej katorgą niż przyjemnością – drogi prowadzą tam, gdzie chcą, kierowcy ignorują innych, a znaki drogowe bawią się z tobą w chowanego, a do tego wszystkiego – dojechać do granic tak ogromnej metropolii to wyzwanie.

Gdy tylko opuszczamy centrum, Meksyk powoli, ale nieubłaganie odsłania przed nami swoje drugie oblicze – oblicze biedy. „Im dalej w las", tym więcej slumsów – miejsc, gdzie nie ma zapewne ani prądu, ani wody, miejsc, do których raczej bez powodu się nie zagląda, a widoki jedynie przygnębiają i zasmucają swoją beznadzieją.

Fragment z dziennika

W drodze, Meksyk. 167. dzień podróży dookoła świata

Decydując się na indywidualną podróż po Meksyku, należy wziąć pod uwagę kilka istotnych spraw. Przede wszystkim trzeba pomyśleć o bezpieczeństwie, bo niestety w Meksyku bezpiecznie nie jest. Dziesięć lat temu było zdecydowanie lepiej, niż jest teraz, o czym świadczą chociażby wszechobecni dziś żołnierze i policjanci z bronią, których w trasie widać wszędzie. Zadajemy sobie pytanie: dlaczego kiedyś było spokojniej, a niepokojąca asysta mundurowych nie była tak bardzo widoczna? Odpowiedź nasuwa się sama: bo politycy latami pozwalali na działalność gangom narkotykowym – nikt nikomu nie wchodził w drogę, więc był pozornie względny spokój. Potem sytuacja polityczna się zmieniła, a nowa ekipa rządząca powiedziała „nie" dilerom i wprowadziła ograniczenia dotykające niele-

galny proceder – i wtedy się zaczęło: strzelaniny, zabójstwa, porwania. Trudno powiedzieć, czy dziś jest lepiej, czy gorzej – do władzy wróciła poprzednia ekipa, która wprawdzie nieoficjalnie, ale jednak patrzy pobłażliwie na handel narkotykami i związane z nim układy. Niby jest trochę bezpieczniej niż dwa lata temu… niby. Nie chcę tutaj oceniać tej sytuacji. To, co wiem, oparte jest głównie na informacjach od zaprzyjaźnionych Meksykanek – młodych, wykształconych dziewczyn, które chcą, żeby ich kraj rozwijał się we właściwym kierunku. Intensywnie reagują na wszelkie nieprawości polityków, mocno przeżywają, biorą udział w protestach, chcą, żeby było lepiej, normalniej. Chcą mieć przywódców wybranych przez świadome, mądre społeczeństwo. Niestety – na pytanie w jednym z badań: „Dlaczego głosowałeś na tego kandydata na prezydenta?", wielu (zbyt wielu) wyborców odpowiedziało: „Bo jest przystojny". No cóż, nic dodać...

Dachy miasta Puebla

Mkniemy szeroką, płatną (drogi w Meksyku kosztują sporo) autostradą panamerykańską przez pustkowia, żar leje się z nieba, a do przystan-

ku zachęcają od czasu do czasu zatoczki z napisem „Aqua". Potem droga robi się bardziej kręta, wije się między pagórkami porośniętymi kaktusami – te meksykańskie są ogromne, dokładnie takie, jak na rysunkach w książkach dla dzieci. Na brzegu wielopasmówki zapraszają bary, w których strach byłoby się zatrzymać, mimo że kawałek dalej stoi konwój policji.

– Chce mi się siku – wyrzucam w końcu przymuszona przez własny organizm. Chwilę potem Sam zjeżdża do miasteczka. – No dobrze, wytrzymam… – Zaciskam zęby, bo jakoś tak wieje niepewnością. Pod płotem stoi stary volkswagen garbus i siedzi jeden gość z petem w zębach, a właściwie to między nimi, bo posiada co drugi. Boję się go zapytać, gdzie jest toaleta. I bałabym się chyba też do niej pójść. Sikam pod kaktusem przy drodze – jest chyba bezpieczniej.

Na pierwszą noc zatrzymujemy się w miasteczku Puebla, które radośnie buzuje życiem, może dlatego, że to okres przedświąteczny, a może nie – Puebla wydaje się po prostu sympatyczna.

– Podoba mi się – zachwyca się Sam, gdy spacerujemy po starówce. Dla chłopaków, Australijczyków, miejsca z takim ogromem historii to nie jest codzienność.

Heróica Puebla de Zaragoza, bo tak oficjalnie zwie się miejscowość, jest największym miastem stanu Puebla, jednym z kilku najważniejszych hiszpańskich miast kolonialnych w Meksyku i jednym z największych w tym kraju, ale – co dziwne – mimo że są korki i tłumy, nie czuć tutaj tego ogromu… raczej małomiasteczkowość schowaną w cieniu wulkanów Popocatépetl i Iztaccíhuatl.

Główny plac, Zócalo, otaczają kolonialne kamienice. Ściany niektórych z nich wyłożone są kafelkami – to *azulejos*, tradycyjne ceramiczne kwadraciki z Puebli. Na środku: tańcząca fontanna, rozłożyste, zielone drzewa, stragany z balonami i plecionymi bransoletkami, tęczowe kosze na sprzedaż, pocztówki, różowa wata cukrowa i kukurydza, a przed nami wyrasta kolosalna katedra – największy z kościołów, których w tym mieście jest siedemdziesiąt. Widoki tak bardzo typowe dla dużych miast meksykańskich.

Z Zócalo zanurzamy się w liczne, ułożone jak szachownica barwne przecznice pełne knajpek, barów i hoteli skrytych w pohiszpańskich budynkach, z lekką szczyptą francuskiego charakteru. To tu będziemy spali – w jednym z tych pięknych domów retro, z tajemniczym wewnętrznym podwórzem, w którym szaleje echo. Ściany hotelu pomalowane są na granatowo, a drewniane okiennice skrzypią nawet wtedy, gdy się ich nie dotyka. To dzwony z pobliskiej świątyni wprawiają je w drganie – nas też. A może to niespodziewana burza, która właśnie przeszła nad miastem?

Cathedral Metropolitana w centrum miasta Meksyk

– Pójdziemy na targ? – proszę moich towarzyszy. Nie wiem, dlaczego uważają, że targ nie jest miejscem godnym obejrzenia, ale jakimś cudem przekonuję ich, żeby spróbowali.

El Parian to raj dla poszukiwaczy lokalnych skarbów i pamiątek – na dziesiątkach kramów porozkładane są stosy kolorowych trupich czaszek, sterty sombrero, tęczowych pledów i poncho, ale przede wszystkim mnó-

stwo miejscowej ceramiki typu *talavera*, z której Puebla i okolice są znane w świecie.

El Parian, kolorowe targowisko w Puebli

To zresztą nie jedyny powód dumy mieszkańców. Jest ich jeszcze przynajmniej kilka. Wydarzenia historyczne i magia miejsca to coś, czym miasto może się chwalić. Tutaj właśnie rozpoczęła się meksykańska rewolucja – 5 maja 1862 roku wojska Zaragozy zwyciężyły w bitwie pod Pueblą. Jej rocznicę Meksykanie świętują do dziś, a zwłaszcza ci mieszkający w Stanach.

Puebla nieźle radzi sobie też z produkcją i handlem – to tu znajduje się wielka fabryka Volkswagena, gdzie z taśmy zjeżdżały garbusy, które krążyły potem w niezliczonych ilościach po meksykańskich drogach. Szybko dostały ksywkę *vochos* i zalały tę część świata jako taksówki i prywatne auta, a ich południowoamerykańska popularność zainspirowała wytwórnię Disneya do nakręcenia serii filmów *Herbie*, których głównym bohaterem jest stare, mądre autko z numerem 53 na masce. Dziś fabryka

Volkswagena nadal pracuje, tworząc nowsze modele i dobrze sobie radzi na światowym rynku, ale czas garbusów przeminął bezpowrotnie, pozostały jedynie sentymentalne wspomnienia i straszne historie o garbusach-taksówkach.

Ale to nie koniec! Puebla inspiruje również gastronomicznymi pomysłami. Perełką wśród tutejszych kulinariów jest *mole Poblano*, czyli mieszanka trzydziestu składników, w tym: przypraw, papryczek, chili i czekolady – w formie pasty lub gęstego sosu. Przez wielu smakoszy uznawane jest ono za najlepsze *mole* kuchni meksykańskiej. Warto też spróbować *chalupas*, czyli placków *tortilla* z kurczakiem i salsą, oraz *cemitas* – kanapek z awokado, wołowiną lub kurczakiem, serem i liśćmi yerby.[10] Zajadamy się przez cały dzień, podpytując nieznajomych o receptury na te pyszności. Nie ma wpadek, wszystko jest wyśmienite.

10) *Sinning with Heavenly Flavours*, www.visitmexico.com (dostęp 14.12.2015)

Ceramika, historia, samochody i kuchnia to jeszcze nie wszystko. O nie! Przy granicach Puebli, w mieście Cholula, jest też Wielka Piramida – Tlachihualtepetl, uznawana za największą na świecie. Na jej czubie stoi, oczywiście, katolicki kościół – miejsce po azteckiej świątyni przypomina dziś jedynie obrośniętą na zielono górę u jego podnóża, ale nadal robi wrażenie.

Garbus – kiedyś najpopularniejsze auto w Meksyku, produkowane w Puebli

– Widzieliście? – pyta Jared, gdy jedziemy dalej na południe w stronę miasta Oaxaca.

– Co?

– No to! Ciężarówki...

Na skraju drogi stoją, jedna za drugą, żółte, czerwone i niebieskie ciężarówki-zabawki. Na sprzedaż. Krawężniki trasy z Puebli do Oaxaca to jeden wielki stragan mniejszych i większych samochodzików. To jedyne, co z tego odcinka zapamiętałam, bo resztę drogi przespałam na tylnym siedzeniu naszego błękitnego chevroletta. Siedzenie z tyłu od zawsze działa na mnie usypiająco, zamieniając jazdę w ekspresowy szus – gdy budzę się po drzemce, która wydawała dziesięciominutowa (znacie to?), właśnie dojeżdżamy na miejsce. Drzemka trwała dwie godziny.

Fragment z dziennika

Oaxaca, Meksyk. 168. dzień podróży dookoła świata

Pierwsze wrażenia nie są najlepsze – miasteczko wydaje się głośne, brudne i zatłoczone. „Szału nie ma", chciałoby się rzec. Trudno poruszać się po tych wąskich

uliczkach, trudno się z kimś dogadać, zapytać o radę. Do hoteli mamy jednak szczęście. Znowu szukamy czegoś kolonialnego – ceny nie są zawrotne, a nocleg w takim zaczarowanym miejscu to wielka przyjemność. Budynek musiał być kiedyś rezydencją bogacza – wielka brama otwiera się powoli, dostojnie i zaprasza na podwórze, gdzie pachnie kwiatami i można przysiąść na ławce w cieniu. Do pokoi wchodzi się z antresoli ciągnących się długimi korytarzami, jest tak pięknie, że nie chce się stąd wychodzić – jak w filmie albo raczej jakiejś południowoamerykańskiej operze mydlanej.

Już podczas pierwszego spaceru dostrzegam podobieństwo między Oaxacą a kubańskim Trinidadem – kamieniczki są kolorowe, ulice równiutko wyłożone brukiem, a z kolei krzątający się Meksykanie przypominają mi krzątających się w Cusco Peruwiańczyków.

Łapię się, nieszczęśliwa i zła na samą siebie, na zbędnych porównaniach, które tak łatwo sobie narzucić, i staram się je odgonić – pozwolić sobie poznać i zrozumieć miasto takim, jakie jest, bez szukania analogii. Zerkam więc na te budyneczki jeszcze raz i powtarzam sobie w myślach: to jest Oaxaca, miejsce wymalowane kolorami z palety pozytywnych barw – słoneczną żółcią, niebiańsko niebieskim, soczystą zielenią i barwą czerwoną, czyli kolorem miłości. Miasto, które ma mnie zaskoczyć nieznanym mi do dziś stylem bycia.

– Chodźcie na targ – znowu kłócę się z chłopakami, którzy pozostają konsekwentnie bierni i niezainteresowani jakimiś ryneczkami; nie chcę ich zmuszać, ale… – Proszę, chociaż spróbujmy. To podobno najlepszy targ w Meksyku!

Zgadzają się.

Przed Benito Juarez Market stoją miski pełne *chapulines*, prażonych koników polnych – to tutejszy przysmak, chrupiący jak świeżutki popcorn. Skuszeni przez sprzedawczynię, bierzemy niechętnie kilka i znikamy w następnej alejce, w chmurze zapachów – ciekawi smaku czekających na nas potraw. Mercado 20 de Noviembre to ta część wielkiego targowiska, gdzie się gotuje i je. Wśród kilkunastu stoisk serwujących różne specjały trudno wybrać to jedno jedyne. Łazimy, trochę zaglądamy innym

w talerze, aż w końcu siadamy na wysokich stołkach przy barze, gdzie kilku facetów zajada jakieś placki, popija browar i spluwa na ziemię. Właściciele nie ekscytują się zbytnio naszą obecnością i nie wysilają się, żeby nas zrozumieć. Po prostu, serwują, co mają – chyba *quasadillas* z kurczakiem, chociaż już sama nie wiem, co to było, ale na pewno miało dodatek brązowej pasty *mole negro*, wersji *mole* najbardziej popularnej w Oaxaca. Pamiętam jedynie, że zaczęło kręcić nas w brzuchach i dlatego zdecydowaliśmy się ruszyć do baru – na tequilę.

– Nie idę – stwierdził Jared. – Jestem zmęczony, widzimy się rano. – I zniknął za rogiem. Nie dał się przekonać, że tequila to lekarstwo najlepsze i niezbędne w sytuacjach gastrycznie niepewnych, jak ta. We dwoje więc wchodzimy do jednego z tych barów, w których przesiąka się zapachem papierosów i alkoholu w sekundę po przekroczeniu progu. Zamawiamy po kieliszku. No, może było kilka kolejek?

Wielkie kaktusy na pustych polach, w drodze do Oaxaca

– Jak spaliście? Bo ja umieram... – Nasz kolega jest blady jak ściana.

Opowiada nam ze szczegółami, jak intensywna była jego noc i od tej chwili je już tylko jedzenie paczkowane (czytaj: chipsy). My nadal zabezpieczamy się łykiem tequili po posiłku, bo to działa. Z przyjemnością wracamy na targ w poszukiwaniu przygód.

Fragment z dziennika

Oaxaca, Meksyk. 170. dzień podróży dookoła świata

Pachnące przyprawy, prażone koniki polne, brązowe kopce *mole negro*, a za rogiem: skórzane buty i kościotrupy, wielkie jak arbuz ananasy, bajecznie białe róże, ręcznie robiona biżuteria, tkane koce i dywany, miśki i przytulanki, kosze – do wyboru, do koloru, na przykład w formie torebek i pudełek – czerwone, „spuchnięte" truskawki oraz część targowiska, gdzie sprzedają pachnące pieczywo i kulki sera *queso Oaxaca* (miejscowego specjału), surowe kurczaki i kiełbasy, a obok fantastycznie ozdobione ołtarze. I ten zgiełk – zgiełk tak charakterystyczny dla miejsca, w którym po prostu toczy się codzienne życie. Przekrzykiwanie, targowanie, namawianie, zaczepianie, łapanie za rękaw, uśmiechy i srogie spojrzenia... W końcu zostaję sama. Okazuje się, że dla mojego kompana frajda nie jest tak wielka, więc idzie swoją drogą i umawiamy się za dwie godziny. Chodzę sobie i najzwyczajniej się przyglądam. To takie kształcące – obserwacje.

Potem, tymi wąziutkimi, pełnymi życia ulicami, po których toczą się stare garbusy, obstawionymi pstrokatymi murami ze skrytymi w nich sklepikami, pralniami, barami, warsztatami czy sex shopami idę na spotkanie z Samem i Jaredem. Umówieni jesteśmy na... Zócalo, gdzie tradycyjnie stoi katedra i rządowe budynki. Mnóstwo tutaj turystów, ale nie brakuje też miejscowych – na randkach i spacerach, szukających sposobu na wolne popołudnie. Jest tu wielu sprzedawców z „bukietami" balonów, które chce się chwycić i odlecieć, są handlujący różową watą cukrową i kukurydzą.

Głównym deptakiem ruszamy z nurtem tłumu aż do kościoła Santo Domingo, ponoć jednego z najzdobniejszych w całym Meksyku. Rzeczywiście, nigdzie wcześniej nie widziałam tak naddanego dekoracjami sklepienia, tak pełnego złoceń wnętrza. Niewyobrażalny przepych robi kolosalne wrażenie! I trochę odrzuca. Wychodzimy więc szybko w stronę ga-

lerii i muzeów, których tutaj też nie brakuje. W okolicy Oaxaca mieszka mnóstwo artystów i rzemieślników – to miasto, bez dwóch zdań, nastraja twórczo.

Oaxaca de Juarez – bo to tak brzmi oficjalna nazwa miasta, przyjęta na cześć związanego z nim meksykańskiego prezydenta Benita Juareza – samo w sobie jest mieszanką kolonialnego szyku i swojskości zarazem, z mocnym zaakcentowaniem dziedzictwa kultury Indian. Na co dzień jest miasteczkiem sennym i leniwym, ale potrafi nagle obudzić się do życia. Tak jest i teraz... Z zadumy wyrywa nas rwetes – fajerwerki i głośna, hałaśliwa muzyka. Tłum tańczy na ulicy. Czyżby rozpoczynała się jakaś fiesta? Nie wiem, ale z przyjemnością patrzę na radosnych, szczęśliwych ludzi.

Z Samem podczas jednej z kolacji w Meksyku

W pobliżu miasta, w Monte Alban, Białej Górze, znajdują się doskonale zachowane prekolumbijskie ruiny, gdzie ma się potrzebę spacerować przynajmniej pół dnia, a drugie pół patrzeć na okolicę z pobliskich

wzgórz albo włóczyć się po targowiskach w skromnych, okolicznych wioskach i zajadać się lokalnymi specjałami… Dzień jednak zawsze kończy się podobnie, w barze – na kieliszku mezcalu albo tequili – profilaktycznie. Przy ostrości potraw, odmienności flory bakteryjnej i, niestety, brudzie – dezynfekcja „do wewnątrz" jest wskazana, bo w Meksyku wyjątkowo łatwo nabawić się wyczerpującego zatrucia.

Przytrafia się i nam.

Wracając po kilku dniach, postanawiamy zatrzymać się jeszcze na jedną noc w Puebli, która urzekła nas za pierwszym razem na tyle, że zechcieliśmy tutaj powrócić. Zmęczeni meksykańską kuchnią z fasolą w roli głównej, kukurydzą, awokado i plackami, idziemy… na pizzę. Do dość eleganckiej restauracji.

– Ten kurczak śmierdzi, nie jedz tego – ostrzegam Sama, nauczona indonezyjskimi doświadczeniami. – Mówię serio, coś z nim jest nie tak.

Nie słucha i na efekty nie trzeba długo czekać – nawet tequila traci na chwilę magiczną moc.

Dajemy więc sobie z Samem spokój z kuchnią zachodnią i wracamy na meksykańskie bazary – ten nasz ukochany w Mexico City. Pożegnać się z miastem i ze sobą. Znowu.

Cancún

Lekko przerzucałam ziarenka piasku, wsłuchując się w ten specyficzny dźwięk fal zbierających się do rozbicia. Burzowe chmury znikały już gdzieś w oddali, ale plażowi uciekinierzy nie zdążyli jeszcze wrócić z okolicznych hoteli, więc miałam ją całą dla siebie. Woda odzyskiwała niespiesznie turkusową barwę, niebo – błękitną.

Na Playa Delfines było bosko… do chwili, gdy nie obejrzałam się za siebie. Z lasu wieżowców – wszechobecnych hoteli, które dawno skradły czar Cancún – wyskoczyła nagle zgraja sprzedawców:

– Kokosa?

– Lody?

– Torebkę?

Krzyczą jeden przez drugiego, każdy z inną ofertą. Potem z ośrodków wczasowych wychodzą turyści, którzy uciekli przed deszczem. Nastrój pełen smutku i jakiejś zadumy rozwiał się. Może dobrze?

Spaceruję długo, bo tu jedna plaża przechodzi w drugą, jeden ciąg hoteli w kolejny, centrum handlowe w następne, kiepska restauracyjka zastępuje słaby bar. Wzdłuż tego wszystkiego wiedzie asfaltowa droga dla przyjezdnych, dzieląca wąski skrawek lądu na pół. Jest inaczej niż w Meksyku, w którym spędziłam ostatnie tygodnie – w miejscu różnorodnej kultury, spontaniczności, spowolnionego życia. Tutaj też niby nikt się nie spieszy, bo w końcu wszyscy są na wakacjach, ale sztuczność i pozór przekreślają naturalne lenistwo, jakie chyba mieszkańcy wszystkich latynoskich krajów mają we krwi. Tu nie oddycha się ospałym powietrzem, o nie.

Spod jednego z tych centrów handlowych przepełnionych sklepami

najbardziej znanych marek, łapię autobus R1 i wracam do centrum miasta – na swój ostatni przystanek wybrałam dziadowski hostel, właśnie tutaj. Błąd – trzeba było zafundować sobie luksusy i zakończyć z przytupem. Mam nauczkę na przyszłość.

Co za rozczarowanie – miasto Cancún i jego nijakie centrum niczego interesującego nie jest w stanie zaoferować turyście, nie kusi, bo nie ma czym. Jest dość dokładnie wybetonowane, ruchliwe, zadymione spalinami, nijakie i bezbarwne. Nawet knajpy są takie sobie, kończę więc na kanapce w jednej z sieciówek.

Dopiero to, co wokół Cancún, poza jego granicami, ma magiczny wdzięk. Najpierw bajkowa Isla Mujeres, mała wyspa tuż obok, potem Chichen Itza – chyba najbardziej znane ruiny miasta Majów, a pod wodą – rafa.

Niestety, nie mam już czasu się tym wszystkim nacieszyć, ponieważ wracam do domu wcześniej, niż planowałam.

Wojskowe kontrole przy głównych trasach krajowych

– Pati, zajmiesz się mną przez jeden dzień? – pytam w krótkiej wiadomości siostrę.

– No co ty?! Wracasz? Kiedy?

– Chcę być na urodzinach mamy, zrobić jej niespodziankę, ale to tajemnica.

Szybko organizuję zmianę biletu, łapię ostatnie promienie słońca, opróżniam plecak – prawie wszystkie ubrania zostawiam w hostelu – po kilku miesiącach noszenia tego samego nie mogę już na nie patrzeć, wypijam ostatnią *margaritę* i...

Fragment z dziennika

Samolot do domu. 180. dzień podróży dookoła świata

Mam szkliste oczy, serce bije przynajmniej podwójnie szybko, oddech niestabilny – lekarz nie postawiłby mi raczej dobrej diagnozy. Mam ochotę się rozpłakać… rozpłakać się z radości! Dlaczego? Bo to zrobiłam! Tak, zrobiłam: wymyśliłam sobie podróż dookoła świata, wszystko zorganizowałam, rzuciłam pracę, wyjechałam, a teraz wracam. – Przepraszam, czy mogę kieliszek szampana? – proszę stewardesę. Obleciałam w pojedynkę świat – dookoła, należy mi się toast. Bo się udało, naprawdę się udało! Jestem dumna z moich dokonań, usatysfakcjonowana i tak bardzo zadowolona, a pode mną Warszawa i w końcu samolot ląduje. Z uśmiechem, powstrzymując łzy wzruszenia nad moimi wspomnieniami, łapię sfatygowany zielony plecak z taśmy bagażowej i idę do drzwi. Już na mnie czekają. I niby nic się nie zmieniło, niby wszystko jest takie samo, ale to po nich, po moim siostrzeńcu i siostrzenicy, widzę, że ostatnie sześć miesięcy przeminęło bezpowrotnie – czas nie zwolnił, bo oni tak bardzo się zmienili.

Wskazówki

Meksyk. Kolorowy i tak bardzo meksykański – trudno go chyba opisać inaczej. Sama nie wiem, czy go polubiłam, czy nie. Na pewno zawrócił mi w głowie. Okazał się świetnym miejscem na zakończenie podróży dookoła świata.
Ta podróż to była najlepsza rzecz, jaką mogłam dla siebie zrobić.

5 powodów, dla których warto jechać w podróż dookoła świata

1. Poznasz cudownych ludzi

Bo są ludzie, których trzeba spotkać… W czasie podróży dookoła świata spotkasz ludzi z różnych kultur, z bardzo różnymi historiami, którzy często idą w innym kierunku niż ty, ale przez chwilę będziecie spacerować tą samą ścieżką. Szybko powstanie między wami ta dziwna więź, bardzo szczera relacja, bo nikt nie będzie miał czasu na udawanie.

2. Uwierzysz w siebie

Wyrwani z bezpiecznego, znanego otoczenia, nagle znajdujemy się w dziwnych miejscach oraz nietypowych sytuacjach. Podróż dookoła świata to doskonały sposób na sprawdzenie własnych możliwości, podniesienie samooceny, dobra lekcja samodzielności i zaradności.

3. Zdobędziesz nowe doświadczenia i będziesz się dobrze bawić

Podróż dookoła świata to dobra zabawa, spontaniczność i wolność wyboru z wyboru. To sporty, których nigdy się nie próbowało. Dania, których nigdy wcześniej nie było nam dane skosztować. Wycieczki w miejsca znane dotychczas tylko z filmów i przewodników. Języki obce, których odrobinę, chcąc nie chcąc, chłoniemy. To codziennie coś nowego.

4. Nigdy nie będziesz żałować

Lepiej żałować, że coś się w życiu zrobiło, niż żałować, że się tego nie zrobiło. Nigdy nie będzie chwili idealnej – jedź teraz. Fajnie będzie, siedząc w gronie innych staruszków, wbijać pinezki w mapę świata – byłem tu i tu, i tam. Niefajnie będzie obudzić się pewnego ranka i stwierdzić, że nasze ciało nie daje już rady, że my fizycznie nie dajemy już rady, że nie mamy siły, że z jakiegoś powodu jest już za późno. Nie ryzykuj i poznawanie świata zacznij już dziś, bez względu na to, ile masz lat.

5. Przekonasz się, że nie ma nic prostszego

Podróżowanie chyba nigdy nie było łatwiejsze i bardziej dostępne – podobnie podróż dookoła świata. Jeśli jesteś podróżniczym żółtodziobem, możesz sobie kupić bilet dookoła świata. Jeśli chcesz mieć więcej swobody i jesteś dobrym organizatorem – możesz jechać w ciemno i o przebiegu wyprawy decydować w drodze. Możesz też jechać rowerem, samochodem, motocyklem, łapać stopa czy iść piechotą. Poza tym – to naprawdę nie takie trudne zawiesić swoje życie prywatne i zawodowe, a potem wyruszyć w nieznane chociażby na kilka tygodni.

Blogi

www.alemeksyk.eu – To strona mało podróżnicza, ale za to bardzo smaczna. Mnóstwo na niej doskonałych, meksykańskich przepisów!

www.mexicomagicoblog.blogspot.pl – „Gawędziarski blog o Meksyku", jak pisze o nim sama autorka. Na tej stronie naprawdę miło się gawędzi.

Książki i filmy

Amores Perros – film kontrowersyjny i przez wielu krytykowany, na pewno nie przypadnie do gustu każdemu, a szczególnie wrażliwcom. Wypadek samochodowy zderza ze sobą nagle losy trójki mieszkańców wielomilionowego Mexico City i trzy różne światy…

Frida – doskonały obraz życia i twórczości meksykańskiej malarki Fridy Kahlo, w którą wciela się, jakby stworzona do tej roli, Salma Hayek.

POLSKA

Trzy dni później mówię wszystkim, że wyprowadzam się do Australii.

PODRÓŻ DOOKOŁA ŚWIATA – PRAKTYCZNIE

Przed wyjazdem

Podróż dookoła świata to marzenie wielu – pewnie też twoje, jeśli czytasz tę książkę. Na szczęście, coraz częściej i łatwiej można je zrealizować. Jeśli czasami myślisz o rzuceniu wszystkiego i wyjechaniu na jakiś czas – zrób to teraz i zamień marzenia w rzeczywistość. Wierz mi: nigdy nie będzie lepszego momentu, zawsze znajdzie się coś, czym będziesz się martwić, szukanie finansowych wymówek nigdy się nie skończy, a o tym, że odkładanie czegokolwiek na później to nie jest dobre rozwiązanie – pewnie już się nieraz przekonałeś. Jeśli zmienisz swoje priorytety i podróż dookoła świata „wyjdzie" na prowadzenie na liście „rzeczy do zrobienia w życiu" – wyjedziesz. I nie będziesz żałować.

Kiedy jechać?

Najpopularniejszy w świecie czas na długie podróże to rok między ukończonym liceum a rozpoczęciem studiów lub tuż po studiach, przed rozkręceniem kariery zawodowej. I pewnie pod wieloma względami to czas najlepszy, ale – nie jedyny. Wyjechałam w podróż kilka lat po studiach, gdy miałam już dobrą pracę i stabilną sytuację finansową – w podróży szukałam zupełnie czegoś innego, niż szukałabym jako młoda dwudziestolatka, i mogłam też sobie na więcej pozwolić. Jedna z moich bliskich znajomych, podróżniczka i autorka książki *Babcia w Afryce* – Basia Meder – w podróż dookoła świata wyjechała na wczesnej emeryturze. Podróżując, spotkałam ludzi w każdym wieku, którzy robili dokładnie to samo co ja – nie ma czasu jedynego i najlepszego na długą podróż. Wszystko zależy od naszej sytuacji życiowej i potrzeb.

Gdzie jechać?

W kilka tygodni czy nawet miesięcy nie sposób odwiedzić wszystkich miejsc, które chciałoby się zobaczyć. Niestety – trzeba wybrać, ale najważniejsze, żeby wybrać po swojemu i nie kierować się tym, co polecane lub popularne. Przypomnij sobie, gdzie chciałeś pojechać jako

dziecko, o czym czytałeś, co starałeś się ujrzeć oczami wyobraźni. Zrób długą listę – zweryfikujesz ją kilkukrotnie i niektóre kierunki same odpadną. Decydując o trasie, będziesz musiał też pomyśleć o szczepieniach, wizach, kosztach (Tajlandia w zestawieniu z Australią będzie tania) oraz o bezpieczeństwie – bądź świadomy, dokąd jedziesz.

Szukając inspiracji, na pewno zajrzysz do internetu, ale pamiętaj – inspiruj się, lecz nie kopiuj i weź pod uwagę to, że treści internetowe trzeba często weryfikować.

Blogi o podróżach

www.loswiaheros.pl – Blog Alicji i Andrzeja to jedyny chyba polski blog podróżniczy, który studiowałam podczas podróży dookoła świata i na który zaglądam do dziś. W czasie swojej wyprawy podróżowali na różne sposoby: samolotem, samochodem, rowerem, jachtostopem. Ich strona to kompendium wiedzy podróżniczej.

www.paczkiwpodrozy.pl – Kasia i Marcin wyjechali w podróż po świecie mniej więcej w tym samym czasie co ja i… jadą dalej, chociaż planują już powrót do domu. Robią świetne zdjęcia i kręcą magiczne filmy.

www.pojechana.pl – Ola, zwana Pojechaną, to najbardziej pojechana osoba w polskiej blogosferze podróżniczej. Mieszkała w Chinach, a teraz podróżuje dookoła świata z ukochanym Francuzem u boku. Nie dość, że podróżniczo, to i romantycznie. Przed nimi wciąż wiele przygód.

5 ważnych rzeczy przy układaniu trasy podróży dookoła świata[11)]

11) Julia Raczko, *Jak zaplanować trasę podróży dookoła świata*, whereisjuli.com (dostęp 30.01.2016)

1. Zacznij od marzeń, podpytaj znajomych i nie kopiuj innych

W planowaniu podróży dookoła świata zacznij od marzeń – wypisz wszystkie miejsca, które zawsze chciałeś zobaczyć, kraje i miasta, cuda przyrody i atrakcje – wszystko to, co kiedykolwiek ci się przyśniło. Potem odłóż tę listę na półkę i wróć do niej za jakiś czas.

2. Weź mapę

Weź mapę i odszukaj na niej te wszystkie miejsca, zaznacz je i opisz (koniecznie ołówkiem), a potem postaraj się te małe punkty połączyć – zobaczysz wtedy, czy to w ogóle ma jakiś sens. Bez względu na to, czy zdecydowałeś się na podróż z biletem dookoła świata, czy organizujesz wszystko na własną rękę, możesz skorzystać z planerów, dostępnych między innymi na stronie Oneworld, które pozwalają układać wirtualne trasy.

3. Sprawdź pogodę, sezon, ciekawe wydarzenia

Są takie miejsca, gdzie nie chciałbyś wylądować w środku pory deszczowej. Są takie, gdzie chciałabyś zobaczyć śnieg. I takie, do których pogoda determinuje dostęp – przynajmniej rzuć na to okiem. Będzie to miało też znaczenie później, przy pakowaniu – bagaż, w którym musisz zmieścić i letnie, i zimowe ciuchy, może okazać się po prostu cięższy. Sprawdź też, kiedy jest sezon, bo wtedy będzie tłoczno i pewnie drożej. Zorientuj się również w ciekawych wydarzeniach, imprezach kulturalnych, atrakcjach regionalnych, festiwalach – może będziesz mógł w nich uczestniczyć.

4. Pomyśl o różnorodności

Może się tak stać, że na twojej liście są, na przykład, głównie miasta albo głównie góry do zdobycia, albo same wakacyjne wysepki. Koniecznie pomyśl o różnorodności, bo bez względu na to, jak bardzo kochasz te miasta, góry, wysepki, po kilku miesiącach robienia tego samego fajnie jest coś zmienić. Chociażby po to, żeby przypomnieć sobie, jak bardzo się kocha te miasta, góry, wysepki i za nimi zatęsknić.

5. Odrzuć część swoich pomysłów, żeby mieć więcej czasu na pozostałe

Najgorsze, co możesz zrobić, to pędzić na złamanie karku, żeby „wszystko zaliczyć". Nie pędź, odpuść niektóre miejsca i niektóre atrakcje, ale przede wszystkim – dodaj więcej czasu do tego, co zaplanowałeś. W dziewięćdziesięciu procentach będziesz potrzebować go więcej – i na przejazdy, i na zrobienie tego, na co jeszcze masz ochotę. I wcale nie będziesz chciał „już jechać". Zwolnij.

Paszport, wizy i inne dokumenty

Ważny paszport z miejscem na nowe pieczątki i wyrobienie wiz to kwestie, o których nie możesz zapomnieć. Załatw sobie aktualne dokumenty, a przed wyjazdem w podróż zrób kserokopie i ukryj je gdzieś na dnie plecaka. Kopie wyślij też mailem sobie i komuś bliskiemu. Zabierz ze sobą kilka zdjęć, które mogą przydać się do ewentualnego wyrabiania wiz w drodze lub składania policyjnego zeznania w razie kłopotów.

Decydując o typie wizy, o którą będziesz się starał, zastanów się, czy nie warto aplikować o wizę typu „Podróżuj i Zwiedzaj". Takie opcje są dostępne np. w Australii, Nowej Zelandii, Kanadzie czy Japonii i mogą być dobrym rozwiązaniem przy długiej podróży – podczas takich przystanków można podreperować budżet.

Jeśli aplikujesz o zwykłą wizę turystyczną, uważaj na niepotrzebnych agentów (np. ta do Australii jest darmowa i załatwia się ją przez internet w kilkanaście minut, a w sieci roi się od firm oferujących tę samą wizę za opłatą). Przemyśl też, czy nie potrzebujesz wizy wielokrotnego wstępu i czy ta, o którą aplikujesz jeszcze z domu, będzie wciąż ważna, gdy dotrzesz na miejsce. O wizy można aplikować zazwyczaj w placówkach dyplomatycznych danych krajów

na całym świecie.

W podróży może przydać się też międzynarodowe prawo jazdy – to mała, szara książeczka wydawana w urzędach komunikacji. Zabierz też to właściwe, bo czasem możesz być poproszony o okazanie oryginału.

Zdrowie i szczepienia

Przed wyjazdem koniecznie zrób badania kontrolne i przegląd zębów. Udaj się do lekarza medycyny podróży, aby sprawdzić, czy są jakieś szczepienia, które musisz zrobić, i wyrób sobie żółtą książeczkę szczepień. Uwaga – zrób to odpowiednio wcześnie, bo niektóre szczepienia trzeba wykonywać w kilku dawkach.

Lekarza pierwszego kontaktu lub lekarza medycyny podróży poproś też o wspólne skompletowanie podróżnej apteczki. Koniecznie zabierz ze sobą antybiotyk, który uratuje cię w kryzysie, leki na dolegliwości żołądkowe i silne uczulenia, coś do odkażania ran i krople do oczu. Nie zapomnij o zapasie lekarstw, które zażywasz regularnie (lub receptach) oraz liście uzasadniającym, dlaczego musisz je brać. Jeśli nosisz okulary – weź zapasową receptę na okulary.

Gdy wybierasz się w rejony malaryczne, zabierz środki antymalaryczne, ale przede wszystkim weź repelent z DEET – bardzo skuteczny środek odstraszający na owady.

Do podróży przygotuj się też fizycznie – dobra kondycja może się przydać nie tylko przy długiej wspinaczce czy całodziennych spacerach, ale także wtedy, gdy musiałbyś uciekać. Dobrym rozwiązaniem dla kobiet jest krótki kurs samoobrony.

Ubezpieczenie

Bez względu na to, dokąd jedziesz i na jak długo – wykup ubezpieczenie. Może ci się wydawać, że to stracone pieniądze. Do momentu, w którym będziesz potrzebował pomocy na końcu świata. Wybierając polisę, sprawdź dokładnie: przed czym cię chroni i co wyklucza, czy pokrywa odwołane loty, ubezpiecza twój bagaż, czy możesz ją wydłużyć bez wielkich kosztów (może zdecydujesz się podróżować dłużej). Sprawdź też, czy możesz rozliczać się bezgotówkowo, czy jednak musisz płacić, a potem ubezpieczyciel oddaje ci pieniądze. Przed podjęciem decyzji przewertuj internet i poczytaj o historiach ludzi, którzy musieli skorzystać z usług danego ubezpieczyciela, a nie tylko je mieli. Pamiętaj, że dobre ubezpieczenie nie musi być drogie i że nie musisz koniecznie ubezpieczać się w Polsce.

A jeśli miałbyś problem z odzyskaniem odszkodowania, skorzystaj z bezpłatnej pomocy Rzecznika Ubezpieczonych – tylko dzięki tej instytucji, po dwóch latach przepychanek, udało mi się odzyskać moje pieniądze.

Bagaż i sprzęt

Nie szalej! Nie potrzebujesz wszystkiego, co nowe i najlepsze. Zdecyduj, czy bierzesz plecak, czy walizkę, a może plecak na kółkach i pamiętaj – bez względu na to, jakiego dokonasz wyboru, spakuj się lekko – w końcu musisz to unieść.

Najważniejsze, żebyś zabrał paszport, kartę płatniczą, latarkę, apteczkę i tzw. gafer, którym da się wszystko naprawić – tego nie zapomnij. Resztę możesz szybko kupić, a już na pewno ubrania.

Przemyśl też, jaki sprzęt elektroniczny chcesz zabrać i co ci się przyda – pamiętaj, że więcej cennych rzeczy to więcej zmartwień. Dźwiganie ciężkiego aparatu, jeśli nie jesteś fotografem, nie jest konieczne – wyjechałam w podróż z telefonem komórkowym, który służył jednocześnie za aparat.

Moje 5 zasad dobrego pakowania[12)]

12) Julia Raczko, *Bagaż prawie idealny*, whereisjuli.com (dostęp 28.01.2016)

1. Pomyśl o pogodzie

Na początek sprawdź pogodę w miejscach, do których się wybierasz. Możesz błędnie myśleć, że na przykład w Australii zawsze jest ciepło, a na wyspach Polinezji zawsze świeci słońce. Pogoda to podstawa, bo większość twojego bagażu to będą ciuchy. Zawsze, nawet gdy jedziesz w tropiki, weź ze sobą przynajmniej jedną bluzę, bo wieczory w ciepłych krajach bywają chłodne, a także cienką bawełnianą czapkę.

2. Ogranicz wagę

Pamiętaj, że bagaż będziesz dźwigać ty i tylko ty. Nie wiadomo, jak długo i w jakich warunkach. Musisz go móc podrzucić i złapać bez problemu. Zrób to w domu dziesięć razy z rzędu, a potem zastanów się jeszcze raz, czy potrzebne jest ci to wszystko, co spakowałeś. Mój plecak ważył 10 kilogramów – udało mi się zmieścić w nim wszystko, co niezbędne na sześć miesięcy podróży.

3. Spakuj to, co lubisz

„Weź w podróż zniszczone, stare ciuchy. Zniszczysz do końca i wreszcie wyrzucisz" – bzdura. W podróż zapakuj to, w czym lubisz chodzić i w czym się dobrze czujesz. Jeśli planujesz zakup jakichś specjalistycznych ubrań, typu spodnie z odpinanymi nogawkami, zastanów się, czy będziesz się w nich czuć swobodnie. Nosić ciuchy, których się nie lubi, i jeszcze robić sobie w nich pamiątkowe zdjęcia, to najgorsze, co może ci się trafić.

4. Bądź gotowy na każdą okazję

Pakując się, pomyśl, w jakich sytuacjach i miejscach możesz się znaleźć i weź coś na takie nietypowe okazje. Jeśli większość twoich ubrań to sportowe podkoszulki i dresy, weź jeden

zestaw bardziej elegancki – i odwrotnie. A nuż trafisz na superegzotyczne wesele nowo poznanych znajomych albo ruszysz na trekking, mimo że wcale o tym nie myślałeś?

5. **Pamiętaj, co i gdzie wsadzasz, i trzymaj się tego**

Przegrzebywanie całego bagażu w celu znalezienia skarpetek to dramat. A jeszcze gorzej, jak nie możesz znaleźć schowanych na czarną godzinę stu dolarów! Przemyśl, jak się zapakujesz i w którym miejscu bagażu schowasz daną rzecz. Zapamiętaj i trzymaj się tego planu. To szczególnie ważne w długiej podróży – będziesz się pakować i rozpakowywać co najmniej kilkanaście razy. Rozplanowanie oszczędzi czasu i nerwów.

Budżet

Już przygotowując wyjazd, zaczniesz ponosić koszty. Będziesz musiał zapłacić za badania lekarskie, szczepienia, wizy, dodatkowe dokumenty, zakup sprzętu i ubrań, a przede wszystkim za bilety.

Niestety, na pytanie, ile będzie kosztować sama podróż, nie da się jednoznacznie odpowiedzieć – każdy z nas ma inne potrzeby i na co innego może sobie pozwolić. Planując budżet, pamiętaj o niespodziewanych wydatkach i różnicach cenowych, na przykład Azja w porównaniu z Nową Zelandią będzie droga, podobnie jak Kuba – kraj biedny, ale wcale nie tani. Pomyśl o noclegach, transporcie, jedzeniu, rozrywkach, zakupach, robieniu prania, szalonych wyskokach w nieznane.

Transport i bilety

Dookoła świata można podróżować pewnie na tysiąc sposobów – można jechać rowerem, motorem, jachtostopem czy autostopem. Można jechać bez szczegółowego planu, trochę w ciemno. Ale można też kupić bilet dookoła świata – tak jak zrobiłam to ja. Nie ma dobrych, lepszych i najlepszych rozwiązań – są rozwiązania, które pasują nam.

Bilet dookoła świata (round-the-world ticket, RTW)

To otwarty, łączony bilet różnych linii lotniczych, który działa dzięki takim sojuszom, jak: Star Alliance (należą do niego m.in. LOT i Lufthansa), Oneworld (np. American Airlines, British Airways czy Qantas) oraz SkyTeam (np. KLM, Delta, Air France). Oferują one specjalne taryfy „dookoła świata". Bilet kupuje się u jednego z przewoźników (lub online, jak w przypadku biletów Oneworld) i upoważnia on do korzystania z oferty wszystkich linii należących do tego samego sojuszu (w przypadku biletu Global Explorer można korzystać też z linii nienależących do serwisu).

Mówiąc bardziej obrazowo – nie ma na świecie linii lotniczej, która lata wszędzie, ale jeśli kilka linii lotniczych połączy swoje siły, można stworzyć bilet dookoła świata i dotrzeć praktycz-

nie do każdego zakątka globu.

Zasady działania biletów dookoła świata

W bilecie dookoła świata nie może się znajdować więcej niż 16 segmentów (lotów) – to obowiązek nałożony na sojusze przez Air Transport Association (IATA). Kolejne reguły wprowadziły same stowarzyszenia. Oto najważniejsze z nich:

1. Nasz bilet jest ważny przez rok

Podróż może trwać kilka dni – wszystko zależy od trasy, jaką ułożymy, i budżetu, jakim dysponujemy – ale nie może trwać dłużej niż 12 miesięcy.

2. W ciągu roku trzeba wrócić do kraju, w którym zaczęło się podróż

Wylatujemy z Polski, wracamy do Polski. Wylatujemy z Londynu, wracamy do Anglii.

3. Cała podróż musi się odbywać w jednym, zgodnym kierunku

Można lecieć z zachodu na wschód albo ze wschodu na zachód.

4. W ramach biletu nie można się cofać na poprzedni kontynent

Ocean Atlantycki oraz Pacyfik musimy i możemy przekroczyć tylko RAZ! (Czasem, ale nie zawsze, można się cofać w ramach kontynentu lub kraju).

5. Całą trasę musimy ułożyć przed wylotem

Wybieramy miasta i daty (niektóre linie pozwalają zostawić daty otwarte). Jeśli potem chcemy zmienić trasę, za zmianę portów trzeba dopłacać (ok. 400 zł; cena zależy od sojuszu i linii), ale daty można później bezpłatnie zmieniać. Należy jednak pamiętać, że w taryfie RTW liczba miejsc jest ograniczona i nie zawsze znajdziemy je na wybrany przez nas dzień i godzinę.

Bilet w sojuszu Oneworld

Oneworld posiada w swojej ofercie dwie taryfy biletów dookoła świata. Bilet Oneworld Explorer oparty jest na liczbie odwiedzonych kontynentów i segmentów, a bilet Global Explorer na liczbie przelecianych mil. Sama korzystałam z biletu Oneworld Explorer.

Taryfa Oneworld Explorer

Podstawą taryfy Oneworld Explorer jest liczba odwiedzonych kontynentów – od trzech do sześciu na trasie. Na każdym kontynencie można mieć do czterech lotów, a w Ameryce Północnej – sześć. Dodatkowe dwa loty w ramach kontynentu mogą być dodane za ekstra opłatą, ale wciąż ogólna liczba lotów nie może przekroczyć 16.

Ważne jest, że w taryfie Oneworld Explorer pokonywane odległości nie mają znaczenia. Jedy-

ne, o czym trzeba pamiętać, to to, że lot z przesiadką jest liczony jako dwa loty – jeśli zatem lecimy z Warszawy do Bangkoku przez Helsinki, wykorzystujemy dwa segmenty z naszego biletu.

Możemy także przemieszczać się z miejsca przylotu do miejsca kolejnego odlotu lądem, bez żadnych ograniczeń i ukrytych kosztów. Na przykład: pierwsze lądowanie mamy w Bangkoku, a kolejny lot z Kuala Lumpur; trasę z Bangkoku do KL pokonujemy na własną rękę, nie tracąc przy tym cennych mil.

Wybierając bilet Oneworld Explorer, mamy zapewnione loty z przewoźnikami należącymi do sojuszu oraz Jetstarem, który podlega Qantasowi (Jetstar nie należy do Oneworld, ale oferuje loty w taryfie Oneworld Explorer). Daje nam to dodatkowe możliwości poruszania się po Australii (taryfa Oneworld Explorer jest najlepszym wyborem, gdy w podróży dookoła świata chcemy odwiedzić Australię) oraz po azjatyckich krajach, gdzie Jetstar ma sporą sieć połączeń.

Ceny w taryfie Oneworld Explorer uzależnione są od liczby kontynentów, które odwiedzamy, od klasy, którą wybierzemy, oraz od pory roku, w której planujemy swoją podróż.

Dzieci w wieku 2–12 lat płacą 75% ceny, a dzieci do 2 lat – 10% ceny pełnego biletu.

Taryfa Global Explorer

Taryfa Global Explorer zależy od długości zaplanowanej trasy. Mamy do wyboru cztery rodzaje biletów – na 26 000, 29 000, 34 000 i 39 000 mil.

Wybierając trasę 26 000 mil, możemy mieć od trzech do pięciu przystanków i nie więcej niż dwa w danym regionie.

W przypadku trasy 29 000 mil, możemy mieć od trzech do dziesięciu przystanków i nie więcej niż trzy w danym regionie.

Trasy 34 000 mil oraz 39 000 mil to od trzech do piętnastu przystanków i nie więcej niż cztery w jednym regionie.

Głównym minusem taryfy Global Explorer jest to, że odcinki pokonane drogą lądową wliczane są przez sojusz w trasę biletu i odbierają nam cenne mile. Ale za to, w przeciwieństwie do taryfy Oneworld Explorer, międzylądowania (przystanki krótsze niż 24h) nie działają na naszą niekorzyść.

Dzieci w wieku 2–12 lat płacą 75% ceny, a dzieci do dwóch lat – 10% ceny pełnego biletu.

Bilet Star Alliance

Star Alliance jest sojuszem większym niż Oneworld i ma nieco lepszą siatkę połączeń na świecie. Oferuje jedynie bilety oparte na liczbie pokonanych mil. Mamy do wyboru 29 000, 34 000

albo 39 000 mil oraz 26 000 mil.

W czasie podróży nie można mieć więcej niż trzy przystanki w jednym państwie, wyjątkiem są Stany Zjednoczone, gdzie można mieć pięć przystanków.

Drogą lądową można pokonać maksymalnie pięć odcinków.

Dzieci w wieku 2–12 lat płacą 75% ceny, a dzieci do dwóch lat – 10% ceny pełnego biletu.

Bilet SkyTeam

SkyTeam również ma świetną siatkę połączeń, ale znów – oferuje tylko bilety oparte na długości trasy – 38 000, 33 000, 29 000, 26 000 mil. W ramach biletu możesz cofać się na danym kontynencie i mieć w sumie, przy dłuższych trasach, 15 lotów.

Układanie trasy biletu dookoła świata

Zarówno Oneworld, Star Alliance, jak i SkyTeam mają na swoich stronach doskonałe narzędzia do planowania podróży, czyli wirtualne mapy, na których możemy układać swoją wymarzoną trasę.

Na początku najlepiej odłożyć swoje preferencje na bok i trochę się pobawić, żeby dobrze zrozumieć, jak działa system. Gdy zdobędziemy już tę wiedzę, możemy oddać się marzeniom i po prostu zacząć łączyć kropki na mapie.

Kupowanie biletu dookoła świata

Bilet możemy sobie ułożyć sami i zarezerwować go internetowo, ale zawsze dobrym pomysłem jest skontaktowanie się z przedstawicielem jednej z linii lotniczych należących do sojuszu, w którym zamierzamy kupić bilet. Swój kupiłam u agenta British Airways.

Koszt biletu dookoła świata

Mój bilet dookoła świata kosztował 12 000 zł. W tej cenie były następujące loty: Warszawa – Helsinki – Bangkok, Kuala Lumpur – Dżakarta, Denpasar – Sydney, Cairns – Melbourne, Melbourne – Auckland, Auckland – Papette, Papette – Santiago, Santiago – Lima, Lima – Hawana, Cancún – Londyn – Warszawa. Ceny biletów dookoła świata są bardzo różne, ale, co ważne, sezony nie powinny mieć na nie wpływu. Bilety mogą kosztować od kilku do kilkunastu tysięcy złotych, a cena powinna być taka sama przez cały rok.

O czym trzeba pamiętać

O zasadach nałożonych na nas przez sojusze i sprawdzaniu biletu przed i po zakupie. Przez swoje gapiostwo wylądowałam na Wyspie Wielkanocnej, po czym pół godziny później z niej wyleciałam i to był olbrzymi błąd, który wdarł się w ułożoną trasę.

Należy też pamiętać o zgłaszaniu przewoźnikowi, z wyprzedzeniem, każdej zmiany, którą byśmy chcieli wprowadzić. Dotyczy to szczególnie omijania jakiegoś lotu, bo niezgłoszenie tego może się skończyć skasowaniem całego naszego biletu RTW (działa to podobnie jak w przypadku lotów z przesiadkami). Przed wyruszeniem w podróż zapiszcie się też koniecznie do programu zliczania mil, bo dzięki wycieczce dookoła świata możecie uzbierać na co najmniej jeden darmowy lot.

Dla kogo jest bilet dookoła świata

Sprawdzi się świetnie w przypadku początkujących i będzie dobrym rozwiązaniem dla tych, którzy mają ograniczony czas.

Inne opcje biletów dookoła świata

Jeśli opcja zakupu biletu w sojuszu linii lotniczych z jakiegoś powodu nam nie odpowiada, możemy kupić bilet w agencji specjalizującej się w układaniu tras dookoła świata. Na jakiej zasadzie działają takie agencje? Pracownicy szukają po prostu dobrych ofert wszystkich możliwych linii świata, także tanich i regionalnych. Składają nam bilet na taką trasę, jaką sobie wymarzyliśmy. Tu nie ma ograniczeń, nie ma zakazu zawracania, nakazu jechania w jednym kierunku, można zwiedzać dłużej niż rok. Można podróżować tak, jak się chce. Bilety na podróż dookoła świata można też oczywiście kupić sobie samemu.

W trakcie podróży

To, jak długo będziesz przygotowywał się do podróży, zależy tylko od ciebie: od tego, ile jesteś w stanie zarobić i zaoszczędzić; od tego, jak bardzo chcesz ruszyć i jak silna jest twoja wewnętrzna motywacja; od tego, co stanie się twoim priorytetem. Jeśli będzie nim podróż – wyjedziesz szybciej, niż myślisz. Mnie droga od pomysłu do jego realizacji zajęła około jedenastu miesięcy.

Pozamykaj wszystkie sprawy związane z pracą (nie trzaskaj drzwiami, bo nigdy nie wiesz, czy znowu do nich nie zapukasz), mieszkaniem, kredytami i rachunkami, zostaw komuś upoważnienie do reprezentowania cię w niespodziewanych sytuacjach. Pamiętaj, żeby pożegnać się z rodziną i przyjaciółmi, spędzając z nimi trochę więcej czasu niż zwykle (pożegnalna impreza nie wystarczy, a zatęsknisz – to nieuniknione). Do plecaka wrzuć kilka zdjęć najbliższych – miło jest czuć ich przy sobie. Bez względu na to, ile zajmą ci przygotowania, ekscytacja będzie wielka, ale… pojawi się także stres. Nic dziwnego. Możesz się stresować. W końcu ruszasz w nieznane. Nie pozwól tylko, żeby ten stres wziął górę. Nie zacznij wariować, że nie masz tego czy tamtego, że coś nie jest gotowe, że się boisz. Zaakceptuj tę odrobinkę stresu, wtedy zadziała jak dobry motywator. Na kilka dni przed wyjazdem, odpocznij. To pomoże w późniejszej walce z *jet lagiem* i czerpaniu przyjemności z pierwszych chwil.

Bagaż podręczny

Mały plecak, w którym schowasz to, co najważniejsze, i który będzie zawsze na wyciągnięcie ręki, to podstawa. Plecaki są zdecydowanie wygodniejsze od toreb i bardziej praktyczne. W plecak podręczny warto zainwestować. Ważne, żeby miał miękkie ramiączka i przynaj-

mniej jedną dodatkową kieszonkę w środku, niech nie będzie zbyt duży, ale niech będzie też fajny – dla ciebie. To ty będziesz go nosić, jak żółw skorupę.

Do podręcznego wrzuć: paszport, bilet, trochę gotówki, kartę płatniczą, ubezpieczenie, inne dokumenty i długopis. Weź też aparat, telefon czy komputer. Wszystko to, co wartościowe i co łatwo można uszkodzić. Przyda ci się szczoteczka do zębów (chociaż tę często podczas długich lotów dostaniesz na pokładzie samolotu), malutka tubka kremu, dezodorant, środki przeciwbólowe, zatyczki do uszu, chusteczki do nosa, żel dezynfekujący do mycia rąk. Jeśli lubisz czytać, weź książkę, czytnik albo USB z filmami. Nie zapomnij o bluzie i ciepłych skarpetach – klimatyzacja w samolocie potrafi dać w kość.

Nocleg

Jeśli wyjeżdżasz pierwszy raz (chociaż przyda się też przy kolejnych), zarezerwuj sobie nocleg na pierwsze dwie noce. Sama tego nie zrobiłam i pojechałam w świat całkiem w ciemno. Przysporzyło mi to dodatkowego stresu po wylądowaniu w Bangkoku, zupełnie niepotrzebnie. Na początku będziesz musiał się odnaleźć, przestawić czasowo, wykąpać… Zapoznasz się z miejscem i wtedy możesz się przenieść.

Wybór noclegu zależy tylko od ciebie, od twoich potrzeb i budżetu. Możesz spać w hostelu, gdzie z łatwością poznasz ludzi z całego świata. Możesz wybrać salę wieloosobową (tzw. *dorm*). Zazwyczaj wolę mieć nieco droższy pokój, ale tylko dla siebie. Po prostu lubię mieć swoją przestrzeń, w której nie spacerują nieznajomi. Warto też sprawdzić tanie hotele, tzw. guest houses czy bed&breakfast oraz Airbnb[13)], ponieważ często oferują podobne lub lepsze warunki w zbliżonej cenie, a do tego towarzystwo gospodarza. Zostają jeszcze kempingi i to nie tylko jako opcja dla tych z namiotem, na kempingu często można wynająć domek lub kabinę w dobrej cenie.

13) Portal oferujący wynajęcie domu, mieszkania, pokoju od prywatnej osoby, www.airbnb.com.

Bardzo ciekawą opcją noclegową jest też *house sitting*[14)] popularny np. w Australii lub *couchsurfing*[15)]. Korzystając z niego, pamiętaj jednak, że nie chodzi tu jedynie o spanie za darmo – to przede wszystkim sposób na poznanie tuziemców. Odwdzięcz się gospodarzowi swoim czasem, kolacją, pomocą w domu. Nie wykorzystuj czyjejś dobrej woli tylko po to, żeby zaoszczędzić.

14) Opieka nad czyimś domem pod jego nieobecność.

15) Portal oferujący tzw. spanie na „kanapie". To darmowa forma noclegu w domu, mieszkaniu czy apartamencie zrzeszonych użytkowników, www.couchsurfing.com.

5 rzeczy, o których musisz pamiętać, wybierając nocleg

1. Oszczędzaj z umiarem

W podróży kontrolujesz budżet, to zrozumiałe, ale nie daj się zwariować. Niestety, bardzo tanie miejsca są często głośne, położone w niezbyt ciekawej okolicy i… niezbyt czyste. Brudne będą prysznice, a w twoim łóżku mogą mieszkać pluskwy. Gwarantuję – nie chcesz tego. Po całym dniu zwiedzania i nowych przygód będziesz chciał się wyspać, a twoje ciało podziękuje za tę odrobinę wygody.

2. Bar na miejscu to nie zawsze fajna opcja

Bar w hostelu ma jeden podstawowy plus. Tam poznasz wiele cudownych osób bez konieczności wychodzenia na miasto, ale… Bar w hostelu może też oznaczać imprezy do rana, co wyklucza możliwość wyspania się. Trafiłam kiedyś do hostelu w Meksyku, gdzie balowali do świtu – myślałam, że wyprowadzę się w środku nocy i będę spać na ulicy. Wszystko oczywiście zależy od twoich potrzeb, ale chwila relaksu potrzebna jest każdemu. Sprawdź, czy hostel, który wybierasz, ma np. wyznaczone godziny ciszy nocnej i czy zatrzymują się tam rodzice z dziećmi – w tym wypadku dobry znak.

3. Kwestie bezpieczeństwa

W hostelach zazwyczaj jest tłoczno, a niestety, oprócz dobrych ludzi, trafiają się też złodziejaszki. Zostawiając bagaż na cały dzień w pokoju, lepiej schowaj go w szafce. Porządny hostel powinien ci udostępnić taką bezpłatnie i rozumieć, o co się martwisz. Ważna jest też okolica, w której znajduje się miejsce noclegowe. Przemyśl, czy jesteś gotowy wracać tam po zmroku.

4. Czystość

Każdy ma inne standardy, ale… nikt nie chce złapać czegoś pod prysznicem. Wybierając hostel, zajrzyj najpierw do łazienek – szybko podejmiesz decyzję, czy jesteś w stanie to znieść. Sprawdź też, czy pościel jest zmieniona i uprana. Nigdy nie wiesz, kto spał tam wcześniej i co robił….

5. Część wspólna i kuchnia

Każdy fajny hostel, w którym się zatrzymałam, miał specjalny pokój. Można było w nim odpocząć, poczytać książkę, usiąść spokojnie z komputerem i zjeść przygotowany samodzielnie posiłek. To w takich miejscach, moim zdaniem, odbywają się najciekawsze dyskusje.

Transport

Forma transportu, znowu, zależy od twoich potrzeb i budżetu. Pierwszego wyboru będziesz musiał dokonać na lotnisku. Bez względu na to, gdzie jedziesz, poczytaj wcześniej, jakie masz opcje dojazdu z lotniska do centrum miasta, bo informacja, którą dostaniesz już na miejscu, może być często mylna. Najczęściej doradzają złapanie najszybszego, ale też najdroższego środka transportu, a może się okazać, że za rogiem jeździ miejski autobus. Jeśli korzystasz z taksówki, sprawdź te przy terminalu odlotów, a nie przylotów – mogą być tańsze.

W wielu miastach to właśnie transport miejski będzie najtańszy i najciekawszy (np. w Azji), ale już w Australii będzie raczej drogi, a w Ameryce Południowej nie wszędzie bezpieczny.

Jadąc gdzieś dalej, rozważ podróż autobusem, pociągiem, skuterem, łódką, autostopem lub własnym autem. Sprawdź specyfikę kraju: pociąg nie sprawdzi się raczej w Australii, bo tu jest on bardzo drogi, ale już np. w Tajlandii może być fajną przygodą. Siatka autobusowych połączeń jest za to świetnie rozwinięta w krajach Ameryki Południowej. Jeżdżenie autostopem znowu staje się popularne i wcale nie jest takie niebezpieczne, jak mówią niektórzy. Spróbuj – może ci się spodoba.

Moim ulubionym rozwiązaniem jest wypożyczanie samochodu. Tak udało mi się zwiedzić Australię, Nową Zelandię, Tahiti, Meksyk czy Kubę. Oczywiście podróże własnym autem są zazwyczaj nieco droższe i pewnie będą dobrą opcją głównie wtedy, gdy jedzie się z kimś, ale to, co dają najcenniejszego, to wielka swoboda. Wypożyczając auto, zawsze je sprawdź!

Przy podróżach na dłuższych dystansach warto też sprawdzić oferty linii lotniczych. Latanie jest coraz tańsze, a linie mają coraz lepsze oferty. Pamiętaj jednak o własnym bezpieczeństwie, bo latanie w kilku miejscach na świecie może być raczej ryzykowne...

Jak wybierać bezpieczne linie lotnicze?

1. Tanie niekoniecznie znaczy niebezpieczne

Gdy kilkanaście lat temu tanie linie lotnicze zaczęły się mocno rozwijać, były to w większości firmy ze starą flotą. Dziś już tak nie jest. Często linie te mają najnowsze samoloty. Warto sprawdzić ich ofertę.

2. Ale cena powinna nas zastanowić

Wszyscy cieszymy się, gdy uda nam się znaleźć bilet za przysłowiową złotówkę, ale… czy to, że lot jest tańszy od taksówki na lotnisko, nie powinno nas zastanowić? Powinno, bo aby obniżać ceny biletów, linie muszą gdzieś zaoszczędzić. Niestety zdarza się, że dzieje się to kosztem bezpieczeństwa. Ograniczają liczbę serwisów, przenoszą je w miejsca, gdzie jest dostępna tańsza i często gorzej wykształcona siła robocza, pozwalają maszynom wylatać za dużo godzin.

3. Sprawdź ranking bezpieczeństwa

Na stronie www.airlineratings.com dostępny jest ogólnoświatowy ranking bezpieczeństwa. Sprawdź, jakie wyniki mają linie, którymi chcesz lecieć. Lista jest regularnie uaktualniania, a przy ocenianiu brane są pod uwagę różne aspekty.

4. Poczytaj o liniach lotniczych

Wujek Google i w tym wypadku okazuje się niezastąpiony. Poszukaj informacji o liniach lotniczych, z których usług chcesz skorzystać. Sprawdź statystyki, opinie pasażerów, historię samolotów. To, co znajdziesz, może cię zaskoczyć.

Jedzenie

To moja ulubiona część! Próbuj, próbuj i jeszcze raz próbuj. Nawet jeśli próbowałeś kiedyś indyjskiej kuchni i nie przypadła ci do gustu, spróbuj jej jeszcze raz w Indiach – tam może okazać się wyśmienita. Staraj się stołować tam, gdzie miejscowi, albo zajrzyj do bardzo ekskluzywnych restauracji –pracują w nich doskonali kucharze. Jednak to kuchnia uliczna i degustacje na targach są najlepszym doświadczeniem.

5 rzeczy, o których musisz pamiętać, stołując się na ulicy

1. Jedz tylko to, co przyrządzane jest na twoich oczach

Na stoiskach z jedzeniem zobaczysz mnóstwo cudownych dań, które… leżą tam pewnie godzinami i usiadło już na nich stado much. Jedz tylko to, co przygotowywane jest na twoich oczach. Daje ci to względną pewność, że jedzenie jest świeże, a bakterie giną właśnie w tej chwili.

2. Jedz w tych godzinach, w których jedzą miejscowi

Dostosuj się do planu dnia miejscowych – jedz śniadanie i kolacje o tej porze co oni. Masz wtedy pewność, że jedzenie jest świeże, a wybór – duży.

3. Jeśli coś ci nie pasuje, nie jedz tego

Czasem bywa tak, że zaczynamy jeść i pojawia się to dziwne przeczucie, że z daniem jest coś nie tak. Smakuje niepewnie, podśmierduje czy staje w gardle. Zaufaj swojemu organizmowi – jeśli mówi ci, że coś jest nie tak, lepiej to odłóż i idź do innego stoiska.

4. Jedz tam, gdzie jest kolejka

Tam, gdzie jest pełno ludzi – jest dobre jedzenie. Tak jest w restauracjach i tak samo będzie na ulicy. Wybierz stoisko, do którego jest kolejka, ale zobacz też, kto w tej kolejce stoi. Jeśli sami turyści, dobrze się zastanów. Jeśli są miejscowi, dobrze, żeby w kolejce były też dzieci – mają wrażliwe brzuchy, więc jeśli rodzice pozwalają im jeść tam, gdzie ty zamierzasz, to dobry znak.

5. Uważaj na świeże owoce, warzywa i wodę

Bedąc w egzotycznych krajach, zazwyczaj masz ochotę rzucić się wręcz na stoiska ze świeżymi owocami. Nic dziwnego – są pyszne. Ale uważaj, bo mogą być niemyte albo, co gorsza, umyte w wodzie z bakteriami. Nigdy nie pij też napojów z lodem, jeśli nie wiesz, skąd pochodzi woda.

A gdy zdarzy się, że coś zacznie wiercić cię w brzuchu: popij alkoholem, zrób sobie dietę, jedz ryż i banany. Udaj się do miejscowego lekarza – będzie wiedział najlepiej o panujących w okolicy bakteriach i wirusach.

Bezpieczeństwo

Udana podróż to ta, z której się wraca. Nie zgrywaj chojraka – to najgorsze, co możesz zrobić. Nie chodzi o to, że masz się wszystkiego bać, ale bądź rozsądny, bez względu na to, czy jesteś kobietą, czy mężczyzną. Ważne jest też to, żebyś nie zdradził, że czegoś się boisz, bo to pewność siebie (oczywiście taka umiarkowana) roztacza nad tobą parasol ochronny. Osoba, która idzie speszona, gdzieś z boku, zapewne szybciej przyciągnie uwagę innych niż ta idąca pewnie, z podniesioną głową. Pamiętaj, że ludzie są z reguły dobrzy, ale wśród nich, niestety, trafiają się dranie.

Na kieszonkowców i drobnych złodziejaszków uważaj w zatłoczonych miejscach i to na całym świecie. Pas na pieniądze schowany pod ubraniem jest zawsze dobrym rozwiązaniem. Zastanów się też, gdzie wyciągasz swój wypasiony komputer czy aparat. Miej oko na okolicę. W razie zagrożenia czy napadu traktuj sytuację poważnie i zrób wszystko, żeby takiej uniknąć. Jeśli się wydarzy, bez względu na prawdopodobne groźby – zgłoś się na policję. I nie daj się zwariować. Na świecie jest mnóstwo podróżujących osób, mnóstwo samotnie podróżujących osób, mnóstwo samotnie podróżujących kobiet. Świat nie jest taki straszny, jak go malują.

Ważne, żebyś przed wyjazdem sprawdził sytuację w kraju, do którego jedziesz. Dowiesz się wtedy, jak się zachować i na co uważać. W notesie zapisz też sobie numery i adresy ambasad czy konsulatów, numer do banku i ubezpieczyciela.

Zachowanie

Tam, gdzie jedziesz, jesteś tylko gościem. Szanuj miejscowych – ich kulturę, religię i zwyczaje, bez względu na to, jakie są twoje i nie traktuj ludzi jak zwierzęta w zoo. Jasne, nieraz coś będzie cię wkurzać i nie będzie pasować, ale wyjeżdżając w podróż, zostaw w domu uprzedzenia czy skłonność do osądzania. Jedź z otwartością na nowe i mniej znane.

Pamiętaj o odpowiednim ubiorze (dotyczy to szczególnie kobiet), o szeroko pojętym savoir-vivrze, o tym, że nie wszędzie wypada robić zdjęcia i że nie wszędzie okazuje się emocje tak samo jak w Europie. Na pewno zdarzy ci się popełnić faux pas, nic nie szkodzi, każdemu może się zdarzyć. Naucz się po prostu mówić „przepraszam”.

Naucz się też mówić „dzień dobry” czy „do widzenia” w danym języku. Sprawisz tym miejscowym odrobinę przyjemności.

Podróżując, pamiętaj o środowisku. Bądź mądrym turystą też wobec niego. Zamiast kupować wodę w plastikowych butelkach, miej swój bidon i w miarę możliwości uzupełniaj go w bezpiecznych miejscach. Na zakupy zabieraj swój plecak albo torebkę wielorazowego użytku. Wybierając atrakcje, w których zwierzęta grają główną rolę, trzy razy się zastanów i sprawdź, czy przypadkiem nie są one tam krzywdzone. Nie kupuj też „odzwierzęcych” pamiątek. Naucz się zbierać śmieci – jeśli spacerując przez las, potkniesz się o butelkę czy puszkę – podnieś ją. To samo zrób na plaży, w parku, przed hostelem. Jeśli każdy z nas postępowałby w taki sposób, świat byłby o wiele czystszy. Zmiany zacznij od siebie.

Wykupując jakiekolwiek wycieczki, staraj się wyszukiwać lokalne biznesy. Wspieraj też organizacje charytatywne, pomyśl o wolontariacie, ale pamiętaj też, że dając pieniądze tym, którzy wyciągają po nie rękę, często robisz komuś większą krzywdę.

W podróży bądź po prostu mądry. Nawet mądrzejszy, niż jesteś na co dzień.

Kontakt z bliskimi

Roaming zazwyczaj nie będzie ci się opłacał, a już na pewno nie ma sensu korzystanie z internetu. Przy dłuższych pobytach w danym kraju rozważ zakup karty do telefonu typu „pre paid”. Jeśli jesteś gdzieś krócej, po prostu korzystaj z darmowego internetu dostępnego zazwyczaj na lotniskach, w knajpach, hotelach, bibliotekach czy, coraz częściej, w centrach miast. Jeśli jednak logujesz się na stronie swojego banku – sprawdź, czy połączenie na pewno jest bezpieczne! Pamiętaj też, że w wielu miejscach na świecie wciąż doskonale mają się budki telefoniczne, a korzystanie z nich wcale nie musi być aż takie kosztowne.

Zamiast nieustannie dzwonić i pisać do kilku osób, możesz też po prostu założyć blog. Prowadzenie bloga to w dzisiejszych czasach naprawdę prosta rzecz, nawet jeśli absolutnie nie znasz się na technicznych sprawach. Proste systemy typu Wordpress, gotowe projekty stron, które można kupić za niewielkie pieniądze i wszelakie instrukcje dostępne są w internecie. To wszystko znacznie ułatwia sprawę. Blog będzie świetnym źródłem informacji dla znajomych i rodziny, ale też doskonałą pamiątką dla ciebie.

Jak pisać blog z podróży

Pisząc teksty, zachowaj swój styl. Czerp od innych, ale nigdy ich nie kopiuj. Pomimo że w sieci najbardziej popularne mogą być teksty praktyczne (co, gdzie i za ile), to te przesiąknięte emocjami i pokazujące twoje subiektywne spostrzeżenia są najbardziej wartościowe i niepowtarzalne. To opowiadanie historii jest najważniejsze. Dziś na blogach ważne są także wpisy ponadczasowe, do których będzie można wrócić za kilka lat. Pamiętaj też o jakości – dbaj o styl, przejrzystość, zważaj na to, jakie zdjęcia załączasz do relacji. Stwórz stronę, na którą sam za-

glądałbyś z przyjemnością, a także miejsce, którego nie będziesz musiał się kiedyś wstydzić. To twoja wizytówka, a nie kolejny portal internetowy! Nie myśl też od samego początku o blogu podróżniczym jako o sposobie na finansowanie wojaży czy biznesie. Niestety, to nie jest takie proste, a prowadzenie profesjonalnego bloga to praca na cały etat. Zanim założysz zakładkę „współpraca", zacznij na dobre relacjonować swoją wyprawę. Znajdź coś, co będzie cię wyróżniać z setek innych blogów podróżniczych.

Koniecznie działaj też na kanałach społecznościowych. Dziś sam blog to tylko dodatek do nich. Relacjonuj, co dzieje się na bieżąco, np. poprzez Facebooka, Youtube'a, Snapchata, Twittera oraz w wielu innych miejscach. Wybierz te kanały, w których ty i twoi czytelnicy czujecie się swobodnie. Wokół swojego bloga postaraj się stworzyć podróżniczą społeczność.

PODZIĘKOWANIA

Dla wszystkich tych, których spotkałam na swojej drodze, i wszystkich tych, którzy sprawili, że ich spotkałam – dziękuję. Gdyby nie Wy, ta podróż nie znaczyłaby tak wiele...

Dla mojej mamy i dla matki chrzestnej – za wsparcie przy pisaniu tej książki i mobilizację.

Dla taty – za wiarę w moje szalone pomysły.

Dla Sama za cierpliwość – nikt wcześniej nie miał jej do mnie tyle co Ty, Kochanie.

Bohaterowie i przyjaciele – co u nich dzisiaj?

Kai i Kate. Dziewczyny, które pokazały mi Bangkok, wciąż są mi bliskie. Udało nam się spotkać po raz drugi, w trakcie mojej drugiej wizyty w Tajlandii.

Lorea i Vlad. Przejechaliśmy razem Tajlandię i Malezję. Wciąż są parą i wciąż mieszkają w Dublinie.

Farah. Zajęła się mną w Dżogdżakarcie, w Indonezji. Marzyła wtedy o studiach w Rosji. Spełniło się – od dwóch lat mieszka w Moskwie.

Klaudia. Poznałyśmy się w Sydney. Dziś – przyjaźnimy się. Wyszła za Petera, mają uroczego synka Leonka.

Magda i Bartek. Kuzynka Sama i jej mąż wysłali mnie do Brisbane. Dziś są jak moja najbliższa rodzina. Ich synek, Vincent, urodził się 2 maja 2013 roku. Idealnie w moje urodziny.

Monika. Znana jako Tresvodka. Wprowadziła mnie w świat Ameryki Południowej. Mimo że widziałyśmy się wtedy kilka dni, „coś" między nami „kliknęło". I trwa do dziś. Monika wyszła za Claudia. Nadal mieszkają w Santiago.

Tomek. Sprawił, że zakochałam się w Limie. Po powrocie z wolontariatu do Polski dostał pracę w liniach lotniczych. Dziś mieszka w Dubaju i czasem przylatuje do mnie, do Australii, w odwiedziny.

Paulina. W duecie z Tomkiem dbała o moje dobre samopoczucie w Peru. Nigdy nie wróciła do Polski. Postanowiła zamieszkać w Limie.

Victoria. Meksykanka, z którą zwiedzałam Świętą Dolinę, mieszka dziś na… Kubie. Została mamą.

Abu. Była moim przewodnikiem w Mexico City. Marzyła o tym, żeby postudiować gdzieś na końcu świata. Dziś mieszka w Słowenii.

Ania i Arek. Para Polaków, których poznałam w autobusie do Malezji. Wtedy nie mieliśmy okazji za dużo pogadać, ale dziś znamy się świetnie. Ania i Arek odwiedzili nas w Australii i zostali na miesiąc.

Spis treści:

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Początek

Tajlandia
- Bangkok
- Ton Sai i Ao Nang
- Koh Lipe
- Wskazówki

Malezja
- Wyspa Penang, Georgetown
- Wzgórza Cameron
- Wzgórza Cameron – Ipoh – Kuala Lumpur
- Wskazówki

Indonezja
- Wyspa Jawa, Dżakarta
- Wyspa Jawa, Dżogdżakarta
- Wyspa Bali
- Wyspa Gili Meno
- Wyspa Gili Air
- Wyspy Flores i Rinca
- Wyspa Bali. Powrót
- Wskazówki

Australia i Nowa Zelandia
- Sydney, Australia
- Brisbane, Australia
- Melbourne, Australia
- Queenstown, Nowa Zelandia
- Christchurch – Wellington – Auckland, Nowa Zelandia
- Melbourne – Hobart, Australia

Auckland, Nowa Zelandia
Wskazówki

Polinezja Francuska
Tahiti i Moorea
Wskazówki

Chile
Santiago
Valparaiso
Wskazówki

Peru
Lima
Cusco
Ollantaytambo, Machu Picchu, Chinchero
Lima. Powrót
Wskazówki

Kuba
Hawana
Hawana – Trinidad – Varadero
Hawana. Powrót
Wskazówki

Meksyk
Mexico City
Mexico City – Puebla – Oaxaca
Cancún
Wskazówki

Polska

Podróż dookoła świata – praktycznie
Przed wyjazdem
W trakcie podróży

Podziękowania